

ASSASSIN'S — CREED — PODZIEMIE



OLIVER BOWDEN

Oliver Bowden

ASSASSIN'S CREED®

PODZIEMIE

przełożył

PAWEŁ PODMIOTKO

Tytuł oryginału
Assassin's Creed® Underworld

First published in English in 2015 by Penguin Group
Penguin Books Ltd, 80 Strand, London WC2R 0RL, England
www.penguin.com

Copyright © 2016 Ubisoft Entertainment. All Rights Reserved.
Assassin's Creed, Ubisoft and the Ubisoft logo are trademarks of
Ubisoft Entertainment in the U.S. and/or other countries.

Przekład

Paweł Podmiotko

Redakcja i korekta

Danuta Porębska, Tomasz Porębski, Piotr Mocniak
oraz Pracownia 12A | www.pracownia12a.pl

Konwersja

Tomasz Brzozowski

Copyright © for this edition

Insignis Media, Kraków 2016. Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN 978-83-65315-50-2

Insignis Media

ul. Szlak 77/228–229, 31-153 Kraków

telefon / fax +48 (12) 636 01 90

biuro@insignis.pl, www.insignis.pl

facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

twitter.com/insignis_media (@insignis_media)

instagram.com/insignis_media (@insignis_media)

Snapchat: insignis_media

CZEŚĆ I. Miasto duchów

1

Asasyn Ethan Frye stał w mroku hali Covent Garden Market oparty o skrzynię, niemal ukryty za wózkami handlarzy. Ramiona skrzyżował na piersi, podbródek oparł na dłoni, obszerny miękki kaptur skrywał mu głowę. I stał tak, cichy i nieruchomy, podczas gdy popołudnie ustępowało pola wieczorowi. Patrzył. I czekał.

Rzadko się zdarzało, by asasyn opierał w ten sposób brodę. Szczególnie, gdy nosił ukryte ostrze (a tak właśnie było), którego szpic znajdował się o niecały cal od odsłoniętej skóry jego gardła. Bliżej łokcia była umieszczona lekka, lecz bardzo silna sprężyna mająca na celu wysunięcie ostrej jak brzytwa stali; odpowiedni obrót nadgarstka i mechanizm zostałyby uruchomiony. W dosłownym sensie Ethan sam umieścił się na ostrzu noża.

Ale dlaczego miałyby to robić? W końcu nawet asasynom mogły się zdarzyć wypadki czy uszkodzenia sprzętu. Ze względów bezpieczeństwa członkowie i członkinie Bractwa zwykle trzymali rękę z ostrzem z dala od twarzy. Było to lepsze niż ryzyko upokorzenia lub jeszcze czegoś gorszego.

Ethan był inny. Był wytrawnym asem kontrwywiadu i oparcie podbródka na silniejszej ręce było podstępem mającym oszukać potencjalnego wroga, ale też czerpał mroczną przyjemność z igrania z niebezpieczeństwem.

I stał tak, podpierając dłonią podbródek, patrzył i czekał.

„O!”, pomyślał, „A to co?”. Wyprostował się i strząsnął opary snu z zastałych mięśni, patrząc na halę targową spomiędzy skrzyń. Handlarze się pakowali. I działo się coś jeszcze. Zaczynały się łowy.

2

W uliczce nieopodal Ethana przyczał się jegomość o imieniu Boot. Miał na sobie obszarpaną kurtkę myśliwską i zniszczony kapelusz i uważnie oglądał zegarek kieszonkowy zwędzony przed momentem pewnemu gentlemanowi.

Było jednak coś, czego Boot o swoim nowym nabytku nie wiedział, a mianowicie, że jego poprzedni właściciel tego właśnie dnia zamierzał go oddać do naprawy z powodu, który miał wkrótce wywrzeć ogromny wpływ na życie Ethana Frye'a, Boota, młodego człowieka zwanego Duchem i innych osób wplątanych w odwieczną walkę pomiędzy Zakonem Templariuszy a Bractwem Asasynów. Boot nie wiedział bowiem, że jego kieszonkowy zegarek był niemal godzinę spóźniony.

Nieświadomy tego faktu zamknął wieczko, myśląc sobie, że niezły teraz z niego elegant. Następnie wyszedł z uliczki, popatrzył w lewo i w prawo, po czym wszedł do opustoszałej hali targowej. Gdy tak szedł, przygarbiony, z rękami w kieszeniach, spojrzał przez ramię, by sprawdzić, czy nikt go nie śledzi, i zadowolony z wyniku obserwacji ruszył dalej, zostawiając Covent Garden za sobą i wchodząc do Kolonii St Giles – dzielnicy nędzy zwanej Old Nichol. Zmianę dało się wyczuć natychmiast. Wcześniej jego obcasy dzwoniły na kocich łbach, teraz zaś grzęzły w nieczystościach ulicy, wzbijając falę smrodu gnijących warzyw i ludzkich odchodów. Trotuary były ich pełne, powietrze cuchnęło. Boot uniósł szalik do ust i nosa, by choć w jakimś stopniu się od tego odgrodzić.

Podobny do wilka pies truchtał u jego nóg przez kilka kroków, z jego zapadłych boków sterczały żebra. Błagał głodnymi oczami w czerwonych obwódkach, ale Boot kopnął go tak, że pies odskoczył i zniknął za jego plecami. Nieopodal w drzwiach domu siedziała kobieta w strzępach ubrania związanych sznurkiem, z dzieckiem przyciśniętym do piersi, i patrzyła na

niego szklanymi martwymi oczami, oczami slumsu. Mogła być matką prostytutki, czekającą, aż córka wróci do domu z pieniędzmi, i biada dziewczynie, jeśli przyjdzie z pustymi rękami. Albo dowodziła szajką złodziei i naciągaczy, którzy wkrótce mieli się pojawić z całodniowym łupem. A może wynajmowała kwatery. Tu, w dzielnicy nędzy, wspaniałe niegdyś domy zamieniono na mieszkania i kamienice czynszowe, które w nocy zapewniały schronienie potrzebującym: uciekinierom i ich rodzinom, prostytutkom, handlarzom i robotnikom – każdemu, kto płacił z góry za miejsce na podłodze; łóżko dostawał tylko ten, kto miał szczęście i pieniądze, lecz zwykle za posłanie musiała wystarczyć słoma lub trociny. Chociaż i tak nie można tu było liczyć na spokojny sen: zajęty był każdy skrawek podłogi, a ciszę nocy rozdzierał płacz dzieci.

I choć wielu z tych ludzi nie mogło, bądź nie chciało pracować, znaczna większość miała jakieś zajęcie. Tresowali psy i handlowali ptakami. Sprzedawali rukiew, cebulę, szproty i śledzie. Byli przekupniami, zamiataczami ulic, sprzedawcami kawy, rozklejali afisze i nosili tablice ogłoszeniowe. Zabierali do środka swoje towary, co tylko wzmagало ciasnotę i odór. W nocy domy były zamykane, wybite okna zatykano szmatami lub gazetami, uszczelniano je tak, by nie wpuszczać trującego powietrza, pełnego dymu, które miasto nocą wypluwało do atmosfery. Nocne powietrze potrafiło dusić całe rodziny. Takie przynajmniej były plotki. A jedyną rzeczą, która obiegała dzielnicę nędzy szybciej niż choroby, była plotka. Więc jeśli chodzi o mieszkańców slumsów, słynna pielęgniarka Florence Nightingale mogła głosić swoje kazania do woli. I tak będą spać ze szczelnie zamkniętymi oknami.

„Trudno ich winić”, pomyślał Boot. Śmierć była zawsze blisko mieszkańców dzielnic nędzy. Szerzyły się w nich choroby i przemoc. Dzieci narażone były na zmiżdżenie przez śpiących rodziców. Przyczyna śmierci: uduszenie. Zdarzało się to częściej w weekendy, kiedy cały gin już wypito i szynki pustoszały. Ojciec i matka odnajdywali drogę do domu przez gęstą

jak zupa mgłą, wchodzili po wyślizganych kamiennych stopniach do ciepłego, śmierdzącego pokoju, w którym wreszcie mogli się położyć na spoczynek...

A rano, kiedy słońce już wstało, choć smog jeszcze się nie rozwiął, slumsy rozbrzmiewają krzykami nieszczęsnych rodziców.

Boot zapuścił się w głąb dzielnicy nędzy, tam gdzie wysokie budynki zasłaniały nawet wątłe światło księżyca, a latarnie żarzyły się złowrogo otulone mgłą i ciemnościami. Słyszał wrzaskliwe śpiewy dobiegające z szynków o kilka ulic dalej. Co jakiś czas śpiew stawał się głośniejszy, kiedy zapewne otwierano drzwi, by wyrzucić jakiegoś pijaka na zewnątrz.

Przy tej ulicy nie było jednak szynków. Tylko drzwi i okna pozatykane gazetami, pranie zwisające ze sznurów nad jego głową, prześcieradła jak żagle statku. Oprócz odległych śpiewów słychać było ciurkającą wodę i jego własny oddech. Był tylko on... sam.

Przynajmniej tak mu się zdawało.

A teraz ustały nawet pijackie śpiewy. Słyszał jedynie dźwięk kapiącej wody.

Tupot stóp sprawił, że aż podskoczył.

– Kto tam? – zapytał, ale domyślił się natychmiast, że to szczur. Ładne rzeczy, kiedy człowiek jest tak przestraszony, że podskakuje, słysząc szczura. Rzeczywiście ładne rzeczy.

Ale dźwięk się powtórzył. Obrócił się i gęste powietrze zatańczyło, zawirowało wokół niego, rozchyliło się niczym zasłony i przez chwilę wydawało mu się, że coś widzi. Cień. Postać we mgle.

Potem zdało mu się, że słyszy czyjś oddech. On sam oddychał szybko i płytko, niemal dyszał, ale ten dźwięk był głośny i miarowy i dochodził... skąd? W jednej sekundzie zdawało się, że jest przed nim, w następnej – że za nim. Znow usłyszał tupot. Przestraszył go jakiś trzask, ale ten dochodził z mieszkań nad jego głową. Jakaś para zaczęła się kłócić – on znow wrócił pijany do domu. Nie, to *ona* znow wróciła pijana do domu. Boot pozwolił

sobie na delikatny uśmiech, nieco się rozluźnił. Proszę bardzo, chce uciekać przed duchami, wystraszony przez kilka szczurów i parkę kłócących się starych lumpów. Jeszcze czego!

Ruszył dalej. W tej samej chwili mgła przed nim zgęstniała i wyłoniła się z niej postać w długim płaszczu, która chwyciła go, zanim zdążył zareagować, i zamachnęła się pięścią, jakby chcąc zadać cios, tyle że zamiast uderzyć, obróciła nadgarstek i z jej rękawa z cichym trzaskiem wyskoczyło ostrze.

Boot zacisnął powieki. Kiedy je rozchylił, zobaczył mężczyznę w płaszczu i ostrze, które znieruchomiało o cal od jego oka.

Boot posikał się ze strachu.

3

Ethan Frye pozwolił sobie na krótką chwilę satysfakcji z faktu, że tak perfekcyjnie operował swoim ostrzem, a potem podciął kolana mężczyzny i rzucił go na brudny bruk. Asasyn przygwoździł go kolanami i przytknął mu ostrze do gardła.

– A teraz, przyjacielu – wyszczerzył zęby – może zaczniesz od tego, że powiesz mi, jak się nazywasz?

– Boot, sir. – Mężczyzna wił się, czując ostrze wcinające się boleśnie w jego skórę.

– Dobry chłopiec... – powiedział Ethan. – Prawda to zawsze dobry wybór. A teraz sobie pogawędzimy, co ty na to?

Leżący pod nim człowiek zaczął się trząść. Ethan uznał to za potwierdzenie.

– Masz za zadanie odebrać szklaną płytkę z fotografią, mam rację, panie Boot?

Ten zadrzał. Ethan wziął to również za przytaknięcie. Jak dotąd wszystko się zgadzało. Jego informacje miały solidne podstawy; ten Boot był ogniwnem łańcucha, który prowadził do sprzedawców erotycznych fotografii w niektórych londyńskich szynkach.

– I jesteś umówiony w barze Jack Simmons, gdzie masz tę fotografię odebrać, mam rację?

Boot skinął głową.

– A jak brzmi nazwisko jegomościa, z którym się masz spotkać, panie Boot?

– Nie... Nie wiem, sir...

Ethan uśmiechnął się i nachylił jeszcze niżej nad Bootem.

– Mój drogi chłopcze, jesteś jeszcze gorszym łgarzem niż kurierem. –

Nacisk ostrza nieco się zwiększył. – Czujesz, gdzie teraz jest? – zapytał.

Boot mrugnął twierdząco.

– To tętnica. Twoja tętnica szyjna. Jeśli ją otworzę, pomalujesz miasto na czerwono, mój przyjacielu. No, przynajmniej tę ulicę. Ale żaden z nas nie chce, żebym to zrobił. Po co psuć taki uroczy wieczór? Więc zamiast tego może lepiej powiesz mi, z kim zamierzasz się spotkać.

Boot zamrugał.

– Zabije mnie, jeśli panu powiem.

– To możliwe, ale jeśli nie powiesz, to ja cię zabiję, a tylko jeden z nas jest tu z nożem przy twoim gardle i nie jest to on, nieprawdaż? – Ethan zwiększył nacisk. – Wybieraj, przyjacielu. Wolisz zginąć teraz czy później?

Właśnie wtedy Ethan usłyszał coś po swojej lewej stronie. Pół sekundy później, z ostrzem wciąż przy gardle Boota, trzymał w drugiej dłoni colta, celując nim w nowe zagrożenie.

Była to mała dziewczynka wracająca ze studni. Stała z szeroko otwartymi oczami, trzymając wiadro wypełnione po brzegi brudną wodą.

– Przepraszam, panienko, nie miałem zamiaru cię przestraszyć. – Ethan uśmiechnął się. Rewolwer wrócił pod połę jego płaszcza i wysunęła się spod niej jego pusta ręka, by upewnić dziewczynkę, że nie jest zagrożeniem. – Mam złe zamiary tylko wobec opryszków i złodziei, takich jak ten tutaj. Może lepiej wróć do domu. – Gestykulował do niej, ale dziewczynka nigdzie się nie wybierała, wpatrywała się w nich wytrzeszczonymi oczami, jedynymi jasnymi punktami na brudnej twarzy, skamieniała ze strachu.

Ethan zaklął w duchu. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebował, to publiczność. Szczególnie jeśli była nią mała dziewczynka patrząca, jak trzyma ostrze przy czyimś gardle.

– W porządku, panie Boot – powiedział ciszej niż poprzednio – sytuacja się zmienia, więc będę zmuszony *nalegać*, żebyś opowiedział mi dokładnie, z kim zamierzałeś się spotkać...

Boot otworzył usta. Może zamierzał podać Ethanowi informację, której ten

od niego żądał, a może chciał mu powiedzieć, gdzie może sobie wsadzić swoje groźby, albo co bardziej prawdopodobne, po prostu wyjęczeć, że niczego nie wie.

Ethan nigdy się tego nie dowiedział, bo gdy tylko Boot zaczął mówić, jego twarz rozpadła się na kawałki.

Stało się to ułamek sekundy, zanim Ethan usłyszał strzał, odturlał się od ciała i wyciągnął rewolwer, kiedy usłyszał kolejny trzask, i przypominając sobie o dziewczynce, obrócił głowę. Zdążył zobaczyć, jak pada na ziemię, a krew tryska z jej piersi i wiadro leci z rąk – umarła, zanim dotknęła bruku, zabita kulą przeznaczoną dla niego.

Ethan nie odważył się odpowiedzieć ogniem, chcąc uniknąć kolejnej niewinnej ofiary skrytej we mgle. Przykucnął, oczekując następnego strzału, trzeciego ataku z ciemności.

Atak nie nastąpił. Zamiast tego rozległ się tupot stóp, więc Ethan stał z twarzy odłamki kości i strzępki mózgu, schował colta do kabury i wsunął ukryte ostrze z powrotem do karwasza, a następnie skoczył na ścianę. Z trudem znajdując na mokrych ceglach oparcie dla butów, wdrapał się po rynnie na dach kamienicy, gdzie w świetle nocnego nieba mógł podążyć za odgłosem kroków uciekającego napastnika. Tak Ethan dostał się do dzielnicy i wyglądało na to, że w ten sam sposób miał ją opuścić, wykonując krótkie skoki z jednego dachu na drugi, cicho i bezlitośnie tropiąc swoją zwierzynę, wciąż mając przed oczami małą dziewczynkę, a w nozdrzach woń resztek mózgu Boota.

Teraz liczyło się tylko jedno. Zabójca zasmakuje jego ostrza, zanim ta noc się skończy.

Ethan słyszał w dole kroki strzelca stukające o bruk i śledził go bezszelestnie, nie widział go, ale wiedział, że go wyprzedził. Dotarł do krawędzi budynku i pewien, że ma wystarczającą przewagę, zsunął się na dół, używając parapetów, by szybciej schodzić, aż stanął na ulicy, gdzie przywarł do ściany w oczekiwaniu.

Kilka sekund później usłyszał stukot butów biegnącego człowieka. Chwilę potem mgła jakby się poruszyła i rozjaśniła, zdając się zapowiadać pojawienie oczekiwanej osoby, i sekundę później zasłona mgły się rozdarła i ukazała pędzącego co sił w nogach mężczyznę w surducie z bujnymi wąsami i gęstymi bokobrodami.

Trzymał rewolwer. Z lufy nie unosił się dym. Ale równie dobrze mogło tak być.

I chociaż Ethan miał potem powiedzieć George'owi Westhouse'owi, że uderzył w samoobronie, nie była to prawda. Po stronie Ethana był czynnik zaskoczenia; mógł – i powinien był – rozbroić i przesłuchać tego mężczyznę, zanim pozbawił go życia. Zamiast tego wysunął ostrze i z mściwym warknięciem wbił je prosto w serce zabójcy, po czym bez satysfakcji patrzył, jak światło gaśnie w jego oczach.

A czyniąc to, asasyn Ethan Frye popełniał błąd.

Był nierozważny.

*

– Chciałem przycisnąć Boota, by uzyskać informacje, które były mi potrzebne, by zająć jego miejsce – powiedział Ethan asasynowi George'owi Westhouse'owi następnego dnia, kończąc zdawać relację – ale nie zdawałem sobie sprawy, że Boot był spóźniony na spotkanie. Jego skradziony zegarek się śpieszył.

Siedzieli w saloniku domu George'a w podlondyńskim Croydon.

– Rozumiem – powiedział George. – W którym momencie zdałeś sobie z tego sprawę?

– Hmm, pomyślmy. To musiał być moment, w którym było już za późno.

George skinął głową.

– Jaką miał broń?

– Colta Pall Mall, takiego jak mój.

– I zabiłeś go?

Ogień w kominku trzaskał i wyrzucał iskry, mężczyźni milczeli. Odkąd

Ethan pogodził się z dziećmi, stał się refleksyjny.

– Zrobiłem to, George, i na nic innego nie zasłużyłem.

George skrzywił się.

– Zasługi nie mają tu nic do rzeczy. Wiesz o tym.

– Ale ta dziewczynka, George. Trzeba ją było zobaczyć. Była taka malutka.

Dwa razy młodsza od Evie.

– Mimo wszystko...

– Nie miałem wyboru. Trzymał w ręku broń.

George popatrzył na swojego starego przyjaciela z troską i sympatią.

– To jak było, Ethanie? Zabiłeś go, dlatego że na to zasłużył, czy dlatego że nie miałeś wyboru?

Ethan co najmniej tuzin razy umył twarz i wydmuchał nos, ale wciąż zdawało mu się, że ma na sobie mózg Boota.

– Czy te dwie rzeczy muszą się wzajemnie wykluczać? Mam trzydzieści siedem lat i widziałem aż nadto zabijania. I wiem, że pojęcia sprawiedliwości, słuszności i kary są znacznie mniej ważne od umiejętności, a umiejętności są podporządkowane szczęściu. Kiedy uśmiecha się do ciebie fortuna i kula zabójcy chybia celu, kiedy opuszcza on gardę, chwytasz szansę, zanim jej uśmiech zniknie.

Westhouse zastanawiał się, kogo przyjaciel chce oszukać, ale postanowił kontynuować.

– W takim razie szkoda, że musiałeś przelać jego krew. Przecież potrzebowałeś dowiedzieć się o nim czegoś więcej?

Ethan uśmiechnął się i udał, że ociera pot z czoła.

– Miałem trochę szczęścia. Na fotografii, którą miał przy sobie, było nazwisko autora, więc zdołałem ustalić, że zabity przeze mnie i fotograf to ten sam jegomość nazwiskiem Robert Waugh. Ma związki z templariuszami. Jego erotyczne fotografie wędrowały w jedną stronę, do nich, ale też w drugą, do piwiarni w dzielnicach nędzy.

George cicho zagwizdał.

- Pan Waugh grał w niebezpieczną grę...
 - I tak, i nie...
 - Cóż, wcześniej czy później, musiał źle skończyć.
 - Zdecydowanie.
 - I potrafiłeś ustalić to wszystko po jego śmierci?
 - Nie patrz tak na mnie, George. Jestem w pełni świadomy swojego szczęścia i tego, że każdego innego dnia fakt, że impulsywnie zabiłem Waugha, mógłby mieć fatalne konsekwencje. Tego dnia tak się nie stało.
- George pochylił się, żeby rozgarnąć palenisko.
- Wcześniej, kiedy powiedziałem, że Waugh grał w niebezpieczną grę, i odpowiedziałeś: „I tak, i nie”, co miałeś na myśli?
 - A to, że jego ryzykowne założenie, iż te dwa światy się nie spotkają, w pewien sposób się opłaciło. Zobaczyłem dziś slumsy nowymi oczami, George. Przypomniałem sobie, jak mieszkają biedacy. Ten świat jest tak bardzo odrębny od świata templariuszy, że trudno uwierzyć, że oba leżą w jednym królestwie, ba, w jednym mieście. Gdyby ktoś mnie pytał, przekonanie pana Waugha, że ścieżki jego pokrętnych interesów nigdy się nie przetną, było całkowicie uzasadnione. Dwa światy, w których działał, leżą na różnych biegunach. Templariusze nie wiedzą nic o dzielnicach nędzy. Mieszkają w górę rzeki od fabrycznych brudów, które zanieczyszczają biedakom wodę, a wiatr odpędza smog i dym, którym oddychają nędzarze.
 - Tak jak i my, Ethanie – powiedział George ze smutkiem. – Czy nam się to podoba, czy nie, nasz świat jest światem salonów i klubów dla gentlemanów, adwokackich kancelarii i sal posiedzeń.
- Ethan patrzył w ogień.
- Nie wszystkich z nas.
- Westhouse uśmiechnął się i pokiwał głową.
- Myślisz o swoim człowieku, o Duchu? Jak mniemam, nie nosisz się z zamiarem, by powiedzieć mi, kim ten Duch jest i co robi?
 - To musi pozostać moją tajemnicą.

– Więc co z nim?

– No cóż, stworzyłem plan dla zmarłego niedawno pana Waugha i Ducha. Jeśli wszystko pójdzie dobrze i Duchowi uda się wykonać zadanie, być może zdobędziemy artefakt, którego szukają templariusze.

4

John Fowler był zmęczony. I zziębnięty. I sądząc z widoku zbierających się chmur, niedługo będzie też mokry.

I rzeczywiście, inżynier poczuł pierwsze krople deszczu bębniące o jego kapelusz i przycisnął do piersi skórzaną tubę z rysunkami, przeklinając jednocześnie pogodę, hałas, wszystko. Obok niego stał radny Londynu Charles Pearson oraz jego żona Mary – oboje wzdrygnęli się, kiedy zaczęło padać. Cała trójka tkwiła w rdzawobrazowym błocie, wpatrując się z mieszaniną żalu i podziwu w tę wielką szramę na obliczu ziemi, która miała się stać nową linią metra.

Jakieś pięćdziesiąt jardów od punktu, w którym stali, ziemia ustępowała miejsca głębokiemu szybowi, który rozszerzał się, tworząc tak zwany okop o szerokości dwudziestu ośmiu stóp i długości jakichś dwustu dwudziestu jardów, po czym przestawał być rowem czy okopem, a stawał się tunelem. Jego murowane łukowe sklepienie stanowiło bramę do pierwszego na świecie odcinka kolejki podziemnej.

Co więcej, był to pierwszy *działający* odcinek kolejki podziemnej: lokomotywy dzień i noc jeździły po świeżo ułożonych torach, ciągnąc wagony załadowane żwirem, gliną i piaskiem z położonych głębiej odcinków. Sapały, sunąc tam i z powrotem, nieomal dusząc dymem i parą wodną brygady robotników pracujących przy wylocie tunelu i ładujących łopatami ziemię do skórzanych wiader na wyciągu, który z kolei wynosił ją na poziom gruntu. To przedsięwzięcie było dzieckiem Charlesa Pearsona. Przez niemal dwie dekady londyński radny walczył o budowę linii kolejowej, która pomogłaby zlikwidować zatory na ulicach miasta i jego przedmieściach. Autorem konstrukcji był natomiast John Fowler. Tego posiadacza niezwykle bujnych bokobrodów znano bliżej jako najbardziej

doświadczonego inżyniera kolejowego na świecie, co czyniło go oczywistym kandydatem na stanowisko głównego inżyniera Kolei Metropolitalnej. A jednak, jak powiedział Charlesowi Pearsonowi z okazji objęcia posady, jego doświadczenie można było uznać za zerowe. W końcu było to coś, czego nikt wcześniej nie robił: linia kolejowa położona pod ziemią. Ogromne, wręcz gargantuiczne przedsięwzięcie. W istocie, byli tacy, którzy mówili, że jest to najambitniejszy projekt budowlany od czasów wzniesienia piramid. Z pewnością było to twierdzenie bombastyczne, ale bywały dni, kiedy Fowler się z nimi zgadzał.

Fowler zdecydował, że większa część linii położona na małej głębokości może zostać zbudowana metodą odkrywkową. Drążono w ziemi wykop o szerokości dwudziestu ośmiu stóp i głębokości piętnastu. Obudowywano go grubym na trzy cegły murem ochronnym. Na niektórych odcinkach między szczytami bocznych ścian montowano żelazne dźwigary. Gdzie indziej tunel miał ceglane sklepienie. Następnie wykop przysypywano ziemią i stawiano budynki na powierzchni – w ten sposób powstawał tunel.

Oznaczało to zburzenie istniejących domów, dróg i w niektórych przypadkach konieczność budowy tymczasowych jezdni. Wymagało przemieszczenia tysięcy ton ziemi, omijania kanałów i rur wodociągowych oraz gazowych. Oznaczało to rozpętanie niekończącego się koszmaru hałasu i destrukcji, tak jakby w dolinie londyńskiej rzeki Fleet wybuchła bomba. Albo inaczej – jakby w dolinie rzeki Fleet bomba wybuchała codziennie przez ostatnie dwa lata.

Praca trwała całą dobę. Nocami zapalano pochodnie i koksowniki. Dwie główne zmiany dla robotników kolejowych sygnalizowały trzy uderzenia w dzwon w południe i o północy. Były też krótsze zmiany służbowe, podczas których robotnicy zajmowali się innymi czynnościami, zamieniając jedną monotonną i miażdżącą kręgosłup robotę na drugą, ale pracowali, ciągle pracowali.

Największy hałas pochodził od siedmiu wykorzystywanych przy budowie

przenośników, z których jeden stał nieopodal: wysokie drewniane rusztowanie wbudowane w szyb, wznoszące się na dwadzieścia pięć stóp ponad ich głowami, źródło pyłu i metalicznych dźwięków przypominających uderzenia młota w kowadło. Wydobywał urobek z dalszej części wykopu i pracowali teraz przy nim ludzie, całe brygady. Niektórzy stali w szybie, inni na powierzchni ziemi, jeszcze inni zwisali z rusztowania jak lemury, mając za zadanie utrzymać ruch przenośnika wyciągającego z wykopu olbrzymie rozkołysane kubły z gliną.

Na powierzchni ludzie z łopatami mozolili się przy górze wybranej ziemi, przerzucając ją do wozów zaprzężonych w konie. Były ich tam cztery i nad każdym wisiała chmara mew, wirujących i nurkujących po jedzenie i nieprzejmujących się coraz bardziej rześistym deszczem.

Fowler obrócił głowę, by popatrzeć na Charlesa, który wydawał się chory – trzymał przy ustach chustkę – ale poza tym zachowywał dobry humor. Charles Pearson miał w sobie coś niezłomnego, zadumał się Fowler. Nie był pewien, czy była to determinacja, czy szaleństwo. Był człowiekiem, z którego śmiano się przez ostatnie dwie dekady, w istocie odkąd po raz pierwszy zaproponował budowę podziemnej linii kolejowej. „Kolej w kanale” – tak wtedy kpiono z tej idei. Śmiali się, kiedy pokazał swoje plany kolei atmosferycznej, w których wagony byłyby pchane przez powietrze sprężone w tubie. *Przez tubę*. Trudno było się dziwić, że przez ponad dekadę Pearson był stałym bohaterem satyrycznego magazynu „Punch”. Ileż było z niego śmiechu.

Potem, gdy wszyscy wciąż pękali ze śmiechu, pojawił się nowy projekt pomysłu Pearsona – plan budowy podziemnej kolejki pomiędzy Paddington a Farringdon. Dzielnice nędzy w dolinie Fleet miały zostać oczyszczone, ich mieszkańcy przeniesieni do domów poza Londynem – na przedmieścia – a ludzie mieliby używać tej nowej kolejki, by „dojeżdżać” do pracy.

Nadszedł niespodziewany zastrzyk funduszy z Great Western Railway, Great Northern Railway, City of London Corporation i projekt przybrał

realne kształty. Sam John Fowler został zatrudniony jako główny inżynier Kolei Metropolitalnej i rozpoczęły się prace nad pierwszym wykopem w Euston – od tamtego dnia minęły prawie dwa lata.

Czy ludzie wciąż się śmiali?

Jeszcze jak. Tyle że teraz był to śmiech nerwowy, pozbawiony radości. Powiedzieć, że likwidacja slumsów poszła źle, było określeniem łagodnym. Nie było żadnych domów na przedmieściach i jak się okazało, nie było chętnych, by je wybudować. A nie istnieje coś takiego jak słabo zaludniona dzielnica nędzy. Wszyscy ci ludzie musieli się gdzieś podziać, więc odeszli do innych slumsów.

Doszedł oczywiście do tego zamęt spowodowany samymi robotami: nieprzejezdne ulice, rozkopane drogi, zamykane przedsiębiorstwa i domagający się odszkodowań właściciele. Mieszkający wzdłuż trasy ludzie egzystowali w ciągłym chaosie, błocie, huku silników, pośród dzwonienia żelaznego przenośnika, uderzeń kilofów i łopat, wrzasków robotników i w nieustannym strachu, że zapadną się ich domy.

Nie było chwili wytchnienia; w nocy zapalano ognie i wchodziła nocna zmiana, tak aby pracownicy zmiany dziennej mogli robić to, co zwykle robią mężczyźni po pracy: pić i awanturować się aż do rana. Zdawało się, że Londyn przeżył inwazję robotników najemnych; zawłaszczali każde miejsce, w którym się pojawiali – tylko prostytutki i karczmarze byli im radzi.

Były też wypadki. Najpierw pijany maszynista zjechał z torów na King's Cross i runął w dół na plac budowy. Nikt nie ucierpiał. „Punch” miał używanie. Potem, niecały rok później, zawaliły się wykopy przy Euston Road, pociągając za sobą ogrody, chodniki i druty telegraficzne, niszcząc rury z gazem i wodą, wybijając dziurę w mieście. Co niezwykle, nikt nie ucierpiał. Pan Punch ucieszył się i z tego zdarzenia.

– Miałem nadzieję usłyszeć dziś dobre nowiny, John – krzyknął Pearson, podnosząc do ust chusteczkę. Była kunsztowna niczym koronkowa serweta. Pearson miał sześćdziesiąt osiem lat, podczas gdy Fowler był

czterdziestoczterolatkiem, ale wyglądał na dwa razy więcej; postarzyły go trudy ostatnich dwóch dekad. Mimo że często się uśmiechał, wokół jego oczu widać było ciągłe zmęczenie, a skóra jego obwisłych policzków była jak stopiony wosk na świecy.

– Cóż mogę powiedzieć, panie Pearson? – krzyknął Fowler. – Co innego chciałby pan usłyszeć niż tylko...? – Wskazał plac budowy.

Pearson roześmiał się.

– Ryk maszyn brzmi krzepiąco, to prawda. Ale może powiesz mi też, że znów trzymamy się harmonogramu. Albo że wszystkich prawników od odszkodowań w Londynie trafił piorun. Że Jej Wysokość Królowa we własnej osobie ogłosiła, że wierzy w kolej podziemną i zamierza przy pierwszej okazji z niej skorzystać.

Fowler przyjrzał się przyjacielowi, po raz kolejny zdumiewając się siłą jego ducha.

– W takim razie, panie Pearson, obawiam się, że mam same złe wieści. Wciąż mamy opóźnienie. A taka pogoda jak dziś jeszcze bardziej spowalnia prace. Deszcz prawdopodobnie zaleje silnik i ludzie pracujący przy wyciągarce będą mieli nadprogramową przerwę.

– A więc są i dobre nowiny – zachichotał Pearson.

– Jakie mianowicie? – krzyknął Fowler.

– Będziemy mieli... ciszę.

Silnik zacharczał i zgasł.

I przez chwilę rzeczywiście panowała nadzwyczajna cisza, gdy świat przyzwyczajał się do braku hałasu. Słyszeć było tylko pluskający na błocie deszcz.

Potem z wykopu zabrzmiał okrzyk: „obsuwa”, i patrząc w górę, zobaczyli, jak rusztowaniem dźwigu lekko szarpnęło i jeden z ludzi prawie z niego spadł.

– Wytrzyma – powiedział Fowler, widząc niepokój Pearsona. – Wygląda to gorzej, niż jest naprawdę.

Człowiek przesądny zacisnąłby teraz kciuki. Robotnicy nie ryzykowali i brygady zaczęły się wspinać na poziom gruntu, rojąc się na drewnianych podporach jak piraci na rejach.

Zdawało się, że były ich setki, i Fowler wstrzymał oddech, mając nadzieję, że konstrukcja utrzyma niespodziewany dodatkowy ciężar. Powinna. Musi. Utrzymała. A mężczyźni wyszli na górę, krzycząc i kaszląc, dzierżąc łopaty i kilofy, równie dla nich cenne, co własne kończyny. Zebrali się w gromadkach, wedle podziałów regionalnych, każdy z nich oblepiony błotem.

Fowler i Pearson patrzyli, jak tworzą grupy – londyńczycy, Irlandczycy, Szkoci, przybysze ze wsi, inni – z rękami w kieszeniach lub owiniętymi wokół tułowia, by się ogrzać, ze stulonymi ramionami i w naciśniętych na głowę czapkach dla ochrony przed deszczem.

Właśnie wtedy zabrzmiał okrzyk. Fowler odwrócił się i zobaczył przy wykopie jakieś zamieszanie. Robotnicy jak jeden mąż podeszli bliżej i otoczyli krawędź wykopu, przyglądając się czemuś w dole.

– *Sir!* – Marchant, kierownik budowy, machał do niego, pokazując, by podszedł. Złożył dłonie w trąbkę i zawołał: – Sir, musi pan przyjść i to zobaczyć.

W ciągu kilku chwil Fowler i Pearson przedarli się przez błoto, minęli mężczyzn, którzy rozstąpili się, żeby ich przepuścić, i stanęli na krańcu wykopu, patrząc w dół, obok rusztowania i umilkłego przenośnika, na jeziorko błotnistej wody, które powstało na dnie i wciąż wzbierało.

Na powierzchni wody unosiło się ciało.

Dzięki Bogu, deszcz zelżał i poziom wody w wykopie opadł, ale maszyny wciąż milczały. Marchant, przytrzymując ręką czapkę, popędził, by zawiadomić swojego bezpośredniego szefa, Cavanagha, dyrektora Kolei Metropolitalnej, podczas gdy innego człowieka wysłano po policjanta. Pierwszy przybył stójkowy, młody mężczyzna z krzaczastymi bokobrodami, który przedstawił się jako posterunkowy Abberline, następnie przeczyścił gardło i zdjął swój tradycyjny policyjny hełm, żeby zająć się oględzinami zwłok.

– Czy ktokolwiek do nich zszedł, sir? – zapytał Pearsona, wskazując na wykop.

– Miejsce zostało oczyszczone zaraz po tym, jak odkryto ciało, panie posterunkowy. Jak pan się pewnie domyśla, spowodowało to niemałe poruszenie.

– Nikt nie lubi oglądać martwego ciała przed drugim śniadaniem, sir.

Zebrani patrzyli, jak policjant wychyla się niepewnie, by spojrzeć na dno wykopu, a następnie daje znak stojącemu obok mężczyźnie.

– Mógłbyś, kolego? – powiedział i wręczył robotnikowi swój hełm, potem rozpiął i zdjął pas, odpiął pałkę i kajdanki, a następnie zszedł po drabinie, żeby obejrzeć trupa z bliska.

Ludzie tłoczyli się, żeby zajrzeć do dołu i obserwować, jak obchodzi ciało dookoła, podnosząc jedno ramię, a potem drugie. Po chwili stójkowy kucnął i gapie wstrzymali oddech w oczekiwaniu, podczas gdy ten odwracał ciało.

Na dnie wykopu Abberline przełknął ślinę, nieprzyzwyczajony do bycia na widoku i żałując, że nie poinstruował ludzi, by się odsunęli. Ci stali wzdłuż obu brzegów wykopu. Było tam widać nawet figury Fowlera i państwa Pearson. Wszyscy wpatrywali się w stojącego piętnaście stóp niżej policjanta.

W porządku. Przeniósł uwagę z powrotem na zwłoki, odsuwając od siebie całe zażenowanie sytuacją, tak by skupić się na tym, co miał w tym momencie do zrobienia.

A więc ciało. Martwy mężczyzna leżący twarzą w błocie, z jedną ręką uniesioną, jakby chciał zatrzymać dorożkę, miał na sobie tweedowy garnitur. Brązowe buty były porządne i w dobrym stanie, choć pokrywało je błoto. „Nie jest to ubranie włóczęgi”, pomyślał Abberline. Nie zważając na przesiąkające mu przez ubranie błoto, wziął głęboki oddech, chwycił mężczyznę za ramiona i stękając z wysiłku, przewrócił go na plecy.

Z góry dobiegła go reakcja widzów, ale Abberline oczy miał zamknięte, chcąc odwlec chwilę, w której zobaczy twarz mężczyzny. Otworzył je w końcu i spojrzał w martwe oczy trupa. Zbliżał się do czterdziestki i miał bujne szpakowate, wyglądające na zadbane wąsy w stylu księcia Alberta oraz gęste bokobrody. Nie sprawiał wrażenia bogacza, ale nie był też robotnikiem. Podobnie jak Abberline, należał do nowej klasy średniej.

Tak czy inaczej, był to człowiek, który miał jakieś życie, i jego najbliżsi, kiedy tylko dotrze do nich ta straszna wiadomość, będą chcieli wyjaśnień, jak to się stało, że skończył w wykopie przy New Road.

Niewątpliwie – i na myśl o tym Abberline nie mógł sobie odmówić drobnego, nieco wstydliwego dreszczyku emocji – było tu potrzebne śledztwo.

Oderwał wzrok od niewidzących otwartych oczu mężczyzny i spojrzał niżej na jego surdut i koszulę. Mimo błota dobrze widoczna była plama krwi z regularnym otworem pośrodku. Jeśli Abberline się nie mylił, była to rana kłuta.

Oczywiście Abberline widział już wcześniej ofiary takich pchnięć i wiedział, że ludzie uzbrojeni w nóż zazwyczaj dźgali i cięli tak samo, jak bili. Szybkimi chaotycznymi ruchami: chlast, chlast, chlast.

Ale tutaj była pojedyncza rana prosto w serce. Można to było nazwać czystą robotą.

Teraz Abberline już jawnie drżał z emocji. Później będzie się z tego powodu czuł winny, pamiętając, że mimo wszystko chodziło o martwego człowieka i w rzeczywistości nie powinno się w tej sytuacji czuć niczego poza żalem dla niego i jego rodziny, a już na pewno nie ekscytacji. Ale mimo to...

Zaczął pobieżnie przeszukiwać ciało i natychmiast coś znalazł: rewolwer. „Chryste”, pomyślał, „facet miał broń palną i przegrał walkę z nożownikiem”. Wsadził broń z powrotem do kieszeni surduta.

– Musimy wyciągnąć stąd zwłoki – zawołał w kierunku brygadzystów. – Panowie, pomożecie mi wsadzić go na wóz i przykryć. Odwiozę ciało do policyjnej kostnicy.

Po tych słowach zaczął wspinać się po drabinie, podczas gdy na górze wydano polecenie i grupa mężczyzn zaczęła schodzić do wykopu, demonstrując różny stopień gorliwości i zaangażowania. Na górze stał Abberline, wycierając ubłocone ręce o siedzenie spodni. Jednocześnie patrzył na zebranych ludzi, zastanawiając się, czy nie ma tu gdzieś zabójcy podziwiającego dzieło swoich rąk. Widział tylko rzędy brudnych twarzy, wszystkie bacznie mu się przyglądały. Inni wciąż tłoczyli się u wylotu wykopu, patrząc na wynoszone i kładzione na platformie wozu ciało. Łopotał brezent, który rozwijano, by zasłonić nieboszczyka, jak całunem skryć jego twarz.

Padało już nie na żarty, ale uwagę Abberline’a przyciągnął elegancko ubrany człowiek idący w ich kierunku po deskach przerzuconych przez błoto. Za nim, niosąc dużą oprawioną w skórę księgę z podrygującymi tasiemkami, biegł w podskokach lokaj, starając się bezskutecznie nadążyć za swoim panem.

– Panie Fowler! Panie Pearson! – zawołał mężczyzna, gestykulując laską i natychmiast przyciągając ich uwagę. Cały plac budowy ucichł, ale w inny sposób. Słyszać było szuranie nogami. Robotnicy nagle zaczęli w skupieniu przyglądać się swoim butom.

„Ach tak?”, pomyślał Abberline. „Co my tu mamy?”

Podobnie jak Fowler i Pearson, nowo przybyły nosił elegancki garnitur, choć z większym wyczuciem stylu, sugerującym, że lubił zwracać na siebie uwagę mijających go dam. Nie miał wydatnego brzuszka, a jego ramion nie przygarbiały troski jak u Fowlera i Pearsona. Abberline zauważył, że kiedy uchylił kapelusza, odsłonił włosy sięgające niemal ramion. Ale chociaż powitał go ciepło, jego uśmiech, mechaniczny, spływający mu z twarzy równie szybko, jak się na niej pojawił, nigdy nie znalazł odbicia w jego oczach. Owe damy, na których wrażenie robił jego wystylizowany ubiór i powierzchowność, mogły zmienić zdanie pod wpływem tego zimnego i przenikliwego wzroku.

Gdy mężczyzna i jego lokaj zbliżyli się, Abberline spojrział na Pearsona i Fowlera. Byli zakłopotani; w głosie Charlesa Pearsona, który go przedstawił, było to wyraźnie słychać.

– To nasz współpracownik, pan Cavanagh, dyrektor Metropolitan Company. Nadzoruje codzienne roboty.

Abberline potarł brew, myśląc w duchu: „W takim razie co masz do powiedzenia?”.

– Słyszałem, że znaleziono jakieś ciało – rzucił Cavanagh. Miał dużą bliznę po prawej stronie twarzy, jak gdyby ktoś podkreślił mu kiedyś oko nożem.

– To prawda, sir – westchnął Pearson.

– Spójrzmy na nie zatem – zażądał Cavanagh i po chwili Abberline odsłonił brezent, ale dyrektor tylko potrząsnął głową, nie rozpoznając nieboszczyka. – Dzięki Bogu, nie jest to nikt znajomy i nie wygląda na nikogo z naszych pracowników. Jakiś moczymorda. Z pewnością pijak jak ten biedak, który śpiewa nam serenady. – Odwrócił się plecami do wozu. – Marchant! Każ tym ludziom wrócić do pracy. Straciliśmy już dosyć czasu.

– Nie – odezwał się samotny głos, głos pani Pearson. Wysunęła się przed swojego męża. – Zginął tu człowiek i na znak szacunku powinniśmy wstrzymać wykopy dzisiejszego ranka.

Cavanagh włączył swój wyćwiczony uśmiech. Natychmiast zdjął kapelusz z głowy przymilnym gestem i nisko się uklonił.

– Proszę mi wybaczyć, pani Pearson, cóż za niedbalstwo z mojej strony, zapomniałem, że są z nami osoby o delikatniejszej wrażliwości. Jednakże, co potwierdzi pani mąż, często zdarzają się u nas takie nieszczęśliwe wypadki i obawiam się, że sama obecność trupa nie wystarczy, by zatrzymać dalsze prace nad tunelem.

Pani Pearson odwróciła się.

– Charles?

Jej mąż w odpowiedzi spuścił wzrok. Jego dłonie w rękawiczkach poruszyły się niespokojnie na gałce laski.

– Pan Cavanagh ma rację, moja droga. Ciało tego biedaka zostało usunięte i roboty muszą być kontynuowane.

Pani Pearson spojrzała badawczo na męża, który odwrócił wzrok, a następnie uniosła spódnicę i odeszła.

Abberline patrzył, jak kobieta się oddala, jak Cavanagh z wyrazem triumfu wydaje polecenia Marchantowi i robotnikom i z jakim smutkiem na twarzy rozdarty Charles Pearson odwrócił się i odszedł w ślad za żoną.

Tymczasem Abberline musiał zabrać ciało do Belle Isle. Na tę myśl stracił cały zapach. Na całym bożym świecie trudno było znaleźć gorsze miejsce od dzielnicy biedoty Belle Isle.

Wśród mężczyzn, którzy dokładnie w tej samej chwili byli popędzani, proszeni, przymuszani i zastraszani przez zarządcę budowy, by wrócili do pracy, był młody hinduski robotnik, który wprawdzie na karcie pracy figurował jako Bharat i gdyby którykolwiek z pracujących obok mężczyzn był dość ciekawy, by zapytać go o imię, tak właśnie by się przedstawił, w myślach nazywał siebie inaczej.

W myślach nazywał siebie Duchem.

Powierzchność Ducha niczym się nie wyróżniała. Ubierał się podobnie jak inni robotnicy: koszula, chustka na szyję, kolejarska czapka, kamizelka

i kurtka robocza – ale nie nosił butów, chodził boso – i był kompetentnym, sumiennym pracownikiem, ani lepszym, ani gorszym od innych, miłym w obyciu, gdy się go zagadało, ale niezbyt gadatliwym i zdecydowanie nie należał do ludzi inicjujących rozmowę, choć z drugiej strony nie był też szczególnie wycofany.

Ale Duch zawsze patrzył. Zawsze patrzył. Zauważył ciało i szczęśliwym zrządzeniem losu był na tyle blisko, żeby popatrzeć, zanim wydano polecenie opuszczenia wykopu. Widział też przy wykopie pijaka i w całym zamieszaniu zdołał wyłowić jego wzrok i jakby reagując na swędzenie, potarł sobie pierś, drobnym nieznaczącym gestem, praktycznie niewidocznym dla nikogo innego.

A potem patrzył na przybycie Abberline'a. Patrzył, jak na plac budowy przybywa zaaferowany Cavanagh, i przyglądał się naprawdę uważnie, jak brezent zostaje odsłonięty i Cavanagh spogląda na twarz nieboszczyka, i nie daje po sobie poznać, że go rozpoznał.

Och tak, był w tym dobry. Duch musiał mu to przyznać. W umiejętności skrywania emocji dorównywał niemal jemu samemu, ale oczy rozbłysły mu na moment, kiedy spojrział na tę twarz. On go znał.

Teraz Duch patrzył, jak Abberline odjeżdża na wozie, z pewnością zabierając ciało do Belle Isle.

I patrzył, jak krótko po odjeździe Abberline'a odszedł też pijak.

6

Książę Albert nie żył już od roku i chociaż styl zarostu, w jakim gustował, był wciąż modny, przestrzeganie zasad przyzwoitości i dobrych manier, z którego był znany, wyraźnie nie zdołało się przebić do szerokiej publiczności. Zdawało się, że jest wręcz przeciwnie; Londyn spowił jakby całun, ciemny i nienawistny. Niektórzy przypisywali to nieobecności królowej, która wciąż opłakiwała Alberta i w tym celu przeniosła się w szkockie góry. Inni twierdzili, że winić należy przeludnienie – straszliwy odór, nędzę i przestępczość; wśród nich byli szaleńcy, którzy uważali, że najlepszym sposobem na rozwiązanie tego problemu jest stworzenie podziemnej kolei. Jeszcze inni mówili, że to nie wina przeludnienia, ale właśnie budowa kolejki podziemnej pogrążyła miasto w chaosie.

Ci ostatni celnie zauważali, że jak na razie budowa spotęgowała problem przeludnienia przez wysiedlenie tysięcy lokatorów z ich domów w dolinie rzeki Fleet, największej dzielnicy nędzy w całym mieście. I było to prawdą, tak właśnie się stało.

Och, ale przynajmniej pozbyliśmy się największego slumsu w mieście, mówili pierwsi.

Niezupełnie, sarkali drudzy. Po prostu na pierwsze miejsce wysunęła się inna dzielnica.

Cierpliwości, prosili pierwsi.

Nie, mówili drudzy, nie będziemy cierpliwi.

Siedząc na koźle wozu, trzymając luźno lejce w jednej ręce, Abberline zastanawiał się nad tym, jak ci na górze podejmowali w swoich klubach i salach posiedzeń decyzje, które dotyczyły wszystkich. I w jakim celu? Dla wyższego dobra? Czy ich własnych korzyści? Do głowy przyszedł mu ustęp z wiersza Tennysona o szarzy Lekkiej Brygady „Nie wolno racji dochodzić,

ni stawiać pytań zbędnych tylko słuchać i ginać...”*.

Jego wóz przejechał ze stukotem przez tory, podążając w stronę Belle Isle, której wysokie zwieńczone iglicami budynki wyglądały jak smuga brudu na horyzoncie. Czuł już ohydny smród końskich rzeźni, gotowanych kości, topionego tłuszczu, zakładów chemicznych produkujących sztuczne ognie i fabryk zapalek.

Po jego lewej stronie jakiś biedny, naiwny idiota podjął śmiałą próbę uprawy warzywnego ogródka, zarośniętego jednak rachitycznymi chwastami, które przedostały się przez żelazne ogrodzenie, wyrastając po obu jego stronach. Brudne, niemal nagie dzieci biegały wśród śmieci po obu stronach wozu, obrzucając się nawzajem starymi blaszanymi puszkami. Ich plac zabaw stanowiła ulica przed nędznymi chałupami. W każdym budynku były mieszkania, różne warsztaty i pralnie, a nocami właściciele wraz ze swoimi lokatorami tłoczyli się, podobnie jak w Old Nichol.

Jego wóz minął końskie rzeźnie. Przez bramę wchodziły żywe konie, a węch i instynkt z pewnością ostrzegały przed tym, co je czeka – w zakładzie były uśmiercane, po czym w miedzianych kadziach gotowano ich mięso na karmę dla psów i kotów.

Na zewnątrz, na podwórzu, obnażeni do pasa mężczyźni łamali kości za pomocą dwuręcznych młotów, obserwowani przez wszechobecne grupki dzieci w brudnych łachmanach zabarwionych na żółto przez unoszącą się w powietrzu siarkę.

Abberline zobaczył grupkę, która najwyraźniej znudziła się patrzeniem – w końcu nie była to czynność przesadnie ciekawa – i zamiast tego urządziła sobie partię krykieta. Nie mając należytego sprzętu, improwizowali, używając zamiast kija fragmentu starego łóżka, piłką zaś była... Abberline skrzywił się. Boże. Używali do tego odciętej głowy kota.

Miał już krzyknąć do nich, żeby, na miłość boską, zastąpili piłkę czymś innym, kiedy zauważył dziecko, które zawędrowało przed jego wóz, zmuszając go, by się zatrzymał.

– Ej! – zawołał, machając ze wzburzeniem ręką na łobuziaka. – Policja. Złaż z drogi, do diabła.

Ale obdarty urwis ani myślał się ruszyć.

– Gdzie pan jedzie, sir? – zapytał, ujmując w obie dłonie głowę konia i głaszcząc ją. Na ten widok Abberline trochę złagodniał i zapomniał o swojej irytacji, patrząc, jak chłopiec pociera zwierzęciu uszy, ciesząc się z rzadkiej chwili bliskości między chłopcem i koniem.

– Gdzie pan jedzie, sir? – powtórzył chłopiec, odrywając oczy od konia i przenosząc swoje łobuzerskie spojrzenie na Abberline'a. – Mam nadzieję, że nie zabiera go pan do rzeźnika. Niech pan powie, że to nieprawda.

Kątem oka Abberline wyczuł ruch i odwrócił się, by zobaczyć trzech innych uliczników, którzy precyzyjnie się pod ogrodzeniem i wyszli na drogę za nim. „Niech sobie będą”, pomyślał. „Nie ma tu nic wartościowego”. Chyba żeby policzyć ubłoconego trupa i brezent.

– Nie martw się, synu, jadę do kostnicy, mam tam z tyłu zwłoki.

– Zwłoki, naprawdę? – Tym razem głos dobiegł z za jego pleców. Należał do jednego z łobuzów.

Tymczasem dołączyło kilkoro dzieci. Dookoła kłębił się już mały tłumek.

– Ej, wy tam, odsuńcie się – ostrzegł Abberline. – Nie ma tam nic ciekawego.

– Możemy zajrzeć, sir?

– Nie, do diabła, nie możecie – zawołał przez ramię. – A teraz odsuńcie się, zanim przetrzepię wam skórę pałką.

Pierwszy chłopak wciąż stał, głaszcząc konia, i uniósł głowę, żeby znów odezwać się do Abberline'a.

– Sir, dlaczego interesuje się tym policja? Czy ten ktoś źle skończył?

– Można tak powiedzieć – odparł zniecierpliwiony Abberline. – Odejdź na bok, synu, i daj mi przejechać.

Wóz zachwiał się i podskoczył i policjant miał już zamiar odwrócić się, aby udzielić reprimendy dzieciakom, które – biedne małe stworki – wyraźnie

próbowały zajrzeć pod brezent, gdy wóz podskoczył po raz kolejny, i tym razem poirytowany Abberline, chcąc jak najszybciej wynieść się z tej piekielnej Belle Isle, zdecydowanym ruchem potrząsnął lejcami.

– Wio – rozkazał. Jeśli chłopiec chciał stać mu na drodze, to cóż, jego sprawa.

Ruszył naprzód i dziecko zostało zmuszone zrobić krok w bok. Mijając je, Abberline spojrział w dół i zobaczył małego urwisa uśmiechającego się do niego zagadkowo.

– Powodzenia ze zwłokami, sir – powiedział, dotykając kłykiem grzywki w kpiarskim geście, który nie wzruszył jednak Abberline'a. W odpowiedzi burknął coś tylko i znów szarpnął lejce, kierując wzrok przed siebie. Minął pozostałe domy i podjechał do bramy kostnicy, gdzie kaszlnął głośno, by obudzić przysypiającego na drewnianym krześle pracownika, który uchylił kapelusza i wpuścił go na podwórze.

– Co my tu mamy? – powiedział pracownik kostnicy, wyłoniwszy się z bocznych drzwi.

Abberline zlął z wozu. Zaspany stróż zamknął bramę wjazdową. Za nim została dzielnica nędzy Belle Isle niczym smolisty odcisk dłoni na oknie.

– Zwłoki, które trzeba potrzymać w chłodzie do przybycia koronera – odpowiedział Abberline, uwiązując lejce.

Tymczasem pracownik podszedł do tyłu wozu, uniósł brezent, zajrzał pod spód, po czym znów go opuścił.

– Potrzebujesz rzeźni – powiedział z prostotą.

– Że co proszę? – zapytał Abberline.

Pracownik westchnął i wytarł ręce w fartuch.

– Cholera, jeśli to nie jest jakiś twój żart, to mówię, że potrzebna ci rzeźnia.

Abberline zbladł, myśląc o spotkaniu z dziećmi w dzielnicy biedoty i o tym, jak trzął się jego wóz; wspominając, jak być może sprytnie odwrócił jego uwagę chłopiec gładzący szyję konia.

I rzeczywiście, kiedy podbiegł do tyłu wozu i odsłonił brezent, zobaczył, że

ciało z wykopu zniknęło, a na jego miejscu leżał martwy kucyk.

* Przełożyła Anna Bańkowska (przyp. tłum.).

Każdego wieczora Duch szedł do domu tą samą drogą prowadzącą przez New Road i obok kościoła Marylebone. Na przykościelnym cmentarzu, wśród zaniedbanych, rozsypujących się kamieni nagrobnych, był jeden taki, na który zawsze patrzył, kiedy przechodził obok.

Jeśli nagrobek stał prosto, jak niemal każdego wieczora, oznaczało to brak wiadomości. Jeśli był przechylony w prawo, oznaczało to niebezpieczeństwo. Tylko tyle: niebezpieczeństwo. Duch sam musiał się zorientować, jakiego było rodzaju.

Jednak kiedy nagrobek był pochylony w lewo, oznaczało to, że jego przełożony chce się z nim widzieć o zwykłej porze, w zwykłym miejscu.

Po sprawdzeniu sygnalizacji Duch rozpoczął liczący pięć mil spacer do dzielnicy Wapping i swojej kwatery w tunelu pod Tamizą.

Kiedyś nazywano go jednym z największych cudów świata i nawet na powierzchni prezentował się imponująco na tle otaczających go budynków: zwieńczony iglicą ośmioboczny marmurowy gmach służył jako hol wejściowy. Po wejściu przez drzwi, których nigdy nie zamykano, Duch przeszedł po mozaikowej posadzce. W ciągu dnia przechodnie musieli zapłacić pensa, by wejść i dostać się na schody prowadzące w dół do tunelu, ale w nocy było inaczej. Mosiężna obrotowa bramka była zamknięta, jednak Duch przeszedł górą, podobnie jak wszyscy inni.

Jak wszystkie inne duchy nawiedzające tunel nocą.

Na schodzących spiralnie w dół marmurowych stopniach utworzył się lód, więc kroczył ostrożnie z jednego podestu schodów na drugi, aż wreszcie dotarł na dno szybu, do wielkiej rotundy, ponad dwieście pięćdziesiąt stóp pod ziemią. Kiedyś była ogromna i wystawna, teraz zaś tylko ogromna. Ściany były brudne, posągi odrapane. Czas zrobił swoje.

Wciąż jednak stanowiła imponujący widok: nisze wykute w zabrudzonych, zdobionych sztukaterią ścianach. We wnękach, zawinięci w worki, spali mieszkańcy rotundy: magicy, wróżki i kuglarze, którzy w ciągu dnia uprawiali swoją sztukę dla tych, co odwiedzali tunel, słynny tunel pod Tamizą.

Tunel pod Tamizą, pierwsza tego rodzaju konstrukcja na świecie, ciągnął się od Wapping pod dnem rzeki do Rotherhithe, a jego wykopanie zajęło piętnaście lat, prawiezmuszając do kapitulacji Marka Brunela i niemal zabijając jego syna Isambarda, który był bliski utonięcia w jednym z zalewów nękających budowę. Obaj mieli nadzieję, że tunel będzie kiedyś używany przez konne powozy, ale nie został ukończony z powodu zbyt wysokich kosztów i zamiast tego stał się atrakcją turystyczną: zwiedzający płacili po kilka pensów, aby pokonać jego tysiąc stóp długości, i pod ziemią szybko wyrósł cały przemysł obsługujący zwiedzających. Musiała pilnować tego policja.

Duch przeszedł od holu wejściowego do czarnego otworu właściwego tunelu, którego dwa łuki celowały w niego jak lufy pistoletów. Tunel był szeroki, z wysokim sklepieniem, ale cegły ciążyły nad głową i każdy krok niósł się echem, a nagła zmiana powietrza sprawiła, że zdał sobie sprawę z tego, jak tu ciemno. Za dnia setki lamp gazowych rozpędzały mrok, ale w nocy jedyne światło dawały migoczące świece tych, którzy tunel uczynili swoim domem: handlarzy, magików, tancerzy i treserów zwierząt, śpiewaków, klaunów i ulicznych sprzedawców. Mówiło się, że na spacer tunelem wybierały się dwa miliony ludzi rocznie i było tak od udostępnienia go jakieś siedemnaście lat temu. Kiedy już ktoś miał miejsce po otwarciu bramek, nie opuszczał go ze strachu, że jakiś inny naciągacz zabierze je w czasie nieobecności właściciela.

Przechodząc obok, Duch przyglądał się uśpionym ciałom handlarzy i artystów ulicznych, jego kroki dźwięczały na kamiennej posadzce. Zaglądał do wnęk i unosił swoją latarnkę nad ludźmi śpiącymi pod łukami

ciągnącymi się przez całą długość tunelu.

Panowała w nim ścisła hierarchia. Handlarze zajmowali miejsca przy wylocie. Potem byli włóczędzy, bezdomni, wagabundzi, nędzarze, a jeszcze dalej złodzieje, kryminaliści i zbiegowie.

Gdy nadchodził ranek, handlarze, którzy mieli osobisty interes, by tunel był wolny od włóczęgów i tak czysty jak to możliwe, gorliwie pomagali policjantom w sprzątanii. Oszuści i uciekinierzy wychodzili jeszcze pod osłoną ciemności. Pozostali, trampowie, żebracy, prostytutki szli, zręcząc i mrużąc oczy przed światłem, przyciskając do piersi swój dobytek, gotowi przetrwać kolejny dzień bez grosza przy duszy.

Latarnia Ducha zamigotała nad śpiącą w mroku jednej z wnęk postacią. Następną nisza była pusta. Podniósł latarenkę, by oświetlić łuki powyżej – też były puste. Wyczuł, jak skąpe światło cofa się za jego plecami i nagle blask latarenki tańczący na ceglany murze stał się bardzo wąły.

Z ciemności dobiegł go tupot, Duch podniósł latarnię i zobaczył postać, która przykucnęła we wnęcie przed nim.

– Dobry wieczór, panie Bharat – szepnął chłopiec.

Duch podszedł do niego, sięgając do kieszeni płaszcza po grubą pajdę chleba, którą wcześniej tam włożył.

– Witaj, Charlie – powiedział, podając mu pajdę.

Chłopiec drgnął, zbyt przyzwyczajony do klapsów i razów pięścią ze strony dorosłych, ale potem wziął chleb i początkowo ostrożnie, wreszcie łapczywie wgrzył się w kromkę, wpatrując się w Ducha wdzięcznymi oczami.

Powtarzało się to każdej nocy. To samo wzdrygnięcie. Ta sama ostrożność. I każdej nocy Duch, który nie wiedział o przeszłości chłopca nic poza tym, że była w niej przemoc i maltretowanie, uśmiechał się do niego i mówił:

– Do zobaczenia jutro wieczorem, Charlie. Uważaj na siebie.

I zostawiał chłopca w jego niszy, z bólem serca odchodząc w głąb tunelu.

Zatrzymał się jeszcze raz. W kolejnej wnęcie leżał mężczyzna z nogą złamaną po upadku z oblodzonych schodów rotundy. Duch nastawił mu

wtedy kość i teraz, wstrzymując oddech, by nie czuć smrodu moczu i gówna, sprawdził, czy łubki wciąż są na miejscu i noga się zrasta.

– Dobry z ciebie chłopak, Bharat – mruknął pacjent.

– Jadłeś coś? – zapytał Duch, badając nogę. Nie był człowiekiem specjalnie delikatnym, ale trzeba było przyznać, że Jake strasznie cuchnął.

– Maggie przyniosła mi trochę chleba i owoców – powiedział Jake.

– Co byśmy zrobili bez Maggie? – pomyślał na głos Duch.

– Zginęlibyśmy marnie, synu, ot co.

Duch wyprostował się, udając, że ogląda się za siebie, po to, by zaczerpnąć względnie czystego powietrza.

– Noga wygląda dobrze, Jake – powiedział. – Jeszcze kilka dni i będziesz mógł zaryzykować kąpiel.

Jake zachichotał.

– Aż tak źle, co?

– Tak, Jake – odparł Duch, klepiąc go po ramieniu. – Obawiam się, że aż tak.

Duch odszedł w głąb tunelu, aż dotarł do ostatnich używanych do spania wnęk. To tutaj nocowała Maggie i on. Sześćdziesięciodwuletnia Maggie mogłaby być jego babcią, ale opiekowali się sobą nawzajem. Duch przynosił jedzenie i pieniądze i co noc przy świetle świecy uczył Maggie czytać.

Maggie ze swej strony była tunelową matką, siejącą zamęt rzeczniczką Ducha, kiedy tylko takowej pomocy potrzebował, budzącą respekt i strach postacią. Nie było z nią żartów.

Niewielu ludzi ważyło się zapuszczać dalej. Dalej była ciemność i Duch nieprzypadkowo postanowił zamieszkać właśnie tutaj. Był tu kimś w rodzaju strażnika chroniącego mieszkańców tunelu przed łotrami, złodziejaskami i wszystkimi uciekającymi przed wymiarem sprawiedliwości, którzy szukali schronienia w jego najciemniejszych zakamarkach.

Zanim tu przybył, wyjęci spod prawa żerowali na mieszkańcach tunelu. Zajęło to trochę czasu. Przelano krew. Ale Duch położył temu kres.

8

Tamtej nocy, kiedy Duch po raz pierwszy spotkał Maggie, wracał swoją stałą trasą do domu – jeśli można było nazwać „domem” jego miejsce noclegowe, legowisko w tunelu.

Czasem, kiedy tak szedł, jego myśli wędrowały z powrotem do jego prawdziwego domu, Amritsaru w Indiach, gdzie się wychował.

Wspominał dzieciństwo i dorastanie, które spędzał w ogrodzie przy domu rodziców, a potem w „katra” – różnych dzielnicach samego miasta. Pamięć potrafi płać figle – potrafi sprawić, że rzeczy wydają się lepsze lub gorsze, niż były naprawdę, i Duch był tego w pełni świadomy. Wiedział, że grozi mu idealizacja dzieciństwa. W końcu jakże łatwo było zapomnieć, że w odróżnieniu od Londynu, Amritsar nie miał systemu kanalizacji, przez co rzadko pachniał jaśminem i ziołami, co tak wyraźnie przecież pamiętał. Mógł zapomnieć, że na tych ograniczonych murami ulicach, które wydawały się tak ogromne w jego wspomnieniach, gościły postacie równie nieprzyjemne jak gdziekolwiek w Indiach. Miasto pewnie nie było dzień i noc skąpane w ciepłym złotym świetle słońca, które ogrzewało kamienie, rozświetlało fontanny, malowało uśmiechy na twarzach tych, co nazywali Amritsar swoim domem.

Pewnie nie. Ale i tak właśnie w ten sposób je pamiętał i jeśli miał być szczery, chciał, żeby tak właśnie było. Wspomnienia ogrzewały go podczas nocy spędzanych w tunelu.

Urodził się jako Jayadeep Mir. Jak wszyscy chłopcy idealizował swojego ojca, Arbaaza Mira. Matka mawiała, że jego ojciec pachnie pustynią, i Duch też go tak pamiętał. Od najmłodszych lat Arbaaz mówił Jayadeepowi, że czeka go wielkość oraz że pewnego dnia zostanie podziwianym asasynem. Jego słowa sprawiały, że przyszłość ta zdawała się równie ekscytująca, jak

nieunikniona. W wygodnym zamknięciu domu ukochanych rodziców Jayadeep dorastał w poczuciu pewności własnego losu.

Arbaaz uwielbiał opowiadać historie tak samo, jak Jayadeep uwielbiał ich słuchać, a ze wszystkich historii Jayadeep najbardziej lubił tę mówiącą o tym, jak Arbaaz poznał jego matkę. W tej opowieści Arbaaz i jego młody niemy służący, Raza Soora, starali się zdobyć diament Koh-i-Noor, Górę Światła. To w trakcie próby odzyskania diamentu z Pałacu Cesarskiego Arbaaz zakochał się w Pyarze Kaur, wnuczce Ranjita Singha, założyciela Imperium Sikhów.

Diament Koh-i-Noor był, jak go nazywali, Fragmentem Edenu, jednym z rozsianych po całym globie artefaktów, jedynych pozostałości cywilizacji, która poprzedzała naszą.

Jayadeep wiedział o ich mocy, bo jego rodzice widzieli ją na własne oczy. Arbaaz, Pyara i Raza byli tam tej nocy, gdy diament został aktywowany. Wszyscy podziwiali ten niebiański pokaz światła. Mówiąc o tym, co widzieli, jego rodzice szczerze opisywali wrażenie, jakie to na nich zrobiło. Widok ten sprawił, że zyskali jeszcze silniejsze i żarliwsze przekonanie, że tak wielka potęga nie może nigdy wpaść w ręce ich wrogów, templariuszy. Wpoili tę wiarę chłopcu.

W tamtych czasach, dorastając w malowanym na złoto przez słońce Amritsarze i ucząc się u ojca, który był dla niego bogiem, Jayadeep nie potrafiłby sobie wyobrazić, że pewnego dnia będzie Duchem i będzie leżał skulony w lodowato zimnym, ciemnym tunelu, sam na świecie, i nikt nie będzie go podziwiał.

Szkolenie zaczęło się, kiedy miał cztery czy pięć lat, ale mimo że była to wyczerpująca fizycznie praca, nigdy nie stanowiło to dla niego uciążliwego obowiązku; nigdy nie narzekał ani nie wagarował z bardzo prostego powodu: był w tym dobry.

Więcej. Był znakomity. Naturalny talent od dnia, w którym dostał swój pierwszy drewniany nóż treningowy, kukri. Jayadeep miał dar walki, który

rzadko spotykano w Indyjskim Bractwie. Był nadzwyczajnie, niemal nadnaturalnie szybki w ataku i ponadprzeciętnie sprawnie reagował w obronie; mógł się pochwalić wspaniałą umiejętnością obserwacji i przewidywania. Był w istocie tak dobry, że ojciec czuł się zmuszony wezwać innego nauczyciela.

W życiu chłopca pojawił się Ethan Frye.

Pierwsze spotkanie z Ethanem Frye'em było jednym z najwcześniejszych wspomnień Ducha: ten melancholijny mężczyzna o zmęczonej twarzy, którego skrojony na zachodnią modłę płaszcz zdawał się ciążyć mu bardziej niż szata należąca do jego ojca.

Jako małe dziecko chłopiec nie miał ani ochoty, ani odwagi, by pytać o Ethana Frye'a. Starszy asasyn mógł dla niego spaść z samych niebios, zrzucony na ziemię jak smutny anioł, by zmaćić jego dotychczasową idylliczną egzystencję.

– A więc to jest ten chłopiec? – zapytał Ethan.

Siedzieli wtedy na ocienionym dziedzińcu, zgiełk ulicy przelewał się ponad murem i łączył ze śpiewem ptaków i łagodnym pluskiem fontanny.

– To istotnie mój chłopiec – powiedział Arbaaz z dumą. – To jest Jayadeep.

– Wielki wojownik, powiadasz.

– Przyszły wielki wojownik, a przynajmniej tak sędzę. Sam go szkoliłem i byłem zdumiony, Ethanie, zdumiony jego naturalnymi zdolnościami. – Arbaaz wstał.

A w domu za jego plecami Jayadeepowi mignęła matka, tak że zobaczył ich oboje jednocześnie. Być może po raz pierwszy, dzięki obecności tego szorstkiego nieznajomego, zdał sobie sprawę, jak są piękni i pełni wdzięku. Spojrzał na nich jak na ludzi, a nie tylko własnych rodziców.

Nie odrywając wzroku od chłopca, Ethan Frye złożył dłonie na brzuchu i powiedział przez ramię do Arbaaza:

– Nadnaturalne zdolności, powiadasz?

– Tak właśnie jest, Ethanie.

Oczy miał wciąż utkwione w Jayadeepie.

– Nadnaturalne, co?

– Zawsze myśli na dwa, trzy ruchy do przodu – odparł Arbaaz.

– Tak jak powinien.

– W wieku sześciu lat?

Ethan znów przeniósł wzrok na Jayadeepa.

– Przyznaję, jest nad wiek rozwinięty, ale...

– Wiem, co chcesz powiedzieć. Że do tej pory walczył ze mną i łączy nas naturalna więź między ojcem a synem, a więc być może wyjawiam mu coś, co daje mu przewagę, tak?

– Przeszło mi to przez myśl.

– Cóż, właśnie dlatego tu jesteś. Chciałbym, żebyś kontynuował szkolenie Jayadeepa.

Zaintrygowany chłopcem, Ethan Frye zgodził się spełnić prośbę Arbaaza i odtąd zamieszkał w ich domu, ćwicząc chłopca w szermierce.

Chłopiec, nie bardzo wiedząc, co powodowało Ethanem, był z początku zdezorientowany szorstkimi manierami swojego nowego nauczyciela i jego surowym tonem. Jayadeep nie był dzieckiem, które łatwo poddawało się surowej dyscyplinie, i musiało minąć kilka miesięcy, zanim między nimi wytworzyła się więź nauczyciel–uczeń, która przestała się charakteryzować cierpkimi uwagami (Ethan), ostrymi słowami (Ethan) i łzami (Jayadeep).

W istocie przez pewien czas Jayadeep uważał, że Ethan Frye po prostu go nie lubi, co było dla niego szokiem. Chłopiec był przystojny i charyzmatyczny. Nie wiedział niemal nic o świecie dorosłych i chociaż takie pojęcia jak urok i perswazja były mu obce, instynktownie opanował do perfekcji umiejętność roztaczania uroku i wykorzystywania perswazji, potrafił owinąć sobie rodzinę i służbę wokół małego palca, kiedy tylko chciał. Był tego rodzaju chłopcem, którego uwielbiają dotykać dorośli. Nie było dziecka, którego czupryna byłaby częściej mierzwiona przez mężczyzn, rzadko zdarzała się godzina, w czasie której jego policzki nie byłyby

całowane przez zachwycające się jego uśmiechem służące w domu kobiet, które jednocześnie wdychały jego świeży dziecięcy zapach i w ciszy rozkoszowały się miękkością jego skóry.

Jayadeep był jak narkotyk, od którego uzależniali się wszyscy, którzy go spotykali.

To jest wszyscy oprócz Ethana, który miał wiecznie zamyślony i zatroskany wyraz twarzy. Co prawda, czasem pojawiała się na niej światłość i w tych chwilach Jayadeepowi zdawało się, że widzi kawałek tego „starego” czy może „prawdziwego” Ethana, tak jakby był jakiś inny Ethan walczący o to, by wyłonić się z mroku. Kiedy indziej zdawało się, że to, co miał w sobie Jayadeep i co tak odurzało innych dorosłych, po prostu nie działało na nauczyciela.

Takie właśnie były owe raczej chwiejne fundamenty, na których opierały się ich lekcje: Ethan był pogrążony w mrocznych myślach, Jayadeep – zdezorientowany kontaktem z tym nowym gatunkiem dorosłego, który żałował mu wyrazów sympatii i pochwał. Oczywiście Ethan był zmuszony chwalić umiejętności Jayadeepa w walce. Jak miałyby być inaczej? Jayadeep wyróżniał się we wszystkich aspektach sztuki asasynów i ostatecznie to właśnie ten fakt sprawił, że powstała między nimi nić porozumienia, bo jeśli jest coś, co wprawny asasyn zawsze doceni, a nawet polubi, to z pewnością obiecujący adept. A Jayadeep niewątpliwie kimś takim był.

A zatem gdy mijały lata, zaś mistrz i uczeń odbywali treningowe walki w cieniu drzew na dziedzińcu, omawiali teorię przy fontannach, a potem wprowadzali te nauki w życie na ulicach miasta, Ethan zaczął odnosić się cieplej do swojego młodego podopiecznego i kiedy mówił, że chłopiec powinien przejść już od broni drewnianej do stalowej, w jego głosie niewątpliwie słychać było dumę.

Jayadeep ze swojej strony dowiedział się nieco o swoim małomównym mentorze. I to wystarczająco, by zdać sobie sprawę, że słowo „ponury” było niewłaściwym przymiotnikiem – bardziej precyzyjnie byłoby powiedzieć

„zmartwiony”. Nawet w tym wieku miał niezwykłą intuicję.

Co więcej, pewnego dnia podsłuchiwał w kuchni rozmowę kobiet. Ćwiczył właśnie z Ethanem przekradanie się na terenie domu i nauczyciel polecił mu wrócić ze zdobytymi potajemnie informacjami.

Kiedy Duch myślał o tym wiele lat później, zdał sobie sprawę, że posłanie małego dziecka, by potajemnie zdobyło informacje, było najeżone wieloma niebezpieczeństwami, choćby takim, że dziecko mogłoby dowiedzieć się czegoś nieodpowiedniego dla młodych uszu.

I okazało się, że właśnie tak się stało.

Jak miał się później dowiedzieć, Ethan miał zaskakującą skłonność do podejmowania lekkomyślnych i pochopnych decyzji, a także coś, co można nazwać psotliwością, i po latach Jayadeep pomyślał, że to ćwiczenie było być może pierwszą okazją, gdy jego nauczyciel tak jasno to zademonstrował.

Tak więc Jayadeep poszedł wykonać ćwiczenie i dwie godziny później dołączył do Ethana przy fontannie. Usiadł na kamieniu obok mistrza, który jak zwykle wyglądał na zamyślonego i jak to miał w zwyczaju, zdawał się nie dostrzegać Jayadeepa. Tak jak ze wszystkim, co się wiązało z Ethanem, Jayadeep potrzebował czasu, by się do tego przyzwyczaić, a był to proces przechodzenia od urazy, poprzez zakłopotanie, do akceptacji faktu, że ten brak ciepła był swego rodzaju miarą poufałości między dwoma mężczyznami tak odległymi od siebie i wiekiem, i kulturą, między doświadczonym zabójcą i chłopcem uczącym się, by nim zostać.

– Powiedz mi, mój drogi chłopcze, czego się dowiedziałeś – zagadnął Ethan.

Ethan nazywający Jayadeepa „moim drogim chłopcem” – to było dość niespotykane. Jayadeep lubił te chwile.

– Dowiedziałem się czegoś o tobie, mistrzu.

Może Ethan pożałował wtedy, że posłał swojego młodego podopiecznego z tym właśnie zadaniem. Trudno było sobie wyobrazić, że to zaplanował, ale z drugiej strony kto wie, co było w głowie Ethana Frye’a. Kto to może

wiedzieć? Chłopiec nie miał jak się o tym przekonać, ale jako gorliwy uczeń, i to taki, który był szkolony w spostrzegawczości, naturalnie przyglądał się uważnie nauczycielowi, szukając oznak tego, że go uraził lub przekroczył pewną granicę.

– Usłyszałeś jakąś paplaninę, tak, synu?

– Paplaninę, mistrzu?

– Paplaninę, czyli plotki, a jak ci zawsze powtarzałem, plotka może być potężnym źródłem informacji. Zrobiłeś dobrze, starając się wyciągnąć jak najwięcej z tego, co podsłuchałeś.

– Nie jesteś zły?

Na twarzy Ethana pojawił się rodzaj łagodnego spokoju. Tak jakby jakiś wewnętrzny zamęt stopniowo cichł.

– Nie, Jayadeepie – powiedział. – Nie jestem na ciebie zły. Bądź tak łaskaw i powiedz mi, co takiego usłyszałeś.

– Może ci się to nie spodobać.

– Nie wątpię. Powiedz tak czy inaczej.

– Kobiety mówiły, że miałeś żonę w Anglii, ale umarła, rodząc dwoje waszych dzieci.

Gdy chłopiec czekał na odpowiedź swojego mistrza, czas jakby się zatrzymał.

– To prawda, Jayadeepie – powiedział Ethan po chwili, wypuszczając powietrze z westchnieniem. – I kiedy próbowałem patrzeć na moje dzieci, Evie i Jacoba, odkryłem, że nie potrafię. Kiedy zaproszono mnie do Indii, można chyba powiedzieć, że uciekłem, Jayadeepie. Uciekłem od domu w Crawley i moich dzieci, żeby przyjechać tutaj i oblewać się potem w słońcu razem z tobą.

Jayadeep pomyślał o własnych rodzicach. Pomyślał o tym, jak nie szczeni mu miłości i czułości, i zaczął współczuć tamtym dzieciom. Nie miał wątpliwości, że były pod dobrą opieką, ale mimo to brakowało im ojcowskiej miłości.

– Ale już niedługo – powiedział Ethan, jakby czytając Jayadeepowi w myślach. Wstał. – Wrócę do Anglii, do Crawley, do Jacoba i Evie. Dopilnuję, abyś przeszedł od noży drewnianych do stalowych. Upewnię się, że będziesz gotowy do walki, a potem wrócę do domu i tam, Jayadeepie, zrobię to, co powinienem był zrobić na samym początku, będę ojcem dla moich dzieci.

W słowach Ethana kryło się przesłanie, którego Jayadeep nie dostrzegł pomimo swojej nad wiek rozwiniętej intuicji. Na swój sposób Ethan wyznawał Jayadeepowi, że przyjaźń z nim rozbudziła instynkt ojcowski, którego nie czuł od śmierci żony. Na swój sposób Ethan mu dziękował.

Jayadeep usłyszał jednak słowo „walka”.

I dopiero jakiś czas później – właśnie po tym, jak chłopiec zaczął używać stalowych noży – Ethan odkrył, że Jayadeep miał słabość. Poważną.

9

Owej nocy, gdy Duch poznał Maggie, wracał do swojego legowiska w tunelu, jak zawsze mijając cmentarz przy Marylebone i jak zawsze zerkając na położenie nagrobka, ale jego uwagę przykuła scena rozgrywająca się pomiędzy mogiłami.

Było oczywiście ciemno – działo się to prawie dokładnie przed rokiem, kiedy dni były równie krótkie jak teraz – i było też zimno, w takie wieczory nie chadza się raczej po ciemnych cmentarzach, chyba że ma się ku temu bardzo ważny powód.

I takiego wieczora nikt nie miał na ciemnym cmentarzu nic do roboty. Nic, co nie byłoby niegodziwością.

I to, co usłyszał Duch, było rzeczywiście czymś bardzo niegodziwym.

Zatrzymał się na ścieżce przy niskim cmentarnym murze. Słuchał. I uznał, że na skali podłości, gdzie na jednym końcu było coś niezbyt podłego (może jakiś akt cudzołóstwa: dokonana za obopólną zgodą transakcja między prostytutką a jej klientem), słyszał coś z przeciwległego końca. A słyszał głosy kilku mężczyzn – Duch od razu wiedział, że było ich pięciu – niektórzy z nich śmiali się i dopingowali innych, a także odgłosy przemocy, butów używanych w sposób, którego ich Bogu ducha winien wytwórca nigdy nie planował, a nad tym wszystkim głos kobiety – Duch od razu wiedział, że była to jedna kobieta – krzyczącej z bólu. Straszliwego bólu.

Oczywiście byli inni przechodnie, którzy słyszeli na cmentarzu hałas, nie do pomylenia z niczym innym krzyki proszącej o litość kobiety pod gradem ciosów, ale tylko Duch się zatrzymał. Nie powinien był tego robić. Jego zadaniem było wtapiać się w tłum. Ale zatrzymał się, bo był asasynem – wciąż nim był – szkolonym przez Arbaaza Mira i Ethana Frye'a i wpojono mu wartości Bractwa.

I diabli by go wzięli, gdyby poszedł dalej, podczas gdy pięciu mężczyzn uczyniło sobie rozrywkę z bicia kobiety.

Przesadził niski kamienny murek wyznaczający granicę cmentarza i wszedł głębiej w mrok. Dźwięki nie ustawały. Głosy pijanych, rozochoconych mężczyzn. Z ich akcentu Duch wywnioskował, że dwaj z nich byli dobrze urodzeni, a pozostali trzej pochodzili z nieokreślonej klasy społecznej.

Teraz widział blask latarni i w plamie światła w cieniu wielkiego kościoła ujrzał dwóch dobrze ubranych mężczyzn i postać na ziemi.

– Jak to się nazywa? – pytał jeden z nich, stojąc okrakiem i wymierzając jej policzki, podczas gdy drugi śmiał się i pociągał z butelki.

Na pierwszym planie widać było trzech potężnych mężczyzn, wszyscy nosili meloniki. Stali odwróceny plecami do dwóch gentlemanów i ich ofiary. Ochroniarze. Gdy Duch zaczął manewrować między grobami, żeby się do nich zbliżyć, dostrzegli go. Arbaaz i Ethan doradziliby atak z zaskoczenia; Duch mógłby zabić dwóch z nich, zanim mieliby szansę zareagować. Ale to, co zobaczył, rozbudziło w nim pierwotny gniew, poczucie sprawiedliwości, i zapragnął konfrontacji. Chciał wymierzyć sprawiedliwość i to tak, by było to widać.

– Idź sobie, kolego – powiedział jeden z ochroniarzy. Miał ręce skrzyżowane na piersi. – Nie ma tu nic do oglądania, chłopcze.

Pozostali dwaj zbliżyli się. Jeden miał ręce wciśnięte głęboko w kieszenie płaszcza. Drugi ukrywał je za plecami.

– Puśćcie tę kobietę – powiedział Duch.

Dwaj mężczyźni przerwali zabawę i odwrócili się od leżącego twarzą w dół, zakrwawionego ciała ofiary. Ta jęknęła z mieszaniną bólu i ulgi i przekręciła się na bok ze zmiętą spódnicą i krwawiącą twarzą skrytą pod płataniną skołtunionych włosów. Biedne, budzące litość stworzenie wyglądało na jakieś sześćdziesiąt lat.

– Zostawcie ją – nakazał Duch.

Jeden z arystokratów zachichotał i podał flaszkę drugiemu, który przytknął

do niej usta i chciwie żłopał, aż oczy rozbłysły mu z rozkoszy. Obaj wyglądali, jakby czekali na rozpoczęcie zabawnego spektaklu. Stojąc samotnie przeciwko pięciu ludziom, Duch miał nadzieję, że ich nie rozczaruje.

Miał nadzieję, że porwany szlachetnością, nie wzięł do ust kęsa, którym się może udławić.

Pierwszy osiłek pochylił głowę i znów się odezwał. Na ucichłym nagle cmentarzu jego słowa padały jak kamienie.

– Odejdź, chłopcze, zanim ci w tym pomożemy.

Duch przyjrzał mu się. Obejrzał ich wszystkich.

– Odejdę, kiedy będę pewien, że ta kobieta nie będzie więcej krzywdzona...

– Cóż, to...

– I kiedy będę pewien, że ci dwaj ludzie, którzy jej to zrobili, zostali odpowiednio ukarani.

Pozostali dwaj ochroniarze wybuchnęli śmiechem, ale herszt uciszył ich gestem ręki.

– Słuchaj no, nic takiego się nie stanie, bo widzisz tych dwóch panów? Pięknie zapłacili za moje i kolegów usługi, dokładnie za to, żeby nie stała im się krzywda, kiedy zwiedzają mniej przyjemne okolice wspaniałej stolicy naszego narodu, jeśli łapiesz, co mam na myśli. Żeby się do nich dostać, będziesz musiał minąć nas i na pewno wiesz, że nie dasz rady.

Za jego plecami dwaj wysoko postawieni poszukiwacze przygód wciąż chichotali, przekazując sobie butelkę z rąk do rąk, ciesząc się przedstawieniem, przystawką przed głównym daniem. Byli słabi i pijani i Duch wiedział, że może pokonać ich obu z jedną ręką związaną za plecami, ale...

Najpierw ochrona. Płaszcz numeru trzy był rozpięty, mężczyzna wciąż ścisnął ręce za plecami. Albo miał rewolwer, albo u boku wisiał mu kordelas. Wyglądał na niebezpiecznego, ale był też nieco zbyt rozluźniony, zbyt pewny

siebie.

To samo tyczyło się numeru dwa. Miał na sobie zapięty pod szyję, długi do kostek płaszcz i chociaż jego lewa ręka poruszała się w kieszeni, prawa była nieruchoma, co oznaczało, że musiał tam mieć krótką pałkę albo nóż.

Dobrze. Miał płaszcz, co nie sprzyjało walce na krótkim dystansie, no i mimowolnie zdradził Duchowi, skąd wyjmie broń. Z tych dwóch powodów Duch miał zamiar zaatakować go w pierwszej kolejności. Najłatwiej go będzie pokonać, a potrzebował broni. Miał nadzieję, że będzie to nóż.

Numer jeden był sprytniejszy. Nie sądził, aby samotny napastnik stawiał czoła piętno przeciwników bez przyczyny. Jego ramiona pozostawały skrzyżowane na piersi – może miał pod pachą kaburę? – a oczy błędziły po terenie za plecami Ducha, wypatrując, czy nie czają się tam jakieś posiłki.

Kiedy nic nie znalazł, spojrzał na Ducha z jeszcze większym zainteresowaniem, nieufnością i obawą, odgadując coś, czego jego koledzy nawet nie podejrzewali: że ten hinduski chłopak ma jakiś plan. Że jest kimś innym, niż się zdaje. Numer jeden był bystry. Z nim będzie największy problem.

Duch skończył ocenę przeciwników. Żałował, że nie miał kukri w jednej ręce i swojego ukrytego ostrza przypiętego do nadgarstka drugiej. Gdyby tak było, wynik walki byłby przesądzony. Co więcej, już by się zakończyła. Ale i tak miał pewność, że sobie poradzi. Przemawiał na jego korzyść fakt, że jego przeciwnicy wyraźnie go nie doceniali, że on sam był oburzony i mocno zmotywowany, że był świetnie wyszkolony, bardzo szybki i dużo potrafił oraz że dobrze ocenił dystans, otoczenie, przeciwników.

A teraz pojawiła się jeszcze jedna sprzyjająca okoliczność. Bo gdy numer jeden zaczął wypowiadać słowa:

– Dam ci ostatnią szansę, chłopcze...

...Duch dodał do tego wszystkiego przewagę zaskoczenia.

I uderzył.

Numer dwa próbował jeszcze wyciągnąć ręce z kieszeni płaszcza, kiedy

czoło Ducha roztrzaskało mu nos. Ten cios – „brudna sztuczka”, której Arbaaz nigdy w pełni nie popierał, ale do której Ethan miał szczególne upodobanie – miał tę zaletę, że powodował olbrzymi ból, natychmiastową, koszmarną utratę krwi i chwilową ślepotę i dezorientację. W pierwszych, kluczowych momentach walki numer dwa był unieszkodliwiony. Wypadł z gry, niezdolny do niczego, gdy Duch obrócił się i uderzył go łokciem, by pozbawić go oddechu, a drugą ręką sięgnął do kieszeni płaszcza, by znaleźć... pałkę. Cholera.

Ale przynajmniej trochę ważyła, więc wyciągnął ją z kieszeni, potem machnął w przeciwnym kierunku, tak że pokryta skórą czarna pałka trafiła w skroń numeru trzy. Duch uderzył mocno, z całą siłą, a miał jej naprawdę dużo, i uderzenie niemal zmiotło czubek głowy jego ofiary.

Mężczyzna sięgał w tym czasie do wewnętrznej kieszeni płaszcza, ale nigdy już nie wyciągnął ręki, więc Duch nigdy się nie dowiedział, co tam miał. Wciąż trzymał rękę w zanadrzu, kiedy zatoczył się na bok z ustami rozdziawionymi jak ryba wyrzucona na suchy ląd. Kulka na końcu pałki rozcięła mu bok głowy i z rany buchała krew. Pewnie przeżyje, ale z uszkodzonym mózgiem prawdopodobnie spędzi resztę swoich dni, śliniąc się na wózku inwalidzkim, ktoś z pomocą łyżki będzie go karmił jakąś papką i brak mu będzie rozumu, by zastanawiać się, jak zwykły chłopak z taką łatwością go pokonał. Duch zrobił krok naprzód, uderzył dwa razy pięścią w gardło i ciało numeru trzy wciąż jeszcze padało na ziemię, gdy Duch ponownie wykonał obrót.

Wszystko to działo się w czasie, który wystarczył na wyciągnięcia noża, co właśnie uczynił numer jeden. Pomiedzy nimi był numer dwa, który zataczał się, bo właśnie oberwał głową w nos, ale wciąż usiłował odzyskać kontrolę nad sobą, gdy tymczasem Duch, nie chcąc stracić impetu, uderzył jeszcze raz, machając pałką i trafiając, co prawda, nie całkiem celnie, ale wystarczająco mocno, aby złamać mężczyźnie szczękę. Jednocześnie wyrzucił do przodu nogę, tym razem cios był celny i złamał ochroniarzowi nogę, która złożyła się

pod nim jak scyzoryk. Ten mężczyzna nigdy już nie będzie chodzić, a złamana szczęka gwarantuje, że tylko nieliczni będą rozumieli, co mówi.

W tym samym ruchu Duch machnął drugą stopą, posyłając latarnię w twarz numeru jeden, który liczył na to, że wykorzysta początek starcia na swoją korzyść. Bandzior odbił latarnię z okrzykiem zaskoczenia i rozczarowania, że jego manewr się nie powiódł, co dało Duchowi chwilę, by zebrać siły.

Złapał równowagę, odsunął się od przeszkody, jaką stanowił pobliski nagrobek, przerzucił pałkę z jednej ręki do drugiej i z powrotem.

Przeciwnik zebrał się w sobie. Podniósł kordelas, zajął pozycję pomiędzy Duchem i dwoma mężczyznami, którzy wynajęli go, by ich bronił, a potem zawołał do nich przez ramię:

– Niech panowie uciekają.

Dwaj eleganci nie potrzebowali dalszych zaproszeń, potykając się jeden o drugiego i wpadając na kamienie nagrobne, uciekali hałaśliwie, aż zniknęli w ciemnościach nocy. Została po nich na ziemi butelka jakiegoś mocnego trunku.

Duch zacisnął zęby. Nie mógł pozwolić im uciec.

– Nie musi pan umierać za takich jak oni – powiedział do ochroniarza, który krótko się zaśmiał.

– Mylisz się, przyjacielu – odpowiedział. – Umieranie za takich jak oni to dokładnie to, co robią tacy jak ja. Robimy to na całym świecie.

Choć Duch był młody, wiedział, jak to działa. Bogaci kupowali patenty oficerskie, więc mogli szybko wspinać się po szczeblach kariery w armii brytyjskiej, gwarantując sobie, że przez większość czasu utrzymają się z dala od krwawych wojen i będą korzystać z wszelakich wygod.

– Nie musi tak być – powiedział.

– Musi, chłopcze. Kiedy poznasz się na działaniu świata tak, jak znasz się na walce, a Bóg mi świadkiem, znasz się na niej, wtedy zrozumiesz.

Duch potrząsnął głową. Tracił czas.

– To nie ma znaczenia, sir. Tak czy owak, to nie pan jest mi potrzebny, ale

ci, którym pan służy.

– Mimo to nie mogę, synu – powiedział ochroniarz ze smutkiem. – Nie mogę ci na to pozwolić.

Uniósł kordelas, trzymał przeciwnika na dystans i jego pozycja pozostała niewzruszona, ale w jego oczach było coś, co Duch rozpoznał. Nadciągająca nieuchronnie klęska. Spojrzenie człowieka, który wie, że został pokonany, którego śmierć lub upadek to tylko kwestia czasu.

– Nie masz wyboru – odpowiedział Duch i był już w ruchu, dla przeciwnika wyglądał jak rozmazana smuga, jakby to noc zafalowała i ciemność usunęła się, by zrobić miejsce dla niezwyklej szybkości atakującego asasyna.

Duch oczywiście nie popełnił tego błędu, by nie docenić przeciwnika. Przewidział, jak jego rywal może się bronić, wziął też pod uwagę, jakiego rodzaju ataku będzie się spodziewał z jego strony. Tak więc wykonał fintę najpierw w jedną, potem w drugą stronę, czując, jak przecina powietrze jego ciało poruszające się w dwóch różnych kierunkach, gdy skoczył, używając nagrobka jak trampoliny, by z wysokości spaść na ochroniarza z niespodziewanej strony.

Był dla ochroniarza zbyt dobry, zbyt szybki i zbyt sprytny. Człowiek ten, bez wątplenia szkolony przez angielską armię, był od dziecka twardy jak stara podeszwa i zahartowany dodatkowo w niezliczonych zamorskich kampaniach wojennych, ale nie stanowił dla Ducha godnego przeciwnika. Ani trochę. Pałka, lepka od krwi poprzedniej ofiary, spadła z impetem na tył jego głowy i mężczyzna zwiesił szczękę, wyrócił oczy i padł nieprzytomny na ziemię.

Jakąś godzinę później obudzi się z obolałą głową, ale poza tym cały i zdrowy, i będzie musiał odpowiedzieć na trudne pytania, jak to możliwe, że on i jego dwaj równie zaprawieni w bojach towarzysze mogli dać się pokonać takiemu lichemu chłoptasiowi.

Na razie jednak leżał bez świadomości.

Tymczasem Duch przesadził nagrobek, podchodząc do kobiety, która

podniosła się wcześniej na łokciach i patrzyła teraz na niego z mieszaną strachem, podziwu i wdzięczności.

– Ki diabeł, chłopcze, kim ty, u licha, jesteś, jakimś demonem czy jak?

– Idź – powiedział do niej. – Odejdź stąd, zanim nasz przyjaciel odzyska świadomość.

Po tych słowach ruszył w pogoń za dwójką dobrze urodzonych poszukiwaczy rozkoszy. Widok posiniaczonej, zakrwawionej i spuchniętej twarzy kobiety był dla niego jak ostroga, rozpałił jego gniew, gdy ruszył w pościg, podnosząc w biegu porzucony kordelas.

Łatwo było ich dogonić. Byli pijani, głośni i powolni i chociaż byli przerażeni, mieli chyba pewność, że ich czempion zdoła pokonać żółtodzioba, ponieważ ludzie tacy jak oni nigdy nie musieli się o nic martwić. Zatrudniali innych do brudnej roboty, mieli służących i lokajów, by odwalali ją za nich.

Duch dogonił ich z łatwością, podbiegł do tego, który został w tyle, wpadł na niego, tak że wysoko urodzony elegancik upadł, a Duch błyskawicznie był na wierzchu, obracając go i przygważdżając kolanami do ziemi, wznosząc kordelas i koncentrując swoją wściekłość, pamiętając, że to on – właśnie on – kilka chwil temu śmiał się, kopiąc bezbronną kobietę.

10

Nadszedł czas, by Ethan opuścił Amritsar, ale było coś, co go niepokoiło, i zwołał spotkanie rodzinne, którego wynik miał wstrząsnąć całym rodem Mirów.

Arbaaz spodziewał się, że Ethan ogłosi na nim, iż wypełnił obietnicę, i czuwając nad oczywistymi przecież talentami jego syna, uformował z nich całość godną asasyna, tak by chłopiec mógł rozpocząć następny etap swojej edukacji, tym razem bez z góry określonego końca – ten rozdział jego życia, który zadecyduje o tym, co po sobie pozostawi.

A jednak...

– Uważam, że nie jest gotowy – powiedział Ethan bezceremonialnie, bez ogródek i ostrzeżenia.

Arbaaz przełamał chleb i uśmiechnął się.

– W takim razie nie możesz wyjechać, Ethanie. Taka była nasza umowa.

Ci dwaj mężczyźni przeżyli wspólnie niezwykle przygody. Czasami rozmawiali o diamencie Koh-i-Noor. O tym, jak Arbaaz go zdobył. Niekiedy obecna była też matka Jayadeepa i wówczas wspominali wszyscy troje. Takie osoby jak Alexander Burnes i William Sleeman nic dla Jayadeepa nie znaczyły, ale dla jego rodziców były to bramy do innego świata pełnego ekscytujących wspomnień.

– Wysłałem już list. Czekają na mnie w domu i zamierzam dotrzymać obietnicy, jaką im złożyłem. Wrócę tu, Arbaazie, możesz być tego pewien.

– W takim razie nie rozumiem. Wedle naszej umowy miałeś szkolić Jayadeepa, aż będzie gotowy do pracy w terenie.

Chłopiec siedział koło matki, czując się jak niewidzialny, gdy tak o nim rozmawiali, ignorując jego obecność. Nieraz już tego doświadczył; im ważniejszy był problem, tym mniej prawdopodobne było, żeby ktoś liczył się

z jego zdaniem. Nigdy nie konsultowano z nim jego przyszłości ani nie spodziewał się, że tak się stanie; tak było po prostu, że aż do odwołania nie miał głosu w sprawach własnego przeznaczenia.

– Będziesz mnie musiał oświecić, stary druhu – powiedział Arbaaz. – Przez wszystkie spędzone tu lata zapewniałeś mnie, że Jayadeep jest jednym z najbardziej utalentowanych młodych asasynów, jakich kiedykolwiek spotkałeś, a jak wszyscy wiemy, znaczy to, że według ciebie Jayadeep jest *najbardziej* utalentowanym asasynem, jakiego kiedykolwiek spotkałeś. Bo dlaczego by nie? Uczyłem go najpierw ja, a potem twoja szanowna osoba. Sam widziałem, że nie brakuje mu umiejętności, i jeśli przez cały ten czas nie tałeś prawdy, to też tak sądzisz, a teraz, w przeddzień swojego wyjazdu, przychodzisz z nowiną, że chłopak nie jest gotowy. Wybacz mi moją konsternację. W jakim sensie ten świetnie wyszkolony, niezwykle wprawny chłopak, którego mentor właśnie wybiera się do domu, *nie jest gotowy*? A przede wszystkim *dlaczego*?

W wypowiedzanej coraz głośniejszym tonem przemowie jego ojca była wyraźna nuta gniewnej irytacji. Nawet okrucuch chleba trzymający się uparcie jego dolnej wargi w żaden sposób nie osłabił groźnego wrażenia, jakie robił. Jayadeep skulił się w sobie. Nawet jego matka wyglądała na zmartwioną.

Tylko Ethan był niewzruszony, odpowiadając na gniewny wzrok Arbaaza swoim własnym nieodgadnionym spojrzeniem.

– To prawda, chłopiec ma zdumiewające naturalne zdolności. To prawda, udało mi się uformować ten naturalny dar w asasyna o nadzwyczajnych umiejętnościach. Sam dużo się od chłopca nauczyłem, co jest jednym z powodów, dla których planuję wrócić do domu, i nie zamierzam zboczyć z tej drogi, niezależnie od tego, jak wieloma okrucuchami mnie oplujesz, stary druhu.

Arbaaz, zmieszany, otarł usta, a kiedy odsunął od nich dłoń, mignął ciemnym uśmiechem.

– A więc dlaczego? – zapytał. Nie, *zaządał* odpowiedzi: – Dlaczego

zostawiasz nas w tym kluczowym okresie, jeśli tak wiele jeszcze trzeba go nauczyć?

Ethan obdarzył ich spojrzeniem pełnym życzliwości i troski. Spojrzeniem, które najpierw posłał rodzicom, a potem chłopcu.

– Brakuje mu instynktu zabójcy. Chłopak potrafi zabić i na pewno to zrobi, ale brakuje mu czegoś, co mamy my, ty i ja, lub może ma coś, czego nam brakuje.

Arbaaz uniósł podbródek, robiąc się coraz bardziej purpurowy.

– Chcesz powiedzieć, że mój syn jest tchórzem?

– Na litość boską, Arbaazie – odparł lekko już rozdrażniony Ethan. – Do diabła, oczywiście, że nie. To kwestia usposobienia. Jeśli wyślesz tego chłopca w teren, to albo zawiedzie, albo...

– Nie zawiodę – powiedział nagle Jayadeep, zaskakując nawet samego siebie, spodziewając się, że za ten nieuzasadniony i nieproszony wybuch spotka go bura, a może jeszcze sroższa kara.

Tymczasem ojciec spojrział na niego z zadowoleniem, wyciągając rękę, by ścisnąć go za ramię w geście, który wypełnił serce Jayadeepa dumą.

Ethan go zignorował. Odwrócił się do Pyary.

– To żaden wstyd – powiedział i widział, jak oczy jej łagodnieją w skrytej nadziei, że jest choć cień szansy, by jej rodzina stała się wreszcie wolna od przelewania krwi. – Może służyć Bractwu na inne sposoby. Jakże wspaniałym będzie mentorem! Mistrzem taktyki. Politykiem. Wielkim przywódcą. A ktoś musi nimi być. Tylko... *nigdy*... nie będzie wojownikiem.

Arbaaz w końcu nie wytrzymał. Pyara, spokojna i niezachwiana, przyzwyczajona do zachowań swego męża, pozostała nieporuszona, gdy ten eksplodował wściekłością.

– Jayadeep, mój syn, *będzie* wielkim wojownikiem, Frye. Będzie wybitnym asasynem, mentorem Indyjskiego Bractwa...

– I tak może...

– Tylko jeśli dowiedzie swojej wartości w walce. Jako wojownik. Jako

asasyn.

Ethan potrząsnął głową.

– Nie jest gotowy, Arbaazie, i przykro mi, jeśli łamie ci to serce, ale moim zdaniem nigdy nie będzie.

– Cóż – powiedział Arbaaz, wstając. – Otóż, Ethanie, to tylko twoje zdanie. Jak myślisz, Jay, udowodnimy naszemu angielskiemu przyjacielowi, że się myli?

Pyara ukradkiem otarła łzę, ale też wstała, lojalna pomimo rozdzierających ją emocji.

I Jayadeep, chłopiec, który pewnego dnia zostanie Duchem, a teraz nie ma nawet dziesięciu lat, tak rozpaczliwie chciał zadowolić Arbaaza, bo jego ojciec był jego królem, powiedział:

– Tak, ojczy.

Treść listu od Ethana Frye'a do Arbaaza Mira, odszyfrowana z oryginału:

Drogi Arbaazie,

minęło sześć lat, odkąd opuściłem Indie i wróciłem do domu do Anglii. Sześć lat, odkąd rozmawialiśmy po raz ostatni, mój stary druhu. O wiele za długo.

W tym czasie nauczyłem się opłakiwać stratę mojej ukochanej żony, Cecily, i to w sposób, który sama by pochwaliła, czyli innymi słowy, odrzuciłem swoją dawną urazę, aby zbudować więź z naszymi dziećmi, Evie i Jacobem. Żałuję, że kiedykolwiek uważałem je za odpowiedzialne za moją stratę; zrobiłem, co w mojej mocy, by wynagrodzić im utracone lata dzieciństwa.

To lata spędzone z twoim wyjątkowym synem, Jayadeepem, pobudziły mnie do działania i będę za to dożgonnie wdzięczny wam obu. Jayadeep popchnął mnie na ścieżkę oświecenia, która sprawiła, że przewartościowałem swój sposób myślenia. Przykro mi o tym wspominać, Arbaazie, ale to tylko wzmocniło moją determinację w sprawie, która poróżniła nas lata temu i która jest powodem, dla którego znów się z tobą kontaktuję.

Powiniennem to wyjaśnić. Jako asasyni mamy wpojona pewną filozofię. W odróżnieniu od templariuszy, którzy dzielą mieszkańców świata na pasterzy i owce, my widzimy miliony jasnych punktów: inteligentne, czujące istoty, z których każda ma swój potencjał i jest zdolna do działania w ramach większej całości.

Albo tak chcielibyśmy myśleć. Ostatnio zaczynam się nad tym zastanawiać. Czy zawsze stosujemy tę filozofię? Szkoląc młodych asasynów, wkładamy im w ręce noże, ledwie nauczyli się chodzić. Nauczamy wartości przekazywanych z pokolenia na pokolenie, robiąc z dziecka istotę pełną przesądów i uprzedzeń, a przede wszystkim, w naszym konkretnym

przypadku, zabójcę.

To, co robimy, jest słuszne. Nie odczytuj tego, proszę, jako wyrazu wątpliwości ideologicznych z mojej strony, bo nigdy nie byłem bardziej pewny, że Bractwo opowiada się za tym, co w tym świecie słuszne. Moje wątpliwości, drogi Arbaazie, dotyczą stosowania tej ideologii i to one nie pozwalają mi w nocy spać, sprawiają, że zastanawiam się, czy nie zawiedliśmy naszych dzieci, lepiąc je na swój obraz i podobieństwo, podczas gdy w rzeczywistości powinniśmy uczyć je, by szły swoją własną drogą. Zastanawiam się, czy nasze przestrzeganie wartości, które wyznajemy, nie jest gołosłowne.

Z moimi dziećmi spróbowałem obrać inną drogę niż ta, którą starałem się podążać w pracy z Jayadeepem. Zamiast narzucać rozwiązania, usiłowałem dawać im narzędzia, dzięki którym będą uczyć się same.

Pochlebia mi, że obierają ten sam kierunek co ja. Jak wiesz, aktywność asasynów w Londynie jest od dawna mocno osłabiona. Nasze Bractwo jest tu nieliczne, podczas gdy templariusze pod dowództwem swojego Wielkiego Mistrza, Crawforda Starricka, wciąż rosną w siłę; dotarła do nas informacja, że nasz przeciwnik przeniknął do elity miasta głębiej, niż się obawialiśmy. Niewątpliwie coś szykują. Coś dużego. I pewnego dnia, kiedy będą gotowi, Jacob i Evie dołączą do walczących z nimi.

Kiedy będą gotowi. Dobrze to zapamiętaj, Arbaazie. Pozwalam im, by odnaleźli własną drogę, i przestrzegam zasady, by mogli się nazywać w pełni wyszkolonymi asasynami, kiedy będę wiedział, że są przygotowani do wykonywania zadań nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Robię to, wiedząc, że wszyscy jesteśmy indywidualnościami i nadajemy się do różnych rzeczy. Być może nazywamy się asasynami, ale nie każdy z nas może być zabójcą.

I tak właśnie jest z Jayadeepem. Rozumiem, jak bolesne musi to być dla ciebie. W końcu to twój syn. Sam jesteś wybitnym asasynem i on też ma potencjał, by nim zostać. Wiem jednak na pewno, że chociaż Jayadeep jest zręczny i utalentowany w zadawaniu śmierci, to nie ma do tego serca.

Będzie zabijał. Tak, będzie zabijał, jeśli zajdzie taka potrzeba. W obronie własnej lub tych, których kocha, zrobi to w mgnieniu oka. Ale zastanawiam się, czy zrobi to samo w imię ideologii. Czy zrobi to w imię naszego Credo?

Czy zrobi to z zimną krwią?

I dlatego piszę ten list właśnie teraz. Doszły mnie niepokojące słuchy, że Jayadeep ma wykonać swoją pierwszą prawdziwą misję. Zabójstwo.

Po pierwsze, muszę napisać, że doceniam, iż wzięłeś moje obawy sprzed sześciu lat wystarczająco poważnie, by odłożyć jego chrzest bojowy do czasu, aż skończy siedemnaście lat. Jestem ci za to wdzięczny, a jednocześnie pełen uznania dla twojej mądrości i powściągliwości. Mimo to, moim zdaniem, Jayadeep nie ma fundamentalnej determinacji potrzebnej, by tego dokonać – i nigdy jej nie zdobędzie.

Mówiąc wprost, jest inny niż ja i ty. Być może inny niż Jacob i Evie. Co więcej, jestem przekonany – i jest to przekonanie całkowicie zgodne z podstawowymi wartościami Bractwa – że powinniśmy zaakceptować tę różnicę. Powinniśmy pochwalić tę odrębność i obrócić ją na użytek Bractwa, zamiast próbować jej zaprzeczać i formować z niej jakieś niezgrabne i brutalne twory.

Innymi słowy, posyłając Jayadeepa do akcji, sprowadzasz na siebie coś znacznie gorszego niż hańba (urojona, jeśli mogę dodać), że twój syn nie potrafi pójść w twoje szacowne ślady, bo zamiast tego może się to skończyć hańbą znacznie poważniejszą: beznadziejną klęską.

Błagam cię, zwolnij go z tego zadania, spójrz na niego świeżym okiem, wykorzystaj najlepsze z niezwykłych zdolności swojego syna dla dobra Bractwa, zamiast opierać się na tych najgorszych.

Mam nadzieję, że napiszesz mi w odpowiedzi o swojej decyzji, i modlę się, byś okazał tę samą mądrość i powściągliwość, za które już cię chwaliłem. Kiedyś mi zaufałeś, proszę cię, Arbaazie, zaufaj mi ponownie.

*Jak zawsze twój,
Ethan Frye,*

Londyn

List od Arbaaza Mira do Ethana Frye'a, odszyfrowany z oryginału:

Ethanie, dziękuję ci za twe słowa. Żałuję jednak, że próbujesz budować most nad tak wzburzonymi wodami. Zdolność Jayadeepa do bycia asasynem nie podlega dyskusji. Dałeś mu umiejętności, ja tymczasem ofiarowałem mu kręgosłup moralny konieczny, by wykorzystał je w praktyce. Lubisz ujmować rzeczy prosto, Ethanie, więc też tak teraz zrobię: od czasu kiedy widziałeś Jayadeepa po raz ostatni, minęło sześć długich lat i nie masz już prawa wydawać sądów na temat jego predyspozycji do bycia asasynem. On się zmienił, Ethanie. Rozwinął się i dojrzał. Jestem pewien, że jest gotowy do swojego chrztu bojowego, i dokona zabójstwa według planu. Jego celem jest niski rangą templariusz, którego zlikwidowanie jest konieczne, aby dać naszym wrogom znak, że ich rosnąca aktywność w Indiach nie będzie tolerowana. Przepraszam, Ethanie, jeśli moje dalsze słowa zabrzmiały jak szyderstwo wymierzone w ciebie i George'a Westhouse'a w Londynie, ale jesteśmy zdeterminowani, by templariusze nie zapuścili tu korzeni, tak jak to się stało w Londynie, bo wiemy, do czego to prowadzi.

Dziękuję ci za twój list, Ethanie. Mam nadzieję i ufam, że fundamenty naszej znajomości są dość mocne, by moja odpowiedź nie zakończyła naszej przyjaźni. Jednak podjąłem już decyzję i tak jak ty przestrzegasz swoich zasad, tak i ja muszę przestrzegać moich.

*Jak zawsze twój,
Arbaaz Mir,
Amritsar*

13

Wewnętrzna depesza wysłana do George'a Westhouse'a w Londynie, odszyfrowana z oryginału:

Proszę niezwłocznie przekazać Ethanowi Frye'owi: Jayadeep jest w Ciemności.

Drzwi zamknęły się za nimi. Przyśrubowane do ścian pochodnie oświetlały kamienne stopnie prowadzące w dół do następnych drzwi.

Przed Ethanem szedł strażnik sali spotkań, Ajay. Podobnie jak Ethanowi, głowę skrywał mu obszerny kaptur, jakby w uznaniu dla posępnej natury tego, co robili w tym ciemnym, zimnym i bezlitosnym miejscu. Do tego Ajay nosił u pasa zakrzywioną szablę, a gdy otwierał drzwi Ethanowi, mignęło jego ukryte ostrze. Tak, Ajay spełni swój obowiązek, jeśli będzie trzeba. Oczywiście z żalem, ale zrobiłby to.

Nazywają to miejsce Ciemnością. Ciąg małych izb pod główną salą spotkań Bractwa w Amritsarze. Komnaty były przeznaczone do przechowywania dokumentów i broni, ale ich mroczna aura i układ przypominający cele więzienne sprawiały, że wciąż krążyły plotki o tym, co mogło się tam dziać w przeszłości: planowanie intryg, przesłuchiwanie uwięzionych wrogów. Mówiło się nawet, że w Ciemności urodziło się kiedyś dziecko, chociaż mało kto dawał wiarę tej historii.

Dziś jednak Ciemność miała zasłużyć na swoją reputację. Dziś Ciemność miała gościa.

Ajay przeprowadził Ethana przez wzmocnione drzwi do słabo oświetlonego, kamiennego korytarza z szeregiem pomieszczeń po obu stronach. Na końcu przejścia otworzył drzwi wyposażone jedynie w małego judasza, potem stanął z boku z lekkim ukłonem, pozwalając gościowi wejść do środka. Ethan przekroczył próg do maleńkiej komnaty, której dawna funkcja była nieznana, ale teraz została przerobiona na celę z drewnianą pryczą.

Z szacunku do Ethana Ajay położył swoją latarnię u stóp asasyna, a następnie wycofał się, zamykając za sobą drzwi. I wtedy w świetle latarni

padającym na ponure ściany z ciemnego kamienia Ethan ujrzał swojego byłego ucznia po raz pierwszy od sześciu lat i na widok jego upadku pękło mu serce.

Jayadeep siedział po turecku w kącie na brudnej słomie pokrywającej posadzkę celi. Spędził tu wiele tygodni, podczas gdy Ethan odbywał długą podróż z Anglii do Indii. Jego nowe miejsce zamieszkania nie było zbyt świeże i niewątpliwie kiedyś wyglądał zdrowiej, ale jego obecna powierzchowność i tak była dla Ethana uderzająca. Przez wszystkie te lata zmienił się w przystojnego młodego człowieka o przenikliwych oczach, ciemnych włosach, które co jakiś czas odgarniał z twarzy, o nieskazitelnej kasztanowej skórze. „Złamię kilka serc”, pomyślał Ethan, przyglądając mu się od progu.

Ale najpierw obowiązek.

Asasyn przyłożył rękę do nosa i ust nie tylko po to, by zastąpić smród celi znajomym zapachem własnej skóry, ale też po to, by pokazać rozpacz, w jaką wpędzało go fatalne położenie dawnego ucznia. Przypuszczenie, że sam mógł zrobić więcej, by temu zapobiec, tylko wzmogło jego żal, a spojrzenie Jayadeepa, który przestał kontemplować własne stopy, by popatrzeć na stojącego w drzwiach nauczyciela, przenikliwe i zarazem chwytające za serce, pełne wdzięczności, ulgi, smutku i wstydu, tylko pogorszyło sprawę.

– Witaj, mistrzu – powiedział po prostu Jayadeep.

Nie było to szczególnie przyjemne, ale Ethan usiadł obok Jayadeepa. Dwaj mężczyźni znów się spotkali, tym razem w takich okolicznościach; zapach jaśminów był tylko wspomnieniem dawnej i bezpowrotnie utraconej przeszłości.

Ethan wyciągnął rękę i skubnął łańchmany, które miał na sobie Jayadeep.

– A więc zabrali ci twój płaszcz?

Jayadeep spojrzał na niego żałośnie.

– Nie tylko to.

– W takim razie może zaczniemy od tego, że opowiesz mi, co się

wydarzyło?

Chłopak wydał z siebie krótkie, smutne prychnięcie.

– Chcesz powiedzieć, że jeszcze nie wiesz?

Przybywając do Amritsaru, Ethan zastał Bractwo w stanie zamętu, podjęto gorączkowe działania, by zapobiec reperkusjom tego, co zaszło. Oczywiście znał już tę historię. Ale i tak...

– Chciałbym to usłyszeć z pierwszej ręki.

– Trudno mi o tym mówić.

– Spróbuj, proszę.

Jayadeep westchnął.

– Twoje szkolenie wykształciło w moim umyśle i ciele mechanizmy odruchów i reakcji, kombinacje ataku i obrony, kalkulacji, prognoz i przewidywań. Byłem gotowy do akcji we wszystkim poza jednym. Miałeś rację, mistrzu, brakowało mi serca. Powiedz mi, skąd wiedziałeś.

Ethan odpowiedział:

– Uwierzyłbyś, gdybym ci powiedział, że wszystko sprowadza się do różnicy między drewnianym treningowym kukri a prawdziwym nożem?

– Pomyślałbym, że to część prawdy. Ale tylko część.

– I miałbyś rację, Jayadeep. Bo prawda jest taka, że zobaczyłem w twoich oczach coś, co widziałem w oczach ludzi, których zabiłem; ludzi, których brak serca do walki był słabością, którą wykorzystałem, by zatopić w nich ostrze mojego noża.

– I pomyślałeś, że widzisz to we mnie?

– Tak. I miałem rację, prawda?

– Myśleliśmy, że się myliłeś. Ojciec sądził, że można mi wpoić ducha walki, potrzebnego, bym został zabójcą. Zabrał się do pokazywania mi drogi. Ćwiczyliśmy i robiliśmy próby z żywymi stworzeniami.

– Wbicie noża w zwierzę to coś zupełnie innego niż...

– Teraz to wiem. – Te słowa zabrzmiały ostro. Wróciło coś z dawnej relacji mistrz–uczeń i Jayadeep spuścił przepaszająco wzrok. – Teraz to wiem,

mistrzu, i uwierz mi, żałuję.

– Ale Arbaaz i ty czuliście, że jesteś gotowy, by odebrać ludzkie życie, odebrać człowiekowi wszystko, czym kiedykolwiek był i kiedykolwiek będzie, by pozostawić jego rodzinę w żałobie, wywołać falę smutku i goryczy oraz prawdopodobnej zemsty i oskarżeń, która może wracać jak echo przez stulecia? Twój ojciec i ty czuliście, że jesteś na to gotowy?

– Mistrzu, proszę, nie utrudniaj. Tak, masz rację, w obliczu tego, o czym mówisz, nasze przygotowania mogły się wydawać strasznie marne, ale z drugiej strony, który asasyn by temu zaprzeczył? Wszystko jest teorią, dopóki nie sprawdzi się tego w praktyce. I przyszła moja kolej, żeby to zrobić. W ramach chrztu bojowego miałem zabić Hindusa, templariusza Tjindera Daniego. Człowieka, który jak sądziliśmy, planował utworzenie placówki templariuszy w naszym mieście.

– A jaka miała być metoda egzekucji?

– Garota.

Ethan zaklął w duchu. Garota. Akurat to. By użyć garoty, nie trzeba dużych umiejętności, ale potrzebna jest determinacja, a Jayadeep miał właśnie ogromne umiejętności, ale nie tak wiele determinacji. Co, u licha, Arbaaz sobie myślał?

Jayadeep mówił dalej:

– Pod osłoną ciemności ja i ojciec znaleźliśmy się na ulicy, przy której mieściła się kwatera Daniego. Jeden z naszych agentów przekupił nocnego stróża, by dał nam klucz, odebraliśmy go na ulicy, podziękowaliśmy, zapłaciliśmy i odesłaliśmy tego człowieka.

„Świadek”, pomyślał Ethan. Coraz lepiej.

– Wiem, co myślisz. Mogłem otworzyć zamek wytrychem.

– Jesteś w tym świetny.

– Z informacji przekazanych przez agenta wynikało, że templariusz Dani spodziewał się ataku i w ciągu dnia towarzyszyła mu ochrona. Nasi wrogowie liczyli się z tym, że zamach na jego życie za dnia skończyłby się

otwartym starciem. Trzeba było za wszelką cenę uniknąć ulicznej potyczki z udziałem asasynów i templariuszy. To dlatego zdecydowano się na akcję w nocy i dlatego zebraliśmy jak najwięcej informacji o nocnej aktywności naszego celu.

– I to ty to zrobiłeś, prawda?

– Tak, i dowiedziałem się, że Dani ryglował na noc drzwi i zakładał pułapki, tak że wejście czy to przez drzwi, czy przez okno skończy się alarmem. Klucz, który dostaliśmy, nie był kluczem do pokoju Daniego, a nawet nie do jego kwatery, ale do sąsiadującego z nią magazynu, gdzie mogłem wejść niezauważony. Na ulicy stało trzech ludzi, którzy wszystkim innym wydawali się ochroną magazynu, ale wiedziałem, że to strażnicy templariuszy i ich zadaniem było dbać o to, by żaden asasyn nie wspiął się ani na budynek kwatery, ani na magazyn. To był sprytny ruch. Kontrolowali okolicę na zewnątrz budynków, podczas gdy Dani był w środku bezpieczny w swoim pokoju. Trzeba było działać przebiegle i niepostrzeżenie. Potrafiłem jedno i drugie.

Czekałem w ciemności, czerpiąc siłę i otuchę z tego, że nieopodal czeka mój ojciec z końmi, gotowy do ucieczki. Jednocześnie obserwowałem strażników patrolujących teren.

Byłem tam oczywiście wcześniej nocami, o tej samej porze, i wiedziałem, że strażnicy koordynowali swoje ruchy tak, by nie dopuścić, żeby ktokolwiek wspiął się po murze. Pod szatami mieli ukryte kusze i noże do rzucania; utrzymywali bezpieczny dystans między sobą, by uniemożliwić szybką likwidację dwóch za jednym zamachem, więc zabicie jednego z nich zaalarmowałoby innych. Nie miałem powodu przypuszczać, że byli niekompetentni. To dlatego miałem klucz, Ethanie.

– Klucz do magazynu?

– Tak. Naoliwiłem dziurkę od klucza tego samego ranka i teraz odliczałem, mierzyłem czas i ruszyłem w odpowiednim momencie. Pomknąłem przez rampę za magazynem i do tylnych drzwi, tam włożyłem klucz do zamka.

Dobrze był naoliwiony, więc trzask był stłumiony i chociaż dla moich uszu brzmiał jak wystrzał z pistoletu, w rzeczywistości był to tylko kolejny nierozróżnialny nocny dźwięk i po chwili byłem w środku. Zamknąłem za sobą drzwi magazynu, ale wziąłem klucz. Miała to być również moja droga ucieczki.

Albo tak mi się wtedy wydawało. Bo oczywiście się myliłem.

Głowa chłopca znów opadła, wykręcił ręce dręczony bolesnymi wspomnieniami.

– Magazyn był pusty. Na kamiennej posadzce widziałem tylko długi stół z listew i kilka krzeseł. Być może używali ich templariusze. Tak czy inaczej, pomyśl, że to te meble potrzebowały straży, był śmiechu wart. Oczywiście nie kłopotali się zostawieniem strażnika w środku, ale mimo to wdrapując się na górę po schodach, a potem po drabinie na dach budynku, zachowałem ciszę. Gdy znalazłem się na zewnątrz, pozostałem w ciemnościach i zdjąłem z szyi chustę. Pytasz o mój płaszcz asasyna, tak naprawdę nigdy go nie nosiłem. Miałem na sobie to co teraz. Gdyby jakimś trafem odkryli mnie strażnicy magazynu, wzięliby mnie za zwykłego ulicznika, daliby szturchańca i puścili wolno. Gdyby dokładniej mnie przeszukali, dowiedzieliby się, że od urwisa z ulicy różnię się tylko jednym – miałem w kieszeni monetę.

Ethan kiwał głową, dobrze wiedząc dlaczego. Znał tę broń. Monetę zawijało się w chustę, a tej używało jako *lumal*, rodzaju garoty. Moneta miażdży tchawicę i krtań, przyśpieszając śmierć i uniemożliwiając krzyk. To jedno z najprostszych, ale i bardzo skutecznych narzędzi asasyna. Ethan zaczynał rozumieć, dlaczego Arbaaz je wybrał. Zaczynał nawet rozumieć, dlaczego Arbaaz wybrał do zadania Jayadeepa.

– Mów dalej – powiedział.

– Przeskoczyłem z łatwością. A potem, trzymając się w cieniu na dachu budynku i uważając na strażników, którzy wciąż patrolowali ulicę na dole, podkradłem się do wjazdu, o którym wiedziałem, że znajduje się w suficie

pokoju Daniego. Miałem ze sobą odrobinę smaru za uchem i użyłem go do zawiasów, klapę otworzyłem tak ostrożnie, jak to możliwe, aż w końcu opuściłem się w ciemność na dole.

Wstrzymałem oddech, serce waliło mi jak młotem. Ale, jak zawsze mnie uczyłeś, odrobina strachu jest mile widziana. Strach sprawia, że jesteśmy ostrożni. Strach utrzymuje nas przy życiu. Jak dotąd w mojej misji nie było nic niepokojącego. Wszystko szło zgodnie z planem.

Byłem teraz w pokoju Daniego. Widziałem pułapki, jakie umieścił przy drzwiach i w oknie. Układ bloczków połączonych z dzwonkiem wiszącym pod sufitem, niedaleko włazu, którego właśnie użyłem, by dokonać swojego wielkiego wejścia.

A tam, w łóżku, był mój cel, człowiek, o którym wiele się dowiedziałem podczas tygodni poprzedzających misję. Zacząłem ciężko oddychać. Krew pulsowała mi w skroniach, jakby żyły chciały się dostosować do przyspieszonego rytmu serca. Tak napinały się moje nerwy...

Ethan przerwał mu.

– Kiedy zdobywałeś informacje o Danim, stawał się w twoich oczach człowiekiem, prawda? Zacząłeś o nim myśleć jako o osobie, a nie celu, tak?

– Z perspektywy czasu widzę, że masz rację. Tak było.

– Kto by się tego spodziewał? – powiedział Ethan, natychmiast żałując tego niestosownego sarkazmu.

– Mogło być za późno, nawet gdybym się spodziewał. Za późno, żeby zmienić zdanie. Nie było odwrotu. Byłem asynem w pokoju śpiącego człowieka. Mojego celu. Musiałem działać. Nie miałem innego wyboru, jak tylko wykonać zadanie. Czy byłem gotowy, czy nie, przestało być istotne. To nie była kwestia gotowości, to była kwestia działania. Zabić albo zawieść.

– I chyba obaj wiemy, co tam się stało. – Ethan ponownie pożałował swojego nonszalanckiego tonu, przypomniał sobie, że kiedy skończy rozmowę, wstanie, otrzepie ubranie ze słomy, wezwie strażnika i zostawi chłopaka samego w tym ciemnym, wilgotnym miejscu. Nie, to nie był czas

na błyskotliwe uwagi. Zamiast tego spróbował wyobrazić sobie scenę w pokoju: ciemne wnętrze, śpiący mężczyzna. Czy kiedykolwiek człowiek wygląda bardziej niewinnie niż podczas snu? I Jayadeep, wstrzymujący oddech, ściskający materiał w dłoni, zbierający siły, by zaatakować, wsuwający monetę do chusty i...

Moneta wypada. Uderza o deski podłogi.

– Twoja garota – powiedział do Jayadeepa. – Czy moneta ci z niej wypadła?

– Skąd wiesz? Nikomu o tym nie mówiłem.

– Wizualizacja, mój drogi chłopcze. Zawsze cię tego uczyłem, nieprawdaż?

Na twarzy chłopca pojawił się pierwszy cień uśmiechu, odkąd Ethan wszedł do celi.

– Uczyłeś. Oczywiście, że uczyłeś. Cały czas używam tej techniki.

– Ale nie wtedy?

Chmura smutku przysłoniła grymas uśmiechu.

– Nie, nie wtedy. Wtedy słyszałem tylko huczącą mi w głowie krew. Słyszałem tylko głos ojca przynaglający mnie, żebym zrobił to, co należy. Dźwięk upadającej monety zaskoczył mnie i obudził Daniego, który zareagował szybciej ode mnie.

– Trzeba było zaatakować od razu, kiedy znalazłeś się w pokoju – powiedział Ethan i gniew, który wcale nie należał się chłopcu, i tak się na nim skupił. – Trzeba było zaatakować w tej samej sekundzie, w której pojawiła się okazja. Twoje wahanie stało się twoją zgubą. Co ci zawsze mówiłem? Co twój ojciec zawsze ci radził? Wahasz się i giniesz, to proste. Zabójstwo to nie akt intelektualny. Wymaga wiele myślenia, ale całe to myślenie odbywa się podczas planowania i przygotowań, kontemplacji i wizualizacji przed samym działaniem. *Wtedy* jest czas na przemyślenie sprawy, tyle ile trzeba, aż będziesz pewien, całkowicie pewien, że jesteś gotowy, żeby zrobić to, co trzeba. Bo w chwili gdy stoisz przed swoim celem, nie ma czasu na wahanie.

Jayadeep spojrział na swojego starego przyjaciela i jego oczy wypełniły się łzami.

– Teraz to wiem.

Ethan dodał mu otuchy, kładąc rękę na jego dłoni.

– Wiem. Przepraszam. Powiedz, co się stało potem.

– Był szybki i muszę mu jeszcze oddać, że był do tego jeszcze silny: wyskoczył z łóżka z prędkością, której nie podejrzewałem u człowieka w jego wieku i z jego tuszą; złapał mnie praktycznie nieuzbrojonego i pchnął do tyłu, w stronę okna.

Wypadliśmy wprost przez nie, Dani i ja. Poleciliśmy wprost przez okiennice i wylądowaliśmy na bruku ulicy. Na szczęście nasz upadek złagodziła markiza. Kiedy myślę o tym teraz, to miałem może nadzieję, że wróci moje wyszkolenie, swego rodzaju instynkt. Ale wytrenowane umiejętności mnie zawiodły. Nawet kiedy odturlałem się od Daniego, obolały i oszołomiony, desperacko starając się odzyskać władzę nad zmysłami, zobaczyłem twarze w oknach po drugiej stronie ulicy i usłyszałem tupanie strażników biegnących pośpiesznie w naszym kierunku.

Odczołgałem się na bok, czując przejmujący ból głowy i biodra. Chwilę później Dani rzucił się na mnie z obnażonymi zębami, błyszczącymi oczami rozszerzonymi z nienawiści, z rękami zaciskającymi się na mojej szyi.

Nie usłyszał konia. Ja też nie. Wcześniej razem z ojcem strzepami koca owinęliśmy podkowy i teraz nadjechał cichy niczym zjawa. Zobaczyłem dopiero konną postać w płaszczu, wyłaniającą się zza pleców Daniego, która w jednej ręce trzymała lejce, drugą zaś wyciągnęła, zgiętą w łokciu i naprężoną, po czym wysunęła ukryte ostrze. Stał zabłysła w świetle księżyca. Ojciec owinął wodze wokół ręki i szarpnął do tyłu, zmuszając konia, by ten stanął na zadnich nogach, i przez mgnienie oka ujrzałem go jako budzącego strach asasyna – wojownika z legend. Zobaczyłem śmiertelny błysk w oku ojca, a żądza zabijania była tak silna i prawdziwa jak broń w jego dłoni. Zobaczyłem człowieka, którym nigdy nie będę. Wtedy

właśnie zrozumiałem, że jestem zgubiony.

I być może również Dani, cel mojego ataku, już wiedział, że śmierć nadchodzi z za jego pleców. Ale było za późno i ostrze mojego ojca przebiło się przez jego czaszkę do mózgu, zabijając go w jednej chwili. Oczy mu się rozszerzyły, potem zapadły w głąb, a usta otwarły w niemym krzyku zaskoczenia, pół sekundy straszliwej agonii, aż jego życie zgasło, w chwili kiedy widziałem zakrwawioną stal w jego ustach.

Ojciec wyszarpnął ostrze, z którego spadły kropelki krwi; machnął nim do tyłu, by przeciąć gardło pierwszego nadbiegającego strażnika, który upadł w fontannie krwi tętniczej, zanim w ogóle zdążył wyciągnąć broń. Ramię ojca wystrzeliło w drugą stronę, tym razem przed pierś, i stal zadzwoniła w nocnej ciszy ostro i głośno niczym dzwonek alarmowy Daniego, gdy jego ostrze napotkało nóż drugiego strażnika. Parada zachwiała atakującym i w mgnieniu oka ojciec był na ziemi, wykorzystując przewagę, wyciągając drugą ręką szablę i jednocześnie atakując.

W ułamku sekundy było po wszystkim. Jak rozmazana plama płaszcza i stali, ojciec zaatakował oburącz. Strażnik instynktownie wyprostował przedramię, by zablokować cios szablą, ale naraził się w ten sposób na cios z drugiej strony, i dokładnie to zrobił ojciec, wbił swoje ukryte ostrze w pachę strażnika.

Mężczyzna upadł, jego tunika była już karmazynowa, kocie łby lśniły od krwi. Musiał się wykrwawić w ciągu kilku chwil. Albo zakrztusić własną krwią, jeśli...

– Jeśli ostrze przebiło płuca. Tak, sam cię tego nauczyłem.

– Czy pozostali strażnicy zbyt wolno nadbiegali, czy też może zobaczyli ojca w akcji i uznali, że dyskrecja sprawdzi się lepiej od męstwa, tego nie wiem. Ojciec bez słowa dosiadł z powrotem konia, podał mi rękę, wciągnął mnie za siebie i odjechaliśmy, pozostawiając za sobą ulicę pogrążoną w śmierci.

Nastąpiła długa pauza. Ethan nie wyrzekł ani słowa, odczuwając traumę

chłopca niemal jak swoją własną. „Więc tak to było”, pomyślał. To, co zrobił Jayadeep, złamało zasady zapisane w Credo: był zmuszony zrezygnować z krycia się przed wzrokiem postronnych; gorzej, był zmuszony narazić Bractwo.

– Wiem, co myślisz – powiedział w końcu Jayadeep. – Myślisz, że jestem tchórzem.

– Cóż, w takim razie nie wiesz, co myślę, bo wcale tak nie jest. Jest cały wszechświat między myślą a działaniem, i wiem o tobie jedno, Jayadeep: nie jesteś tchórzem.

– Więc dlaczego nie byłem zdolny do zadania śmiertelnego ciosu?

Ethan wyrócił oczami. Czy nikt tu, u licha, nie słuchał ani jednego jego słowa?

– Bo nie jesteś zabójcą.

Znów zapadło milczenie. Z chłopca bił smutek i Ethan pomyślał: „W jakim świecie żyjemy, jeśli opłakujemy niezdolność do zadawania śmierci?”.

– Co powiedział ci ojciec, kiedy wracaliście do domu?

– Nic, mistrzu. Nie powiedział nic, ani słowa. Ale oczywiście jego milczenie było bardzo wymowne i nadal jest. Ani razu mnie nie odwiedził. Matka też nie.

W Ethanie zawrzała złość. Cholerny tyran, żeby zostawić własnego syna w tej dziurze.

– Asasyni musieli zabronić twojej matce tu przychodzić.

– Tak.

I Ethan mógł się z łatwością domyślić, jak czuł się Arbaaz. Wyobrażał sobie, jak jedzie z synem do domu, zostawia Jayadeepa i nakazuje mu iść do swojego pokoju z milczącym wstydem, a potem odjeżdża, by zobaczyć się ze swoim mentorem, Hamidem. Chłopak powiedział mu, że spał w łóżku, kiedy obudzono go, zakładając mu na głowę czarną narzutę, i zabrano do Ciemności. Ethan był ciekaw, czy jednym z tych, którzy aresztowali Jayadeepa, był Arbaaz. Czy jego własny ojciec był na czele tego oddziału?

Wstał.

– Zrobię wszystko, żeby cię stąd wyciągnąć, Jayadeep, możesz być tego pewien.

Ale kiedy wołał Ajaya, po angielsku i w hindi, Ethan miał przed oczami spojrzenie chłopca i to, jak potrząsał głową ze smutkiem w poczuciu beznadziei.

Ethan i Ajay przebyli krótką drogę przez korytarz i w górę, po kamiennych schodach, do pokoju spotkań. Była tam druga strażniczka, zniewalająco piękna kobieta, stojąca na lekko rozstawionych nogach, z dłońmi na rękojeści dużej szabli, której klinga opierała się na kamiennej płycie u jej stóp. Przyglądała się Ethanowi nieruchomym wzrokiem spod kaptura.

– To jest Kulpreet – przedstawił ją Ajay, wykonując w jej kierunku ruch nieogolonym podbródkiem. – Jest najlepszą kobietą szermierzem w Bractwie.

Ale szabla, którą trzymała, była dłuższa, miała bardziej płaską klingę niż bojowa...

– Kiedy? – zapytał ją Ethan.

– Jutro rano – odpowiedziała.

I Ethan widział w jej oczach, że rozmawia z katem Jayadeepa.

15

– Dziękuję, że się ze mną spotkałeś.

Ethan miał powody, by się obawiać, że Arbaaz po prostu odrzuci jego prośbę o audiencję. To, co się stało, w najmniejszym stopniu nie było winą Ethana, ale Arbaaz z pewnością obarczał go częścią odpowiedzialności. Pozostawała zresztą kwestia listów, które wymienili.

Ethan nie przyjąłby odpowiedzi odmownej. Był tu po to, by uratować życie Jayadeepa Mira, i nie zamierzał wyjeżdżać, póki zadanie nie zostanie wykonane.

Jak można się było spodziewać, jego stary przyjaciel powitał go z rezerwą i smutkiem widocznym w zmęczonych bezsennością oczach, ze ściągniętą i wymizеровaną twarzą. Co on musiał przechodzić? Jakie męczarnie w rozdarciu pomiędzy miłością rodzicielską a lojalnością wobec Bractwa?

Wyglądało na to, że troski zwolniły go z obowiązków gospodarza. Ethanowi nie zaproponowano chleba, oliwek ani wina, a powitanie było chłodne. Poprowadzony przez chłodne marmurowe korytarze domostwa Mirów, asasyn był rozczarowany, że nigdzie nie widział Pyary – mógł mieć w niej sojusznika. Następnie pozostawiono go w jednym z pomieszczeń na tyłach, w pokoju, którego kiedyś używał do nauczania Jayadeepa. Wtedy wybrał ten pokój ze względu na spartańskie umeblowanie.

Nic, co by rozpraszało. Dziś nie było tu nawet gorącej herbaty. Tylko pleciana mata na ścianie, dwa krzesła o prostych oparciach, na których usiedli, pomiędzy nimi niewypolerowany stół i wyjątkowy nastrój.

– Nie odczytuj błędnie powodów, dla których zgodziłem się z tobą zobaczyć, Ethanie. Jest coś, o co chciałbym cię zapytać.

Ostrożnie, z nadzieją, że będzie miał szansę na przedstawienie swojego stanowiska, Ethan rozłożył ręce.

- Mów dalej.
- Ethanie, chcę wiedzieć, jak zamierzasz to zrobić.
- Jak zamierzam co zrobić?
- Oczywiście uwolnić Jayadeepa. Planujesz wydobyć go z Ciemności, a może uratować go podczas egzekucji? Ilu asasynów zamierzasz uśmiercić po drodze?

Spojrzenie Arbaaza było kategoryczne i straszne.

- Miałem raczej nadzieję, że wcześniej porozmawiam o tym z tobą, Arbaazie, jako jednym z moich najstarszych i najdroższych przyjaciół.

Arbaaz pokręcił głową.

- Nie. Nie będzie dyskusji. Co więcej, muszę ci powiedzieć, że będziesz pod obserwacją przez cały, mam nadzieję, krótki, czas twego pobytu w Amritsarze. Musimy zapobiec próbom uwolnienia Jayadeepa.

- Dlaczego miałbym uwolnić Jayadeepa, Arbaazie? – zapytał Ethan łagodnie racjonalnym tonem.

Jego rozmówca dłubał paznokciem w sęku w drewnie, przyglądając mu się, jakby spodziewał się, że zareaguje.

- Bo życie na Zachodzie uczyniło cię miękkiem, Ethanie. To dlatego Bractwo w Londynie zostało praktycznie zmiecione z powierzchni ziemi i dlatego George i ty jesteście jedynie niegroźnymi rebeliantami wobec władzy templariuszy. Jesteś słaby, Ethanie. Pozwoliłeś, by wasze Bractwo za oceanem skurczyło się do nieistotnych rozmiarów, a teraz chcesz przenieść tu wasze postępowe zasady i myślisz, że ci na to pozwolę.

Ethan pochylił się do przodu.

- Arbaazie, tu nie chodzi o walkę templariuszy przeciwko asasynom. Tu chodzi o Jayadeepa.

Oczy Arbaaza na krótką chwilę zaszły mgłą.

- Tym bardziej powinien zapłacić najwyższą cenę za swoje...
- Co?
- Wykroczenie. – Arbaaz podniósł głos. – Swoje wykroczenie, swoją

niekompetencję, swoje niedołęstwo.

– Nie musi zostać stracony.

– Widzisz? Przyszedłeś, żeby błagać o jego życie.

Ethan wzruszył ramionami.

– Nie ukrywam tego. Przyszedłem, żeby błagać o jego życie, ale źle mnie oceniasz, jeśli myślisz, że jestem słaby lub że sprzeciwiam się twojemu twardemu stanowisku. Wręcz przeciwnie, podziwiam twoją wewnętrzną siłę i determinację. Mówimy w końcu o twoim synu. Nie słyszałem o żadnym asasynie wpędzonym w tak trudną sytuację, w jakiej się teraz znajdujesz, zmuszonym, by stawiać obowiązek ponad własną rodzinę.

Arbaaz rzucił mu z ukosa przenikliwe spojrzenie, jakby nie był pewny, jak odczytać słowa Ethana. Widząc, że jego stary przyjaciel był szczery, spuścił nos na kwintę.

– Tracę syna, ale też i żonę – powiedział przygnębionym głosem. – Pyara nigdy już na mnie nie spojrzy. Wyraziła się bardzo jasno.

– Nie musisz składać tej ofiary.

– Jak to?

– Wygnaj go, wygnaj go pod moją opiekę, mam dla niego ważne zadanie, które jeśli się powiedzie, może pomóc w przywróceniu pozycji Bractwa w Londynie. Misja, Arbaazie, tajna misja, do której Jayadeep ze swoimi szczególnymi zdolnościami świetnie się nadaje. Nie musi umierać. Rozumiesz? Może wrócić ze mną do Anglii i twój honor nie ucierpi. Odbędzie się nad nim sąd, ale będzie żył, Arbaazie. Zapewniam cię, że nie będą to wygody, do których jest przyzwyczajony. Mój plan zakłada wyjątkowo kiepską sytuację finansową. Ale możesz to uznać za część jego kary. W końcu nie musisz tego mówić Pyarze. Tylko to, że jest ze mną. Będę jego opiekunem.

Modląc się o dobry skutek przemowy, Ethan obserwował, jak na twarzy przyjaciela odbija się wewnętrzna walka.

– Musiałbym porozmawiać z Hamidem – powiedział Arbaaz w zadumie.

– Tak – powiedział Ethan i stłumił westchnienie ulgi.

Arbaaz nie chciał patrzeć na egzekucję Jayadeepa; Ethan proponował mu wyjście z sytuacji, która rozbiłaby jego rodzinę, i to wszystko bez utraty twarzy.

– Co więcej, sędzę, że ta rozmowa okaże się łatwiejsza, niż sobie wyobrażasz – ciągnął Ethan. – Widziałem dziś Ajaya i Kulpreet i jeśli ich nastrój jest taki jak całego Bractwa egzekucja Jayadeepa nie sprawiłaby im więcej radości niż tobie czy mnie. Niech karą będzie banicja. Wielu uważa, że to nawet gorsze od śmierci.

– Nie – powiedział Arbaaz.

Ethan drgnął.

– Słucham?

– Karą musi być śmierć.

– Nie rozumiem...

– Jeśli to zadanie jest tak tajne, jak sugerujesz, to czy nie byłoby korzystnie, gdyby nasz agent nie istniał? Kto powiąże go z Jayadeepem Mirem, skoro Jayadeep Mir nie żyje?

Ethan klasnął w dłonie.

– Duch? – powiedział z radością. – Arbaazie, to genialne pociągnięcie godne tego wielkiego asasyna, którego znam.

Wtedy Arbaaz wstał, obszedł stół i wreszcie uścisnął starego przyjaciela.

– Dziękuję ci, Ethanie – powiedział, gdy asasyn podniósł się niezdarnie. – Dziękuję ci za to, co robisz.

I Ethan wyszedł, myśląc, że koniec końców wykonał tego popołudnia kawał dobrej roboty. Nie musiał używać listu, który miał w kieszeni, tego, w którym Arbaaz otwarcie odrzucił jego radę, listu, który dowodził, że jakiegokolwiek zarzuty o niekompetencję czy niedbalstwo nie należały się Jayadeepowi, lecz właśnie ojcu. Co więcej, ocalił życie chłopca, który był równie bliski jego sercu jak jego własne dzieci, i dodatkowo prawdopodobnie uratował małżeństwo Arbaaza i Pyary.

Przy tym miał teraz agenta, i to nie było jakiego. Najbardziej obiecującego asasyna, jakiego miał szczęście szkolić.

Dwa lata później Jayadeep, obecnie Duch, klęczał na dobrze urodzonym poszukiwaczu wrażeń na cmentarzu Marylebone i podnosił długi nóż, gotów zadać śmiertelny cios.

I wtedy, zupełnie jak w noc swojego chrztu bojowego, zamarł.

Wrócił myślami do Daniego i ociekającego krwią, ledwo błyszczącego ojcowskiego noża w ustach tamtego umierającego człowieka, i jeszcze raz ujrzał światło gasnące w jego oczach i wiedział, że widzi śmierć: szybką, brutalną i zadaną bez litości. I nie mógł się zmusić, żeby to zrobić.

Bogacz wyczuł swoją szansę. Człowiek ów w życiu nie stoczył uczciwej walki. Służbę wojskową spędzał w kantynie oficerskiej na opijaniu swego szczęśliwego losu, podczas gdy niższe szarże szły ginąć w imię królowej. Ale jak każde żywe stworzenie miał instynkt przetrwania, który mówił mu, że moment zawahania napastnika to jego największa szansa, by przeżyć.

Wił się i wierzgał. Pchnął biodrami z tak nagłą, desperacką siłą, że Duchowi przypomniało się na chwilę, jak będąc chłopcem, ujeżdżał dzikie kucyki. Potem poczuł, że został zrzucony na bok, wciąż dezorientowany, z umysłem pogrążonym w chaosie.

Długi nóż wypadł mu z palców i przeciwnik rzucił się po niego, wydając jednocześnie okrzyk triumfu:

– Aha! – A potem odwrócił się, gotów do użycia broni przeciwko Duchowi, równie zadziwiony tym nagłym korzystnym obrotem zdarzeń, jak i pełen entuzjazmu, by go wykorzystać.

– Ty mały draniu – wypluł z siebie, rzucając się naprzód z wyprostowanymi ramionami, celując ostrzem kordelasa w gardło Ducha.

Nigdy go nie dosięgnął. Z ich lewej strony dobiegł okrzyk i z mroku wyłoniła się kobieta z rozpuszczonymi siwymi włosami, która nadbiegła

z wrzaskiem i z całą siłą staranowała paniczyka.

Atak nie był ładny stylowo. Nie był nawet decydujący. Ale był druzgocąco skuteczny: z okrzykiem zaskoczenia, bólu i złości wysoko urodzony prostak poleciał, koziółkując, między nagrobki. Próbował znów podnieść broń, ale kobieta była szybsza, skacząc na jego uzbrojoną w nóż rękę i łamiąc ją z wyraźnie słyszalnym trzaskiem, a następnie używając swojej drugiej stopy, by nadepnąć mu na twarz, tak że przez moment wyglądało to, jakby tańczyła na dywanie z wyższej klasy.

Mężczyzna odsunął się z twarzą wykrzywioną w grymasie, pomazaną świeżą krwią i zdrową ręką podniósł broń, usiłując wstać. Kobieta straciła równowagę, upadła i nagle role się odwróciły, a ostatnie słowo miało należeć do noża. Duch zdążył już jednak oprzytomnieć i nie miał zamiaru pozwolić mu skończyć tego, co zaczął, więc zaatakował, uderzając grzbietem dłoni w jego złamane ramię, przez co tamten obrócił się i wrzasnął z bólu.

Krzyk nagle się urwał, kiedy Duch zadał drugi cios – tym razem śmiertelny – ponownie grzbietem dłoni, ale jeszcze mocniejszy, celując w punkt tuż pod arystokratycznym nosem, łamiąc go i wbijając fragmenty kości do mózgu, co spowodowało natychmiastową śmierć.

Pechowy poszukiwacz mocnych wrażeń ciężko uderzył głową w kamień nagrobny, by wreszcie spocząć na niekoszonej trawie. Ciemne strumyki krwi i płynu mózgowego ciekły z jego nozdrzy. W chwili śmierci zamrugał jeszcze powiekami.

Duch stał, podnosząc i opuszczając ramiona, by złapać oddech. Leżąca za pobliskim nagrobkiem stara kobieta patrzyła na niego i przez dłuższą chwilę ostrożnie przyglądali się sobie nawzajem: ta dziwna siwa starsza dama, wynędzniała, ogorzała i zakrwawiona od bicia, i ten dziwny młody Hinduś, brudny po całym dniu pracy w wykopie. Oboje mieli na sobie podarte i brudne ubrania. Oboje byli wyczerpani i posiniaczeni w walce.

– Uratowałaś mi życie – powiedział po chwili.

Duch mówił łagodnie. Jego słowa zdawały się rozplýwać w ciszy i mroku

cmentarza i kobieta, upewniona, że nie był to człowiek, który wpadł w szal zabijania i zamierza ją wykończyć w ostatnim paroksyźmie nocnej żądzy mordy, z bólem uniosła się na jednej ręce.

– Mogłam uratować ci życie tylko dlatego, że ty uratowałeś moje – powiedziała przez połamane zęby i zakrwawione, poranione do żywego mięsa usta.

Widział, że była ciężko ranna. Po sposobie, w jaki trzymała rękę przy boku, odgadł, że prawdopodobnie złamała żebro albo dwa. Jeden ruch i z łatwością mogło dojść do przebiccia płuca.

– Możesz oddychać? – Przekroczył ciało zabitego arystokraty, przy którym leżała, i delikatnie położył ręce na jej boku.

– Co jest? – zaprotestowała, nagle znów zdenerwowana, myśląc może, że mogła nieco przedwcześnie się rozluźnić. – Co ty robisz, u licha?

– Próbuję ci pomóc – powiedział z roztargnieniem, szukając złamanych kości, a potem dodał: – Musisz iść ze mną.

– Słuchaj no. Bez głupich pomysłów...

– Co sugerujesz? Mamy tu trupa, a tam trzech rannych, i gdzieś jest jeszcze jeden człowiek, który będzie szukał policji albo innych oprychów, a może jednego i drugiego. A ty jesteś ranna. Możesz tu, rzecz jasna, zostać, ale wolałbym, żebyś tego nie robiła.

Spojrzała na niego nieufnie.

– Ale gdzie chcesz mnie zabrać? Masz tu gdzieś pensjonat? Nie wyglądasz na specjalnie zamożnego.

– Nie – powiedział. – To nie do końca pensjonat.

Przy tym posłał jej cierpki uśmiech i dla kobiety o imieniu Maggie był to niezapomniany widok, jakby słońce wyglądające zza chmur w szary dzień. Była po sześćdziesiątce, ale być może z powodu tego słoneczno-księżycowego uśmiechu Maggie znalazła się pod jego urokiem i poszła z nim do tunelu jeszcze tej nocy. Dowiedziała się od niego, że ma na imię Bharat. Że pracuje jako robotnik przy robotach kolejowych w pobliżu Regent's Park.

Przyzwyczaiła się jakoś do życia w tunelu. W nocy Duch i ona spali w niszy, przytuleni plecami, by było cieplej, razem, ale sami ze swoimi myślami. Maggie nigdy specjalnie nie myślała o mężczyznach, których spotkali tamtej nocy. Dwaj z nich byli oczywiście zbyt zajęci wciąganiem papki, którą karmił ich nieczuły personel szpitalny. Ale pozostali dwaj wciąż gdzieś tam byli. Ostatni oprych. Ocalały arystokrata. Oni też widzieli Ducha w akcji. Oni też wiedzieli, że był to naprawdę niezwykle młody człowiek.

Gdy posterunkowy Abberline wybrał się z powrotem na Belle Isle, w uszach wciąż brzmiały mu kpiny jego kolegów z policji.

Nie tak dawno nazywali go Freddie Świeżynka z powodu jego entuzjazmu i niezłomnego poczucia sprawiedliwości, i pod tym względem mieli rację: nie miał żony ani rodziny; był oddany swojej pracy i prawdą było, że uważał swoich kolegów za ludzi, co do których zawsze można być pewnym, że pójdą po linii najmniejszego oporu.

A jak przeżywali go teraz? Bezcielesny Glina. Policyjna Pała bez Ciała. Lub lekko przerobione Glina bez Trupa. Żadne z przezwisk nie było dowcipne ani zabawne. W sumie z tego, co rozumiał Abberline, opierały się wyłącznie na rymowaniu słów oznaczających martwe ciało i stróża prawa. Ale nawet ta wiedza nie była pomocna. Nie złagodziło to silnego bólu, jaki sprawiały mu drwiny jego kolegów, nie mówiąc o tym, że przecież jakaś prawda w tym była. Koniec końców *zgubił* ciało. A bez ciała równie dobrze mogło nie być żadnego morderstwa. Co znaczyło...

Bardzo chciał znaleźć to ciało. I dlatego znów powlókł się do Belle Isle, tym razem bez konia i wozu, ale za to nieco mądrzejszy i bardziej świadomy niespodzianek, jakie czekają na niego w dzielnicy biedoty. Na ramieniu wisiał mu worek. Miał w nim swoją tajną broń.

Wszedł dalej w głąb Belle Isle, gdzie odór z fabryk i rzeźni był już niemal nie do zniesienia. Tego dnia mieszkańców dzielnicy skrywała gęsta mgła. Prawdziwa slumsowa mgła, która kłębiła się i groźnie huczała, w której tańczyły płaty sadzy oraz gęste wirujące obłoki gryzącego w gardle dymu. Oddech Szatana.

Co jakiś czas Abberline dostrzegał w tych oparach różne kształty i miał wrażenie, jakby wokół niego zbierały się jakieś postacie, śledzące, jak

zapuszcza się coraz dalej na tę zapomnianą przez Boga ziemię.

Dobrze.

Właśnie tego chciał. Do tego, co miało nastąpić, potrzebna mu była publiczność.

Był już teraz w miejscu, gdzie dzieci zatrzymały jego wóz i gdzie przypuszczalnie dokonały zamiany: za trupa dostał martwego kuca.

Zatrzymał się.

– Ahoj! – zawołał, zaskakując samego siebie, nie wiedząc, co go podkusiło, żeby odezwać się jak żeglarz. – Na pewno mnie pamiętacie. Jestem tym policjantem, któremu ukradliście zwłoki.

Być może tylko to sobie wyobrażał, ale czy zza zasłony ciemności usłyszał *chichot*?

– Muszę pomówić z tym młodzieńcem, który głaskał wczoraj mojego konia. Widzisz, sądzę, że ktoś zlecił ci ten numer. I bardzo chciałbym się dowiedzieć kto.

Mgła wciąż milczała. Jej tajemnice pozostawały bezpieczne.

– Zapłacił ci? – naciskał Abberline. – Cóż, w takim razie zapłacę ci jeszcze raz... – Zabrzęczał monetami w dłoni, te zabrzmiały jak łagodne dzwoneczki w głuchoj ciszy.

Nastąpiła pauza i Abberline miał już ujawnić swoją tajną broń, gdy wreszcie nadeszła odpowiedź i młody głos powiedział:

– Boimy się, co on zrobi.

– Rozumiem to – odparł Abberline, wpatrując się w mrok, jak mu się wydawało, we właściwym kierunku. – Na pewno wam groził. Ale obawiam się, że znaleźliście się, jak to się mówi, między młotem a kowadłem, bo jeśli wyjdę stąd bez informacji, których potrzebuję, wrócę, i to nie sam. Bo widzicie, przyjadę z jedną z tych zamkniętych karettek, które zabierają do domów poprawczych... – Zrobił pauzę dla efektu dramatycznego. – Ale jeśli uzyskam te informacje, zapomnę o karetkach. Zostawię tu pieniądze, a do tego...

Teraz zdjął worek z ramienia, umieścił na ziemi i podniósł kij i piłkę do krykieta.

– Jeszcze to. Nie będzie już trzeba grać w krykieta głową kociaka, nie kiedy w wasze ręce trafią te ślicznotki. Kosztowało to parę pensów, nie powiem, lepszego sprzętu nie znajdziecie.

Znów zabrzmiała odpowiedź. Abberline kręcił głową na wszystkie strony, wiedząc, że jest w niekorzystnym położeniu, starając się określić źródło dźwięku.

– Boimy się tego, co robi – powiedział młody głos. – On jest jak demon.

Abberline czuł, jak przyśpiesza mu puls – teraz wiedział na pewno, że miał rację, podejrzewając, że za tym morderstwem kryło się coś niezwykłego.

– To jest moja propozycja – odpowiedział swojemu niewidocznemu mediatorowi. – W jednej ręce mam prezenty. W drugiej poważne konsekwencje. I powiem wam jedno: wrócę tu z tymi wozami z domu poprawczego, ale przy okazji rozgłoszę, że i tak dostałem informacje, których potrzebowalem. Gniew tego demona, chociaż wiecie, że to nie jest demon, tylko człowiek, jak ja, i tak na was spadnie.

Czekał, aż mgła podejmie decyzję.

W końcu ta zawirowała, rozsunała się i wynurzył się z niej ten sam chłopiec, który zatrzymał go poprzedniego dnia. Brudna twarz. Łachmany. Pusty, głodny wzrok. Było to dziecko, którego spotkanie z grobem zbliżało się wielkimi krokami. Abberline'owi zrobiło się żal chłopca i tego, że tacy jak on byli wykorzystywani przez niego samego i jemu podobnych. Zrobiło mu się żal, że groził mu poprawczakiem, podczas gdy cały jego świat składał się z gróźb, zimna i głodu.

– Nie chcę cię skrzywdzić. Masz moje słowo – powiedział. Położył kij i piłkę na ziemi pomiędzy nimi.

Chłopiec spojrzał w dół na sprzęt do krykieta, potem znów na policjanta. Abberline wyczuł u skrytych we mgle postaci atmosferę napięcia.

– Będzie pan zły, że zabraliśmy panu ciało – powiedział chłopiec

z powściągliwością i ostrożnością wziętą z bolesnego doświadczenia.

– Masz rację, nie jestem specjalnie zadowolony, że je zabraliście – przyznał Abberline. – Ale słuchaj, rozumiem, dlaczego to zrobiliście. I powiem ci jedno, gdybym był teraz na twoim miejscu, zrobiłbym dokładnie to samo. Nie będę cię osądzał. Chcę tylko poznać prawdę.

Chłopiec zrobił krok naprzód, raczej żeby zmanifestować większe zaufanie do Abberline'a niż z jakiegokolwiek innego powodu.

– Nie ma już za bardzo o czym gadać, sir. Ma pan rację. Zapłacono nam, żebyśmy odwrócili pana uwagę i wymienili zwłoki na kucyka. Nie powiedziano nam dlaczego, ale też nie pytaliśmy. Garść miedziaków to była nasza zapłata za dostarczenie trupa.

– A rewolwer?

– Nie widziałem żadnego rewolweru, sir.

– Był w kieszeni zmarłego.

– W takim razie został tam, sir.

– A gdzie dostarczyliście nieboszczyka?

Chłopiec zwiesił głowę. Zamiast odpowiedzi podniósł rękę, wskazując miejsce, w którym, gdyby nie mgła, byłoby widać końską rzeźnię.

– Paru z nas widziało, jak ten człowiek wchodzi tam z ciałem, a niedługo potem wychodzi bez niego.

– A jak ten człowiek wyglądał? – zapytał Abberline, starając się, by w jego głosie nie było słyhać ekscytacji, co kompletnie mu się nie udało.

Niedługo potem posterunkowy wydał głębokie, pełne wdzięczności westchnienie ulgi, zostawiając za sobą duszącą mgłę Belle Isle i wracając do względnie czystego powietrza jego dzielnicy. Był lżejszy o kilka monet, kij do krykieta i piłkę, ale jego sumienie było na szczęście czyste i miał opis tego „demona”, którego motywy były tak tajemnicze. Był to opis, który coś mu mówił. Słyszał już o mężczyźnie ubranym właśnie w taki, można powiedzieć, ekscentryczny sposób, zamieszany w jakąś awanturę w Old Nichol jakiś tydzień wcześniej.

Abberline poczuł, że przyśpiesza kroku, kiedy wszystko to sobie przypomniał. W innej dzielnicy był stójkowy, z którym może porozmawiać, który może wiedzieć o tej dziwnej postaci, z pewnością rzucającej się w oczy – o dziwnej postaci w płaszczu i kapturze na głowie.

Ethan nigdy nie mówił Duchowi niczego o swoim życiu domowym. Duch znał oczywiście imiona – Cecily, Jacob, Evie – ale nic konkretnego oprócz tego, że bliźnięta były w podobnym wieku co on.

– Mam nadzieję, że pewnego dnia im ciebie przedstawię – powiedział kiedyś Ethan z dziwną nieodgadnioną miną. – Ale dopiero wtedy, kiedy będę pewien, że są gotowi do walki.

Duch wiedział tylko tyle. Nie był wścibski, a poza tym sam nie mówił Ethanowi niczego o swoim życiu. Ethan nie wiedział niczego o Maggie ani o mieszkańcach tunelu, a Duch nie powiedział swojemu opiekunowi, że często leżał, nie śpiąc i drżąc z zimna z oczami wilgotnymi od wspomnień matki i ojca i pachnącego jaśminem Amritsar. Albo że twarz umierającego Daniego wciąż ukazywała mu się w koszmarach. Rozchylone wargi. Zakrwawione zęby. Usta pełne stali i czerwieni.

Wiódł dalej swoją egzystencję, odrabiając zmiany na placu budowy, chowając łopatę w specjalnej skrytce, a potem idąc do tunelu i opiekując się jego mieszkańcami.

Aż nagle cztery noce temu – czyli cztery noce przed odkryciem w wykopie ciała – Duch wracał do domu i jak zwykle zerknął na cmentarz – ale tym razem zobaczył, że nagrobek jest przechylony w lewo.

Zamiast wrócić do tunelu, zawrócił i poszedł w przeciwnym kierunku, w stronę Paddington. To będzie długi spacer, ale był do tego przyzwyczajony. Wszystko to należało do jego codziennej pokuty, którą odbywał za swoje...

Tchórzostwo, tak czasem myślał w najmroczniejszych chwilach przed świtem, gdy marzył w tunelu.

Ale nie, nie był tchórzem tamtej nocy, kiedy ocalił Maggie, prawda?

Walczył o to, co słuszne.

Więc może to nie tchórzostwo. Przynajmniej nie to. Raczej niemożność działania. Wahanie lub niechęć – cokolwiek wstrzymało jego rękę w noc jego chrztu bojowego i naznaczyło piętnem wielkiej hańby jego i rodzinę.

Według prawa powinien był zapłacić za to życiem – i tak by się stało, gdyby nie interwencja Ethana Frye’a. Duch czasem się zastanawiał, czy akt jego największego tchórzostwa nie krył się w przyjęciu propozycji starszego asasyna.

Odgłosy ulicy: kakofonia podków, okrzyków handlarzy i melodii skrzypiec ulicznego grajka – wszystko to uleciało, gdy tak szedł, pogrążony w myślach, wspominając Ciemność. Tamtego ranka, kiedy otworzyły się drzwi, miał w nich stanąć jego kat. Tak mu się przynajmniej wydawało. Zamiast tego znów pojawił się Ethan Frye, szczerząc zęby od ucha do ucha.

Ethan zreflektował się na widok Jayadeepa, który oczekiwanie śmierci miał wypisane na twarzy, i zajął miejsce na słomie, tak jak poprzedniego dnia. W tej pozycji wyjaśnił Jayadeepowi, że jest potrzebny w Londynie, by wykonać ważną misję; że Arbaaz dał mu swoje błogosławieństwo.

Musiał w tym celu działać pod przykryciem. „W głębokiej konspiracji” – tak ujął to Ethan. I kiedy Jayadeep zaczął już myśleć, że była to jakaś misja z litości, że Ethan robił wszystko, co mógł, żeby ocalić młodzika przed ścięciem, został wyprowadzony z błędu. Ethan potrzebował Jayadeepa, bo ten był jego najlepszym uczniem.

– Pamiętasz, jak odradzałem wysyłanie cię na misję asasyna? – powiedział Ethan, a Jayadeep pokiwał ze smutkiem głową. – To dlatego, że zobaczyłem w tobie człowieczeństwo, które jak sądzę, może się przydać Bractwu. Zadanie, o którym myślę, w żadnym wypadku nie jest przyjemne. Staniesz się innym człowiekiem, Jayadeep, wszystkie ślady po twoim dawnym ja będą skryte pod nowym przebraniem. Nie będziesz już Jayadeepem Mirem, rozumiesz?

Jayadeep skinął głową i wtedy Ethan wyszedł. Tylko tym razem drzwi

pozostały otwarte.

Jayadeep potrzebował paru chwil namysłu, zanim też podniósł się z ziemi i wyszedł, opuszczając wreszcie Ciemność.

– Teraz zaczyna się misja – powiedział mu Ethan Frye następnego dnia o świcie. Ciepło, które Jayadeep zawsze widział w oczach swojego nauczyciela, gdzieś zniknęło. Poczucie ulgi z uwolnienia Jayadeepa trwało u Ethana krótko. Teraz był czas, żeby zająć się następnym zadaniem, następną fazą operacji.

Stali sami na nabrzeżu portu. Kadłuby statków lekko uderzały o siebie na falach, mewy pikowały, krzyczały i czyściły pióra.

– Teraz cię zostawię – powiedział Ethan, oglądając chłopaka od stóp do głów, widząc, że ma na sobie strój żebraka, dokładnie tak, jak mu polecił. – Musisz sam dostać się do Londynu. Znaleźć mieszkanie stosowne dla człowieka o bardzo ograniczonych środkach. Proszę... – Wręczył Jayadeepowi mały woreczek monet. – To na twoje utrzymanie. Wiele za to nie kupisz, więc wydawaj je mądrze. I pamiętaj, że od tej chwili nie jesteś już Jayadeepem Mirem, synem Arbaaza i Pyary Kaur z Amritsar, przyzwyczajonym do wygód, bogactwa i przynależnego szacunku ze strony innych. Kiedy przybędziesz do Londynu, będziesz tam mętem społecznym, ciemnoskórym outsiderem bez pensa przy duszy, który nawiasem mówiąc, będzie się nazywał Bharat Singh. Lecz twój pseudonim – imię, pod którym będę cię znał – brzmi Duch.

Jayadeep pomyślał wtedy, że nie cierpi nazwiska Bharat Singh. Bardziej pasował mu Duch.

– Kiedy będziesz miał mieszkanie, chcę, żebyś znalazł pracę – ciągnął Ethan – ale w bardzo konkretnym miejscu. Za kilka miesięcy okaże się, jak bardzo to ważne. Chcę, żebyś znalazł pracę przy kopaniu Kolei Metropolitalnej na północnym zachodzie miasta.

Jayadeep potrząsnął głową zakłopotany. To już było za dużo. Nowe życie? Nowa praca? Wszystko to w dziwnym obcym kraju bez korzyści z rodowego

nazwiska, bez kurateli ojca i wskazówek Ethana. Zdawało mu się, że to, o co prosi go mistrz, jest niemożliwe do zrealizowania. A teraz jeszcze to. Kolej?

– W tej chwili jeszcze się o to nie martw – powiedział Ethan, czytając w jego myślach. – Wszystko stanie się jasne, kiedy będziesz w Londynie. – Liczył na palcach. – Najpierw jakaś kwatera. Kwatera odpowiednia dla człowieka na najniższym szczeblu drabiny społecznej, potem zaznajomisz się ze swoim otoczeniem, później zapewnisz sobie zatrudnienie na budowie Kolei Metropolitalnej. Czy to jasne?

Młody człowiek mógł tylko pokiwać głową i mieć nadzieję, że te tajemnice w odpowiednim czasie się rozwieją.

– Dobrze. Licząc od dziś, masz na to trzy miesiące. Tymczasem chciałbym, żebyś to przestudiował...

Spod płaszcza starszego asasyna ukazała się oprawiona w skórę, związana rzemykiem teczka. Jayadeep wziął ją i obrócił w rękach, zastanawiając się, co było w środku.

– Proszę cię, żebyś przeczytał te papiery podczas rejsu, a potem wrzucił je do oceanu. Upewnij się tylko, że nauczyłeś się zawartości na pamięć. Spotkamy się za trzy miesiące o północy w ogrodach szpitala Foundling przy Gray's Inn Road. A oto najważniejszy element tego, co ci mówię: pod żadnym pozorem nie możesz demonstrować, że masz jakiegokolwiek umiejętności poza tymi, których można się spodziewać po biednym jak mysz kościelna siedemnastoletnim indyjskim chłopcu. Nie rzucaj się w oczy. Nie jesteś asasynem i masz się zachowywać, jakbyś nim nie był. Jeśli znajdziesz się w niebezpieczeństwie, wyglądam na przestraszonego. Jeśli będziesz sprawiał wrażenie zdolniejszego i bardziej kompetentnego pracownika niż twoi towarzysze, zacznij słabiej się starać. Najważniejsze, żebyś we wszystkim wtopił się w otoczenie. Rozumiesz?

Duch skinął głową. Woda plusnęła o nabrzeże i słońce wstało, by zacząć nowy dzień.

Pogrążony we wspomnieniach swojego ostatniego poranka w domu w Indiach, Duch niemal minął dom, który pełnił funkcję miejsca spotkań jego i jego opiekuna.

Numery 23 i 24 przy Leinster Gardens w Paddington wyglądały zupełnie jak każdy inny dom przy tej ulicy, ale tylko kilka osób – sąsiedzi, budowniczy i co ważniejsze, Duch i Ethan Frye – wiedziało, że te dwa domy to w istocie fałszywe fasady, które powstały, aby ukryć dziurę w ziemi.

To był pomysł Charlesa Pearsona. Przy budowie swojej kolei natychmiast natknął się na problem, mianowicie znalezienie odpowiedniego silnika do pracy pod ziemią. Zwykły silnik parowy ze swoimi wyziewami od razu udusiłby pasażerów i załogę. Ponieważ jest niedopuszczalne, aby koleje zabijały swoich pasażerów, Pearson zaczął pośpiesznie szukać rozwiązania. Najpierw miał pomysł, by przeciągać wagony przez tunele za pomocą lin, a potem, kiedy okazało się to niepraktyczne, opracował plan wykorzystania ciśnienia powietrza. To też było niepraktyczne, natomiast stało się oczywiście wspaniałą pożywką dla licznych miejskich satyryków.

Na odsiecz przyszedł Pearsonowi John Fowler, podobnie jak w wielu innych aspektach budowy. Nadzorował konstrukcję silnika, w którym dym i para miały być kierowane do zbiornika za silnikiem. Jedyne kłopot polegał na tym, że dym i parę trzeba było w którymś momencie wypuścić i to dlatego domy numer 23 i 24 przy Leinster Gardens w rejonie W2 zostały spisane na straty, tak by tam na dole silniki mogły się dosłownie „wyładować”.

Otwarcie Linii Metropolitalnej miało nastąpić dopiero za rok i to tutaj Duch spotykał się z Ethanem Fryem.

– Jak się masz? – powiedział Ethan tamtej nocy. Siedział na skraju pustki, patrząc w dół, gdzie drewniane belki krzyżowały się pod jego dyndającym

butami.

Duch skinął głową, ale nie powiedział nic, był jak zamknięta książka. Zajął miejsce obok Ethana. Jego białe stopy dyndały obok butów mentora, pod nimi rozciągała się wielka ciemność.

– Na pewno będziesz zadowolony z wieści, że przechodzimy do kolejnego etapu operacji – powiedział Ethan. – Sprawy wchodzą w fazę krytyczną. Będą ci się przyglądać. Nie mam żadnych wątpliwości, że będziesz śledzony, a nasi przyjaciele templariusze sprawdzą twoje referencje. Czy jesteś pewien, że twoja przykrywka jest absolutnie bezpieczna?

Duch rozmyślał, czy to był dobry moment, by powiedzieć Ethanowi o Maggie i jego nieoficjalnej roli strażnika tunelu. Była to rozmowa, którą odbył w głowie już wiele razy, wyobrażając sobie, jak wyjaśnia Ethanowi, że jedno pociągnęło za sobą drugie i że nie miał zamiaru się wyróżniać, tyle że nie potrafił stać z boku i pozwolić, by zwyciężyła niesprawiedliwość. I Ethan z pewnością... Cóż, nawet gdyby tego nie pochwalił, to na pewno by zrozumiał, nieprawdaż? A poza tym nie było przecież tak, że Duch był rozpoznawalnym bohaterem z pierwszych stron „Illustrated London News”.

Ale nie. Trzymał usta na kłódkę. Nie powiedział nic i zainteresował się następnym etapem planu.

– Czyli? – zapytał.

Oczy jego mistrza rozbłysły szelmowsko. Było to spojrzenie, które Duch nauczył się kochać, kiedy był dzieckiem w bezpiecznym świecie Amritsar. Teraz, spoglądając w przepaść i widząc przed sobą tylko niepewność, nie był już taki pewny swoich uczuć.

– Będziesz musiał napisać list do naszego przyjaciela, pana Cavanagha. Możesz wykorzystać swoją wiedzę o nim, by zdobyć referencje. Szczegóły pozostawiam tobie. Najważniejsze, żebyś powiedział panu Cavanaghowi, że w jego szeregach kryje się zdrajca i że masz nadzieję zdobyć jego względy, demaskując owego zdrajcę.

Duch skinął głową ze wzrokiem utkwionym w mroku pod nimi.

- Rozumiem – powiedział, kiedy Ethan skończył. – I co wtedy?
- Czekaj na znalezienie ciała w wykopie.
- Kiedy?
- Trudno powiedzieć. Jak sądzę, w ciągu najbliższych kilku dni, w zależności od opadów.
- Rozumiem. A czy mogę wiedzieć, czyje ciało zostanie odkryte?
- Pamiętasz naszego przyjaciela templariusza, pana Roberta Waugha? Duch istotnie go pamiętał.
- Tego od pornografii?
- Właśnie tego. Tyle że pan Waugh nie był do końca szczery ze swoimi mocodawcami. Używał erotycznych zdjęć, żeby zarobić trochę dodatkowych pieniędzy, odkryłem tę chałturę zeszłej nocy.
- I wtedy go zabiłeś?
- Ależ nie, nie zabiłem go. – Ethan serdecznie poklepał Ducha po ramieniu.
- Ty to zrobiłeś.

Po powrocie ze spotkania z Ethanem Duch pomyślał o chwili, gdy po raz pierwszy usłyszał o człowieku, którego widywał teraz codziennie na budowie. Człowieku znanym wszystkim jako Cavanagh. To było w drodze z Amritsaru do Anglii, kiedy zrobił to, co mu kazano, i otworzył teczkę wręczoną mu przez Ethana na nabrzeżu.

W środku było wprowadzenie od Ethana, z wyjaśnieniem, że zawartość stanowiły przepisane i rozszyfrowane depesze wykradzione templariuszom. Dokumenty, po skopiowaniu, potajemnie zwrócono; z tego, co wiedzieli asasyni, templariusze nie mieli pojęcia, że ci byli w posiadaniu tych informacji.

Depesze skompilowano z bezpośrednich relacji zebranych przez archiwistów templariuszy i zaczynały się całkiem niewinnie od opisu odwrotu Anglików z Kabulu w 1842 roku.

Oczywiście Duch wiedział wszystko o marszu z Kabulu. Wszyscy to wiedzieli. Było to jedno z najtragiczniejszych wydarzeń w historii angielskiej wojskowości i punkt zwrotny zapomnianej przez Boga wojny w Afganistanie. Szesnaście tysięcy żołnierzy, ich rodzin i sług obozowych wyruszyło w dziewięćdziesięciomilową drogę z Kabulu do Dżalalabadu w styczniu 1842 roku. Tylko garstce udało się przeżyć.

Po pierwsze żywność mieli tylko na pięć dni, a poza tym ich dowódca, generał major William Elphinstone – znany również jako Elphy Bey – miał równie marny umysł, jak wątłe ciało. Był nie tylko idiotą, ale i naiwniakiem, który wierzył w każde kłamstwo przywódcy Afgańczyków, Akbara Khana.

A Akbar Khan nagadał Elpheyowi Beyowi mnóstwo kłamstw. W zamian za przekazanie mu przez armię brytyjską większości swoich karabinów Khan gwarantował bezpieczne przejście, a także zaoferował eskortę przy

pokonywaniu przełęczy. Obiecał, że pozostawionym w Kabulu chorym i rannym nic się nie stanie.

Wystarczyła godzina, żeby Khan złamał słowo. Kolumna ledwie opuściła garnizon, gdy jego ludzie wdarli się do środka, by rabować, palić namioty i zabijać rannych. Jednocześnie zaatakowano straż tylną. Tragarze, słudzy obozowi i indyjscy żołnierze zostali zmasakrowani przy słabym raczej oporze ze strony regularnych oddziałów brytyjskich, Afgańczycy dokonywali coraz śmielszych wypadów, szybko niszcząc wozy taborowe. Kolumna marszowa ledwie opuściła Kabul, a jej szlak znaczyły kufry i martwe ciała.

Zabrano bardzo mało namiotów, były one przeznaczone tylko dla kobiet, dzieci i oficerów. Tej nocy większość ludzi położyła się spać w śniegu i następnego ranka ziemia była usłana zwłokami tych, którzy zamarli na śmierć. Wymarznięta i głodna kolumna parła dalej, w nadziei, że pokona najgorszą pogodę i sprosta ciągłym atakom Afgańczyków.

Z powodów znanych tylko sobie Elphy Bey zarządził postój już o drugiej po południu, podczas gdy powinien był posłuchać rad swoich oficerów i iść dalej przez niebezpieczną przełęcz Chord Kabul.

Być może staruszek całkiem stracił rozum, bo jego decyzja oznaczała oddanie przełęczy Afgańczykom, których strzelcy zajęli pozycje na półkach skalnych, podczas gdy kawaleria szykowała się do kolejnych szarż.

Jak można się było spodziewać, kiedy tylko kolumna marszowa następnego ranka weszła na przełęcz, rozległy się strzały, pochód stanął i podjęto negocjacje. Akbar Khan zgodził się przepuścić kolumnę w zamian za zakładników, ale jego kłamliwość nie miała granic, bo po przekazaniu więźniów znów rozpoczął się ostrzał, a członkowie lokalnych plemion wjeżdżali na koniach w kolumnę marszową, siekąc bez pardonu cywilów i żołnierzy, porywając dzieci.

Trzy tysiące ludzi zginęło na tej przełęczy, utracono też całe zaopatrzenie. Tamtej nocy niedobitki obozowały, mając tylko cztery małe namioty, bez opału i jedzenia. Setki ludzi zmarły z zimna.

Masakra trwała przez następne dni. Niektórzy odbierali sobie życie, by uniknąć cierpień, inni dezercerowali, chociaż Afgańczycy nie pozwalali im uciec, oszczędzając tylko tych, za których mogli potem dostać okup – oficerów, ich żony i dzieci. Żołnierze, służący i cywile byli zabijani.

Piątego dnia pochód liczył tylko trzy tysiące ludzi – z czego jedynie pięciuset żołnierzy. Elphy Bey oddał się w ręce nieprzyjaciela, by niebawem umrzeć w niewoli, pojmano również żony i rodziny. Mimo to marsz trwał. Coraz bardziej kurcząca się kolumna została zaatakowana przy grani Jugdulluk i poniosła koszarne straty. Walki odbywały się w nocy, w metrowym śniegu, aż ocalali dotarli do Gandamak. Było ich niecałe czterysta osób.

Zajęli pozycje na wzgórzu, ale zostali otoczeni przez Afgańczyków, którzy nakazali im się poddać. „Nic podobnego, do cholery!”, rzucił szyderczo jakiś sierżant i jego riposta stała się później czymś w rodzaju narodowego angielskiego powiedzonka. Dotrzymał jednak słowa, do pracy przystąpili więc afgańscy strzelcy, a potem nastąpił ostateczny atak.

Pod granią Jugdulluk nie było bitwy, to była rzeź. Uciekło sześciu oficerów, z których pięciu zostało zaszlachtowanych na drodze do Dżalalabadu. Udało się przeżyć tylko jednemu, Williamowi Brydonowi. Afgańska szabla pozbawiła go fragmentu czaszki, ale ocalał dzięki egzemplarzowi „Blackwood’s Magazine” wciśniętemu do kapelusza. „Nie miałem pojęcia, że te szkockie brednie mogą być takie pożyteczne” – tak to podobno skomentował.

Z szesnastu tysięcy ludzi, którzy wyruszyli z Kabulu sześć dni wcześniej, był jedynym, który dotarł do miejsca przeznaczenia.

Tyle że... niezupełnie. William Brydon docierający samotnie do Dżalalabadu to była dobra historia – tak dobra, że na jakiś czas zdominowała opinię publiczną. Niestety jednak nie do końca prawdziwa, bo byli też inni ocalali. Tyle że metody i środki, dzięki którym się uratowali, nie okazały się tak szlachetne jak stoicyzm doktora Williama Brydona. Człowiek robi

wszystko, by przetrwać, zobaczyć kolejny wschód słońca, poczuć dotyk ust swojej żony i dzieci, śmiać się w pubie ze szklaneczką w dłoni. A zatem tak, byli inni, którzy przeżyli ten katastrofalny marsz, ale ich wyczyny nie były potem oklaskiwane, wysławiane, opiewane ani uwieczniane przez artystów. Nie były to nawet żadne „wyczyny” w takim rozumieniu tego słowa, które sugeruje przygody i brawurę. Były to najzwyczajniej w świecie akty przetrwania. Brudne, niskie i bezwzględne, inni musieli zapłacić straszliwą cenę.

Było tak, że w marszu brał udział pewien pułkownik o nazwisku Walter Lavelle. Człowiek ten należał do Zakonu Templariuszy. Nie był szczególnie wysoko postawiony, nie był też obiektem zainteresowania Bractwa Asasynów, ale mimo to wiedzieli o nim.

Na krótko przed tym, jak kolumna wyruszyła z Kabulu, kapral o nazwisku Cavanagh wprosił się do Waltera Lavelle’a.

– Czy mógłbym zamienić z panem słówko, sir? – zapytał Cavanagh tego ranka.

Widząc powagę i wręcz groźbę w oczach tego człowieka, Lavelle skinął głową, mimo że tamten był jedynie kapralem, i skryli się pod cyprysem, z dala od ludzi ładujących wozy i koni uginających się pod ciężarem sakw i kufrów. Na dziedzińcu było wtedy rojno jak w ulu. Ponad męskimi przekleństwami, odgłosami szamotania się z bagażami i donośnie wydawanymi rozkazami niosły się ciągle nawoływania Lady Florentii Sale, żony generała majora Roberta Henry’ego Sale’a, kobiety, na której cześć spokojnie mogłoby powstać określenie „budząca respekt”. Lady Sale nie pozwalała nikomu wątpić, że uważała ten marsz za zwykłą popołudniową przechadzkę, sprawę małej wagi dla potęgi angielskiego wojska i że inna opinia na ten temat byłaby zdradziecko nieangielska.

– Och, przestań wreszcie beczeć, Emily, i przydad się do czegoś – nawoływała. – Ty tam, ostrożnie. To moja najlepsza madera. A ty uważaj na tę porcelanę, bo moje wieczorki w Dżalalabadzie stracą nieco na finezji.

Pierwsze przyjęcie zamierzam zorganizować za dwa dni. Ależ będzie zabawnie spotkać wszystkie damy z Dżalalabadu.

Pod cyprysem kapral Cavanagh odwrócił się do Lavelle'a i powiedział z pustką w oczach:

– To idiotka.

Byli daleko od pozostałych, lecz mimo to pułkownik zaczął wyrzucać z siebie z oburzeniem, jak to pułkownicy mieli w zwyczaju:

– Czy pan oszalał, sir? Stracił pan, u licha, wszystkie klepki naraz? Wiesz, człowieku, z kim rozmawiasz? Wiesz, o *kim* mówisz? To jest...

– Wiem doskonale, z kim rozmawiam i o kim mówię, sir – odpowiedział spokojnie Cavanagh (do diaska, ten człowiek miał zimną krew, bez dwóch zdań) – i właśnie dlatego że wiem, z kim rozmawiam, sądzę, że mogę mówić otwarcie. Proszę mi wybaczyć, jeśli źle oceniłem sytuację, w takim razie wrócę do mojego plutonu.

Udał, że odchodzi, ale Lavelle zatrzymał go, ciekaw tego, co usłyszy od impertynenckiego kaprała.

– Wysłucham cię, człowieku. Tylko uważaj na słowa, to wszystko.

Ale Cavanagh ani myślał na nie zważać. Zamierzał powiedzieć, co myśli, i to właśnie zrobił.

– Wie pan, jak daleko jest do Dżalalabadu? Dziewięćdziesiąt mil. Mamy tu szesnastotysięczną armię, ale ledwie ćwierć z tej liczby to żołnierze, reszta to zwykła hałastrą: tragarze, służący, kobiety i dzieci. Mało kto z nich jest zdolny do walki. Sir, czy wie pan, jakie panują tam warunki? Będziemy maszerować w mrozie i śniegu po kolana przez najgorszy teren na ziemi. A co z Akbarem Khanem? Jeździ po górach od jednego wodza do drugiego, zbierając poparcie do dalszych wrogich działań. Khan nie dotrzyma słowa. Kiedy tylko wyjdziemy za tę bramę, zaczną szarpać nas na strzępy. Lady Sale myśli, że za dwa dni urządzi swój pierwszy wieczorek w Dżalalabadzie. Według mnie będziemy mieli szczęście, jeśli przejdziemy tę trasę w dwa tygodnie. Nie mamy broni, amunicji, za mało żywności i sprzętu. Ten marsz

jest skazany na zagładę, sir, i my razem z nim, chyba że połączymy siły i coś z tym zrobimy.

Cavanagh powiedział następnie Lavelle'owi, że mówi znośnie w języku paszto, i zaproponował, że będzie jego ordynansem. Ale Lavelle nie przestawał wyrzucać z siebie kolejnych frazesów, trochę się do tego przechwalał, a na koniec zbeształ Cavanagha i odesłał go, mówiąc, by nie był tak bezczelny i zachował te zdradzieckie myśli o dezercji dla siebie.

– Pewnie miałeś nadzieję, że mi się przypochlebisz, przeklęty wazeliniarzu! – ryknął. – Nie mam pojęcia, skąd ci to strzeliło do łba, ale mówię ci, że do samego końca pozostanę wiernym sługą generała Elphinstone'a.

Zanim jeszcze nadeszła pierwsza noc marszu, stało się jasne, że Akbar Khan faktycznie nie dotrzymał słowa i że Elphy Bey był głupcem. I gdy wszędzie rozbrzmiewały wrzaski rannych, a afgańskie ataki nie ustawały, biedni nieszczęśnicy zamarzali zaś na swoich legowiskach, prawdziwy tchórz, jakim był Lavelle, zakradł się do namiotu Cavanagha, by zapytać, czy kapral zgodziłby się zostać jego ordynansem.

– Ja, zwykły przeklęty wazeliniarz? – powiedział Cavanagh z miną niezdradzającą mrocznej satysfakcji, jaką czuł na widok paniki w oczach pułkownika. Opierał się i odmawiał, udawał obrażonego, aż w końcu wymusił u roztrzęsionego pułkownika przeprosiny.

Następnego ranka, kiedy brytyjscy lansjerzy ruszyli przeciwko Afgańczykom w bezowocnej próbie powstrzymania dalszych ataków, Cavanagh, Lavelle i wierny sipaj, którego imię się nie zachowało, opuścili oddział na dobre.

Trasa przez wzgórza i przełęczę była zdradziecka. Nie wazyli się zbytnio zbliżać do kolumny, bojąc się, że wypatrzą ich czy to brytyjscy żołnierze, czy to atakujący ich Afgańczycy, ale nie chcieli też oddalać się od znanych dróg. Afgańska prowincja słynęła jako jeden z najbardziej nieprzyjaznych regionów świata, zwłaszcza podczas bezlitosnych styczniowych mrozów, a co więcej, dezercerzy bali się wpaść w ręce miejscowych plemion.

Mieli paszę dla koni, ale gdy przedzierali się przez urwiska i szczyty przełęczy, stało się dla nich jasne, że poważnie się przeliczyli co do ilości jedzenia dla siebie. Więc kiedy późnym popołudniem trzeciego dnia przejmujący wiatr przyniósł zapach gotującego się mięsa, ich żołądki stały się równie czujne jak ich zmysły.

Jak można się było spodziewać, wkrótce natknęli się na ścieżce na pięciu afgańskich górali. Doglądali ogniska, na którym piekli kozę; po jednej stronie mieli skałę, po drugiej przyprawiającą o zawrót głowy przepaść.

Dezerterzy natychmiast się ukryli. Jak wszyscy angielscy żołnierze, odczuwali respekt dla afgańskich bojowników – to był naród wojowników: mężczyźni byli dobrze wyszkoleni i nieustraszeni, a kobiety cieszyły się złą sławą ze względu na dokonywane przez nie na jeńcach egzekucje, wśród których obdzieranie ze skóry i „śmierć od tysiąca cięć” należały do najmniej sadystycznych.

Tak więc cała trójka została za wielkim głazem; sipaj, niewzruszony, wzór żelaznej determinacji, mimo że wiedział, jak Afgańczycy traktują schwytanych sikhijskich żołnierzy; Lavelle, bez sprzeciwu oddający przywództwo Cavanaghowi, który podziękował Bogu, że tubylcy nie pomyśleli o wystawieniu czujki, i szybko ocenił sytuację.

Cóż, nie można było ominąć tego miejsca. Aby pójść dalej ścieżką, Cavanagh, Lavelle i sipaj musieliby stoczyć z nimi walkę – albo musieli wrócić do oddziału i wyjaśnić powód swej nieobecności, co najpewniej skończyłoby się rozstrzelaniem za dezercję.

A więc walka. Było ich pięciu, w wełnianych czapeczkach lub turbanach na głowach i długich szatach. Nieopodal stały uwiązane konie załadowane zapasami, w tym tuszą drugiej kozy. Afgańskie strzelby, zwane dżezail, były ustawione w kształt stożka obok ogniska.

Cavanagh dobrze znał dżezail. Długie lufy dawały tej chałupniczo robionej broni znaczącą przewagę w zasięgu nad brytyjskimi karabinami Brown Bess, w które byli wyposażeni ludzie Elphinstone'a. Afgańscy wojownicy bardzo

skutecznie używali swoich dżezail przeciwko Brytyjczykom, strzelcy wyborowi wystrzelili zabójczy grad pocisków, gwoździ, a nawet kamyków w stronę nękanych atakami, wycofujących się żołnierzy jakieś osiemset stóp niżej. Strzelby były misternie zdobione, jak to Afgańczycy mieli w zwyczaju; jedna z nich była nawet przystrojona ludzkimi zębami.

Na szczęście jednak, jak wspomniał z ulgą Cavanagh, dżezail był bronią ładowaną od przodu, i wyglądało na to, że te, które stały przed nimi, nie były nabite. Tak czy owak, Afgańczycy sięgną po noże khyber wiszące im u pasa. Doskonałą broń do walki na krótkim dystansie.

Cavanagh spojrział na swoich dwóch towarzyszy. Wiedział, że sipaj jest niezłym strzelcem. Nie był pewny Lavelle'a, ale on sam ćwiczył w akademii mistrza fechtunku Domenica Angela Tremamondo i był biegłym szermierzem.

(Tu Duch odczytał notatkę, prawdopodobnie pozostawioną przez tego z archiwistów Bractwa, który zebrał dossier. Piszący dziwił się, jak zwykły kapral mógł studiować w słynnej Szkole Walki Angela w Carlisle House w londyńskim Soho, gdzie pobierała lekcje fechtunku arystokracja. Można by odwrócić pytanie: jak absolwent tej szczególnej akademii skończył jako marny kapral? Do notki dodał uwagę Ethan, było to jedno słowo. Duch znał je dobrze ze znienawidzonych lekcji łaciny, na które nalegał Ethan, umieszczając je w programie nauczania. Brzmiało ono *cave*, czyli „uważaj”).

Cavanagh wiedział, że to jego szansa, by zrobić wrażenie na Lavelle'u i dowieść, że nie jest tylko zwykłym dezenterem. Dzień wcześniej, kiedy Lavelle zapytał go, skąd pomysł, by mu się przypochlebić, pytanie pozostało bez odpowiedzi. Tak naprawdę Cavanagh dobrze wiedział o pozycji Lavelle'a w Zakonie i chciał to wykorzystać. Cavanagh wyjął w milczeniu swoją szablę, dał własny służbowy pistolet sipajowi i pokazał Lavelle'owi, by ten przygotował swój.

Kiedy dwaj mężczyźni byli na miejscach, wskazał im, by zajęli się dwoma tubylcami po lewej.

Potem uniósł się z przysiadu, rozciągając łydki. Ostatnie, czego potrzebował, to żeby nogi odmówiły mu posłuszeństwa, kiedy ruszy do akcji.

Co też nastąpiło. Ufając, że Lavelle i sipaj będą dokładni, i licząc na element zaskoczenia oraz, co nie bez znaczenia, swoje własne umiejętności szermiercze, Cavanagh wyskoczył zza głazu i rzucił się do walki.

Zobaczył, jak Afgańczyk po lewej obraca się i krzyczy w tym samym momencie, kiedy usłyszał za plecami wystrzał z pistoletu. A potem zabrzmiał drugi strzał, tym razem nie tak zabójczy, ale na tyle celny, by drugi człowiek upadł na ziemię, trzymając się za brzuch. W czasie gdy kolejny Afgańczyk obracał się i sięgał po swój długi nóż khyber wiszący u pasa, Cavanagh zaatakował szablą, dosięgnął przeciwnika pojedynczym cięciem w szyję, które otworzyło mu tętnicę, po czym zwinnie odszedł w bok, by uniknąć fontanny krwi.

Anglik wybrał swój pierwszy cios umyślnie. Afgańscy wojownicy byli twardzi i niewzruszeni, ale nawet ich musiało wytrącić z równowagi nagłe pojawienie się jasnej tętniczej krwi buchającej łukiem i rozpryskującej się w gasnącym świetle popołudnia. Dwaj pozostali stracili cały animusz; jeden ocierał ręką z twarzy krew towarzysza, drugą sięgał jednocześnie po zakrzywiony nóż.

Wyciągnął go zza pasa, ale to było wszystko. Cavanagh obrócił swoją szablę w powietrzu, uderzając na odlew i podrzynając pechowemu góralowi gardło. Czapeczka spadła mężczyźnie z głowy, a on sam zgiął się wpół na ziemi, zalewając się krwią i wydając ostatnie bulgoczące rżenie, ale Cavanaghowi zabrakło czasu, by unieść szablę i zablokować ostatniego przeciwnika. Zza jego pleców huknął strzał i poczuł podmuch powietrza, ale kula chybiła celu. Zbyt późno dostrzegł wlatujący w jego pole widzenia nóż i chociaż nie pojawił się natychmiastowy ból, poczuł gorącą krew spływającą mu po twarzy.

[Uwaga od autora dossier: *Notabene Cavanagh nosi tę bliznę po dziś dzień.*]

Gdyby Afgańczyk wykorzystał swoją przewagę, mógłby ujść z życiem,

a może nawet zdobyć angielski skalp. Ten jednak wybrał ucieczkę w stronę koni. Prawdopodobnie miał nadzieję uciec i ostrzec swoich przyjaciół; może wiedział o naładowanym pistolecie skrytym w sakwie przy siodle. Niestety dla niego na widok biegnącego w ich kierunku przerażonego człowieka niewzruszone afgańskie wierzchowce stanęły dęba, zerwały postronki i rozbiegły się.

„Niech to diabli”, zaklął Cavanagh, patrząc, jak konie, wraz z zapasami, nie mówiąc już o drugiej końskiej tuszy, dają drapaka po ośnieżonej ścieżce i znikają mu z oczu.

W tym czasie Afgańczyk gwałtownie się obrócił i z obnażonymi zębami zamachnął się nożem. Lecz Cavanagh zajął pozycję szermierczą, kierując swoją szablę w dół, i z pewną satysfakcją patrzył, jak tubylec przewraca oczami tuż przed tym, jak zatopił ostrze szabli w jego twarzy.

Po walce zapadła cisza. Trafiony w brzuch Afgańczyk zwijał się i jęczał, aż Cavanagh skrócił jego męki, potem otarł swoją szablę o jego szatę, która była już tak poplamiona krwią, że stała się bezużyteczna.

– Szybko, bierzcie wszystkie ubrania, jakie się da, zanim krew je całkiem zaplamie – powiedział do Lavelle’a i sipaja, którzy wyłonili się zza głazu.

Sipaj spisał się dobrze, co Cavanagh przewidywał, i kapral mu pogratulował. Lavelle pogratulował Cavanaghowi. Nikt nie pogratulował Lavelle’owi.

Trzej mężczyźni z wilczym apetytem zjedli kozę, która pozostawiona bez opieki podczas potyczki, była nieco przypalona. Nie miało to jednak znaczenia dla wygłodniałych Brytyjczyków. Jedli, aż napełnili sobie brzuchy przypaloną koźliną, a następnie przywdziali szaty i turbany zabitych, kładąc stroje, tak by nie było widać plam krwi. Następnie starannie ukryli trupy i ruszyli w drogę.

Jechali przez cały dzień, wciąż wyprzedzając wycofujący się pochód o około milę w linii prostej. Pomimo odległości słyszeli ciągłe huki wystrzałów, a co jakiś czas nawet krzyki bólu, które przynosił im zimny

wiatr. Cavanagh zaczął czuć się pewniej. Oddalali się od uczęszczanych tras, znajdując nowy szlak powyżej skalistej przełęczy. A potem, piątego dnia po południu, natknęli się na spory obóz Afgańczyków. I spotkała ich najtrudniejsza dotąd próba.

Kiedy Cavanagh zastanawiał się nad tym później, doszedł do wniosku, że trafili na obozowisko nomadów należące do jednego z watażków Akbara. Wodzowie wysyłali z takich baz strzelców, by zajmowali pozycje na przełęczach nad kolumną marszową, gdzie ze swoich dżezail razili morderczym deszczem ołowiu maszerujących w dole nieszczęśników. W tym czasie konni zjeżdżali ukrytymi ścieżkami do podnóży przełęczy, gdzie mogli dokonywać przerażających, zabójczych szarż na tylne, gorzej chronione grupy, bezlitośnie ścinając służących, kobiety i dzieci, grabiąc resztki zapasów.

To tutaj przydała się znajomość paszto, jaką posiadał Cavanagh. W istocie uratowała im ona życie. Wjechali na wzgórze na koniach, których kopyta ślizgały się i potykały na zamarzniętej na kamień ścieżce, i wtedy zostali zatrzymani przez stojącego na czatach Afgańczyka.

Dzięki Bogu, człowiek ten zerknął tylko na ich strój i wziął ich za miejscowych. Kiedy zawołał na powitanie, uratował ich refleks i inteligencja Cavanagha, bo zamiast okazać zaskoczenie i uciec, zachował spokój i odpowiedział w ten sam sposób.

Na jego sygnał trzech mężczyźni znieruchomieli. Jakies dwieście jardów przed nimi wartownik podniósł się zza skał ze swoim dżezail przewieszonym przez plecy. Nie było dobrze widać jego twarzy; przytknął do ust zwinięte w trąbkę dłonie i znów zawołał w paszto:

– Witajcie!

Myśli przelatowały Cavanaghowi przez głowę; nie mogli podejść zbyt blisko, bo zostaliby rozpoznani jako oszuści. Ale gdyby odwrócili się na pięcie i uciekli, Afgańczycy ruszyliby w pościg, a ponieważ byli lepszymi jeźdźcami, nie byłby to pościg długi.

Siedzący obok Lavelle zamrugał nerwowo.

– Co, u diabła, teraz zrobimy, człowieku?

– Zamknij się – syknął Cavanagh, nie zważając na oburzenie Lavelle'a. – Myślę. Cokolwiek się stanie, nie mów ani słowa, tylko rób to co ja.

Tymczasem wartownik, ponownie osłaniając dłońmi usta, wołał gdzieś za siebie do niewidocznych towarzyszy. Ich twarze wyłoniły się właśnie zza wzgórza. Sześciu lub siedmiu. Chryste, wpadli niemal prosto w środek obozu. Afgańczycy stali teraz, patrząc na nich przez oddzielającą obie grupy przestrzeń – jeden czy dwóch osłaniało sobie dłońmi oczy przed gasnącym zimowym słońcem – i wszyscy niewątpliwie zastanawiali się, dlaczego trzej goście zatrzymali się, nie dochodząc do obozu.

Umysł Cavanagha pośpiesznie szukał odpowiedzi. Nie mogli uciekać. Nie mogli iść naprzód. I każda próba dalszego odpowiadania na pytania z pewnością ujawniłaby jego słabą znajomość paszto.

Jeden z mężczyzn zdjął z pleców strzelbę, ale zanim zrobił użytek z broni, Cavanagh uprzedził to, co mogło nastąpić, i zawołał do niego:

– Przyjacielu, wracamy z polowania na tych brytyjskich tchórzy. Mamy ze sobą schwytane sikhijskie ścierwo. Człowieka, który próbował przebrać się w nasz strój i zdezerterować.

Z drugiej strony zabrzmiał śmiech Afgańczyków. Nieznający paszto sipaj siedział, nie wiedząc, co go zaraz spotka. Lojalny, wierny.

– Co mówisz, człowieku? – zapytał Lavelle.

– Cicho – uciął Cavanagh.

Znów zawołał głośniej.

– Macie. Zostawiamy wam nasz łup jako podarek dla waszych kobiet i pozwólcie, że was opuścimy.

Z tymi słowami wyciągnął swój skradziony nóż khyber i jednym szybkim ruchem udał, że rozcina więzy na rękach sipaja. Sipaj odwrócił się w siodle w stronę Cavanagha ze skonfundowaną miną.

– Sir?

Ale Cavanagh pochylił się, chwycił go za stopę i pociągnął ją w górę, wyrzucając go z siodła, i jednocześnie jednym potężnym i bezlitosnym cięciem noża przeciął nieszczęśnikowi ścięgno Achillesa.

Afgańczycy kpili i śmiali się, idąc w ich stronę, a Cavanagh pomachał im na pożegnanie i razem z Lavelle'em obrócili konie. Tymczasem sipaj próbował podnieść się z ziemi, ale jego przecięta pięta odmówiła posłuszeństwa, chlustając krwią, padł na ziemię, jęcząc i błagając.

– Sir? Sir?

Ale tamci zostawili go na pastwę losu i afgańskich kobiet. Czekają go obdzieranie ze skóry lub śmierć od tysiąca cięć. Pozostawili tam bezimiennego sipaja na nieopisanie okrutną śmierć, by sami mogli się uratować.

– Chryste, człowieku, zrobiłeś to z zimną krwią – powiedział później Lavelle, kiedy rozbili obóz wśród skał nad przełęczą.

– Albo on, albo my – odparł Cavanagh.

Tamtej nocy dobiegł ich huk wystrzałów i wydawało się, że słyszą też w oddali wrzaski sipaja, gdy afgańskie kobiety zaczęły działać.

Duch kipiał z nienawiści do Cavanagha. Jakiś miesiąc później, kiedy stał się z ludźmi na cmentarzu, zrozumiał siłę woli przetrwania. To potrafił zrozumieć. Ale nie pojmował (i może dlatego nigdy nie nadawał się na kogoś żyjącego z przelewu krwi) zdolności do poświęcenia życia innego człowieka, wydania go na śmierć zamiast siebie. I to człowieka, który zawsze okazywał lojalność.

Zastanawiał się, czy twarz tamtego sipaja prześladowała Cavanagha w snach. Czy on w ogóle coś czuł?

Czytał dalej. Cavanagh i Lavelle dotarli do Dżalalabadu dzień po historycznym przybyciu Williama Brydona. Ich ocalenie przeszło bez większego echa, choć pojawiły się plotki i podejrzenia.

Mimo ich zapewnień i faktu, że z uporem trzymali się szczegółowo przygotowanej historii o tym, jak odłączyli się od oddziału kawalerzystów i zgubili drogę, w garnizonie w Dżalalabadzie szeptano, że obaj zdezerterowali. Co do Lavelle'a, nic nie sugerowało innego wyjaśnienia, ale kiedy siódmego kwietnia 1842 żołnierze garnizonu zaatakowali siły Akbara Khana, Cavanagh spisał się dobrze, dowodząc, że potrafi być nieustraszony w walce.

Jego działania zauważono kilka lat po powrocie do Anglii, kiedy miał już pewną pozycję w Zakonie Templariuszy. Niedługo później pułkownika Waltera Lavelle'a spotkał śmiertelny wypadek. Według dossier asasyni sądzili, że to Cavanagh nie tylko doradził, ale i wykonał egzekucję.

Aż do tej chwili Duch zastanawiał się, jaka jest jego rola. Dlaczego czytał o człowieku nazwiskiem Cavanagh?

Potem wszystko stało się jasne. Cavanagh pojawił się znów jako przedmiot zainteresowania asasynów, kiedy zupełnie niespodziewanie otrzymał

stanowisko w kompanii budującej pierwszą podziemną linię kolejową na świecie. Został dyrektorem Kolei Metropolitalnej i był bezpośrednio zaangażowany w wykopy. Firmowy „człowiek na stanowisku” jak się patrzy.

Teraz Duch zaczął rozumieć.

Kiedy przybył do Anglii, postąpił według instrukcji Ethana. Znalazł miejsce noclegu w tunelu i zdobył pracę przy budowie kolei, choć na nieco mniej eksponowanym stanowisku niż człowiek, którego obserwował. A zatem był tu, przy New Road, widział, jak pogłębia się szyb. Widział nadjeżdżające drewniane domy na kołach, a potem wagony załadowane stertami bali i desek, ludzi uzbrojonych w kilofy i łopaty, maszerujących obok nich jak jakaś armia.

Kupił łopatę od pijanego człowieka w szynku, wyrył na niej nazwisko Bharat Singh, a potem do nich dołączył. Pomógł w ogrodzeniu setek jardów jezdni, kiedy New Road została przekształcona z kawałka historii Londynu w znaczącą część jego przyszłości.

Przybyły konie, cieśle i armia robotników kolejowych, rozległy się odgłosy pracujących kilofów, łopat, młotów i silników parowych, hałas, który miał niemal nigdy nie milnąć, czy to w dzień, czy w nocy.

Wielkie drewniane konstrukcje rosły w równych odstępach wzdłuż drogi, wytyczano miejsca dla szybów, żelazne łyżki opadały na nawierzchnię drogi, która była ściągana, z trudem zdzierana i wywożona, następnie zrzucona do ziejącej dziury w ziemi; brzmiało to jak burza z piorunami – kolejne dudnienie w oddali dołączało do tego zgiełku, który miał tu teraz panować.

Duch był tam i widział wszystkie trudności, na które natrafiała budowa linii. Na papierze była to prosta – no, względnie prosta – operacja: z Paddington do Euston Road i z doliny rzeki Fleet do City. Stały im jednak na drodze rury z gazem, magistrale wodne i kanały ściekowe, a pod Euston Road odkryli, że grunt to mieszanina piasku i żwiru, którą trzeba było osuszyć, natomiast w Mount Pleasant zwykła metoda odkrywkowa została zarzucona na rzecz kopania tunelu.

W tym czasie Duch patrzył, jak świat dookoła się zmienia. Widział zniszczenie zapuszczonych ulic w dolinie Fleet. Zburzono tysiąc domów, a dwanaście tysięcy ludzi, którzy tam mieszkali (co samo w sobie było szokującą liczbą) zostało przesiedlonych do innych dzielnic nędzy.

Część z nich przyszła wtedy do tunelu pod Tamizą. Być może niektórzy skorzystali z łagodnej ochrony, jaką zapewniał w tym miejscu Duch. Zdawał sobie sprawę, że było to pewnego rodzaju błędne koło.

Jego bose stopy były czasem przedmiotem uwag na placu budowy, oczywiście wyróżniał go też kolor skóry, ale poza tym nie robił nigdy nic, by odstawać od innych. Nigdy nie skakał tak daleko, jak potrafił. Nigdy nie nosił ciężarów tak dużych, jak naprawdę mógł. Kiedy ktoś opowiadał dowcip, śmiał się, niezbyt głośno i nie wyróżniając się. Tak właśnie pozostawał w ukryciu, upewniając się, że jego przykrywka jest zawsze szczelna. Tak żeby w przyszłości, kiedy zostanie wezwany do wnikięcia do organizacji, mogła oprzeć się nawet bardzo dogłębnej weryfikacji. Musi być Bharatem, biednym jak mysz kościelna, ale sumiennym indyjskim robotnikiem, godnym pogardy, a więc poza podejrzeniem. Musi kryć się w ten sposób przez cały czas.

Jego kamuflaż był niezbędny do przeżycia.

Kiedy jego wzrok po raz pierwszy padł na Cavanagha, wyciągał wiadro z wylotu wykopu, aby zrzucić jego zawartość do wozu. Po drodze zobaczył otwierające się drzwi ruchomego biura na kołach, w których pojawiła się znajoma twarz. Nie Cavanagha, lecz Marchanta, który zajmował się harmonogramem zmian, odznaczał nazwiska i przekazywał karty pracy pracownikom biurowym zajmującym się wynagrodzeniami. Pojawiali się oni tu co piątek, rozstawiali stolik i wypłacali monety ze zboląłym wyrazem twarzy, jakby były to ich własne pieniądze. O tak, Duch znał Marchanta. Kawał gnidy z przymilnym nosowym głosem.

A potem wyszedł sam Cavanagh.

Dokładnie tak, jak przekazano Duchowi, Cavanagh miał poziomą bliznę

pod prawym okiem o długości prawie dwóch cali. Same oczy były zimne. Podbródek sterczał sztywno. Za każdym razem gdy Duch miał okazję zobaczyć Cavanagha, nie dało się odgadnąć, co myśli.

– Chcę wiedzieć, co knują – powiedział Ethan.

Spotkali się na terenie szpitala Foundling, tak jak to ustalili w Indiach. Ethan zaprowadził Ducha do altany w ogrodach szpitala, gdzie roślinność osłaniała ich przed wzrokiem postronnych. Mistrz obejrzał dobrze byłego ucznia, oceniając łańchmany chłopca i jego zachowanie.

– Bardzo dobrze – stwierdził Ethan, kiedy skończył inspekcję. – Bardzo dobrze. Pasujesz do swojej roli, to pewne.

– Mam pracę na budowie – powiedział Duch. – Tak, jak mi poleciłeś.

Ethan uśmiechnął się.

– Wiem. Mam cię na oku.

– Czy to dobry pomysł?

– Dlaczego nie?

W odpowiedzi Duch wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

– Należy unikać wszystkiego, co zwiększa szansę mojej dekonspiracji.

– Cóż, widzę, że dobrze cię wyszkoliłem – Ethan uśmiechnął się.

– Powinieneś potwierdzać swoje słowa czynem.

– Wybacz, ale nie będę przyjmował rad od takich szczeniaków jak twoja szanowna osoba. – Ethan udawał, że to drobne przyjacielskie przekomarzanki, ale jego oczy były zimne jak stal.

– Wiesz – powiedział Duch – nie powinieneś siedzieć z podbródkiem opartym na swojej silniejszej dłoni.

– Ach tak? – Ethan uniósł brwi, zaskoczony. – Uczeń zamienił się w nauczyciela, tak? Masz dla mnie jeszcze jakąś lekcję, jak być asasynem?

– Ryzykujesz wypadek z ukrytym ostrzem.

– Zwodzę potencjalnych przeciwników.

– Nie ma tu przeciwników.

– Ktoś tu jest nieostrożny.

– Nie powiedziałem, że jesteś nieostrożny, mistrzu. Tylko że zdarzają się pomyłki. Najlepszym z nas.

Nie chciał, żeby to ostatnie zdanie zabrzmiało tak znacząco, i przez sekundę miał nadzieję, że Ethan nie zwróci na to uwagi, ale oczywiście jeśli Ethan tracił koncentrację, nadrabiał to z nawiązką intuicją i wnikliwością.

– Uważasz, że jestem nieostrożny?

– Nie powiedziałem tego.

– Nie musiałeś.

Duch odwrócił wzrok. Nie mógł się doczekać tego spotkania. Jakaś część jego pragnęła pochwały z ust mistrza. Gdzieś po drodze – nie był nawet pewien, kiedy to się stało – rozmowa przyjęła zły obrót.

Kiedy znów się odwrócił, by spojrzeć na swojego starego przyjaciela i nauczyciela, zobaczył, że Ethan przygląda mu się zimnym, złowrogim wzrokiem, ale i tak postanowił poprosić go o przysługę.

– Mogę przymierzyć twoje ukryte ostrze, mistrzu? – zapytał.

Ethan złągodniał.

– A dlaczego miałbyś to robić? Chcesz sprawdzić, czy o nie dbam?

– Chciałbym znów je poczuć, przypomnieć sobie, kim jestem.

– Przypomnieć sobie, że jesteś asasynem? Czy przypomnieć sobie o domu?

Duch uśmiechnął się, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Może jedno i drugie.

Ethan zmarszczył brwi.

– Cóż, wolałbym tego nie robić. Jest doskonale dopasowane do mnie.

Chłopak skinął głową ze zrozumieniem, ale i ze smutkiem.

– No, wyjmij wreszcie ten kij z dupy! – wybuchł Ethan. – Oczywiście, że możesz przymierzyć.

I podwinął rękaw płaszcza, by sięgnąć do sprzączek...

Jakiś czas później, kiedy załagodzili już niewypowiedzianą kontrowersję, mężczyźni siedzieli w milczeniu. Duch widział ze swojego miejsca w zaroślach światła szpitala Foundling i pomyślał, jak spokojnie wyglądał

i jak trudno było uwierzyć, że zaledwie kilkaset jardów dalej był zamęt budowy Linii Metropolitalnej. Nowa kolej podziemna była jak wygięte ramię i siedzieli teraz gdzieś w pobliżu łokcia: Grays Inn Road, New Road – w oku cyklonu.

Siedzący obok niego Ethan kończył zakładanie i dopasowywanie swojego ostrza. To znajome kliknięcie, które było słycać przy wysuwaniu. Ethan miał rację – kiedy Duch je przymierzył, nie zatęsknił za życiem asasyna. Zatęsknił za domem.

Starszy asasyn poruszył dłonią, by sprawdzić, czy nie nastąpi niepożądane zwolnienie ostrza. Klepnął się rękami po udach, zadowolony, że wszystko było w porządku.

– Ciekaw jestem, czy to jest ten moment, kiedy wyjawisz mi cel mojej misji – powiedział Duch.

– Na pewno odgadłeś, że dotyczy naszego przyjaciela Cavanagha?

Duch pokiwał głową.

– Dossier na jego temat było ciekawą lekturą.

– Jego stanowisko w Kolejach Metropolitalnych to przykład tego, jak dużą władzę templariusze obecnie dzierżą w Londynie. Ich dominacja jest niewątpliwa. Mają tę przewagę, że wiedzą, jak jesteśmy słabi, choć raczej wątpię, by zdawali sobie sprawę, jak bardzo. „My” oznacza w tym kontekście mnie i innego członka Bractwa mieszkającego niedaleko stąd. A teraz również ciebie.

– To wszyscy?

– To wszyscy, mój drogi chłopcze. Wszystko, co możemy zrobić, by zagrozić ich supremacji, to strzelać na chybił trafił w nadziei, że zaszkodzimy niektórym ubocznym aspektom ich działalności. Cóż, możemy zrobić tak lub możemy zrobić coś innego. Coś innego to znaczy możemy spróbować się dowiedzieć, jaki jest ich plan.

– I to jest to?

– Tak. Templariusze interesują się, jak sądzimy, tym kawałkiem ziemi w północno-zachodnim Londynie. Myślimy, że chcą coś wykopać. Może

jakiś artefakt.

– Artefakt? Jak diament Koh-i-Noor?

– Być może to coś w tym rodzaju. Kto wie? Coś związanego z Pierwszą Cywilizacją, z Tymi, Którzy Byli Przed Nami. Rzecz w tym, że tego nie wiemy ani nie mamy środków, by zbadać sprawę dokładniej.

Ma to oczywiście zaletę. Nie podejmujemy jawnych działań, więc templariusze nie powinni się spodziewać, że mamy jakieś podejrzenia wobec nich. W rezultacie mogą się stać nieostrożni. Mimo to jesteśmy w złej sytuacji. Prawda jest taka, że poza garstką nazwisk nie mamy pojęcia, jak głęboko Zakon opanował londyńską socjetę.

Duch skinął głową, jakby zadowolona go ta odpowiedź, lecz miała wątpliwości. Tymczasem Ethan rozpiął płaszcz i wyciągnął teczkę z brązowej skóry. Otworzył ją i wyciągnął dossier, oprawione w barwy asasynów, podobnie jak papiery na temat Cavanagha, i wręczył je Duchowi, patrząc bez słowa, jak młodszy mężczyzna zaczyna przeglądać kartki z informacjami o aktywnych londyńskich templariuszach.

Na czele grupy stał oczywiście Crawford Starrick, Wielki Mistrz Templariuszy. Właściciel Starrick Industries, Starrick Telegraph Company i Millner Company, został kiedyś nazwany „wielkim baronem kolejowym” przez samego Charlesa Dickensa. Dalej Benjamin Raffles, szacha templariuszy i „szef bezpieczeństwa” Starricka, oraz kolejna szacha, Hattie Cadwallader, kustoszka National Gallery, która opiekowała się obszerną kolekcją dzieł sztuki Starricka.

Jeszcze jedna szacha: Chester Swinebourne, który jak się wydawało, przeniknął do policji. Dalej był Philip „Plutus” Twopenny, szef Banku Anglii; i Francis Osbourne, jeden z jego dyrektorów.

Numerem dwa była Lucy Thorne. Specjalizowała się w okultyzmie. Duch widział ją kiedyś na budowie. Starricka też. Potem był Rupert Ferris z firmy Ferris Ironworks. Jego też widywano na placu budowy. Podobnie jak Maxwella Rotha. Nie był to templariusz, ale pomógł im w organizowaniu

londyńskich gangów.

Doktor John Elliotson. Ethan znał go osobiście. Był twórcą Kojącego Syropu Starricka.

Potem była Pearl Attaway, właścicielka Attaway Transport i kuzynka Starricka. Herszt gangu nazwiskiem Rexford Waugh. Plugawy fotograf Robert Waugh (oczywiście teraz Duch wszystko już o nim wiedział).

Kolejni: Sir David Brewster, Johnnie Boiler, Malcolm Millner, Edward Hodson Bayley, James Thomas Brudenell, znany również jako „Lord Cardigan”, żołnierz – porucznik Pearce, uczonego o nazwisku Reynolds...

Lista zdawała się nie mieć końca.

– To dość obszerne dossier – powiedział wreszcie Duch.

Ethan uśmiechnął się z żalem.

– Istotnie. A to są tylko ci, o których wiemy. A przeciwko nim? Tylko nas trzech. Ale mamy *ciebie*, mój drogi chłopcze. Pewnego dnia sam będziesz werbował szpiegów. Jeden z nich może się kryć wśród tej menażerii.

Wieczorem tego dnia, kiedy znaleziono ciało, Duch rutynowo zerknął na cmentarz po drodze z budowy do domu, jego oczy jak zwykle wyszukały nagrobek, którego ułożeniem Ethan się z nim porozumiewał. Nagrobek z reguły był...

O, wcale nie był. Nie dzisiaj. Był przechylony w prawo. *Niebezpieczeństwo*. Co dla Ducha stanowiło ważną informację. Nie chodziło o to, że śledzili go ludzie Cavanagha. To już wiedział. Ale Ethan gdzieś tu był, wciąż miał go na oku.

Wróćmy do pilniejszych spraw. Istotnie jacyś ludzie go śledzili. Jeden z nich opuścił teren budowy kilka minut przed nim. Kiedy zadzwonił dzwon kończący zmianę, Duch zobaczył, jak Marchant dyskretnie kiwa głową do jednego z trzech najemników, których zawsze można było znaleźć w okolicy biura albo na budowie. Nazywali się Hardy, Smith i Drugi Hardy – upodobanie Cavanagha do używania wyłącznie swojego nazwiska przeniosło się na jego ludzi lub zostało im narzucone – i podawali się za ochronę przy wypłacaniu wynagrodzeń. Inni robotnicy nazywali ich „kompanią karną”, szczególnym jej rodzajem, który specjalizował się w biciu na kwaśne jabłko, jeśli ktoś nasypał im wystarczająco dużo srebrników. Ale chociaż Duch nie wątpił, że byli kimś w rodzaju kompanii karnej, wiedział też, kim są naprawdę: zbirami templariuszy. I to profesjonalnymi. Potężni mężczyźni, sprawni i czujni; nie marnowali czasu na opowiadanie dowcipów czy gwizdanie na kręcące się przy ogrodzeniu prostytutki, które natrętnie zachwalały swoje wdzięki. Byli skupieni na pracy.

Ale nie byli *aż tak* dobrzy, by uszło to czujnej uwadze Ducha; nie byli dość dobrzy, by się przed nim ukryć. Człowieka, który wyszedł na znak Marchanta – Drugiego Hardy’ego – dało się potem zauważyć, gdy opierał się

o taczkę z wystudiowaną miną pokazującą znudzenie, tak jakby nie przeczesywał właśnie wzrokiem tłumy wychodzących na ulicę robotników w poszukiwaniu swojej ofiary. Kiedy Drugi Hardy zauważył Ducha, odepchnął się od taczki i ruszył krokiem, który można by nazwać spacerowym, jakby wcale nie zamierzał wciąż utrzymywać się w odpowiedniej odległości przed Duchem.

Jednocześnie ktoś inny miał iść za nim. Pewnie Smith i Hardy. „I dobrze”, pomyślał Duch, bo chciał, żeby tu właśnie byli.

„Mam nadzieję, że lubicie porządne długie spacery, przyjaciele”, powiedział w duchu, a potem resztę drogi to przyśpieszał, to zwalniał, stawiając sobie za punkt honoru, by jak najbardziej utrudnić życie śledzącym go ludziom, nie wyjawiając im jednocześnie, że o nich wie.

Aż w końcu dotarł do tunelu. Oczywiście tłumy pozostały już dawno za nim. Gdy Duch podchodził do zejścia na dół, Drugi Hardy był przed nim już niemal samotną postacią. Mężczyzna zatrzymał się w pewnej odległości, udając, że musi zawiązać sznurowadło, podczas gdy Duch zszedł po schodach do rotundy. Spędził cały dzień pod ziemią, teraz spędzi tu też i noc.

Po zejściu na sam dół Duch stał między zaniedbanymi posągami o znękanych rysach – niegdyś tak eleganckimi i luksusowymi, teraz gnijącymi – i spojrzał w górę, udając, że podziwia widoki. Jak mógł się spodziewać, wyczuł, że postacie na schodach ponad nim wchodzą w cień. Uśmiechnął się. Dobrze. Tak było dobrze. Chciał, żeby wiedzieli, gdzie mieszka.

– W najbliższych dniach mogą tu przyjść pewni ludzie – powiedział potem do Maggie. Wcześniej sprawdził, co u Charliego, i dał mu chleb, a także odwiedził Jake’a i z zadowoleniem zauważył, że noga starego recydywisty się zrasta. Po wykonaniu tych dwóch zadań wszedł dalej, głębiej w grobową ciemność tunelu, mijając nisze pełne zakutanych w łańchmany ciał.

Niektórzy spali, inni gapili się na niego szeroko otwartymi białymi oczami z wnętrza swoich niegościnnych kryjówek, patrząc w milczeniu, jak idzie,

a jeszcze inni pozdrawiali go gestem ręki: „Cześć, Bharat”, „Witaj, chłopcze”, czy też zwykłym mrugnięciem na powitanie.

Niektórych znał z imienia, innych po zajęciu: Olly był na przykład „poszukiwaczem skarbów”, czyli zbierał psie łajno, które sprzedawał na targu Bermondsey, miał jednak tendencję do brania pracy do domu. Duch, przechodząc obok Olly’ego, zatkał nos, ale i tak podniósł na chwilę rękę, by go powitać. Wielu z tych ludzi miało świeczki i był wdzięczny za to światło; wielu nie miało niczego i leżało, trzęsąc się z zimna w ciemności, sam na sam ze swoim bólem, ze łzami w oczach, wyczekując chłodnego świtu i początku kolejnego dnia niszczącej duszę walki o przeżycie w Londynie – najnowocześniejszym mieście świata. Lśniącym klejnocie wspaniałego imperium Jej Wysokości.

A potem dotarł do Maggie, która doglądała małego ogniska. Zajmowało jej to większą część każdego wieczora; nalewała zupę do miski każdego mieszkańca tunelu, który o to poprosił. Wszyscy odbierali swoje jedzenie, które zwali „żarłem”, z mieszaniną wdzięczności i oddania, i odchodzili, dziękując Maggie i wychwalając ją pod niebiosa; ale przede wszystkim wszyscy spoglądali z przestachem za nią, tam, gdzie światło przegrywało z ciemnością i gdzie dosłownie oraz metaforycznie królował mrok, i dziękowali Bogu za młodego Hindusa, którego niektórzy znali jako Bharata, inni zaś jako chłopaka Maggie, który zaprowadził porządek w tunelu, dzięki czemu mogli w nocy spać spokojnie w swoich niszach.

I tak właśnie siedzieli obok siebie, Maggie i Duch, oparci plecami o wilgotną ścianę tunelu i z dogasającym ogniem u stóp. Maggie miała kolana podciągnięte pod brodę i obejmowała się, by się ogrzać. Jej długie siwe włosy – „moje włosy czarownicy”, jak o nich mówiła – kładły się na brudnej tkaninie jej szarej spódnicy i chociaż jej buty nie miały sznurowadeł, mówiła, że tak właśnie woli. Nie cierpiała być „związana”, tak zawsze powtarzała. Pewnego dnia, dawno temu – „zanim jeszcze byłeś przecinkiem u twojego tatusia w worku” – zobaczyła na obrazku jakieś orientalne damy ze

związanymi stopami i odtąd już nigdy nie nosiła sznurowadeł. Tak, Maggie miała żywe współczucie dla bliźnich.

Teraz na jej twarzy malowały się obawa i troska.

– Ale dlaczego – zapytała – będą po ciebie przychodzić ludzie?

– Będą o mnie pytać – powiedział jej Duch – i mogą te pytania zadawać tobie.

Wydała z siebie oburzone prychnięcie.

– Ja myślę, do cholery. Tak właśnie *powinni* zrobić.

Maggie lubiła pomagać ludziom, ale lubiła też, kiedy ludzie o tym wiedzieli. Chciała, żeby jej starania spotykały się z uznaniem.

– Na pewno tak będzie – powiedział Duch z uśmiechem. – I chcę cię prosić, żebyś uważała na to, co mówisz.

Spojrzała na niego przenikliwie.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli to, że inni mieszkający w tunelu powiedzą, że bronię cię przed złodziejami i włóczęgami, którzy mieszkają dalej, i to jest w porządku; odmalują mój portret jako człowieka, który nie stroni od przemocy, i nie przeszkadza mi to. Ale nie chcę, żeby ci ludzie otrzymali zbyt dokładny opis moich umiejętności w walce.

Ściszyła głos.

– Nie zapominaj, że widziałam cię w akcji. Nie ma przesady w tym, że potrafisz walczyć.

– O to mi właśnie chodzi, Maggie. To jest dokładnie to, czego masz nie mówić. Mogę być człowiekiem walki, ale niekoniecznie nadzwyczajnych umiejętności, czy wyrażam się jasno?

– Zaczynam rozumieć.

– Pewnie będą cię pytać o to, jak się poznaliśmy, ale... Powiedz im, co chcesz. Powiedz im, że znalazłaś mnie pijanego w rynsztoku, tylko nie mów im o tym, co się stało na cmentarzu.

Wzięła go za rękę. Jej ogorzała dłoń była niemal tak ciemna jak jego

własna.

– Nie masz aby kłopotów, Bharat?

– Jestem wzruszony, że się o mnie martwisz.

Zachichotała.

– Jak mówiłam, widziałam cię w akcji. To inni powinni się martwić, ale...

Opuścił głowę.

– Ale?

– Ale widziałam też, że się zawahałeś, kiedy przyłapałeś tego elegancika na gorącym uczynku, i widziałam, jak wola walki z ciebie wycieka, zupełnie jakby ktoś wyciągnął korek. Widziałam kogoś, kto jest bardzo dobry w zabijaniu, ale nie ma do tego serca. Poznałam wielu paskudnych drani, którzy z chęcią wybiliby człowiekowi zęby tylko dlatego, że wypili za dużo piwa i mieli ochotę poruszać rękami. Paskudnych drani, co to uwielbiali robić krzywdę, ale tylko tym słabszym i wrażliwszym od siebie. Bóg jeden wie, dwaj tacy byli moimi mężami. A do tego widziałam ludzi, którzy umieli się bić, i radzili sobie, kiedy wybuchała bijatyka, i robili to, co trzeba było, i może czuli z tego powodu ponurą dumę, a może nie. Ale *nigdy* nie widziałam człowieka, który walczyłby tak dobrze jak ty, ale miał do tego tak mało zacięcia.

Duch patrzył, jak Maggie potrząsa głową z niedowierzaniem, zamiatając siwymi włosami po spódnicy.

– Możesz mi wierzyć, młody człowieku, że strasznie dużo o tym myślałam. Myślałam, że może jesteś dezserterem z wojska, ale nie z tchórzostwa, o nie, nigdy nie widziałam tak odważnego człowieka, ale dlatego, że jesteś jednym z tych, jak im tam? *Pacyfistów*. Cóż, prawda jest taka, że tego nie wiem, i z tego, co mówisz, pewnie lepiej, żebym nie wiedziała, ale wiem jedno, że masz wielkie serce, a na tym świecie nie ma miejsca dla ludzi z takim sercem. Ten świat zjada ludzi z takim sercem. Zjada i wypluwa. Pytasz, czy się martwię? Tak, mój chłopcze, martwię się. Pytasz, dlaczego? Oto dlaczego.

Czekając wraz z innymi na rozpoczęcie zmiany, Duch zastanawiał się, czy templariusze znaleźli to, czego szukali: artefakt pozostawiony przez poprzednią cywilizację, zakopany wehikuł czasu, który czeka na odkrycie. Jaką wspaniałą mocą może być obdarzony?

Wrócił myślami do Amritsaru, jak często robił – wspomnienia to wszystko, co teraz miał, i odświeżał je co jakiś czas ze czcią, z jaką żarliwy wyznawca odwiedza świątynię – i pomyślał o diamentie Koh-i-Noor i zapierającym dech pokazie światła, którego był źródłem, tworząc przejście do innych światów, większej wiedzy, głębszego zrozumienia – mapę dla ludzkości z zaznaczoną drogą do lepszego świata.

Ale co, jeśli wpadnie w niepowołane ręce?

Bał się nawet pomyśleć.

Przed oczami pojawiły mu się obrazy zniewolenia. Zobaczył wszystkich ludzi przygiętych do ziemi jak ci w tunelu, praktycznie niewolników, na których pluto i którymi pogardzano, traktowanych jak podludzi przez ich szczerzących zęby panów rządzących nimi ze swoich luksusowo urządzonych gmachów. Ludzi, którzy brali symbole i zmieniali ich znaczenie, by nagiąć je do własnej ideologii. Zobaczył mękę i cierpienie. Zobaczył świat pozbawiony nadziei.

Zadzwonił dzwon i nowa zmiana, nie pozdrawiając wychodzących mężczyzn, starła się z nimi niczym wroga armia, ale bez woli walki. Robotnicy wyminęli się w błocie, przyciskając do piersi swoje cenne narzędzia. Potem Duch zszedł do wykopu po kilku kolejnych drabinach, przeszedł wzdłuż torów, aż dotarł do przodka, gdzie kontynuowano kopanie, wybieranie i wynoszenie – które tak naprawdę nigdy nie ustawało – i wkrótce był brudny. Niebawem wszyscy byli brudni. Pod ziemią nie liczył się kolor

skóry; ważne było tylko to, czy mogłeś pracować i jak szybko. Czasami padały wesołe żarty lub pokrzepiające słowa sąsiada.

Dzwony miały oznaczać upływ czasu, bijąc co godzinę. Ale Marchant chyba nie nakazał ich używać, a może Duch ich nie słyszał, bo czas po prostu włókł się bez podziału na odcinki. Kopać, kopać, kopać. Słysząc było nieustanne szuranie i dzwonienie łopat i kilofów oraz głosy gawędzących mężczyzn wzdłuż wykopu, niektóre głośniejsze, te należały do wesołków, którzy poprawiali innym humor.

Większość robotników wolała pracę na dźwigach. Mieli tam więcej światła słonecznego. Regularne jak metronomu ruchy dźwigu służyły im za zegar odmierzający czas, który na dnie wykopu zdawał się stać w miejscu. Ale nie dla Ducha. Praca w dole była dla niego wytchnieniem od wszystkiego. *Kopać, kopać, kopać* jak maszyna. Myśli wędrowały do domu, gdzie znów był Jayadeepem.

Poza tym był przyzwyczajony do przebywania pod ziemią.

– A niech mnie, jeśli to nie posterunkowy numer 72, Aubrey Shaw z Wydziału F w Covent Garden! – powiedział Abberline. – Zawitał aż tutaj, na Regent Street.

Pulchny i dość ponuro wyglądający policjant o czerwonej twarzy z wąsami lśniącymi od piwa wyjrzał znad kufła i wbił nienawistny wzrok w Abberline’a.

– A niech mnie – zakpił w odpowiedzi – jeśli to nie posterunkowy numer 58, Frederick Abberline z Wydziału D w Marylebone, również poza terenem swojej jurysdykcji, który może wziąć swoje insynuacje i wsadzić je tam, gdzie słońce nie dochodzi.

– Kto insynuuje? – powiedział Abberline. – Mówię wprost, że migasz się od obowiązków, kolego, i przyłapałem cię na gorącym uczynku.

To prawda. Obaj posterunkowi byli z dala od swoich rewirów, jako że siedzieli właśnie w pubie Green Man przy Regent Street. Abberline pomyślał, że może tu znaleźć Aubreya, wiedząc, że nie ma go nigdzie w rejonie, a ma opinię stałego bywalca takich lokali. Aubrey uwielbiał krykieta, a Green Man był ulubionym miejscem spotkań graczy i miłośników tego sportu. W witrynie umieszczono kije, paliki i inne krykietowe utensylia, które bez wątpienia były dla Aubreya bardzo przydatne, ponieważ mógł delektować się swoim piwem, ale bez towarzystwa publiczności gapiącej się przez szybę na to, jak jakiś krawężnik zrobił przerwę, żeby sobie chlapanąć.

– Poza tym nie migam się.

– Więc jak chcesz to nazwać? Migasz się, wagarujesz, wycierasz stołek w Green Man, żeby wychylić parę kufli, to przecież to samo, nieprawdaż?

Aubrey opuścił ramiona.

– Nie migam się ani nie wagaruję. Raczej waruję. Nie, chwileczkę, *wariuję*.

Ze złości. Ot co.

– A dlaczegoż to wariujesz ze złości, co, Aubs?

Abberline zajął miejsce przy barze obok niego. Barman w czystym fartuchu podszedł do niego, ale Abberline odesłał go ruchem ręki, bo Freddie Świeżynka nie pił na służbie.

Siedzący obok Aubrey otworzył górną kieszeń bluzy od munduru i wyjął złożoną kartkę papieru, którą wręczył Abberline'owi. Na górze widniała ręcznie napisana niezdarne imitacja gazetowego nagłówka. „Czy widzieliście tego człowieka?”, głosił napis, pod spodem zaś znajdował się rysunek węglem mężczyzny w płaszczu z nieprawdopodobnie długim nożem.

– Mówię ci, chłopaki na komisariacie mają ze mnie kupę śmiechu – powiedział Aubrey z żalem.

– A to dlaczego?

– Podwójne morderstwo w Old Nichol. Podejrzewam, że o tym słyszałeś. Mam świadka, który widział...

– Człowieka w długim płaszczu. Tak, słyszałem.

Aubrey poderwał ręce ze złością.

– Widzisz? O to mi właśnie chodzi. Cały cholerny Londyn wie wszystko o dziwnym człowieku w płaszczu z bardzo długim nożem. Cały cholerny Londyn wie, że *szukam* człowieka w dziwacznym płaszczu z długim nożem, ale żaden gałgan poza tą starą wiedźmą ze slumsu go nie widział. Ale wiesz... – Spojrzał z ukosa na Abberline'a. – Wszyscy też wiedzą o twoich zaginionych zwłokach, Freddie. Szczerze mówiąc, wybac mi, że tak pomyślałem, ale odkąd usłyszałem o niezwykłym zniknięciu zwłok u Freddiego Abberline'a, pojawiła się iskra nadziei, że dadzą mi przez nie spokój.

Abberline zaśmiał się ironicznie.

– I co, nie udało się?

– Nie udało. To dlatego tu jesteś, tak? Też warujesz?

– Nie. I prawdę mówiąc, twój facet w płaszczu pojawił się w mojej sprawie

z zaginionymi zwłokami, wyobrażasz sobie?

Szczerze niedowierzenie we wzroku Aubreya ustąpiło miejsca drwinie.

– O tak, wiem, w co grasz. – Spojrzał Abberline'owi przez ramię, jakby się spodziewał, że zobaczy śmiejących się głośno żartownisiów wynurzających się z ciemnych głębi lokalu. – Kto cię do tego namówił?

– Ależ przymknij się, Aubs. Mówię ci, że wierzę w twojego człowieka w płaszczu. To już coś, nieprawdaż?

– Cóż, jesteś pierwszy. Właściwie jedyny. Jak powiedziałem, oprócz tej wiemy nikt inny nie widział człowieka w płaszczu. Spytałem każdego handlarza na targu w Covent Garden. Wypytałem chyba połowę Old Nichol, a można raczej oczekiwać, że człowiek w płaszczu z niezwykle długim nożem wyróżniałby się w tłumie, nieprawdaż? Przyciągałby wzrok. Ale nie! Nikt go nie widział. Nikt oprócz tego jednego świadka. Jakby pojawił się, ot tak, a potem zniknął.

Abberline się zastanowił. Z jakiegoś powodu współgrało to z jego odczuciami co do nieznanego w Belle Isle – tajemniczej postaci we mgle o równie tajemniczych motywach.

– Więc kim są twoje ofiary? – zapytał.

– Jeden z nich to męt społeczny znany jako Boot. Drobnny złodziejasek. Pośrednik pracujący dla różnych gangów z East Endu.

– Z pewnością bójki na noże nie były mu obce.

– Tak, ale nie tym razem... Został zastrzelony.

– Zastrzelony? A co z drugą ofiarą?

– Ech, tutaj robi się smutno, Freddie. To była mała dziewczynka. Wygląda na to, że wplątała się w to przypadkiem.

– I ją też zastrzelono?

Aubrey spojrzał na niego.

– Freddie, większość ludzi zatrzymuje się na moment, by pomyśleć o tragedii małej dziewczynki, którą trafiła kula.

– Aha, więc *została* zastrzelona?

- Tak, została zastrzelona.
 - Dobrze, czyli świadek widział człowieka w długim płaszczu mającego coś, co wyglądało jak potwornie długi nóż?
 - I to z wąską klingą. Przypominał raczej coś do szermierki. Jakby rapier.
 - Nie do krojenia. Do walki. Do dźgania. A jednak zarówno ten twój Boot, jak i mała dziewczynka zostali zastrzeleni?
 - Zgadza się.
 - Czyli szukasz tajemniczej postaci w płaszczu, która zastrzeliła dwie osoby za pomocą noża?
 - O, mój brzuch. Zaraz pęknie mi ze śmiechu.
- Abberline westchnął.
- Czy znaleziono w ogóle broń?
 - Nie.
- A teraz młodszy policjant myślał o rewolwerze, który znalazł przy zwłokach. Myślał o ranie kłutej, którą znalazł na ciele.
- Masz tylko tego jednego świadka?
 - Inny widział tylko jakiegoś uciekającego faceta.
 - Miał na sobie dziwaczny płaszcz?
 - Świadek czy ten, co uciekał?
 - Ten, co uciekał.
 - Nie.
 - Więc to on mógł strzelać?
- Aubrey spojrzał na niego z odrobiną wstydu.
- Cóż, chyba mógł. Jakoś o tym nie pomyślałem. Miałem na głowie nożownika w płaszczu, czyż nie?
- Abberline wyrzucił ręce do góry.
- Niech to licho, Aubs. Wypij do końca i chodź. Wracamy do Old Nichol.

Godzinę później biedny stary Aubrey Shaw był jeszcze bardziej przybity. Jego pierwszego świadka, staruchy, która widziała człowieka w płaszczu, nie dało się nigdzie znaleźć.

– Zniknęła, całkiem jak ten mityczny nożownik – lamentował Aubrey.

Obaj policjanci wiedzieli, że takie jest koczownicze życie dzielnicy nędzy i kobieta pewnie po prostu spakowała się i gdzieś przeniosła.

Dzięki Bogu za odrobinę łaski dla policji, bo udało im się odnaleźć drugiego świadka. Abberline pomyślał, że gdyby nie to, mógłby mieć na sumieniu psychicznie załamane koleżę po fachu.

– Tu jest – powiedział Aubrey bokiem ust, kiedy zbliżyli się do numeru 32. Na schodkach przed pokrytą sadzą kamienicą czynszową o płaskiej fasadzie siedziała przygnębiona kobieta. Wpatrywała się w nich pozbawionym emocji wzrokiem. Przy obnażonej piersi trzymała dziecko.

Aubrey kaszlnął i spojrzał pod nogi. Abberline desperacko starał się trzymać, ale nie udało mu się i on też poczuł, że się czerwieni, znajdując coś wielce ciekawego na wiszącym nieopodal praniu. Obaj policjanci zrobili to, co powinien zrobić gentleman w takich okolicznościach. Zdjęli wysokie policyjne kaski.

– Przepraszam panią najmocniej – powiedział Abberline. – Jak mi nie mam, rozmawiała pani z moim kolegą, tu obecnym posterunkowym Aubreyem Shawem, na temat czegoś, co widziała pani w noc tego straszliwego podwójnego zabójstwa tu, w Old Nichol. Czy moje przypuszczenie jest słuszne?

– A niech mnie wszyscy święci. – Kobieta uśmiechnęła się przez zęby podobne do starych nagrobków. – Ale pan ładnie mówi.

Abberline nie był pewien, czy jego rozmówczyni wyśmiewa go, czy naprawdę jest miła, ale jej twarz nieco się rozjaśniła, a oczy złagodniały, więc poszedł za ciosem.

– Proszę pani, czy widziała pani tej nocy, kiedy doszło do zabójstwa, biegnącego tą ulicą człowieka?

Sprawiła wrażenie, że się zastanawia, patrząc w dół na główkę dziecka.

Poprawiła niemowlę przy sutku, potem znów przerzuciła wzrok na dwóch policjantów.

- Tak, widziałam.
- I on po prostu biegł, zgadza się?
- Tak, biegł.
- Może go pani opisać?

Pociągnęła nosem wyniośle.

– Jak mówiłam twojemu koledze, myślę, że nie, nie mogę go opisać... chyba że dostanę parę pensów.

Abberline zmarszczył brwi i odwrócił się do Aubreya.

- Chcesz powiedzieć, że mogłeś zdobyć ten opis za marne kilka pensów?
- Cały czas chodziło o faceta w płaszczu, prawda? – Aubrey podniósł rękę w obronnym geście, czerwieniąc się jeszcze bardziej niż zwykle.
- Chodziło raczej o to, że jesteś żyła.

– Skąd miałem wiedzieć, że nagle tak się zainteresujesz jakimś facetem biegnącym ulicą? Zresztą *dlaczego* tak się tym interesujesz, do cholery? Pewnie po prostu zobaczył krew albo jeszcze lepiej faceta z nożem i pomyślał, że lepiej będzie, jak się zmyje. Ty byś tak nie zrobił?

Abberline przestał go słuchać. Wchodził już po schodach, żeby włożyć kobiecie kilka monet do ręki, szarmancko odwracając przy tym wzrok od jej nagiej piersi.

- Czy teraz może mi pani powiedzieć, jak wyglądał?

Spojrzała na swoją dłoń, jakby zastanawiając się, czy się targować, ale się rozmyśliła.

– To był gość w garniturze, z dużymi puszystymi wąsami, co to księżę Albert je nosił, zanim wziął i umarł, Boże świeć nad jego duszą. I miał duże gęste bokobrody, o tutaj, trochę jak u pana.

- A proszę mi powiedzieć, czy miał coś w ręku.

Wyglądała, jakby coś kręciła. Jakby się bała.

Abberline nachylił się do niej, wciąż ze skromnie odwróconym wzrokiem, ale udało mu się powiedzieć jej do ucha:

- Czy przypadkiem nie miał rewolweru?

Jej oczy powiedziały „tak”. Abberline podziękował jej spojrzeniem i wycofał się.

Kiedy wychodził z Aubreyem z dzielnicy slumsów, Abberline tryskał energią.

– Wiesz, co to znaczy, Aubs? To znaczy, że jest więcej niż prawdopodobne, że twój biegnący człowiek i moje zwłoki to ten sam facet. A twój człowiek w płaszczu to ten sam, który pojawił się w Belle Isle. Przyjacielu, to może wyjaśnić całą sprawę.

– Dzięki Bogu – westchnął Aubrey. – Może uda mi się odzyskać reputację. Abberline również westchnął.

– Jest jeszcze taka drobna sprawa jak prawda i sprawiedliwość, Aubrey. Nie zapominajmy o tym, co?

Starszy policjant w odpowiedzi rzucił mu spojrzenie mówiące: „Może i masz zapal, ale musisz się jeszcze mnóstwo nauczyć”, i powiedział:

– Prawda i sprawiedliwość nie przywrócą do życia tej małej dziewczynki, Freddie.

Po powrocie na komisariat Abberline zmusił Aubreya, żeby ten poprosił dyżurnego sierżanta o rejestr, i kiedy Aubrey poszedł, jak to ujął, „zaparzyć dobrze zasłużoną herbatę”, Abberline usiadł przy pulpicie na wysokim krześle i zaczął przeglądać ciężkie stronicę w poszukiwaniu osób zgłoszonych jako zaginione w noc, gdy...

O. Jest. Jasny gwint. Tylko jedna osoba w tej okolicy. Mężczyzna, którego żona zgłosiła zaginięcie wieczorem po rzeczonyj nocy. Wyszedł do – oho, pięknie – do Old Nichol, mówiąc jej, że musi tam załatwić pewną sprawę i że niedługo wróci. Tyle że już się nie pokazał.

Nazywał się Robert Waugh. Mieszkał niedaleko stąd.

– Aubs – powiedział Abberline, kiedy drugi policjant wrócił do recepcji z dwoma kubkami parującej herbaty. – Nie ma na to czasu, musimy złożyć komuś wizytę. Idziemy do domu Roberta Waugh.

– Bharat Singh!

Było późne popołudnie, kiedy padło jego nazwisko, odbijając się jak piłka wrzucona do szybu przekazywana od jednego do drugiego: „Bharat Singh... Bharat Singh... Bharat Singh...”.

I chociaż miał wykształcony odruch i reagował na przybrane imię, był jednak zbyt pogrążony w myślach, żeby odpowiedzieć, dopóki człowiek obok niego, nie przerywając pracy, nie szturchnął go końcówką kilofa:

– Ej, Hindusie, wołają cię na górę.

Wyszedł po drabinach i spotkał Marchanta, który czekał na niego z trzyosobową asystą ochroniarzy. Poprowadzili Ducha po deskach, przechodząc na drugą stronę trzęsawiska do ruchomego biura na kołach. W środku znajdował się Cavanagh – dziś panowie Pearson i Fowler byli nieobecni – tylko Cavanagh, siedzący za szerokim biurkiem z wypolerowanego dębu, na którym nie było nic prócz dokumentu, który Duch od razu rozpoznał.

Popołudnie przechodziło w zmierzch i w przyćmionym świetle blizna Cavanagha zaśniła słabo, gdy podniósł list tak, by zobaczyć go Duch.

– Nazywasz się Bharat Singh – powiedział bez emocji. – Pochodzisz z Bombaju i jesteś autorem tego listu?

Dyrektor Kolei Metropolitalnej mówił tonem bardziej poufałym, niż Duch zwykł słyszeć, gdy szcikliwie wydawał polecenia Marchantowi i brygadziście w wykopie.

– Tak jest, sir – potwierdził Duch, kiwając głową.

Marchant zajął miejsce tuż za swoim szefem z tym samym lizusowskim uśmiechem, który zawsze miał przyklejony do twarzy. Stał blisko, tak jakby chciał wyciągnąć rękę i dotknąć Cavanagha, by przyjąć trochę jego

wielkości. Tymczasem trzej ochroniarze weszli za chłopakiem i ustawili się w półkolu.

To było to. To była ta chwila, kiedy Cavanagh – jeśli tylko ma jakieś podejrzenia – powinien działać. Duch rozważył możliwości. Wiedział już, który z tych mężczyzn jest najsilniejszy, a który najsłabszy. Marchant zajmował zaszczytne pierwsze miejsce na tej ostatniej liście. Na szczycie znajdował się jednak człowiek siedzący przy biurku, człowiek, o którym Duch wiedział z jego dossier, że był równie bezwzględny, jak szybki w walce.

– I powiadasz, że twój ojciec był sipajem w Dżalalabadzie w 1842 roku? – zapytał Cavanagh, pozwalając, by list opadł na blat biurka.

Duch skinął głową.

– Bardzo odważni ludzie z tych sipajów – ciągnął Cavanagh. – Znałem kiedyś szczególnie odważnego.

Duch spojrzał na niego, z trudem wierząc własnym uszom i myśląc o nieszczęsnym bezimiennym, martwym zapewne sipaju, ale Cavanagh przeszedł już do następnego tematu.

– I twój ojciec mnie znał?

– *Słyszał* o panu, sir, chociaż jestem pewien, że chciałby mieć szansę pana poznać. Jestem przekonany, że zazdrościłby mi teraz.

Cavanagh uniósł brew z lekkim zakłopotaniem.

– Ach tak? A dlaczego konkretnie?

– Bardzo pana chwalił, sir. Mówił o panu jako o bohaterze, o wielkim żołnierzu, który przetrwał marsz z Kabulu, i że powinienem zapamiętać pańskie nazwisko, bo z pewnością są panu pisane wielkie rzeczy.

– Uważał, że „są mi pisane wielkie rzeczy”? Dlatego że potrafię znieść zimno i umiem się posługiwać szablą? Wyjdź z biura i znajdziesz setkę ludzi, którzy walczyli równie zaciekle jak ja, służyli swojemu krajowi tak jak ja i robili, co mogli, żeby przetrwać, zupełnie jak ja. Żaden z nich nie osiągnął wielkości. Chyba że uznasz za wielkie osiągnięcie fakt, że Marchant drze się

na ciebie dzień i noc. Żaden z nich nie osiągnął mojego stanowiska. Co takiego sprawiło, że twój ojciec uznał, że to ja osiągnę sukces?

– Ale miał rację, prawda, sir?

Cavanagh przyznał mu słuszność ruchem podbródka, ale...

– Pytanie pozostaje bez odpowiedzi.

Duch przełknął ślinę. „Oto chwila prawdy”.

– Wspomniał o pewnej organizacji, sir – powiedział. – Organizacji, która zainteresowała się panem z powodu pana talentów. Bardzo potężnej organizacji, sir, i że posiadanie wsparcia tej organizacji z pewnością wystarcza, by osiągnąć awans.

– Rozumiem. A czy ta organizacja jakoś się nazywa?

– Zakon Templariuszy, sir.

Lizusowski uśmiech Marchanta pozostał na swoim miejscu, ale jego oczy zwięziły się na dźwięk słów „Zakon Templariuszy”, które zabrzmiały w pokoju jak plusk kamienia wpadającego do nieruchomego stawu. Duch wyczuł napięcie u zbirów za jego plecami. Czy szykowali się na coś, co może zrobić Duch? Czy Cavanagh?

– Zgadza się. Twój ojciec miał rację. – Przelotny uśmiech przemknął przez jego beznamietną twarz. Blizna się wykrzywiła w grymasie. – Przyjemnie jest wiedzieć, że spotykamy się w niższych klasach społecznych z takim uznaniem.

Chwila trwała. Cavanagh oparł się na krześle, oceniając Ducha wzrokiem, jakby starał się rozszyfrować sygnały, których młodszy mężczyzna nie chciał wysłać. Cokolwiek uczyni dyrektor, musi to być jego własna decyzja, wynikająca z zaufania do własnego instynktu. Nie liczyło się teraz nic innego, tylko zdobycie zaufania Cavanagha.

I wtedy człowiek za biurkiem, jak się zdawało, rozluźnił się, wskazując na list.

– Drugi ciekawy aspekt twojego pisma to wiadomość dotycząca mojego pracownika, którego zamierzasz zdemaskować jako zdrajcę. Ciekaw jestem,

czy ma to może coś wspólnego z moim pracownikiem Robertem Waughiem, którego znaleziono martwego na placu budowy dwa dni temu?

Duch skinął głową.

– Powiedz, jak połączyłeś go ze mną?

– Widziałem, jak wchodzi do pańskiego biura, sir. – Cavanagh, słysząc te słowa, spojrzał znacząco na Marchanta. – A potem, kiedy zobaczyłem go w szynku, wiedziałem, że to on.

– I tak dowiedziałeś się, że oddaje się, jak to ująłeś, *zdradzieckiej działalności*?

– Tak, sir, wtedy zacząłem to podejrzewać.

– I dlaczego postanowiłeś mi o tym donieść?

Kolejna chwila prawdy dla Ducha. Kolejny punkt na jego konto albo gwóźdź do trumny, w zależności od tego, w co uwierzy Cavanagh.

– Po tym, co powiedział mi mój ojciec, nie mogłem uwierzyć we własne szczęście, kiedy pana zobaczyłem. Kiedy poznałem pana nazwisko i ujrzałem bliznę, wiedząc, że to ta sama blizna, z którą wrócił pan z marszu przeznaczonych na zagładę, uznałem, że los sprawił, że znalazłem się w pana otoczeniu, ale to ode mnie zależy, czy dostanę się bliżej. Templariusze dostrzegli kiedyś w panu utalentowanego człowieka, który może być dla nich przydatny. Liczę teraz, że pan spojrzy na mnie tak samo.

– W porządku, może to nawet godne pochwały, ale w tej chwili mam tylko twoje słowo i martwe ciało i nie jestem do końca pewien, że którakolwiek z tych rzeczy jest mi do czegoś przydatna.

– To ja zabiłem Roberta Waugha w nadziei, że da mi pan potem pracę.

Cavanagh chrząknął.

– Cóż, to było dość bezczelne z twojej strony, nieprawdaż? Bo wracając do tego, co już powiedziałem, mam tylko twoje słowo, że był zdrajcą.

– Sprzedawał wasz towar w szynkach, wykorzystując do brudnej roboty człowieka znanego jako Boot.

Cavanagh wzruszył ramionami.

– To brzmi prawdopodobnie, ale wciąż brakuje mi konkretnych dowodów.

– Zabiłem go w Old Nichol, sir. Zabrałem mu dowód. Fotografie, którą mam w domu.

– W tunelu?

Duch zrobił zaskoczoną minę.

– Wie pan, gdzie mieszkam, sir?

– O tak. Lubisz tunele, co? Byliśmy tam i pytaliśmy o ciebie, i jesteś kimś więcej niż zwykłym *mieszkańcem* tunelu, nieprawdaż? Ze wszystkich relacji wynika, że jesteś dla nich kimś na kształt przywódcy.

– Umiem czytać i pisać, sir. Nauczyłem się, płynąc tu z Indii. Zdobyłem też trochę wiedzy medycznej. Z tego powodu oraz dlatego, że czasem sprzeciwiałem się szumowinom, które też mieszkają w tym tunelu, niektórzy mieszkańcy uważają mnie za swojego przyjaciela.

Cavanagh uśmiechnął się z zaciśniętymi ustami.

– Tak czy owak, jawisz się jako bardzo przedsiębiorczy człowiek.

Duch ocenił, że to właściwy moment, i pozwolił, by do jego głosu wkradła się odrobina gorliwości.

– Człowiek, który może się panu przydać, sir. Nie polecam panu swoich usług pochopnie, sir. Mam nadzieję, że dostrzeże pan we mnie coś z siebie samego.

– Cóż, to się jeszcze okaże. – Cavanagh znów podniósł podbródek, sugerując, że podjął korzystną dla Ducha decyzję. Odezwał się do jednego ze zbiorów stojących za jego plecami: – Smith, idź do tunelu, znajdź tę fotografię, o której mówi. Aha, i bądź miły dla tej starszej pani, dobrze? Z tego, co rozumiem, nasz przyjaciel i ona są sobie bliscy.

Spojrzał znacząco na Ducha, który stłumił niepokojącą myśl, i mówił dalej:

– Tymczasem ty, Bharacie Singhu, będziesz towarzyszył Marchantowi i panu Hardy’emu w wizycie u niedawno owdowiałej pani Waugh. Aha, panie Hardy, jako że jestem pewien, że nasz nowy współpracownik mówi prawdę, nie musisz się przejmować i być miły dla pani Waugh. Możesz być

tak niemiły dla tej starej jędzy, jak tylko zapragniesz.

Hardy wyszczerzył się w uśmiechu, odsłaniając złoty ząb. Jego głos brzmiał jak zgrzyt łopat na przodku w tunelu:

– Z przyjemnością, sir.

– Pewnie nie potrafisz powozić, co, chłopcze? – wychrypiął Hardy, kiedy cała trójka wyszła za bramę budowy, podążając w stronę, gdzie stał ich wóz.

I Duch, który był doskonałym jeźdźcem, prowadził w życiu wiele powozów i potrafił docenić świetnie resorowaną, obitą piękną tapicerką karetę typu Clarence, postarał się, by wyglądać jak ciemny kmiołek, za którego wyraźnie brał go Hardy, i wzruszył ramionami z wyrazem zagubienia na twarzy.

– Dobrze – powiedział Hardy, patrząc na niego zimno. Podrapał się po szczeciniastym zaroście, potem poprawił kapelusz. – Bo nikt nie powozi kareta pana Cavanagha oprócz mnie, pana Smitha albo Drugiego pana Hardy’ego. Czy to jasne?

– Nie mam z tym problemu, sir – odparł Duch. – Mogę po prostu usiąść z panem Marchantem w środku, w ciepło?

Hardy posłał mu spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „Nie kuś losu”, a chwilę później zajął się zakładaniem szalika, palta i rękawic, szykując się na krótką jazdę do Bedford Square.

Duch tymczasem stał obok karety, czekając na Marchanta, a kiedy ten się pojawił, otworzył mu drzwi. Bez słowa podziękowania Marchant wszedł do środka, a następnie pedantycznie okrył się pledem, nie zostawiając ani kawałka dla Ducha, który usiadł naprzeciwko. Kiedy Marchant się usadowił, pociągnął za sznurek, a potem demonstracyjnie ignorował Ducha, wyglądając przez okno karety. Siedzący na kozle Hardy potrząsnął lejcami i powóz ruszył w stronę domu pani Waugh.

Kiedy przybyli na miejsce, Duch obserwował z nieustającym zainteresowaniem, jak Hardy złazi z wysokiego kozła karety, zdejmując rękawice z jednym palcem i zakłada zamiast nich skórzane, poruszając palcami z groźną i rzeczową miną, jednocześnie nie spuszczać z Ducha

złowrogiemu spojrzenia. „Uważaj, mam cię na oku”.

Następnie Hardy sięgnął do schowka w powozie. Wyjął z niego kastet, który założył na dłoń w rękawicze. Ze schowka wyłoniło się coś jeszcze: gruba drewniana pałka ze skórzaną pętelką, którą owinał wokół nadgarstka, zanim wsunął ją sobie w rękaw. Wreszcie gdzieś z głębi płaszcza wyjął nóż. Zakręcił nim w palcach, błyskając ostrzem, i przez cały ten czas nie spuszczał wzroku z Ducha.

„Uważaj, mam cię na oku”.

Teraz trzech mężczyźni przyjrzeni się budynkowi po drugiej stronie ulicy. Okienne były zamknięte, gdzieś w głębi paliło się tylko słabe światło. Poza tym nie było widać śladów życia, oprócz...

Duch to zobaczył: lekkie zakłócenie cienia na suficie widoczne przez okienko w drzwiach wejściowych. Pokazał pozostałej dwójce gestem, żeby tu zaczekali, przebiegł szybko przez ulicę, wyobrażając sobie tylko miny tamtych, wściekłych, że rozkazy wydaje im ten nowy. Chłopak. I to *hinduski* chłopak. Outsider.

Wszedł chyłkiem po frontowych schodkach i kucnął, żeby podsłuchać przez drzwi. W środku usłyszał oddalające się w korytarzu głosy. Sprawdził drzwi frontowe, ale były zamknięte na klucz, więc znów podbiegł do karety.

– Ktoś z nią jest – powiedział do Marchanta i Hardy’ego. – Brzmi jak policjant.

– Dawno już nie upolowałem żadnego niebieskiego ptaszka – powiedział Hardy ze złośliwym uśmiechem. Złoto zabłysło złowrogo w ciemnościach.

– Ktokolwiek tam jest, myślę, że poszedł na tył – powiedział Duch. – Może do kuchni. Proponuję oszacować, ilu ich jest, zanim wpadniemy do środka.

– *Oszacować*, tak? – zakpił Hardy. – A może zrobimy inaczej? A może zapukamy do drzwi i weźmiemy ich z zaskoczenia?

Jego kastet błysnął, gdy wykonał szybką bokerską kombinację ciosów, na wypadek gdyby były jakieś wątpliwości, co konkretnie miał na myśli.

– Mogą mieć przewagę liczebną – ostrzegł Duch, zwracając się do

Marchanta. – W końcu jest nas tylko trzech.

Wreszcie sekretarz został zmuszony do podjęcia decyzji.

– Dobra. Hardy, schowaj to diabelstwo, zanim ktoś zobaczy. To przyzwoita dzielnica. Ty, Hindusie, idź na tył. Pan Hardy i ja będziemy tu czekać na twój sygnał, że jest bezpiecznie i możemy działać. Jeśli tak będzie, my wejdziemy od frontu, a ty upewnij się, że nikt nie wyjdzie od kuchni. Stoi?

Pozostali się zgodzili. Duch zademonstrował na próbę pohukiwanie sowy, które miało być sygnałem, i ruszył. Znalazł przejście, które prowadziło na drugą stronę szeregowych domów, i przebiegł nim, aż napotkał furtkę prowadzącą na podwórko Waughów. Furtka musiała być zaryglowana, ale Duch nawet tego nie sprawdzał. Szybko zerknął w lewo i w prawo, chwycił występ w murze i zwinnie podciągnął się w górę.

Przykucnął tam na moment, był ciemną sylwetką na tle nocnego nieba, cieszył się krótką chwilą dumy w życiu, które było jej pozbawione. Żałował, że nie miał swojego płaszcza i nie mógł poczuć wagi ukrytego ostrza na przedramieniu, ale to, co było, musiało na razie wystarczyć.

Chwilę później opuścił się bezszelestnie na drugą stronę, gdzie poczekał w cieniu krzewów, aż jego wzrok przyzwyczai się do mniej złowrogiej ciemności. Przed nim rozciągał się ogród – dobrze utrzymany, na sprzedaży „erotycznych fotografii” ewidentnie można było zarobić – zaś po jego lewej stronie znajdował się tył domu. Przedostał się tam, odgadując po blasku lamp, które okno należało do kuchni, i przykucnął pod nim, kryjąc się w ciemności nocy.

A potem – bardzo, bardzo ostrożnie – zajrzał do środka.

W kuchni stali z kaskami w dłoniach dwaj policjanci. Jeden z nich był pulchnym jegomościem o czerwonej twarzy, którego nie znał, a drugim Abberline, posterunkowy, który był wtedy na budowie. Duch pamiętał, że policjant przyglądał się uważnie ranie Waugha w piersi. To brzmiało jak paradoks, ale takie czyste cięcie było ze strony Ethana nieostrożne. Abberline zaczął coś podejrzewać.

I to pewnie dlatego stał teraz w kuchni Waughów.

Razem z kolegą rozmawiali z kimś, kto wyglądał na podenerwowaną starą pannę w typowym stroju z czepkiem i fartuszkim, która trzymała wałek do ciasta, jakby kusilo ją, żeby komuś nim przyłożyć. To musiała być pani Waugh. Duch nie mógł czytać z ruchu jej ust, bo ich nie widział, ale mówiła tak głośno, że dobrze słyszał ją przez szybę.

– Zawsze twierdziłam, że za głęboko się w to pakuje. Zawsze wiedziałam, że igra z ogniem.

Coś przyciągnęło jego wzrok. W drzwiach kuchni, skryta w ciemnościach, widoczna była postać, w której Duch rozpoznał Hardy'ego. Duch nie miał pojęcia, jak dostał się do domu, ale powodu można się było domyślić po groźnym błysku jego noża.

Dwaj posterunkowi byli odwrócenii plecami do Hardy'ego; nie mieliby szans. Kobieta była zbyt zajęta gestykulacją wałkiem do ciasta, żeby go zauważyć.

Żadne z nich nie miało szans.

Duch miał sekundę na decyzję: uratować policjantów i narazić na niebezpieczeństwo swoją misję. Lub pozwolić im zginąć dla wyższego celu.

Abberline i Aubrey współpracowali bez większych zadrażeń, ale nie można było powiedzieć, że za sobą szaleli. Po pierwsze Abberline miał raczej niskie mniemanie o Aubreyu jako policjancie, z kolei Aubrey uważał, że Abberline może nauczyć się paru rzeczy o elementarnym ludzkim współczuciu.

Aubrey wrócił do tej kwestii, kiedy obaj zmierzali do domu państwa Waugh przy Bedford Square.

– Wiesz, Freddie, w tej pracy chodzi też o ludzi – powiedział swojemu towarzyszowi, gdy przeciskali się przez zgiełk i krzątaninę Tottenham Court Road. – Służba prawdzie i sprawiedliwości to piękna rzecz. Ale co z pracą dla ludzi?

– Po to są właśnie reguły, Aubrey – przypomniał mu Abberline. – Reguły są dla dobra wszystkich.

Ominęli rywalizujących „poszukiwaczy skarbów”, którzy mieli się właśnie pobić o szczególnie okazałą kupę psiego łajna, ale uspokoili się, widząc zbliżających się policjantów, i udawali, że są starymi kumplami. Aubrey spojrział na nich z dezaprobatą.

– Może i tak – powiedział Aubrey, kiedy już ich minęli i można było bezpiecznie wypuścić powietrze. – Jeśli się nie zacznie stawiać reguł na pierwszym miejscu, a dobra wszystkich na drugim, tylko o to mi chodzi. Poza tym nie zawsze wszystko jest takie jednoznaczne, nieprawdaż? W końcu jeśli twoja teoria się potwierdzi, to ten twój człowiek z rewolwerem zastrzelił małą dziewczynkę z zimną krwią. Czy jest jakaś sprawiedliwość w zatrzymaniu człowieka, który zabił jej mordercę?

– Cóż, odkryjmy najpierw prawdę, dobrze? Potem będziemy pytać o sprawiedliwość.

Dotarli do punktu przeznaczenia, zwodniczo ładnego domu z wykuszami

przy uroczym placu pełnym innych zwodniczo ładnych domów z wykuszami. Było stąd dość blisko do Tottenham Court Road, by niewątpliwie elegancko odziani mieszkańcy codziennie docierali do swoich biur, ale jednocześnie dość daleko, by dźwięki głównej ulicy brzmiały raczej jak daleki gwar niż niekończący się hałas, od którego można by było oszaleć, gdyby mieszkać tuż nad nim.

Dwaj posterunkowi stali z kciukami za paskiem spodni, przyglądając się rzeczonemu budynkowi. Okiennice w oknie wykuszowym były zamknięte. Jedynym znakiem życia było światło w okienku nad drzwiami frontowymi. Wchodząc po schodkach, by zapukać, Abberline zastanawiał się, czy pani Waugh była teraz w środku, szlochając i usychając z tęsknoty za swoim mężem...

– Gdzie jest ten drań?

W jednej kwestii Abberline miał rację. Pani Waugh rzeczywiście była w domu. Kiedy otworzyła drzwi, jej pokryta mąką twarz świadczyła o tym, że właśnie piekła. Ale szlochy i usychanie z tęsknoty?

– Wejdźcie – rozkazała dwóm posterunkowym stojącym na progu. Ze swoją rumianą cerą i białym fartuszkiem z plamami nieznanego pochodzenia wyglądała jak dobrze odżywiona żona rzeźnika. – Gdzie on jest, u licha?

– Nie wiemy... – zaczął Abberline, zaskoczony jej gwałtownością.

Nie był to najlepszy początek i jak się można było spodziewać, pani Waugh – w każdym razie założyli, że to była pani Waugh, chyba że pani domu miała wyjątkowo wybuchową i bezczelną gospozię – zirytowała się jeszcze bardziej.

– Jak to nie wiecie, gdzie jest? Więc po co tu przychodzicie? Powinniście go teraz szukać. – Wyrzuciła ręce w górę w geście bezsilności, odwróciła się i poczłapała korytarzem, mamrocząc coś do siebie i zostawiając mączne ślady stóp na posadzce.

Abberline i Aubrey spojrzeli po sobie, młodszy policjant zmierzył starszego wzrokiem.

– Całkiem w twoim typie – uśmiechnął się.

– Daj już spokój – powiedział Aubrey. – Wchodzimy czy jak?

Zamknęli za sobą drzwi, zasuważąc rygiel, a potem podążyli za odgłosami kobiecej udręki do kuchni. Znaleźli ją tam z wałkiem, jak wyładowywała frustrację na dużym kopcu ciasta, grzmocąc w niego wściekle, niemal niewidoczna zza chmury mąki.

Nieopodal wisiała fotografia pani Waugh z mężczyzną, którego ciało zgubił Abberline. Byli we właściwym miejscu. Abberline szturchnął Aubreya między żebra i wskazał mu głowę.

– Proszę pani – zaczął od nowa, tym razem siląc się na większe opanowanie. – Mężczyzna odpowiadający rysopisowi pani męża był widziany w okolicy Old Nichol na miejscu...

– Cóż, miał iść do Old Nichol tamtej nocy, kiedy zaginął, więc to się zgadza – powiedziała, nie przerywając wałkowania.

„To była nowa klasa średnia”, zadumał się Abberline. Jedli równie dobrze jak wysoko urodzeni, ale robili wszystko sami. Wtedy coś mu przyszło do głowy.

– Czym się zajmował pani mąż? – zapytał.

– Jest fotografem – odpowiedziała tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, co myślała o tej właśnie profesji.

– Fotografem, tak? – powiedział Abberline. – A co ma do roboty fotograf w Old Nichol?

Wciąż tłukąc wałkiem, utkwiała w Abberlinie pogardliwe spojrzenie.

– Drażni się pan ze mną? Skąd mam, u licha, wiedzieć, co ma do roboty w Old Nichol o dowolnej godzinie? Nie mówi mi, co robi, i szczerze powiedziawszy, nie chce mi się nawet pytać.

Jak na gust Abberline'a jej zapewnienia były nieco zbyt teatralne, ale odłożył to na później.

– Nie martwi się pani o swojego męża, pani Waugh?

Wzruszyła ramionami.

– Nieszczerólnie. Jak by się pan poczuł, gdyby pańska żona gdzieś się ulotniła? Pewnie wydałby pan przyjęcie, czyż nie?

– Nie jestem żonaty.

– To niech pan wróci, jak pan będzie, wtedy pogadamy jeszcze raz.

– No, dobrze. Jeśli nie martwi się pani o niego, to dlaczego zgłosiła pani jego zaginięcie?

Wzburzenie sprawiało, że pani Waugh podnosiła ton, a była już teraz całkiem wzburzona.

– Bo kto, u licha, ma za to wszystko płacić, jeśli go nie ma?

– Pani Waugh, chodzi mi o to, że Old Nichol jest miejscem w najlepszym razie niebezpiecznym, którego szanowany fotograf, jak pani mąż, chyba nie chciałby odwiedzić.

– Cóż – odburknęła – może dlatego wziął swojego gnata.

Abberline i Aubrey spojrzeli po sobie, nie wierząc własnym uszom.

– Wziął swoją broń, tak?

– To właśnie powiedziałam.

– Tak, pani Waugh, tyle że człowiek widziany w okolicy Old Nichol i pasujący do rysopisu pani męża mógł być zamieszany w strzelaninę.

Teraz przynajmniej odłożyła wałek.

– Rozumiem – powiedziała poważnie.

– Byłoby wielce pomocne, gdyby powiedziała nam pani, co mógł robić pani mąż w Old Nichol. Jaki był cel jego wizyty? Może miał się tam z kimś spotkać? Czy wziął ze sobą coś oprócz rewolweru? Czy powiedział pani, o której można się spodziewać jego powrotu?

Zignorowała wszystkie te pytania. Świdrując Abberline'a wzrokiem, powiedziała:

– Ta strzelanina. Czy ktoś ucierpiał?

– Mamy dwie potwierdzone ofiary śmiertelne, pani Waugh. Małą dziewczynkę i ulicznego opryszka, zwanego Bootem.

Zobaczył, jak kobieta krzywi się, zamykając oczy z bólem. Znów otworzyła

oczy.

– Boot? Robert wyszedł, żeby spotkać się z Bootem. O ile wiem, Boot był jego współpracownikiem.

– Przepraszam, myślałem, że przed chwilą powiedziała pani, że nigdy pani nie mówił o swoich sprawach, a pani nigdy nie pytała?

– Cóż, coś tam podłapałam, prawda? Tak czy owak, poszedł tam dokonać jakiejś transakcji...

– Transakcji?

Szybko zamrugła. Powiedziała już za dużo.

– No, tak, jest fotografem. I...

– ...i robi zdjęcia – powiedział Abberline. – Tak, to właśnie robią fotografowie. Fotografowie robią zdjęcia mężczyzn i ich żon oraz zdjęcia dzieci mężczyzn i ich żon. Wielkie turniury, wypastowane buty, zapięte surduty i niewygodne, wykrochmalone kołnierzyki, poważne i nieprzystępne spojrzenia w obiektyw aparatu, tego typu rzeczy. To właśnie robią fotografowie. Nie dokonują nocnych transakcji z ulicznymi rzezimieszkami.

– Niech pan zaczeka, nie powiedział mi pan w końcu, jeśli były dwie potwierdzone ofiary, czy to znaczy, że Robert wciąż żyje.

Abberline i Aubrey znów spojrzeli po sobie.

– Obawiam się, że obecnie nasza najbardziej prawdopodobna wersja jest taka, że pani mąż mógł zginąć z ręki innego napastnika. Byłem ciekaw, czy nie ma pani jego fotografii, by można potwierdzić, że to jego ciało znaleziono w wykopie na budowie Linii Metropolitalnej w północnym Londynie.

Jego prośba była formalnością, potrzebną, by przekazać pani Waugh złą wiadomość, ale wzmianka o Linii Metropolitalnej sprawiła, że przez jej twarz przemknął cień.

– A niech to – powiedziała, potrząsając głową z poczuciem straszliwej nieuchronności tego, co się stało. – Zawsze powtarzałam, że za głęboko się w to pakuje. Zawsze wiedziałam, że igra z ogniem.

Starając się opanować podniecenie, co zdaniem posterunkowego Aubreya

Shawa, w najmniejszym stopniu mu się nie udawało, Abberline złapał ją za słowo.

– Jak to „za głęboko”? Pani Waugh, proszę nam dokładnie powiedzieć, co pani wie...

Okno w kuchni państwa Waugh było wysokie i czarne jak noc, jak okno witrażowe bez witrażu. Kiedy pani Waugh popatrzyła na Abberline’a, chcąc się odezwać, coś za szybą przyciągnęło jego wzrok.

I sekundę później okno eksplodowało.

Ułamek sekundy trwało niezdecydowanie Ducha, zanim postanowił, że nie może mieć na sumieniu krwi dwóch niewinnych policjantów, i zaczął działać.

Ostatecznie liczył na dwie rzeczy: swoją celność i panią Waugh, która narobi tyle hałasu, że zbudziłaby umarłego.

Nie zawiódł się ani na jednej, ani na drugiej.

Cele były dwa: ocalić policjantów i nie dać im zauważyć jego, Marchanta ani Hardy'ego. Poszukał pośpiesznie jakiś kamień, znalazł dużego otoczaka zdobiącego pobliską rabatkę, zacisnął na nim dłoń, a potem, kiedy zobaczył, że Hardy napręży się, a srebrzyste ostrze unosi się do ciosu, ruszył do akcji.

Duch miał na sobie tylko łańchmany, nic, co ochroniłoby go przed zranieniem, więc kiedy z całą siłą wpadł przez okno, jakby tysiąc noży wbiło się w jego ciało, gdy przebijał się przez szkło i resztki ram, by wylądować na kredensie po drugiej stronie.

Z sufitu zwisała tylko jedna lampa, jedyne źródło światła w pomieszczeniu, i Duch rzucił kamieniem w tym samym momencie, gdy wpadał przez okno – jego rzut był celny, światło zamigotało i zgasło, i niczym szybka śmierć w kuchni zapadła noc, równo w tej samej sekundzie, kiedy pani Waugh zaczęła wrzeszczeć.

Naczynia powypadały i rozbiły się, wzmagając łoskot, ale Duch był już w ruchu, przeskakując na suszarkę, okrążając panią Waugh, by zbliżyć się do policjantów, nie dotykając podłogi, jak to robią dzieci w zabawie – sam się tak bawił w domu w Amritsarze. Kolejny skok z suszarki i był już przy policjantach. Żaden z nich nie widział go ani nie słyszał i nie mieli czasu na reakcję, gdy Duch wylądował tuż przed nimi i zadał dwa szybkie ciosy pięścią w gardło, powalając na ziemię najpierw Abberline'a, a potem jego towarzysza, wszystko to w ciągu pół sekundy przy wtórze wrzasków pani

Waugh.

Momentalnie było po wszystkim. Nikt oprócz Ducha nie wiedział, co się stało, i bardzo mu to odpowiadało. Zamęt był jego sprzymierzeńcem.

– Bierzcie ją – rozkazał. Hardy i Marchant wdarli się właśnie do kuchni i Duch widział wściekłość i niedowierzenie na twarzy Hardy’ego. – Bierzcie ją, zanim ściągnie tu innych krawężników.

Wtedy Marchant zaczął rozkazywać szczekliwym głosem, jakby to on tu dowodził, a nie był beznadziejnie zagubiony w sytuacji, która bezpowrotnie wyrwała mu się spod kontroli.

– Słyszałeś go. Bierz ją! I do licha ciężkiego, niech ona się zamknie!

Zapewne wdzięczny za możliwość dokonania drobnego aktu przemocy, Hardy przeszedł przez pomieszczenie do wrzeszczącej pani Waugh i Duch zobaczył błysk kastetu, po czym odwrócił głowę i krzyki pani Waugh nagle się urwały.

Potrzeba było wszystkich trzech, żeby wynieść ją z domu i władować do karety. Duch upewnił się, że wychodzi ostatni, i zamknął za sobą drzwi frontowe.

Lodowaty wiatr wdzierał się do domu przez wybite okno w kuchni. Dwaj policjanci leżeli nieprzytomni na podłodze.

To był dzień wzajemnych oskarżeń.

Nazwisko Bharat Singh wpadło do szybu, odbijając się od ścian tunelu, i Duch jeszcze raz wspiął się po drabinach i przeszedł po deskach do biura. Podobnie jak wczoraj, siedział tam Cavanagh wraz z Marchantem, Hardym, Smithem i Drugim Hardym.

Tyle że teraz było inaczej. Jeśli wczoraj Hardy patrzył na Ducha co najwyżej z ciekawością, to teraz spoglądał na niego z nieskrywaną nienawiścią; Marchant też przyglądał mu się z jakimś dziwnym zainteresowaniem.

– Mam dla ciebie ważne wieści, młody Bharacie – powiedział Cavanagh, przymykając oczy. – Dostaniesz awans. Koniec z pracą w tunelu. Koniec z mordęgą w wykopie. Odtąd będziesz pracował tutaj, pod kierownictwem Marchanta, robiąc użytek ze swojej umiejętności czytania i pisania. Gratuluję, osiągnąłeś wszystko to, czego chciałby dla ciebie twój ojciec.

Cavanagh wykpiwał teraz podziw jego fikcyjnego ojca i Duch poczuł ukłucie jakby czystej nienawiści.

– Być może spytasz dlaczego – ciągnął Cavanagh. – Dlaczego dostałeś awans? Z naszej rozmowy z panią Waugh wynika, że wszystko, co nam powiedziałeś, się zgadza. I jak już z pewnością wiesz, pan Smith znalazł fotografię w twojej dziurze w tunelu pod Tamizą. Tak więc twoim pierwszym zadaniem jest wykonanie wyroku śmierci na zdradzieckim panu Waughu. Tyle że ten wyrok został już oczywiście wykonany i wykazałeś się w moich oczach.

Duch skinął głową.

– Dziękuję, sir. A co z wdową?

– Zajęliśmy się nią.

Twarz Ducha pozostała nieruchoma, ale w myślach dopisał mu jeszcze jedną niewinną ofiarę.

Tymczasem Hardy za jego plecami odchrząknął.

Cavanagh zareagował, skupiając uwagę na Duchu.

– Pan Hardy jest niezadowolony z twoich działań wczorajszego wieczora. Żaden z nich nie jest pewien, co się stało. – Przy tych słowach spojrział uważnie na Marchanta, a potem na Hardy’ego. – Ale obaj są zgodni co do tego, że działałeś impulsywnie i naraziłeś ich na niebezpieczeństwo.

Duch otworzył usta i chciał już zacząć się bronić.

– Ale...

Cavanagh wyciągnął rękę, by go powstrzymać.

– Tak się składa, że nie zgadzam się z panem Marchantem i panem Hardym. Na naszej budowie znaleziono zwłoki, co budzi pytania. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy, to dodatkowo dwaj martwi posterunkowi. Liczba pytań, jakie możemy znieść, jest ograniczona. Powinien pan o tym wiedzieć, panie Hardy.

– Może i tak – mruknął Hardy. – Ale ten chłopak urwał się z łańcucha. Umówiliśmy się, że pan Marchant i ja zajmujemy się kuchnią, a on przeszkodzi im w ucieczce tylnymi drzwiami. Szefie, on się władował przez cholerne okno. Nie było to zbyt dyskretne, wie pan o co mi chodzi?

Cavanagh lekko się uśmiechnął.

– Coś mi mówi, że nasz nowy pracownik dobrze wiedział, co robi.

Abberline i Aubrey podnieśli się z posadzki w kuchni państwa Waughów, wrócili na komisariat z głowami pękającymi z bólu i podkulonymi ogonami, po czym poszli się przespać.

Krótko po wschodzie słońca, brudni, obolali i wciąż wyczerpani, spotkali się w dyżurce, gdy ogłoszono alarm. Jakaś kobieta wbiegła do środka, krzycząc coś o samobójstwie.

– Gdzie?

– W domu przy Bedford Square...

Spojrzeli po sobie zszokowani, po czym jak na komendę ruszyli w stronę drzwi.

Niecałe pół godziny później byli znowu w kuchni, którą opuścili nad ranem. Kiedy wychodzili, było ciemno, wiatr wiał przez wybite okno, na płytkach posadzki chrzęściło tłuczone szkło; na podłodze leżał też upuszczony wałek do ciasta.

Teraz jednak było jasno i wszystko wyglądało tak jak zeszłej nocy, poza jednym: znów była tu pani Waugh. Zwisiała z lampy pod sufitem, z pętlą z prześcieradła mocno zaciśniętą na szyi, zwieszoną głową, językiem sterczącym spomiędzy sinych warg i kałużą moczu na kafelkach pod dyndającymi butami.

„Nikt nie lubi oglądać trupa przed drugim śniadaniem”, pomyślał Abberline, obracając się na pięcie i wychodząc.

– Człowiek sika wtedy w majtki!

Cavanagh, Marchant, „kompania karna” i Duch wciąż byli w biurze, kiedy Abberline i Aubrey ogłosili swoje przybycie głośnym pukaniem mówiącym „otwierac, policja!”, głośno tupiąc, weszli do środka i zaczęli mówić

o sikających w majtki ludziach.

Aubrey był czerwony jak zawsze, ale złość sprawiła, że Abberline niemal mu dorównywał i patrzył spode łba to na jednego człowieka, to na drugiego, zatrzymując się wreszcie na Duchu.

– Ty – warknął. – Skąd masz te skaleczenia?

– Pan Singh jest robotnikiem, panie posterunkowy – wtrącił się Cavanagh, zanim Duch zdążył odpowiedzieć. – I obawiam się, że nie mówi zbyt dobrze po angielsku, a wczoraj wieczorem przydarzył mu się wypadek w wykopie.

Cavanagh nie próbował nawet być wobec Abberline'a czarujący czy przymilny. Po prostu podawał fakty. Jednocześnie dał znak Hardy'emu Drugiemu, który ruszył do wyjścia.

– A ty dokąd się wybierasz? – warknął Abberline, obracając się gwałtownie w stronę Hardy'ego Drugiego.

– Wybiera się tam, gdzie mu powiem albo gdzie ma ochotę, albo może na pański posterunek, gdyby chciał tam porozmawiać z pańskim sierżantem... Rzecz jasna, chyba że zamierza go pan aresztować, w którym to wypadku, jak sądzę, wszyscy z ciekawością posłuchamy, pod jakim zarzutem i jakież to niepodważalne dowody pan ma na poparcie tych zarzutów.

Abberline wybełkotał coś, nie wiedząc, co powiedzieć. Idąc tu, nie wiedział, jak im pójdzie, ale jedno było pewne: nie wyobrażał sobie, że pójdzie im aż tak źle.

– A więc mówił pan coś... o ludziach, którzy sikają w majtki? – powiedział Cavanagh oschle. – O jakich dokładnie ludziach mowa?

– O takich, którzy wiszą z pętlą na szyi – fuknął Abberline.

– Samobójcy?

– Nie tylko, również ofiary morderstw. Gdziekolwiek znajdzie się jakiegoś powieszzonego biedaka, niedaleko będą też odchody. Jelita się opróżniają, rozumie pan. – Zrobił efektowną pauzę. – Na szczęście pani Waugh nie potrzebowała numeru dwa.

Powiódł wzrokiem po pokoju: nieodgadniony Cavanagh, chytry Marchant,

trzech osiłków, którzy wyglądali, jakby mieli świetną zabawę, i... Hindus.

Spojrzenie Abberline'a zatrzymało się na nim najdłużej i mógłby przysiąc, że coś tam zobaczył, przebłysk emocji, i nie były to emocje z rynsztoka, ale prawdziwe. Takie, o których Aubrey zawsze mu mówił, że kiedyś się ich nauczy.

Abberline powoli oderwał wzrok od Hindusa, przenosząc go na dryblasę, zbira ze złotym zębem.

– Ty – powiedział. – To byłeś ty, prawda? Byłeś w tym domu.

Mężczyzna, „Hardy”, jeśli pamięć nie myliła Abberline'a, zaprezentował swoją złotą koronkę, a także inne wspaniałe okazy.

– Nie, byłem tu całą noc, panie niebieski, co potwierdzi pan Cavanagh.

– Uważaj lepiej na jadaczkę, do diaska... – powiedział Abberline do Hardy'ego.

– Tak, panie Hardy – westchnął Cavanagh. – Może byłoby rozsądniej *nie* ekscytować naszego gościa jeszcze bardziej. Zaś co do pana, posterunkowy, chciałbym jeszcze raz powtórzyć, że pan Singh, pan Hardy, panowie Marchant, Smith i Drugi Hardy byli tu ze mną zeszłego wieczora i... Abberline, wygląda na to, że ma pan gościa.

– Abberline, w co ty się tu bawisz, do jasnej anielki?

Posterunkowy skulił się, rozpoznawszy dobiegający z tyłu charakterystyczny głos sierżanta.

Wściekły Abberline wyszedł na zewnątrz i zanurzył się w hałasie i zamęcie budowy, z usiłującym za nim nadążyć Aubreyem.

– Czekaj, czekaj, gdzie ty, do diaska, idziesz? – wydierał się jego zaczerwieniony towarzysz, przekrzykując nieustanny łoskot maszyn.

– Z powrotem na Bedford Square, tam, do diaska, idę! – ryknął przez ramię Abberline w odpowiedzi. Sięgnął do drewnianej bramy w ogrodzeniu placu budowy, otworzył ją szarpnięciem i przemknął obok zaspanego robotnika kolejowego, którego zadaniem było nie wpuszczać do środka hołoty. – Ta banda siedzi w tym po uszy. Śmierdzi z daleka, mówię ci.

Na ulicy wyminęli zbieraninę ludzi, których albo przyciągnęły możliwości zarobku obok budowy – handlarzy, naciągaczy, prostytutki, kieszonkowców – albo faktycznie mieli coś do załatwienia w tej części miasta, i zaczęli krótki marsz powrotny do domu pechowych państwa Waugh.

– Myślisz, że w czym są po uszy? – Aubrey przyciskał kask do głowy, starając się dotrzymać kroku Abberline’owi.

– Tego nie wiem, bo niby skąd? Gdybym wiedział, moje cholerne życie byłoby znacznie prostsze, nieprawdaż? – Zatrzymał się, odwrócił i podniósł palec jak upominający uczniów nauczyciel. – Ale powiem ci jedno, Aubreyu Shaw. Oni coś knują. – Pogroził rzeczonym palcem w stronę ogrodzonego placu budowy. – I cokolwiek to jest, nie jest to nic dobrego. Słyszysz? – Znow ruszył. – Bo widziałeś ich wszystkich, jak tam stali, tak winni, że bardziej się nie da? I ten młody gość, facet z Indii. Cały we krwi. Dupa, a nie wypadek w tunelu. Cały się pokaleczył, kiedy wpadł przez okno pani Waugh.

– Myślisz, że to był on?

– Oczywiście, że myślę, że to był on! – wybuchnął Abberline. – Wiem, że to był on. *Ja* wiem, że to był on. *Oni* wiedzą, że to był on. Nawet *ty* wiesz, że

to był on. Problem, cholera, w tym, żeby to udowodnić, ale to musiał być on. Wskoczył przez okno, stłukł lampę, a potem nas.

Aubrey zrównał się z nim, mówiąc urywanym głosem, starając się złapać oddech.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, co właśnie powiedziałaś, Freddie? Bo czy nie na tym twoja teoria się załamuje? Przecież to niemożliwe, żeby on to wszystko zrobił. Musiałby być jakimś akrobatą.

Byli już teraz z powrotem na Bedford Square, jakby nigdy się stąd nie ruszali, i Abberline wszedł do środka, podczas gdy Aubrey stanął w drzwiach z jedną ręką na framudze, zgięty wóół, próbując złapać oddech.

Z kuchni dobiegało mamrotanie Abberline'a, aż wreszcie dał się słyszeć okrzyk.

– Co się stało? – powiedział Aubrey, trzymając się za bok, i dołączył do drugiego policjanta w kuchni.

Abberline stał przed doszczętnie zniszczonym oknem. Wskazywał triumfalnie na poruszony kredens.

– Proszę – powiedział. – Co tu widzisz?

Czymkolwiek było to, na co wskazywał, dla Aubreya wyglądało na plamę krwi i tak właśnie odpowiedział.

– Zgadza się, plama krwi pozostawiona przez tego, który wskoczył tu przez okno, tak? Tego się należy spodziewać, nieprawdaż?

– No tak.

– Mogę się założyć, że to krew tego hinduskiego typka, którego widzieliśmy, jak stoi w biurze Cavanagha z miną niewiniątka – powiedział Abberline.

– To twoja hipoteza, Freddie. Czy nie uczyli nas zawsze, żeby szukać dowodów, nigdy nie zakładać z góry, tylko szukać dowodów.

– A co powiesz na to, żeby sformułować teorię, a potem znaleźć dowody na jej poparcie? – zapytał Abberline z błyskiem w oku.

„Trzeba mu to przyznać”, pomyślał Aubrey. „Kiedy się rozkręcił...”

- Mów dalej – powiedział.
 - Widziałeś tego hinduskiego typka? Miał bose stopy, nieprawdaż?
 - Wiem. Jasny gwint, musi oszczędzać parę szylingów na skórze do butów...
 - Pamiętaj o tym, a potem popatrz jeszcze raz na tę twoją plamę krwi.
- Aubrey zrobił, jak mu kazano, i Abberline patrzył, jak twarz jego towarzysza powoli się rozjaśnia.
- Chryste Panie, masz rację, to odcisk stopy.
 - Zgadza się. Zgadza się jak cholera, Aubrey. Odcisk stopy. Teraz spójrz, ty i ja staliśmy tutaj. – Pociągnął kolegę do miejsca, w którym byli poprzedniego wieczora, dyskutując z wiecznie wzburzoną panią Waugh. – Teraz musisz sobie wyobrazić, że okno jest nietknięte. To sprawia, że jest jak lustro, zgadza się? Jak czarne lustro. No więc mówię ci, że pół sekundy, zanim to czarne lustro się rozbiło i w jednej chwili zważyło na nas niczym siedem lat nieszczęścia, widziałem w nim jakiś ruch.
 - Widziałeś napastnika, zanim wpadł do środka?
 - Tyle że sądzimy teraz, że to ten indyjski typ był napastnikiem, nieprawdaż? Ale to nie jego widziałem. Widziałem kogoś znacznie większego. Więc zastanawiam się teraz... zastanawiam się teraz, czy nie widziałem przypadkiem odbicia. – Przycisnął dłoń do czoła, jakby starał się wycisnąć rozwiązanie z własnego mózgu. – Dobrze, co powiesz na to, Aubrey? Co jeśli jeden czy nawet dwóch typów z ochrony na budowie stało za nami? Co byś na to powiedział?
 - Powiedziałbym, że zaryglowaliśmy drzwi, więc jak się tu dostali?
 - Proszę. – Abberline wyciągnął Aubreya z kuchni w stronę drzwiczek do piwniczki na węgiel. Były otwarte na oścież. Nie było w tym jeszcze nic podejrzanego. Jednak w hałdzie węgla ujrzeli wyraźny ślad wielkości człowieka prowadzący od poziomu podłogi w górę aż do wjazdu na poziomie ulicy.
 - Mam cię! – wykrzyknął Abberline. – A teraz... – Wepchnął Aubreya

z powrotem do kuchni, gdzie wrócili na swoje pozycje. – Stoimy tutaj, tak? Teraz powiedzmy, że mamy rację i zobaczyłem odbicie faceta, który stoi tuż za nami i tylko czeka, żeby nas znokautować. Widziałem, jak był blisko. I nie zapominaj, że staliśmy tyłem do niego. Chodzi mi o to, że miał nas na widelcu, Aubrey. Miał nas, Aubrey, jak dwie kaczki, utuczone i gotowe na rzeź. Mógł rozwalić nam łby pałką. Mógł poderżnąć nam gardła nożem... A jednak z jakiegoś powodu, mimo że jego kolega zajął pozycję, ten chłopak z Indii wpada przez zamknięte okno?

Abberline spojrzał na Aubreya.

– No więc po co miałyby to robić, Aubrey? Co on, do cholery, robił, wpadając tu przez okno?

CZEŚĆ II. Zaginione miasto

Piętnastoletnia Evie Frye, córka Ethana i zmarłej Cecily, nabrała nowego przyzwyczajenia. Nie była z tego szczególnie dumna, ale nawyk się utrwalił, tak to już z nawykami jest. Mianowicie zaczęła podsłuchiwać pod drzwiami ojca podczas jego spotkań z George'em Westhouse'em.

No, bo dlaczego nie? W końcu czy jej ojciec nie mówił zawsze, że wkrótce sama dołączy do – jak to nazywał – „walki”? I czy jednym z jego ulubionych zwrotów nie był ten, że najlepszy czas to czas teraźniejszy?

Evie i jej brat bliźniak, Jacob, od lat uczyli się sztuki bycia asasynem i oboje byli zapalonymi uczniami. Jacob, bardziej wysportowany niż ona, w walce czuł się jak ryba w wodzie; uwielbiał walczyć, choć brak mu było naturalnego talentu siostry. Nocami rodzeństwo rozmawiało z podnieceniem o dniu, w którym po raz pierwszy zaznajomią się z legendarnym ukrytym ostrzem.

Evie zauważyła jednak, że interesują ją inne sfery. To, co przychodziło naturalnie, nie absorbowało jej tak jak brata. Podczas gdy Jacob spędzał całe dnie na podwórzu ich domu w Crawley, wirując jak derwisz i ćwicząc ruchy, których nauczył ich uprzednio ojciec, Evie często wolała się wymknąć, tłumacząc się, że nudzi ją ciągle powtarzanie lekcji fechtunku, i szła do gabinetu ojca, gdzie trzymał swoje książki.

Nauka, oto, co rozpalało wyobraźnię Evie Frye. Dzieła starszych mentorów, kroniki legendarnych asasynów: Altaïra Ibn-La'Ahada, którego imię znaczyło „lejący orzeł”, przystojnego i szykownego Ezia Auditore da Firenze, Edwarda Kenwaya, Arna Doriana, Adéwalé, Aveline de Grandpré i oczywiście Arbaaza Mira, z którym jej ojciec spędził tyle czasu, kiedy byli młodzi.

Wszyscy dołączyli do walki o powstrzymanie plagi, jaką byli templariusze,

bijąc się o wolność w każdym czasie i miejscu, w którym praktykowali swoje rzemiosło; większość z nich angażowała się w poszukiwania tak zwanych artefaktów. Nie były to żadne muzealne eksponaty. Artefakty, które tak zajmowały asasynów i templariuszy, były to przedmioty pozostawione przez Tych, Którzy Byli Przed Nami. Najważniejsze spośród nich wszystkich były Fragmenty Edenu. Moc, którą pomagały okiełznać, była podobno biblijna, a wiedza w nich zaszyfrowana miała zawierać naukę wszystkich epok: przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Niektórzy, na przykład Altaïr Ibn-La’Ahad – Evie przestudiowała transkrypcję jego kodeksu – wyrażali co do nich wątpliwości, zastanawiając się, czy nie są to zwykłe błyskotki. Evie sama nie była pewna i być może to właśnie było pociągające. Chciała zobaczyć te artefakty na własne oczy. Chciała ich dotknąć i poczuć więź ze społecznością, która istniała przed jej własną. Chciała osiąść niepoznawalne moce, które pomogły ukształtować ludzkość.

Tak więc kiedy któregoś wieczora usłyszała słowo „artefakty” dobiegające z wnętrza gabinetu jej ojca, została przy drzwiach, żeby słuchać dalej. A potem znowu przy następnej wizycie George’a Westhouse’a.

Czasem pytała się w duchu, czy ojciec wiedział, że ktoś podsłuchuje. Nic nie powiedzieć – to by było w jego stylu. Poczucie winy łagodziło wrażenie, że *niekoniecznie* miałyby coś przeciwko temu. W końcu zbierała tylko informacje, które wykorzysta później.

– Twój człowiek jest odważny – mówił teraz George Westhouse.

– Istotnie. I jest postacią kluczową, jeśli mamy mieć kiedyś szansę na odzyskanie naszego miasta. Templariusze sądzą, że jest nas mało, George. Niech tak myślą. Posiadanie agenta wewnątrz ich organizacji daje nam zasadniczą przewagę.

– Tylko jeśli dowie się czegoś, co będzie dla nas użyteczne. Czy tak się stało?

Ojciec Evie westchnął.

– Niestety nie. Wiemy, że Cavanagha często odwiedza Crawford i że dużo

czasu na budowie spędza Lucy Thorne...

– Obecność Lucy Thorne na placu budowy oznacza, że jesteśmy na dobrym tropie.

– Istotnie. Nigdy w to nie wątpiłem.

– Ale nic nie wskazuje na to, kiedy templariusze spodziewają się znaleźć to, czego szukają?

– Jeszcze nie, ale kiedy tak się stanie, Duch będzie na miejscu, by to dla nas wykraść.

– A jeśli już znaleźli?

– Wtedy, w chwili kiedy zdobędzie ich zaufanie, dowie się o tym i znów będzie we właściwym miejscu, by zdobyć artefakt i oddać go w nasze ręce.

Zza pleców Evie dobiegł szept.

– Co ty tu robisz?

Zaskoczona, prostując się z cichym chrupnięciem w nogach, Evie odwróciła się i odkryła, że stał za nią Jacob, jak zwykle szczerząc zęby. Przytknęła palce do ust, potem odciągnęła go od drzwi na schody, tak by mogli wrócić do łóżek.

Evie powtórzyła Jacobowi, czego się dowiedziała, mając świadomość, że chociaż będzie wypytywał o najdrobniejsze szczegóły, wcale nie będzie mu się chciało słuchać. Historię asasynów, taktykę, politykę, artefakty – wszystkie te aspekty wiedzy Jacob z ochotą odsuwał na później, kiedy ojciec będzie gotów, by ich tego nauczyć.

Z Evie było inaczej. Evie łaknęła wiedzy.

Od wydarzeń w domu państwa Waugh minęło kilka miesięcy, w ciągu których Abberline wiele rozpamiętywał. Czasem rozpamiętywał samotnie. Kiedy indziej wspierał go w tym Aubrey, który choć nie miał takiej tendencji do rozpamiętywania jak Abberline, to towarzyszył mu z sympatii, a także dzięki możliwości wypicia jednego albo dwóch kufli ale w pubie Green Man.

Przy tych okazjach, gdy tak garbili się z przygnębieniem nad stołem w szynku i starali się nie wyglądać jak dwaj bumelujący policjanci, Aubrey zwykle próbował poprawić atmosferę, opowiadając jeden z najlepszych nowych dowcipów rewiowych.

– A znasz to, Freddie? Wiesz, dlaczego ściany nie toczą ze sobą wojen?

– Nie wiem. Dlaczego ściany nie toczą ze sobą wojen?

– Bo między nimi jest pokój.

Czasem zaś próbował poprawić atmosferę, opowiadając któryś z najgorszych.

– A znasz to, Freddie? Wiesz, jak można stracić na wadze?

– Nie wiem, jak?

– Kupić wagę za pięć funtów i sprzedać za dwa.

Kiedy indziej próbował wciągnąć Abberline'a w głębsze i bardziej filozoficzne dyskusje.

– Takie rzeczy się zdarzają – powiedział któregoś dnia.

– Ale przecież nie tym razem? – Abberline, który już dawno temu zrezygnował ze swojej zasady, by nie pić na służbie, osuszył kufel. – Gdyby to była tylko jedna z tych rzeczy, które się zdarzają, nie przejmowałbym się aż tak. Bo wiesz, co mnie naprawdę drażni, Aubrey? Niewiedza. To, że kłamcy i mordercy chodzą tam sobie, myśląc, że zrobili policję na szaro. Nie, co też ja mówię? Nie policję, bo wszystkie te gałgany mają w głębokim

poważaniu ludzi w płaszczach i znikające ciała. Myśląc, że zrobili na szaro ciebie i mnie, ot co.

Aubrey potrząsnął głową ze smutkiem.

– Wiesz, w czym tkwi twój problem, Freddie? Chcesz, żeby wszystko było czarno-białe. Ciągłe chcesz dostawać odpowiedzi. Wiesz, czasem po prostu nie ma odpowiedzi i nie ma czerni i bieli, są tylko różne odcienie szarości, czyli rzeczy są mętne jak dno Tamizy i tak samo cuchną zgnilizną, ale nic na tę Tamizę nie poradzisz i na to też nie.

– Nie masz racji. – Abberline pomyślał chwilę i zmienił zdanie. – No dobrze, może i masz, ale tylko w połowie. W kwestii dobra i zła są odcienie szarości. Przyznaję ci to i stawiam ci pintę piwa za twoje spostrzeżenie. – Podniósł dwa palce i dostał potwierdzenie z drugiego końca sali. – Ale nie masz racji co do odpowiedzi. Są odpowiedzi. I chcę je poznać.

Aubrey pokiwał głową, spróbował wyciągnąć z rękawa kolejny dowcip, ale jedyny, który przyszedł mu do głowy, miał w zakończeniu stryczek, i pomyślał, że to nieodpowiednie do okoliczności. Więc zamiast tego wypili w ciszy kolejny kufel i jeszcze trochę podumali nad meandrami losu policjanta.

Po opuszczeniu pubu każdy poszedł w swoją stronę Regent Street i Abberline był ciekaw, czy mężczyzna z szynku, który zdawał się nimi nadmiernie zainteresowany, pójdzie za nim czy za Aubreyem.

Patrząc w odbicie w witrynie sklepowej, zauważył, że to on był tym szczęśliwcem.

– A może tak byś mi powiedział, dlaczego od kilku dni mnie śledzisz?

To był wyjątkowo poirytowany Abberline, który do odchodzącego od głównej ulicy zaułka zwabił swój „ogon”, by stanąć z nim twarzą w twarz.

Był wyjątkowo poirytowany, bo właśnie tego ranka wezwano go do gabinetu sierżanta w jego wydziale i dostał reprimendę. Nie, nie zwykłą reprimendę, tylko stary dobry opierdol. A dlaczego? Ponieważ niejaki pan Cavanagh z Kolei Metropolitalnej – ten zimnokrwisty łajdak – złożył na niego skargę. Według niego posterunkowy Abberline spędzał niewspółmiernie dużo czasu na placu budowy. Zrobił się nieco uciążliwy z tymi swoimi insynuacjami, jakoby Cavanagh i pięciu jego pracowników było zamieszanych w morderstwo.

I zamierzał raz na zawsze z tym skończyć.

Tak więc wyjątkowo poirytowany Abberline, czerpiąc siłę ze swojej irytacji, patrzył, jak twarz tamtego robi się purpurowa ponad granatową serżantką rękawą jego munduru. Mężczyzna miał na sobie ciemny garnitur i melonik, nieco sfatygowany, ale poza tym sprawiający przyzwoite wrażenie. „W gruncie rzeczy”, pomyślał Abberline, „w tym ubiorze nie różni się od detektywów z mojego wydziału”.

Tyle że Abberline znał wszystkich detektywów ze swojego wydziału. Znał wszystkich detektywów w promieniu kilku mil i ten tuman do nich nie należał. Co naprowadziło go na myśl, że może był to całkiem inny rodzaj detektywa. Wolną ręką obszukał mężczyznę i znalazł małą skórzaną pałkę, którą wsunął do kieszeni munduru.

– Prywatny szpicel, co? – zapytał Abberline.

W odpowiedzi mężczyzna pokiwał wściekle głową.

– Ghy, ghy, ghy – próbował coś powiedzieć

Abberline zwolnił uścisk.

– Tak, panie posterunkowy Abberline, jestem prywatnym detektywem i to takim, który może się panu przydać, jeśli tylko pozwoli mi pan mówić – wydyszał przyciśnięty do ściany mężczyzna.

Ostrożny, lecz zaciekawiony Abberline w końcu go puścił.

– Jak się pan nazywa? – zapytał.

– Leonard. Leonard Hazlewood.

– Dobrze, teraz niech pan mówi, o co chodzi, panie Hazlewood, i oby to było coś ciekawego.

Hazlewood najpierw się wyprostował, poprawił melonik, garnitur i kołnierzyk i dopiero po tym kontynuował:

– Ma pan absolutną rację, jestem prywatnym detektywem wynajętym przez jednego arystokratę, proszę sobie wyobrazić, że to wicehrabia, który dobrze płaci i raczej średnio obchodzi go, komu płaci, jeśli wie pan, o czym mówię.

– Tak, doskonale wiem, o czym pan mówi. Co pan na to, żebym pana aresztował za próbę przekupienia funkcjonariusza policji Jej Królewskiej Mości?

– Kto tu kogokolwiek przekupuje, panie posterunkowy? Znam się na swojej robocie i wiem, że koledzy z wydziału nazywają pana Freddie Świeżynka i że lubi pan działać zgodnie z regulaminem, i nawet nie pije pan na służbie...

Abberline chrząknął zażenowany. „Stary, gdybyś tylko wiedział”.

– I co z tego?

– Więc spodziewam się, że będzie pan równie zainteresowany rozwiązaniem sprawy kryminalnej jak napchaniem sobie sakiewki. Może nawet bardziej. I że jeśli uda mi się pomóc panu w jednym, a być może i w drugim, to może będzie to nie tyle łapówka, ile podarek w uznaniu pana znakomitej pracy policyjnej, którym może pana obdarzyć mój dobroczyńca.

– Niech pan po prostu powie, co pan ma do powiedzenia, i niech pan to powie wprost.

– Ten wicehrabia wraz z towarzyszem zostali napadnięci niedaleko stąd, na

cmentarzu Marylebone. Jego kolega został pobity tak brutalnie, że stracił życie.

– A więc nie miał daleko na własny pogrzeb, nieprawdaż?

– Jeśli mogę być szczery, to dość kiepski żart, panie posterunkowy.

– Żart jest kiepski, bo umiem rozpoznać stek bredni, a właśnie takowy usłyszałem. Gdyby dwaj arystokraci w mojej dzielnicy zostali napadnięci na cmentarzu i jeden z nich padł trupem na miejscu, to chyba bym o tym wiedział, jak pan myśli?

– Zarówno mój zleceniodawca, jak i rodzina zamordowanego woleli nie zgłaszać tej sprawy, by utrzymać ją z dala od zainteresowania opinii publicznej.

Abberline uśmiechnął się paskudnie.

– Ach tak? Ci dwaj coś tam przeskrobali?

– Nie pytałem. Po prostu zostałem wynajęty, by znaleźć i schwytać złoczyńcę.

– Zatrzymać, tak? I co wtedy? Oddać go w ręce policji? Niech pan mnie nie rozśmiesza. Chce mu pan dołożyć albo go ukatrupić.

Hazlewood skrzywił się.

– Czy to ważne? Rzecz w tym, że zostanie mu wymierzona sprawiedliwość.

– Sprawiedliwość wymierzają sądy – powiedział Abberline, chociaż ostatnimi czasy zastanawiał się, czy wciąż w to wierzy.

– Nie zawsze.

– Ma pan rację. Nie zawsze. Nie w stosunku do dwóch arystokratów, którzy upijają się, biorą na cmentarz jedną czy dwie panienki lekkich obyczajów, a potem dostają wciroy od ich sutenerów, mam rację? Chyba że chcesz mi powiedzieć, że byli tam, by złożyć wianuszek maków na czyimś grobie? Po arystokratach można się zawsze spodziewać jednego: że będą się zabawiać kosztem klas niższych. Może chociaż raz sytuacja się odwróciła.

Detektyw wzruszył ramionami.

– To nie był sutener. To nie zwykły alfons kasujący pieniądze zaatakował

mojego zleceniodawcę, zabił jego kolegę i doprowadził do ciężkiego kalectwa dwóch z jego ochroniarzy...

Abberline uniósł brwi.

– Mieli *ochroniarzy*, tak? Jasny gwint, naprawdę umie pan wzbudzić w człowieku współczucie, co?

Hazlewood zmarszczył brwi i ponownie złapał się za kołnierzyk. Jego szyja poczerwieniała. Nie szło mu najlepiej.

– To był niebezpieczny mężczyzna, panie posterunkowy. Podobno trudno nawet nazwać go mężczyzną. I byłoby w najlepszym interesie nas wszystkich, gdyby na dobre zniknął z ulic.

Abberline myślał o Aubreyu i różnych odcieniach szarości. Myślał o sprawiedliwości i o tym, jak to się miało do sytuacji, w której dwaj arystokraci wynajmują ochroniarzy na pijackie wypadki do mniej przyjemnych części miasta. Dlaczego miałby się przejmować tym, że jakiś samotnik dał tym draniom nauczkę, spuszczać im srogie lanie? Cóż, *dał im wycisk*. Abberline wiedział, co powiedziałyby na to Aubrey. Brawo dla tego gościa, do cholery. Niech mu pięści służą.

Chyba po raz pierwszy Abberline zdał sobie sprawę, że nie tyle go to nie obchodziło, ile że obchodziło go to nadzwyczaj mało. Zachichotał.

– A niech mi pan powie, jak wyglądał ten człowiek, który nie był nawet mężczyzną. Mam się rozglądać za... za czym? Może za jakimś potworem? Sześć stóp wzrostu, uzbrojony po same zęby, ze szponami zamiast dłoni i rozdzierającym noc rykiem?

Prywatny detektyw wywrócił oczami.

– Gdybym pana nie znał, pomyślałbym, że pan pił, panie posterunkowy. Nie, kiedy powiedziałem, że nie był nawet mężczyzną, nie miałem na myśli, że był kimś *więcej*. Miałem na myśli młodzieńca, chłopaka.

– Chłopaka?

– Zgadza się. Młodego Hindusa o bosych stopach. Który podobno walczy jak sam diabeł. Prawdziwy z niego akrobata.

Abberline spojrzał na niego, nagle poważniejąc, bo cała wesołość usunęła się w cień, a wszystkie okoliczności zeszły na bok.

– Powiada pan, akrobata?

Następnego dnia Duch stał nad wykopem, nadzorując prace. Przyciskał do piersi sznurowaną teczkę pełną wykazów, list, harmonogramów i grafików – Marchant zrzucił na Ducha niemal całą swoją pracę biurową – i zajmowanie się tym wszystkim okazało się bardziej wymagające niż wszystko, co kiedykolwiek robił, w tym nauka najtrudniejszych arkanów walki na kukri u Ethana Frye’a.

Jeden z brygadzystów zbliżył się, wycierając nos w rękaw.

– Mam zadzwonić na koniec zmiany, panie Singh?

Duch patrzył na niego niewidzącym wzrokiem, starając się skupić na słowach, do których nie był przyzwyczajony, a konkretnie: „Panie Singh”.

– O tak – powiedział wreszcie. – Dziękuję.

A potem patrzył, jak brygadzista nisko mu się uklonił i odszedł, wciąż nienawykły do tej nagłej zmiany. „Hindus”, tak mówili na niego pracownicy, póki nie zaczął pracować na nowym stanowisku. Ale teraz... Pan Singh. Był w tym *szacunek* – a nawet respekt dla władzy. Bo w istocie, czym był szacunek, jeśli nie uznaniem dla władzy? Po raz pierwszy w życiu Duch potrafił zrozumieć urok i powód ciągłej pogoni za władzą. Za władzą szły pieniądze i wpływy, a może przede wszystkim oznaczało to bycie wysłuchanym, a te rzeczy były równie pożądane jak miłość, przyjaźń i rodzina, pewnie nawet bardziej, bo przemawiały do samolubnego ja, a nie odruchów serca.

„Tak”, pozwolił sobie pomyśleć, „w innym świecie mógłbym przywyknąć do bycia nazywanym panem Singh. Mógłbym naprawdę to polubić”.

W gruncie rzeczy nie miał wyboru, nie po objęciu nowego, wysokiego stanowiska na budowie.

Za pośrednictwem Marchanta Cavanagh nalegał, by Duch zaczął się lepiej

ubierać.

– Proszę, kolego, mam tu dla ciebie portki, buty, koszulę i surdut. Kapelusz też, jeśli chcesz.

Tej nocy w tunelu Duch przymierzył swój nowy strój i zyskał aprobatę Maggie.

– No proszę, co za elegant, wyglądasz jak prawdziwy wielkemiejski modniś – powiedziała mu, kiedy wszystko włożył. – Wszystkie panny będą za tobą szaleć, jeśli już tak nie jest.

Duch uśmiechnął się i Maggie poczuła, jak serce rozplywa jej się na widok tego uśmiechu, zupełnie jak tamtej nocy, kiedy się poznali. Teraz, tak samo jak wtedy, pomyślała: „Gdybym tylko była czterdzieści lat młodsza...”.

Ostatecznie Duch pozbył się kapelusza. Swojej kolejarskiej czapki też nigdy nie lubił. Miał zamiar dać ją któremuś z towarzyszy z tunelu. Spodnie były o wiele za krótkie i Duch pomyślał, że to pewnie złośliwa sztuczka Hardy’ego. Ale ochroniarz byłby zawiedziony, wiedząc, że krótsze spodnie łopoczące tuż nad kostką całkowicie Duchowi odpowiadały. Buty oddał Maggie. Ta radośnie wyciągnęła sznurowadła przed ich założeniem. Stare przekazała komuś biedniejszemu.

Tak więc następnego dnia, gdy znów przyszedł na budowę, był dosłownie odmienionym człowiekiem.

Praca była wymagająca. Trudna jak trening walki na kukri. Cały czas spędzał na wypisywaniu nazwisk i liczb w rozmaitych tabelach przynoszonych mu przez Marchanta, a także na staraniach, by nadażyć za wciąż zmieniającymi się szychtami, i na współpracy z brygadzystami, z których jedni przyjęli awans „Hindusa” lepiej, inni gorzej. Co ciekawe, odkrył, że jedno twarde, ale spokojne słowo, któremu towarzyszy spojrzenie w stronę biura, wystarcza, by przywołać każdego brygadzystę do porządku. Wiedział, że to nie szacunek daje władzę. To strach.

Tak czy inaczej, głównym celem jego pobytu w tym miejscu nie były rozmyślenia ideologiczne ani nauka nowych umiejętności zawodowych. Miał

szpiegować na rzecz Bractwa, ustalić, co dokładnie planowali templariusze, a w tej sprawie nie miał większych osiągnięć. Przede wszystkim w nowej pracy był ciągle zajęty; poza tym rzadko miał pretekst do wizyt w biurze, gdzie trzymano plany.

Któregoś dnia ze swojego punktu obserwacyjnego przy dźwigach ujrzał przybycie Crawforda Starricka i Lucy Thorne, którzy ostrożnie przedostali się na drugą stronę błota, aż w końcu zniknęli w biurze.

„Teraz”, pomyślał i ruszył przez błoto, by dostać się do biura pod pretekstem dostarczenia kilku wykazów – zatrzymali go jednak Smith i Hardy Drugi, pilnujący drzwi niczym wejścia do świątyni. Wzięli dokumenty i odesłali go z powrotem. Wyglądało na to, że włączenie Ducha do kręgu najbliższych współpracowników Cavanagha było czysto teoretyczne. Może wciąż go sprawdzali; w istocie niedługo potem doszło do incydentu, który pozostawał dla Ducha zagadką.

Stało się to pewnego późnego popołudnia, gdy Duch podszedł do Marchanta stojącego na kładce przerzuconej przez błoto. Krzycząc tak, by było go słychać przez harmider silnika parowego załadowanego ziemią, chciał wręczyć zarządcy budowy grafik, jak to robił na końcu każdej zmiany.

– Wszystko w porządku, sir – powiedział, wskazując na gorączkową pracę za swoimi plecami.

Na dźwigach roiło się od ludzi, czarne kubły z ziemią kołysały się na tle szarego nieba gasnącego dnia, robotnicy o brudnych twarzach, z przewieszonymi przez ramię łopatami i kilofami opuszczali wykop jak pokonani żołnierze w odwrocie. Wyciąg terkotał, wciąż terkotał.

Ale tym razem zamiast wziąć grafik, jak to zwykle robił, Marchant wzruszył ramionami i wskazał drewniane biuro za nimi.

– Tam – powiedział. – Zostaw to z boku obok stołu z planami. Później na to zerknę.

Jego oczy niczego nie zdradzały. Duch potwierdził skinieniem głowy i przeszedł na drugą stronę. Nie było Cavanagha. Nie było Hardy’ego,

Smitha ani Hardy'ego Drugiego. Był tylko Duch wchodzący samotnie do biura, serca operacji.

Przystanął. To była próba. To musiała być próba. Świadomy tego, że Marchant może mierzyć mu czas, zapalił lampę, a potem podszedł do stołu z planami.

Marchant był bardzo konkretny. Stół z planami.

I jak można się było spodziewać, na stole leżały zwinięte plany.

Stawiając lampę na blacie stołu, Duch nachylił się, żeby zbadać rulon dokumentów. Jeśli, tak jak podejrzewał, była to pułapka, tak właśnie by ją zastawiono, i... *jest*, zobaczył to. Pojedynczy czarny włos został zwinięty razem z papierami, wystawał tylko koniuszek. Z sercem walącym jak młotem, wyciągnął włos, trzymając go paznokciami, a potem, modląc się, by to była jedyna pułapka, rozwinął plany,

Leżał przed nim projekt wykopu i linii kolejowej, ale nie był to projekt oficjalny. Ten ostatni widział, wyciągając szyję ponad głowami innych robotników, kiedy Charles Pearson i John Fowler demonstrowali swoje dziecko. Tamte plany wyglądały dokładnie jak te, poza jedną podstawową różnicą. Miały herb Kolei Metropolitalnej w prawym górnym rogu. Ten plan był podpisany godłem Zakonu Templariuszy.

Marchant będzie się zastanawiał, co robi tak długo. Szybko zlustrował rysunek, który miał przed sobą, i jego wzrok natychmiast podążył do jednego z budowanych odcinków – był to odcinek, który właśnie kopali. Zakreskowano tam kółko. W środku widniał jeszcze jeden krzyż templariuszy.

Duch zwinął papiery, umieścił z powrotem włos, zgasił lampę i opuścił biuro. Po tym jak wyszedł z obrazem planu utrwalonym w pamięci, wrócił myślami do wydarzeń sprzed kilku dni, gdy przyniesiono skrzynie i zbudowano prowizoryczną trybunę. Cavanagh wspiął się na nią z Marchantem i „kompanią karną” stojącymi po bokach i z żalem zawiadomił przez tubę, że na placu budowy doszło do kilku przypadków kradzieży, że

robotnikom skradziono narzędzia.

Ta wiadomość wywołała stłumiony okrzyk. Narzędzia były dla ludzi równie ważne jak ich rodziny. W wielu przypadkach nawet ważniejsze. Duch od dawna miał zwyczaj zakopywać swoją łopatę w pewnym punkcie na obrzeżach placu budowy, ale dla wielu mężczyzn ich łopaty i kilofy nie były tylko środkiem utrzymania, ale jego symbolem. Idąc ulicami z przewieszonymi przez ramię narzędziami, znakami ich rzemiosła, szli wyprostowani, z wysoko podniesionymi głowami i przechodnie wiedzieli, że widzą ludzi, którzy ciężko pracują, a nie po prostu są brudni. Tak więc sugestia, że jakiś drań kradnie narzędzia... Cóż, taki ktoś mógłby równie dobrze odbierać im jedzenie od ust. Cavanagh owinął ich sobie wokół małego palca i propozycja, by pracownicy byli odtąd przeszukiwani, gdy opuszczali plac budowy, spotkała się z mniejszym gderaniem, niż można się było spodziewać. Zakończenie zmiany zabierało teraz trzy razy więcej czasu, ale przynajmniej robotnicy mogli być spokojni, że Kolej Metropolitalna miała na sercu ich dobrze rozumiany interes.

Duch nie dał się oszukać, za to teraz dokładnie wiedział, co kryło się za tą decyzją. Podjęto ją, ponieważ roboty ziemne w końcu dotarły do zakreślonego na planie obszaru. Koniec był blisko i chociaż robotnicy mieli surowy nakaz zgłaszania wszelkich nietypowych znalezisk – z obietnicą nagrody odpowiadającej wartości przedmiotu – wciąż było możliwe, że któryś z nich spróbuje zwyczajnie zwędzić to, co znalazł. Być może templariusze wiedzieli o tym artefakcie równie mało jak asasyni. W każdym razie nie ryzykowali.

Był też oczywiście inny problem, mały kłopot z nieustępliwym posterunkowym Abberline'em, który stale pojawiał się na budowie i według Marchanta o coś go oskarżał.

– Nie martw się – powiedział Marchant do Ducha. – Jesteś kryty.

Sugerował w ten sposób, że „bycie krytym” miało swoją cenę.

Zadba o to, żeby im za to odpłacić. O tak, bardzo się o to postara.

Ale teraz Abberline był tu z powrotem, a razem z nim kilku mężczyzn. Dwóch z nich rozpoznał – drugiego policjanta, Aubreya, i sierżanta – zaś dwóch pozostałych nie – był to elegancko ubrany mężczyzna, który miał nawyk ciągłego poprawiania kołnierzyka, i czwarty człowiek, który...

W czwartym mężczyźnie było coś, co Duch kojarzył. Przyjrzał mu się lepiej, czując, jakby mózg pracował mu zbyt wolno, gdy próbował go dopasować do czasu i miejsca...

Marchant szedł w jego kierunku, zbliżał się, pozdrawiając go ze szczurzym uśmiechem.

– Ej, jesteś tam potrzebny...

A Duch wciąż wpatrywał się w nowo przybyłego, który stał w pewnej odległości od grupy i również na niego patrzył. Gdy ich spojrzenia się spotkały, rozpoznali się nawzajem.

To był człowiek z cmentarza.

Abberline patrzył, jak podchodzi.

Tamtego ranka wpadł do gabinetu sierżanta, holując za sobą swojego nowego przyjaciela, prywatnego detektywa Hazlewooda, i oznajmił sierżantowi, że ma coś nowego na Hindusa z wykopu.

– Powtórz mu to, co mi powiedziałeś – nakazał Hazlewoodowi.

Mina prywatnego detektywa mówiła, że wszystko zbyt szybko wyślizguje mu się z rąk, jakby nie tak to sobie planował. W jednej chwili wymieniał się tajnymi informacjami z człowiekiem, który mógł mu pomóc w odszukaniu Hindusa, w następnej nadmiernie pobudzony Abberline ciągnął go przed oblicze sierżanta.

Jak było do przewidzenia, sierżant obejrzał go od stóp do głów, zanim przeniósł wzrok na Abberline'a.

– A kto to, do jasnej cholery, jest, Freddie?

– To prywatny detektyw, ot co. To prywatny detektyw, który, tak się składa, ma informacje dotyczące naszych przyjaciół z wykopu.

– O nie, tylko nie ten cholerny wykop – westchnął sierżant. – Proszę, nie mów, że to *znowu* ten cholerny wykop.

– Zaraz, zaraz, momencik. – Hazlewood wyciągnął ręce w stronę Abberline'a i sierżanta jak człowiek, który próbuje zapanować nad małym tłumem. – Poproszono mnie, żebym znalazł miejsce pobytu młodego bandyty zamieszanego w brutalny napad na pewnego arystokratę, który życzy sobie, by sprawiedliwości stało się zadość. Nic nie wiem o żadnych sprawach związanych z jakimś wykopem.

– To jedno i to samo, kolego, jedno i to samo – zapewnił go Abberline. – Teraz po prostu powiedz mu to, co mi wcześniej powiedziałeś, zanim ja to zrobię, i uwierz mi, niczego nie opuszczę, a mogę nawet dodać od siebie parę

kawałków, które nie będą dobrze świadczyć ani o tobie, ani o twoich zleceniodawcach.

Detektyw rzucił mu wściekłe spojrzenie, a potem zwrócił się do sierżanta.

– Tak jak mówiłem panu... – zrobił pauzę, by podkreślić swoją pogardę – *posterunkowemu*, zostałem wynajęty przez wysoko postawionych gentlemanów, aby pomóc w ujęciu bardzo niebezpiecznego człowieka.

– „Bardzo niebezpiecznego człowieka” – przedrzeźniał Abberline. – Różnie można na to patrzeć. Mówisz, że był tam jeszcze jeden ochroniarz, oprócz tych dwóch w sanatorium?

– Tak, był.

– Więc on może zidentyfikować chłopaka. Moglibyśmy zabrać go na budowę i dać mu do rozpoznania człowieka, który zaatakował jego i twojego pracodawcę.

– Myślę, że to możliwe... – powiedział ostrożnie Hazlewood.

– A *dlaczego* mielibyśmy to robić? – ryknął sierżant zza biurka. – Od cholernego pana Cavanagha dostałem już opierdol życia z powodu twojego zachowania, Abberline, i jeśli myślisz, że zaryzykuję jeszcze jeden, albo co gorsza, jeśli gość porozmawia z Johnem Fowlerem albo Charlesem Pearsonem i minutę później będę miał na karku komisarza, to przemyśl to jeszcze raz.

Abberline mrugnął.

– Dzięki naszemu przyjacielowi może się to panu opłacić, panie sierżancie. Sierżant zmrużył oczy.

– To prawda? – zapytał Hazlewooda.

Detektyw przyznał, że to prawda. Istotnie mogło się to sierżantowi opłacić i policjant rozważał przez chwilę tę nową sytuację. Fakt, istniało ryzyko, że kolejny raz dostanie opierdol, ale z drugiej strony miał kozła ofiarnego nazwiskiem Abberline.

Co więcej, dodatkowe parę szylingów mogło się przydać, zwłaszcza że zbliżały się urodziny pani sierżantowej.

Tak, zgodził się. Tego ranka zgodził się, że jeśli mogli przyjść z ochroniarzem, to mieli wystarczający powód, by skonfrontować się z hinduskim chłopakiem na budowie, a teraz ten Hindus szedł właśnie przez błoto w ich kierunku. „Jasny gwint”, pomyślał Abberline, „zrobił się światowy”. Miał na sobie nową parę spodni, a do tego szelki i rozpiętą na szyi koszulę bez kołnierzyka. Chociaż wciąż był boso, a kiedy podszedł bliżej, było widać, że spodnie łopoczą mu przy łydkach. Jak się zdawało, wszyscy byli zahipnotyzowani przez jego ciemne, nieprzeniknione oczy.

– Bharat Singh? – powiedział Abberline. – Miło mi widzieć, że skaleczenia i blizny się zagoiły od czasu naszego ostatniego spotkania.

Ledwo ich zauważając, Duch stał przed nimi z teczką przyciśniętą do piersi i z lekkim zdziwieniem patrzył to na jednego, to na drugiego. Abberline widział, jak wzrok chłopaka prześlizguje się po ochroniarzu, i przypomniał sobie, że jeśli chociaż połowa tego, co mówiono o tym chłopaku, to prawda, to mógł to być bardzo śliski, nie mówiąc już o tym, że niebezpieczny klient. Przygotował się. Na co? Nie był pewien. Ale i tak to zrobił.

– Tak – powiedział do Ducha. – Jeśli pozwolisz, mamy do ciebie sprawę.

Ukradkiem wymacał rękojeść swojej pałki, a potem skierował następne pytanie do ochroniarza.

– Czy to jest człowiek, który napadł na ciebie i dwóch twoich pracodawców? Przyjrzyj mu się dobrze. Trochę czasu minęło i od tamtej pory nieco się wystroił. Ale gdyby mnie kto pytał, nie jest to twarz, którą dałoby się szybko zapomnieć, nieprawdaż? Więc mów, to on czy nie on?

Duch przeniósł uwagę na ochroniarza, napotkał jego wzrok. Mężczyzna był wysoki, podobnie jak członkowie „kompanii karnej”, ale nie tak pewny siebie i arogancki jak oni. Stał się słabszym człowiekiem; bójka na cmentarzu zmieniła go, a teraz miał szansę odzyskać część utraconej dumy i godności.

Palce Abberline’a zacisnęły się na rękojeści pałki; Aubrey też był gotowy, a ludzie z „kompanii karnej” stali ze zmrużonymi oczami i rękami luźno zwisającymi po bokach, gotowi, by sięgnąć po ukrytą broń, czekając na

kolejne rozkazy w przewidywaniu, że poleje się krew.

I każdy spodziewał się, że ochroniarz powie „tak”.

Ku zaskoczeniu wszystkich ten pokręcił głową i powiedział:

– Nie, to nie on.

– Więc jaka jest prawda? – zapytał Abberline.

– Chyba nie wiem, o co panu chodzi.

Spotkanie na budowie skończyło się i Abberline wyszedł z podkulonym ogonem, a gdy wrócił na komisariat, został porządnie zbesztany przez sierżanta, aż wreszcie, porządnie zbesztany i z podkulonym ogonem, posterunkowy wyruszył na poszukiwanie ochroniarza.

Dlaczego? Bo widział jego minę, a do tego widział minę Bharata Singha, i coś było na rzeczy. „Nie rozpoznał go? Gównem prawda, ci dwaj się znają”. Między nimi był... cóż, dziwnie to brzmiało, ale Abberline powiedziała, że był świadkiem, jak między tą dwójką rodzi się niechętny szacunek.

Tak więc następnym punktem było odszukanie ochroniarza, co nie okazało się trudne. Udało mu się to już z Hazlewoodem poprzedniego dnia, a tego popołudnia znalazł ochroniarza w tym samym miejscu: w pubie Ten Bells przy Commercial Street w Whitechapel, ulubionym miejscu spotkań prostytutek i oszustów, sporadycznie jakiegoś posterunkowego i próbujących utopić swoje smutki skompromitowanych byłych ochroniarzy.

– Myślę, że go kryjesz – powiedział Abberline.

Mężczyzna bez słowa wziął swoją szklanekę i przeniósł się do stolika w małej salce. Abberline poszedł za nim i usiadł naprzeciwko.

– Ktoś ci płaci, żebyś go krył, zgadza się? Przypadkiem nie pewien człowiek w płaszczu z kapturem?

Brak odpowiedzi.

– A może chronisz go z dobroci serca? – zapytał Abberline.

Teraz mężczyzna spojrział na niego smutnymi oczami i Abberline wiedział, że jest na dobrym tropie. Poszedł za ciosem.

– A gdybym ci powiedział, że mam podejrzenia co do tego młodego

Hindusa? A gdybym ci powiedział, że być może uratował mi kiedyś życie i że w gruncie rzeczy wcale nie chcę wsadzić go do ciupy, ale raczej zaczynam się zastanawiać, czy nie stoi przypadkiem po stronie aniołów?

Kolejna pauza, a potem ochroniarz zaczął mówić burczącym głosem dobiegającym spomiędzy przygarbionych ramion.

– No, to miałby pan rację, panie posterunkowy, bo gdyby mnie kto pytał, to on naprawdę jest po stronie aniołów. To dobry człowiek. Lepszy niż pan i ja.

– Mów za siebie. A zatem był tamtej nocy na cmentarzu?

– To prawda, był, i nikt na nikogo nie „napadał”. Działo się tam zło, zło, w którym, przyznaję ze wstydem, brałem udział, zło, które on naprawił. Ludzie, dla których wtedy pracowałem, jaśniepanowie, wyżywali się na jakiejś lafiryndzie, po prostu dla zabawy, bo mogli. A ja i koledzy ich pilnowaliśmy. Bez zbędnych pytań i tak dalej.

Abberline uśmiechnął się lekko, rozpoznając źródło cytatu.

– I wtedy pojawił się ten młody człowiek, jedyny przechodzień, który zareagował na jej wrzaski inaczej niż tylko lekkim zdziwieniem. I kiedy ci dwaj jaśniepanowie nie chcieli przerwać zabawy, on przerwał ją za nich. Mówię panu, nigdy nie widziałem czegoś tak szybkiego: chłopca, mężczyzny ani zwierzęcia. Pokonał nas wszystkich, w tym niżej podpisanego. Zrobił to w mgnieniu oka i należało nam się; każdy z nas na to zasłużył. Więc kiedy pyta pan, dlaczego nie zidentyfikowałem go na budowie, i jeśli jest pan szczery, mówiąc, że to porządny człowiek, i jeśli pyta pan przy stoliku w Ten Bells i wie pan, że zaprzeczę na budowie, na komisariacie i przed sądem, to tak, to był on. I niech mu szczęście sprzyja, do diabła.

– Oczywiście, że to był on.

Marchant i Cavanagh spotkali się z Hazlewoodem w Travellers Club przy ulicy Strand, gdzie usiedli w palarni z widokiem na uliczkę Carlton Gardens.

Cavanagh był członkiem klubu wprowadzonym przez pułkownika Waltera Lavelle’a, na krótko, zanim Cavanagh go zabił; Marchant, jako jego prawa ręka, też już tu bywał. Natomiast Hazlewood był rozemocjonowany, czy też,

jak powiedział to potem swojej żonie, „podniecony niczym pies z dwoma fiutami”. Ludzie tacy jak on nie nawykli do atmosfery panującej w Traveller’s Club przy ulicy Strand i detektyw wyczuwał tu zapach pieniędzy. I może, jeśli dobrze rozegra swoje karty, szansę na rozwiązanie sprawy oraz zarobienie paru pensów na boku.

Nie zapominając oczywiście o tym, że bez dwóch zdań był to kawałek sztywnego lokalu.

Wokół nich słychać było śmiechy i podniesione głosy już podpitych lordów i gentlemanów, którzy upijali się jeszcze mocniej, ale trudno było sobie wyobrazić, by Cavanagh brał w tym udział. Dyrektor siedział w szerokim skórzanym fotelu z rękami na podłokietnikach, w eleganckim czarnym garniturze, połyskując białą kołnierzyka i mankietów. Ale chociaż pasował do towarzystwa arystokratów i elegantów, Cavanagh emanował groźbą, i było znamienne, że kiedy przechodzący panowie pozdrawiali go gestem ręki, ich uśmiechy natychmiast gasły, raczej składali mu hołd, niż się witali.

– Myśli pan, że człowiek, który zaatakował pańskiego klienta, i mój pracownik Bharat Singh to ta sama osoba? – zapytał teraz Hazlewooda.

– Jestem tego pewien, sir.

– Co sprawia, że jesteś pewien?

– Bo kiedy słyszę podkowy, wypatruję konia, nie zebry.

Marchant wyglądał na zdezorientowanego, ale Cavanagh pokiwał głową.

– Innymi słowy, pana zdaniem to logika nakazuje, że to musi być ten sam człowiek.

– Tak jest, poza tym rozmawiałem potem z naszym zaprzyjaźnionym ochroniarzem i było dość oczywiste, że z powodów, które wolałby zachować dla siebie, nie puścił pary z ust.

– W takim razie może musimy przekonać tego ochroniarza – powiedział Cavanagh.

I Hazlewood pomyślał: „pieniądze”, zastanawiając się, czy jakaś ich część trafi do jego kieszeni.

– Niech pan mi powie – rzekł Cavanagh. – Jeśli ten młody Hindus napadł na ochroniarza i... Ilu ich było? Czterech ludzi? W tak nieuzasadniony i brutalny sposób, to dlaczego ten ochroniarz miałby teraz go chronić?

Hazlewood nie patrzył mu w oczy. Cavanagh skinął głową i Marchant wyjął z kieszeni zwitek banknotów, kładąc go na stole pomiędzy nimi.

„Zaczyna się”, pomyślał Hazlewood, nakrywając je dłonią.

– Cóż – powiedział. – Wiem tylko to, co mi powiedziano, ale wygląda na to, że ten hinduski chłopak podjął się uratowania damy w opałach, która była, można powiedzieć, zabawką dla tych dwóch arystokratów.

Cavanagh pokiwał głową, przesuwając wzrokiem po wyłożonej drewnem sali. Znał ten typ.

– Dobrze się bawili, co?

– Z tego, co słyszałem. Wygląda na to, że pański człowiek, ten Hindus, wirował tam jak derwisz. Stanął do walki z nimi wszystkimi i wygrał, i z tego, co wiadomo, zabrał ze sobą tę biedną spódniczkę, którą katowali, i rozplątał się z nią w ciemnościach.

– Rozumiem – powiedział Cavanagh. Przerwał, czekając, aż ucichnie śmiech nieopodal. – Cóż, panie Hazlewood, dziękuję panu za szczerą i za zwrócenie naszej uwagi na tę sprawę. Proszę zostawić to nam, chcielibyśmy przeprowadzić własne śledztwo. Być może, kiedy zostanie zakończone i zakładając, że jego wynik będzie zgodny z pańskimi podejrzeniami, będziemy mogli połączyć siły, tak że pozbędziemy się czarnej owcy, a pan dostanie swojego człowieka.

Kiedy zadowolony Hazlewood wyszedł z klubu, Cavanagh obrócił się do swojego towarzysza.

– Dotrzymamy słowa, Marchant. Przyjrzyjmy się bardzo uważnie naszemu interesującemu indyjskiemu koledze.

Następnego dnia wcześnie rano Abeerline patrzył na trupa, co stawało się dla niego już czymś zwyczajnym. Obok niego stał Aubrey i dwaj posterunkowi zdjęli kaski na znak szacunku. Znali mężczyznę, który leżał rzucony jak szmaciana lalka na ulicę, choć jego twarz była niemal nie do rozpoznania z oczami o tak napuchniętych powiekach, że nie mogłyby się już otworzyć, twarz będąca mieszanką fioletowych siniaków i otwartych ran, ze złamaną szczęką zwisającą pod strasznym kątem.

To był tamten ochroniarz.

– Najwyraźniej ktoś chciał go uciszyć – powiedział Abrey.

– Nie – odparł Abberline w zamyśleniu, wpatrując się w trupa i zastanawiając, ilu jeszcze musi zginąć. – Nie sądzę, żeby chcieli go uciszyć. Myślę, że chcieli go zmusić do mówienia.

Po drugiej stronie miasta Cavanagh siedział przy swoim biurku z Marchantem po jednej stronie i Hardym po drugiej.

Przed nimi, na niewygodnych krzesłach z prostym oparciem i z odpowiednimi do sytuacji minami, zajmowali miejsca Wielki Mistrz Templariuszy Crawford Starrick i Lucy Thorne. Oczekiwali raportu od Cavanagha, człowieka, który obiecał dostarczyć im artefakt, lecz któremu jak dotąd wyraźnie się ta sztuka nie udawała, i jak zwykle oczekiwali, by raport zawierał optymistyczne wieści.

– Jesteśmy blisko – powiedział Cavanagh.

Lucy westchnęła, zmarszczyła brwi i poprawiła spódnicę. Starrick zdecydowanie nie był pod wrażeniem.

– Mówił pan tak ostatnim razem i przedostatnim też.

– Jesteśmy bliżej – dodał Cavanagh, nieporuszony irytacją Wielkiego Mistrza. – Musimy. Jesteśmy w okolicy miejsca, w którym znajduje się

artefakt.

Zabrzmiało pukanie do drzwi i pokazała się w nich twarz Hardy'ego Drugiego.

– Przepraszam, że przeszkadzam, sir, ale przyjechali państwo Pearsonowie.

Starrick przewrócił oczami, ale Cavanagh wyciągnął rękę, dając znak, że nie ma powodów do niepokoju.

– Mimo swojej choroby Pearson woli towarzystwo robotników kolejowych od wygod biura. Nie martwcie się, najpierw ruszy na swój królewski obchód.

Hardy Drugi wyjrzał przez drzwi.

– Chyba wszystko w porządku. Tak jak pan powiedział, idzie do wykopu.

– No cóż – powiedział Starrick – sądzę, że to wszystko z naszej strony. Panna Thorne i ja wychodzimy. Przy następnym spotkaniu niech się pan postara mieć dla mnie bardziej zachęcające wieści.

Po ich wyjściu Cavanagh spojrział na Marchanta, mrużąc oczy.

– To głupiec, wie, że jego czas się kończy.

– Jest Wielkim Mistrzem Templariuszy, sir – powiedział Marchant, a potem ze służalczym uśmiechem dodał: – Na razie.

– Otóż to – powiedział Cavanagh. – Na razie. Dopóki to ja nie zdobędę artefaktu.

I pozwolił sobie na uśmiech. Widmo uśmiechu.

Tymczasem, kiedy Cavanagh, Marchant i spółka byli zajęci Starrickiem i Thorne – i zanim Duch rozpoczął swoją zmianę – Pearson robił dokładnie to, co przewidywał Cavanagh, czyli małą rundę wokół placu budowy z żoną Mary pod rękę.

Robotnicy uwielbiali Pearsona i mieli okazję, by pokazać mu jak bardzo. Podczas gdy Starrick i Thorne szli do bramy, na schodkach biura Marchant patrzył, jak robotnicy zbierają się wokół państwa Pearsonów, i zmarszczył brwi, widząc, że, jak się zdawało, przerwali pracę bez ważnego powodu. Zdecydowanie jednak coś się działo. Przechylił się przez poręcz i powiedział do Hardy'ego Drugiego:

– Idź tam, co? Zobacz, co się dzieje...

To było jedno z nielicznych wolnych popołudni posterunkowego Aubreya Shawa.

Chociaż nie, to nie była do końca prawda. Po pierwsze, dlatego że wolne popołudnia zdarzały się Aubreyowi całkiem często, a po drugie, dlatego że nie było to prawdziwe wolne popołudnie. W każdym razie nie w oficjalnym, regulaminowym sensie. Ujmując rzecz dokładniej, należałoby stwierdzić, że posterunkowy policji Aubrey Shaw przebrał się w cywilne ubranie i migał się od służby.

Jak zwykle wagary Aubreya miały jakiś związek z krykietem. Najczęściej oznaczało to osuszanie paru kufli ale w pubie Green Man, dzisiejszy dzień był jednak wyjątkowy. Aubrey wybrał się na stadion Lord's Cricket Ground, żeby obejrzeć coroczny mecz międzyszkolny Eton kontra Harrow.

Był piękny słoneczny dzień, w sam raz, żeby spędzić go na trybunie (choć było tłoczno, gdyż na spotkanie przyszło kilkadziesiąt tysięcy ludzi), zjeść pasztecik i może wypić jakieś piwo albo trzy, było też mnóstwo spódnic i czepków przyciągających męski wzrok, a oślepiająca biel strojów krykiecistów lśniła w słońcu.

Jeśli miał być szczery, Aubrey nie interesował się specjalnie krykietem, ale ten dżentelmeński sport był rozrywką, którą akceptowała jego żona, a co więcej, wiązały się z nią paszteciki i piwo – a te dwa elementy były w życiowej podróży Aubreya kluczowe.

Pomyślał o Abberlinie. Nieżonaty Abberline, nieustannie czymś zatroskany Abberline – gdyby ktoś pytał Aubreya, te dwie rzeczy niewątpliwie się ze sobą łączyły.

– Potrzebna ci żona – powiedział Abberline'owi któregoś popołudnia w Green Man, bo gdzież by indziej.

– Potrzebny mi kolega z policji, który bardziej zajmuje się pracą, a mniej jej unikaniem – odparł Abberline.

Co było raczej krzywdzące; w końcu Aubrey zaangażował się w ich śledztwo prawie tak mocno jak Freddie i...

„O nie”, pomyślał, zajmując miejsce na trybunach, „Dziś nie myślę o Freddie. Znikaj, Freddie”. I by zaznaczyć, że kończy z myśleniem o pracy, zaczął razem ze wszystkimi donośnie wiwatować na cześć zawodników, z zadowoleniem poddając się rytmowi meczu. Jeszcze jedna anonimowa twarz w tłumie. Zmartwienia zaczęły odpływać.

A jednak. Nie mógł nic poradzić. Jego myśli wróciły do Abberline’a i jego obsesji na temat, jak to nazywał, „podejrzanych sprawek z budowy”. Dwaj policjanci zadali sobie pytanie, kto pobił ochroniarza na śmierć. „Jeden z tych osiłków z budowy”, powiedział, jak można się było spodziewać, Freddie i tym razem Aubrey musiał się z nim zgodzić. Było jasne jak słońce, że ten Cavanagh i spółka mieli coś za uszami. No bo czy nie jest tak z nimi wszystkimi? Arystokraci, przemysłowcy i politycy nie przejmowali się nikim i niczym i złamanie kilku praw było drobną niedogodnością dla kogoś, kto ma wystarczające wpływy, by je deptać.

„Niech to szlag”, pomyślał Aubrey. „Posłuchaj się tylko”. Zaczynał myśleć jak sam Freddie. To było zaraźliwe, ot co.

Ale mogli się dowiedzieć – tak mówił Abberline. Jeśli wyciągnęli to od ochroniarza, to Cavanagh i spółka mogą być pewni, że Bharat Singh to chłopak z cmentarza.

– Jakie by to miało dla nich znaczenie, gdyby to był on? – zapytał Aubrey.

– Może żadne, Aubrey, może żadne. Kto wie?

To była niewątpliwie układanka. Jak te powycinane drewniane kształty, które trzeba było dopasować. Obracasz je w palcach, żeby rozgryźć, jak to zrobić.

Zamyślenie połączone z wypitym piwem, sporą liczbą innych widzów i faktem, że był na stadionie w czasie nieoficjalnie wolnego popołudnia,

sprawiły, że Aubrey nie był świadomy obecności trzech mężczyzn, którzy przepchnęli się przez tłum, żeby zająć miejsca z tyłu trybuny. Stali plecami do płotu, z założonymi rękami i zsuniętymi na oczy rondami meloników, w pozach ludzi, którzy nie chcą się rzucać w oczy.

Ci trzej mężczyźni nie oglądali spod swoich meloników meczu. Ich wzrok był skierowany na Aubreya Shawa.

Ostatnim lokatorem Ciemności był Jayadeep Mir – jakieś trzy lata temu. Mimo to pomieszczenia trzeba było utrzymywać w dobrym stanie, więc regularnie jak w zegarku Ajay i Kulpreet schodzili po schodach z sali spotkań, by zamieść izby i je przewietrzyć, aby choć na jakiś czas pozbyć się przygnębiającej wilgotnej atmosfery, jaka zazwyczaj tu panowała.

I regularnie jak w zegarku Ajay uznawał za świetny dowcip, by zamknąć Kulpreet w jednym z pomieszczeń.

Brzęk.

Podkradł się do niej i zanim zdołała go powstrzymać, znów to zrobił; tylko tym razem, zamiast zostać na zewnątrz, rżąc i kpiąc z niej, tak jak to zwykle czynił, umknął korytarzem.

Ręce jej opadły przez nużącą nieuchronność całej tej sytuacji. Czy jemu się to kiedyś znudzi? Pewnie nie, ponieważ Ajaya nie dało się określić inaczej niż niedojrzałym i mimo że Kulpreet miała w domu męża i synka, prawdopodobnie był też w niej trochę zakochany. A z jej doświadczenia wynikało, że to u mężczyzny bardzo uciążliwe połączenie.

Rozdrażniona, zawołała przez judasza:

– Ajay, znowu?! – I zaklęła ze złości, że temu szczerowi udało się ją tak podejść.

Na zewnątrz panowała cisza. Ajay odszedł. Bodajby oślepl. Miała nadzieję, że to nie był jeden z tych dni, kiedy potrafił przeciągać żart w nieskończoność. Kiedyś zostawił ją tu na pół godziny. Dzięki Bogu, już dawno nauczyła się brać ze sobą świeczkę.

– Ajay! – zawołała jeszcze raz, ale jej słowa odbiły się tylko od wilgotnych kamieni. Szarpnęła drzwiami, szcęk rozległ się echem w ciemnościach. – Ajay, to już dawno nie jest śmieszne. Otworzysz w końcu?

Zza drzwi wciąż nie dobiegał żaden dźwięk i jeśli się zastanović, Kulpreet nie słyszała go już od dłuższego czasu. Ajay nie był typem człowieka, który długo by milczał. Nawet gdyby był na górze, zagadywałby, rzucał kiepskie żarty, drażniąc się z nią.

W istocie – *kiedy* ostatnio słyszała cokolwiek innego niż własny głos? Tu, na dole, można było stracić poczucie czasu.

Aż podskoczyła na odgłos zza drzwi.

– Ajay – powiedziała ostro i podniosła rękę, napinając nadgarstek w gotowości.

A potem się pojawił. Twarz w okienku i wyszczerzone zęby.

– Tym razem cię załatwiłem, Kulpreet. Myślałaś, że po nas przyjdą, co?

„Jasne”, pomyślała, podniosła jedną brew i wysunęła ostrze tak precyzyjnie, by wystrzeliło przez judasza i dotknęło krawędzi jednego z nozdrzy Ajaya.

Kulpreet nie tylko była jedną z najlepszych szermierek w Indyjskim Bractwie – była też jedną z najlepszych w walce ukrytym ostrzem, i był to doskonale skalkulowany, mistrzowsko wymierzony atak.

– Imponujące – powiedział Ajay, zaczynając nagle mówić przez nos. Był unieruchomiony przez ostrze, wiedział, że najmniejszy ruch może skutkować przeciętym nosem. Myślał: „A niech mnie, ona je ostrzy na okrągło”.

Rzeczywiście wciąż je oliwiła i regulowała. „Nigdy się nie zatnie, Ajay”, mawiała, wsuwając ostrze do obudowy z typowym dla niej spojrzeniem pełnym dezaprobaty. „W odróżnieniu od niektórych innych”.

Kulpreet nadal trzymała swoje ostrze przy jego twarzy.

– Rzuć mi klucze – powiedziała, a potem, kiedy już zrobił to, co mu kazała, odepchnęła go ze złością, podążając w stronę wyjścia.

Na górze zamknęli drzwi i przygotowali się do opuszczenia Ciemności. Kulpreet umyślnie ignorowała Ajaya, co jak wiedziała, było dla niego znacznie gorszą karą niż wetknięcie ukrytego ostrza w dziurkę nosa.

Tak jak każdej nocy umieściła swoją szablę na wbitym w ścianę stojaku,

pocałowała palce i dotknęła nimi doskonałej indyjskiej stali, i w końcu dołączyła do Ajaya przy drzwiach do sali spotkań. Dwoje asasynów pożegnało się, a następnie wyslizgnęło na zewnątrz i zamknęło za sobą drzwi.

Żadne z nich nie zauważyło w ulicznym tłumie twarzy, które przyglądały im się z zainteresowaniem – a potem poszły za nimi.

„Co za wspaniały dzień”, pomyślał Aubrey, opuszczając stadion wraz z tysiącami widzów. Prawdę powiedziawszy, był trochę podchmielony. Wystarczająco podchmielony, żeby przymilić się do kwiaciarki, by ta dała mu zniżkę na bukiet, wziąć kwiaty do domu, do Marjorie, i powiedzieć żonie, że ją kocha, wystarczająco podchmielony, by zapomnieć o wszystkim, co dotyczy hinduskich akrobatów i tajemniczych znikających mężczyzn w płaszczach z kapturem, a już zdecydowanie zbyt podchmielony, by zauważyć trzech mężczyzn, którzy szli za nim z opuszczonymi głowami i rękami w kieszeniach, w ten sposób próbując nie rzucać się w oczy.

Był na tyle podchmielony, że zastanawiał się, czy nie zatrzymać jednej z dorożek nieustannie kursujących tam i z powrotem, ale potem się rozmyślił. Lepiej trochę otrzeźwieć. Troszeczkę. Szedł dalej, skręcając z głównego traktu w spokojniejsze boczne ulice, zostawiając za sobą tłumy i stukot kopyt, lawirując przez plataninę ciemnych ulic, gdzie ciągły dźwięk płynącej wody przypomniał mu, że musi się wysikać, więc zboczył w wąską uliczkę, żeby sobie ulżyć.

Bo ostatecznie drobne sprawy liczą się tak samo, jak te wielkie: skradziony zegarek z kopertą, który się spóźnia, człowiek, który potrzebuje się wysikać.

Aubrey wyczuł zmianę natężenia światła w uliczce, zanim jeszcze cokolwiek zauważył, i zapinając rozporek, spojrział w jedną stronę, widząc, że u wylotu zaułka stała jakaś postać. Potem w drugą stronę: jeszcze jedna.

Aubrey zadrżał. Każdego innego dnia byłoby to najwyżej paru włóczęgów żerujących na biedakach, którzy byli zbyt pijani, by stawać opór – i Aubrey oczywiście poradziłby sobie z nimi bez problemu, czy to trzeźwy, czy pijany.

Ale to nie był taki dzień. Do tego wydało mu się, że rozpoznał tych dwóch mężczyzn, którzy zablokowali oba wyjścia, i to była gorsza sprawa niż para

włóczęgów.

Szli uliczką w jego stronę. U wylotu zaułka pojawiła się trzecia postać. Aubrey desperacko pragnął mieć przy sobie swoją pałkę, choć wiedział, że to by mu nie pomogło. Przeniósł wzrok na gruby mur tuż przed sobą w nadziei, że magicznie pojawi się tam jakaś drabina, potem znów na mężczyzn, którzy byli już obok niego.

Rozpoznał wyszczerzone gęby chwilę przed tym, nim zgasło światło. Dokładnie tak, jak się spodziewał.

Przemierzając w swoich szatach ulice Amritsaru, Kulpreet i Ajay byli pogrążeni w myślach. Być może wiele lat panowania asasynów w mieście sprawiło, że byli zbyt pewni siebie, a może stało się tak dlatego, że nawet asasyni nie są wolni od błędów. Jakakolwiek była przyczyna, nagle tłum jakby się zdematerializował i stanęło przed nimi siedmiu ludzi w identycznych brązowych garniturach i coś, na co mieli być zawsze gotowi i co mieli zawsze ćwiczyć, rzeczywiście się zdarzyło. Zostali zaatakowani.

Kulpreet i Ajay odwrócili się. Ulica pustoszała. Za nimi także stali mężczyźni w brązowych garniturach; zaniepokojony tłum odsuwał się od nich jak kręgi na wodzie od rzuconego kamienia. Lęk zaczął narastać, kiedy ludzie w garniturach wydobyli swoje kukri. Kilkanaście noży naprzeciw dwóch.

Ajay i Kulpreet spojrzeli po sobie. Kobieta uśmiechnęła się, dodając mu otuchy, i naciągnęła kaptur na głowę, on zrobił to samo, a potem szybko klepnął ją trzy razy i ścisnął za ramię, na co tamta odpowiedziała skinieniem głowy. Wiedzieli, co robić.

Oboje policzyli w myślach – „raz, dwa, trzy” – a potem jednym skoordynowanym ruchem odwrócili się do siebie plecami, równocześnie wysuwając ostrza, i o ciszy, która nagle zapanowała, świadczył fakt, że było to słychać, zaś o pewności siebie ludzi w garniturach – że nawet nie drgnęli, nie wyglądali nawet na zdenerwowanych.

Ten pośrodku był przywódcą. Gwizdnął i zakręcił palcem. Ludzie

w garniturach jak jeden mąż ruszyli naprzód, tworząc dwa półkola i zamykając krąg w nadziei, że zamkną w nim Ajaya i Kulpreet.

– *Teraz* – powiedziała Kulpreet.

I ruszyli. Rzuciła się do markizy po swojej lewej stronie, chłopak pobiegł w przeciwnym kierunku i oboje zrealizowali swoje zamiary, nim ludzie w brązowych garniturach zdążyli się do nich zbliżyć.

Ajay schował ostrze, zanim wpadł w biegu na ścianę, pnąc się bosymi stopami po kamieniach, dosięgnął parapetu i podciągnął się do góry. Jeszcze dwa stęknięcia z wysiłku i był na szczycie, przemierzając dach budynku, by zeskoczyć na ulicę po drugiej stronie i pobiec sprintem wąską uliczką. Na jej końcu był mur i Ajay popędził w jego kierunku, wiedząc, że jeśli wdrapie się na niego i przeskoczy na drugą stronę, ujdzie cało.

Nigdy tam nie dotarł. Ludzie w brązowych ubraniach przewidzieli jego ruch i kiedy Ajay dobiegł do końca uliczki, zaskoczyli go, wyrośli jak spod ziemi. Potknął się i zobaczył błysk kukri, działając instynktownie, podniósł w obronie wiodącą rękę, wysuwając stalowe ostrze...

Tyle że ostrze się nie wysunęło.

Zacięło się.

Aubrey nie miał pojęcia, gdzie jest, ale przeczuwał, że to najmniejszy z jego kłopotów.

Istotne było to, że był przywiązany do krzesła w ciemnym pokoju, nie licząc słabego pomarańczowego światła przymocowanych do ścian lampek, podczas gdy przed nim stała trzyosobowa „kompania karna” z beznamiętnymi uśmiechami, szykująca się do pracy.

Hardy zrobił krok do przodu. Założył czarne skórzane rękawiczki, a potem z kieszeni kurtki wyjął kastet, który następnie wsunął na palce. Dwaj pozostali spojrzeli po sobie i cofnęli się w cień, Hardy zaś podszedł do Aubreya i przyłożył swoją dłoń w rękawiczce do twarzy policjanta jak rzeźbiarz sprawdzający konsystencję swojej niewyrobionej jeszcze gliny.

Potem odsunął się, a jego stopy przyjęły pozycję wprawnego boksera i Aubrey pomyślał, że dobrym pomysłem byłoby teraz zamknąć oczy, co też uczynił. To zabawne, bo zawsze trudno mu było sobie wyobrazić swoją rodzinę, kiedy był z dala od niej; zawsze żałował, że tego nie potrafi – żeby mieć ich przy sobie. Ale teraz się pojawili. Doskonały obraz jego bliskich, którego się uczepił, gdy zaczęły na niego spadać ciosy. Chociaż tyle dobrego można było powiedzieć o pobiciu.

Dzięki Bogu za małe łaski.

*

Kulpreet obudziła się z obolałą głową i stwierdziła, że patrzy w szary mrok jakiegoś magazynu: olbrzymia pusta przestrzeń, w której słychać tylko kapanie deszczu wpadającego przez dach i ptaki gnieźdzące się na krokwiach. Rdzewiejące schody prowadziły do rozpadających się starych suwnic nad jej głową.

Była skrępowana w nietypowy sposób. Siedziała u szczytu długiego stołu z listew; wyglądało to zupełnie, jakby była honorowym gościem na obiedzie – gdyby nie fakt, że honorowych gości raczej się nie związują. Jej krzesło było starannie dosunięte do stołu. Nie widziała swoich stóp, ale czuła, że są przywiązane do nóg krzesła. Natomiast ręce miała wyciągnięte przed sobą, przywiązane ściśle do jednej z listew skórzanym rzemieniem, tak by dłonie spoczywały płasko na blacie. Leżały prawie tak, jakby ktoś miał jej zaraz zrobić manicure.

W pewnym sensie tak było. Kilka cali od jej palców, specjalnie, żeby je widziała, leżała para kleszczy, tego rodzaju zardzewiałych kleszczy, których można użyć do wrywania paznokci.

Oczywiście znała tę torturę. Narastający ból. Zdaje się, że był asasyn, który dotrzymał do pięciu, zanim się załamał.

Z tego, co widziała, w magazynie było z nią trzech facetów w brązowych garniturach. Z zaciśniętymi zębami patrzyła, jak jeden z nich bada jej ukryte ostrze, i jeśli było coś, co doprowadzało ją do pasji – oprócz tego, że ją schwytano, oprócz tego, że zabrano jej broń, i tego, że chichoczące postacie w garniturkach powiedziały jej, że Ajay został zarżnięty jak pies na ulicy, to właśnie to. Mieli też ostrze Ajaya. Inny zbir templariuszy stał po drugiej stronie stołu, obracając je w rękach.

– To się zacięło – powiedział kolegom, którzy parsknęli śmiechem.

„Ale to nie dlatego nie potrafisz go wysunąć, idioto”, pomyślała Kulpreet. Chyba że założysz je na nadgarstek i ustawisz mięśnie i ścięgna w takiej pozycji, by precyzyjnie naśladować Ajaya, albo zdołasz nacisnąć przycisk awaryjny, a szczerze mówiąc, mógłbyś go szukać przez resztę życia i nadal by ci się nie udało.

Najważniejszy brązowy garniturek przerzucił uwagę ze swoich kolegów na Kulpreet.

– Jest dopasowany do każdego asasyna z osobna – rzucił przez ramię, podchodząc do Kulpreet. Dwa zbirzy za jego plecami znużyły się oglądaniem

ostrzy i rzuciły je na stół; chciała na nie spojrzeć, by sprawdzić ich położenie, ale nie miała odwagi.

Myślała o przycisku awaryjnym.

– No, no, obudziła się – powiedział śledczy, szczerząc zęby w uśmiechu. – Wygląda na to, że pora zaczynać.

Chwycił kleszcze, ale udał, że się rozmyślił, i z brzękiem rzucił je z powrotem na stół.

– Może nie będę ich potrzebował – powiedział prawie do siebie. – W końcu pytanie, które chcę zadać, nie jest szczególnie trudne. Uśmierciliście trzy lata temu Jayadeepa Mira czy może zesłaliście go do Londynu? To naprawdę bardzo proste.

Spojrzał na nią, ale jeśli liczył na odpowiedź, nie dała mu tej satysfakcji. Mówił dalej.

– Widzisz, moja śliczna, mamy w Londynie kolegę, byłego oficera armii brytyjskiej, który spędził trochę czasu w Indiach i dużo słyszał o tym nadzwyczajnym Jayadeepie Mirze, a teraz spotkał w Londynie pewnego niezwykłego hinduskiego chłopaka i łącząc obie te sprawy, zastanawia się, czy ci dwaj nie są aby jedną osobą. Co masz na ten temat do powiedzenia?

Nic nie powiedziała, ale kiedy odszedł na bok i podniósł kleszcze, udało jej się wyjrzeć zza niego i sprawdzić położenie ostrzy. Teraz musiała sprawdzić stabilność stołu, więc udała atak bezsilnej wściekłości, szarpiąc więzy, jakby próbowała wyrwać się na wolność. Mężczyźni wymienili rozbawione spojrzenia, ale dowiedziała się tego, czego potrzebowała: stół nie był przytwierdzony do podłogi, ale był ciężki, zbyt ciężki, by przechyliła go sama. Potrzebna jej była pomoc.

Ale gdyby go przechyliła, może sięgnęłaby któregoś z ostrzy.

– Wody – powiedziała cicho.

– Słucham? – nie dosłyszał śledczy. Obracał właśnie w dłoni kleszcze, patrząc na nie czule. – Co mówiłaś?

Udała, że ma zbyt suche gardło, by cokolwiek powiedzieć.

– Wody...

Nachylił się trochę bliżej.

– Co powiedziałaś?

Czy był dość blisko, żeby chwycić go zębami? Miała dwie szanse, żeby to zrobić, i to była jedna z nich. Ale jeśli nawali...

Nie. Lepiej poczekać. Lepiej uspić go w fałszywym poczuciu bezpieczeństwa.

I jakby nadludzkim wysiłkiem zdołała wypowiedzieć słowo „woda” wystarczająco głośno, by usłyszał to jej śledczy i odszedł uśmiechnięty.

– Tak właśnie myślałem. – Machnął ręką do jednego ze swoich ludzi, który zniknął, a kilka chwil później pojawił się znowu z ceramicznym kubkiem, który przesłuchujący mężczyzna postawił przed nią na stole.

Spróbowała sięgnąć po niego zębami, aż wreszcie poprosiła go wzrokiem i śledczy z uśmiechem podniósł kubek i zbliżył go do jej ust, podniecony faktem, że ta piękna kobieta była pod jego kontrolą do tego stopnia, że potrzebowała pomocy, nawet chcąc wziąć łyk wody. Och, ale będzie zaraz zabawa. Śledczy był człowiekiem, który lubi swoją pracę. Był w tym dobry; potrafił po mistrzowsku zadawać...

Ból.

Jego ręka eksplodowała. Zacisnęła zęby na jego dłoni i nie tylko go gryzła, ona go pożerała. Mój Boże, pożerała go żywcem.

Wrzasnął w męczarniach. Kubek upadł, ale się nie rozbił. Kulpreet wciąż zaciskała zęby na dłoni śledczego, smakując pot i brud i wykręcając jednocześnie szyję, by potęgować jego ból, i używając całej swojej siły, by przyciągnąć go bliżej. Jednocześnie przechyliła się na krześle w jedną stronę, opierając się całym ciężarem ciała na przedramionach i wykorzystując nogi krzesła, by walnąć śledczego w łydki, wytrącając go z równowagi i przyspieszając upadek, tak że w końcu poleciał na stół, rozbijając twarzą ceramiczny kubek. „Jeśli zadało mu to dodatkowy ból, to świetnie”, pomyślała Kulpreet, ale nie to było jej głównym celem, bo naprawdę chciała

teraz...

I z całą mocą, wykorzystując ciężar ich obojga, zwała się na stół, który przechylił się tak, że ostrza zsunęły się po blacie w stronę jej wyczekujących palców. Zasiała je śledczy, więc nawet ich nie widziała, ale poczuła, jak jedno z nich dotyka jej palców w chwili, kiedy tamtemu udało się wyrwać rękę z jej ust – Kulpreet sama też krzyknęła z bólu, gdy razem z ręką wyszedł jeden z jej zębów. Miała w ustach krew i strzępy tkanki, ale teraz się tym nie przejmowała; liczyło się tylko ostrze, które obracała w dłoniach, szukając przycisku. Ponad ciałem śledczego widziała pozostałych dwóch ludzi, którzy spojrzeli po sobie rozbawieni, zanim sięgnęli po swoje kukri, bo w końcu co mogła zrobić? Nie miała większych szans. Nawet mając ostrze, wciąż była przywiązana do krzesła, a przeciwko sobie miała trzech mężczyzn i zamknięte drzwi. Przy całym jej wyszkoleniu, sprycie i szczęściu na całym świecie nie było takiego fartu, by ją teraz ocalić. Oni o tym wiedzieli i ona też. Wszyscy wiedzieli, jak to się skończy: powie im to, co chcą wiedzieć, a potem zginie.

Kulpreet oczywiście zdawała sobie z tego sprawę. Ale nie chciała zdobyć ostrzy po to, by użyć ich przeciwko porywaczom.

Lecz po to, by użyć ich przeciwko sobie.

Ale dzięki Bogu za małe łaski, bo miała teraz możliwość, by zabrać jednego z nich ze sobą, i sięgając kciukiem do mechanizmu, zrobiła coś pozornie dziwnego: zbliżyła twarz do gardła śledczego, który wciąż leżał na stole. Zbliżyła twarz do jego gardła, jakby chciała się czemuś przyjrzeć, a z powodu położenia jej ramion wyglądało to tak, jakby tuliła go w miłosnym uścisku, przyciskając się do niego ciałem.

Jeden z porywaczy zdał sobie sprawę, jakie były jej prawdziwe zamiary, ale było już za późno. Zdążyła przycisnąć obudowę ostrza do szyi śledczego, a potem, wciąż z twarzą przy jego gardle, uruchomiła nóż, który przebił się przez jego ciało, a następnie zagłębił w jej oko.

Umierając, Kulpreet myślała o wszystkim, czego dokonała. Pomyślała

o czekających w domu mężu i synku, którzy będą się zastanawiać, gdzie jest. Pomyślała nawet o biednym starym Ajayu – „Cóż, wkrótce się spotkamy, stary druhu”. – Pomyślała też o Bractwie i miała nadzieję, że będzie mu się wiodło, choć czyniła to z ciężkim sercem, wiedząc, że walka o lepszy i sprawiedliwszy świat będzie musiała toczyć się dalej bez niej.

I kiedy ostrze przechodziło przez szyję porywacza i wbijało się w jej własne oko aż do mózgu, Kulpreet wiedziała, że była to lepsza śmierć niż ta, którą dla niej przygotowano, ale zastanawiała się, czy była honorowa. Nic im nie powiedziała i miała nadzieję, że to będzie coś znaczyć. Miała nadzieję, że Rada orzeknie, że zginęła zaszczytną śmiercią.

Dwa dni później trzech mężczyźni w brązowych garniturach przechwycili w porcie posłańca asasynów.

Ci trzech ludzie zabili asasyna, odszukali wiadomość, którą miał przewieźć do Londynu, a następnie wrzucili jego ciało do wozu z karmą dla świń.

Zgodnie z poleceniem dostarczyli depeszę specjalistom od szyfrów, którzy zabrali się do jej odczytywania, co zajęło im około tygodnia.

„Pilne”, głosiła wiadomość po odszyfrowaniu. „Możliwe zagrożenie misji. Ajay i Kulpreet zabici, być może torturowani, by uzyskać informacje. Sugerujemy natychmiast przerwać misję”.

A potem, na dole strony: „Ethan, zadbaj o mojego syna”.

Abberline był w barze Green Man. Ale dzisiaj nie pił. Nie rozpamiętywał i nie topił swoich smutków. Był tam w pilniejszej sprawie.

– Hej, Sam, widziałeś dziś Aubreya?

– Nie widziałem go już od jakiegoś czasu, Freddie – odparł barman. – Nie, oszukałem cię, zajrzał tu przed pójściem na mecz międzyszkolny na Lord's Cricket Ground.

Freddie posłał barmanowi zdezorientowane spojrzenie i Sam zareagował zdeglustowaną miną.

– Co ty tu robisz, do diabła, jeśli nie wiesz nawet o meczu Eton przeciw Harrow?

– Dobrze, dobrze, nie gorączkuj się... to niezdrowe w twoim wieku. Aubrey wstąpił tu po drodze, tak?

Sam zrobił nagle minę, jakby powiedział za dużo.

– No, cóż... nie. Był przecież na służbie, nieprawdaż?

Tym razem zdenerwował się Abberline.

– Słuchaj, nie powiesz mi o Aubreyu nic, czego bym już nie wiedział. Był na wagarach, zgadza się?

Sam przerzucił sobie ścierkę przez ramię i posłał Abberline'owi niechętnie skinienie głową, które nie ostałoby się przed sądem.

– Dobrze – powiedział Abberline. – Teraz coś już mamy. Przyszedł tu, żeby... O, wiem. Przyszedł tu, żeby się przebrać, nieprawdaż?

Kolejne niechętnie skinienie.

– Dobrze – stwierdził Abberline, odsuwając stołek i kierując się do wyjścia.

– Kiedy wróci po mundur, powiedz mu, że go szukam, dobra?

– Jasny gwint, wszyscy ostatnio szukają starego Aubsa, co?

Abberline zatrzymał się i odwrócił.

– Że co proszę?

– Mówię, że wygląda na to, że wszyscy chcą gadać z Aubreyem. – Sam znów miał rozbiegany wzrok, jakby powiedział za dużo.

– Dodaj trochę mięsa do tych kości, kolego. Kto mianowicie szuka Aubreya oprócz mnie?

– Trzech facetów przyszło tu krótko po tym, jak wyszedł na mecz.

– A jak wyglądali? – zapytał Abberline, a potem poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła, kiedy Sam opisał mu „kompanię karną”.

Nie wiedząc co robić, ruszył w stronę Lord's Cricket Ground, ale natychmiast tego pożałował, zderzając się z falami ludzi wychodzących ze stadionu. Dookoła wciąż zatrzymywały się i odjeżdżały dorożki. Obok niego parsknął i zastukał kopytami jakiś koń. Napór masy ludzkiej to było za wiele dla właściciela jarmarcznej strzelnicy, który zaczął pośpiesznie zwijać kramik. Podobnie było z właścicielem straganu, który apelował do napierającego, falującego tłumu, żeby uważać, „uważać na wózek, do cholery”, podczas gdy małe rączki sprytnie opróżniały go z jedzenia. Jeszcze inny handlarz pchał swój wózek jak najdalej od tłumów, przez morze damskich czepków, męskich kaszkietów i noszonych na barana dzieci. Abberline poczuł, że coś ciągnie go za ubranie, spojrzał w dół i zobaczył zaplątanego w las ludzkich nóg psa.

Pomimo tłoku ludzie byli w dobrym nastroju. Wszyscy dobrze się bawili. „Masy zdecydowanie lubią kibicować szlacheckim synom rozgrywającym swój doroczny mecz”, pomyślał Abberline. Któregoś dnia dobrze urodzona progenitura zacznie robić to, co robili wszyscy reprezentanci klas wyższych: napychać sobie kieszenie kosztem niższych warstw, dobrze się bawiąc, gdzie się da, bo kogo obchodzi, czy niszczy się w ten sposób czyjeś życie.

I nie, nie znalazł Aubreya. Znalazł mnóstwo pijaków śpiących na drodze. Znalazł mnóstwo kobiet, które chciały sprzedać mu zapałki i bukieciki kwiatów. Znalazł mnóstwo elegantów i damulek w szykownych sukniach patrzących na pijaków i sprzedawczynie zapałek z góry. Ale nigdzie nie było

Aubreya.

Wrócił do Green Man.

Sam potrząsnął głową; Aubrey się tu nie pokazywał i nie, tamci trzej też nie.

„»Kompania karna«, to musieli być oni”. Zamierzał znowu odwiedzić plac budowy, chyba że Aubrey szybko się znajdzie. Było jednak jeszcze jedno miejsce do sprawdzenia, więc poszedł do domu Aubreya w Stepney, gdzie ten mieszkał w żoną i dwojgiem dzieci.

Jak się okazało, ich lokum przypominało jego własne. Oni też zajmowali pierwsze piętro szeregowca z wykuszami, stojącego między innymi szeregowcami z wykuszami, podobnie jak u państwa Waugh, tyle że ten budynek podzielono na mieszkania na wynajem. Tylko na tyle było go stać za pensję posterunkowego. Praca policjanta nie była tak intratna jak pornografia.

Pani Shaw otworzyła drzwi i uspokoiła się, widząc jego mundur.

– Proszę nic nie mówić – powiedziała. – Pan Freddie Abberline?

Kiedy skinął głową, wykrzyknęła:

– Ależ dużo o panu słyszeliśmy! Dzieci, chodźcie poznać słynnego Freddiego Świeżynkę.

Miała rumiane policzki, ale poza tym była przeciwieństwem Aubreya pod każdym względem, podczas gdy on był zażywny, ona była drobna, a podczas gdy on miał ciągle zdenerwowany lub zdumiony wyraz twarzy, jego żona była z całkiem innej parafii. Emanując gościnnością i narzekając na swoją fryzurę, zapraszała swojego gościa do środka.

Dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka, oboje pięcio-, sześćoletnie, przybiegło i raptownie się zatrzymało, trzymając się kurczowo jej spódnicy, i wpatrywało się w niego z tą nieskrywaną ciekawością, która tylko dzieciom uchodzi na sucho.

Zaniepokojony o losy Aubreya Abberline szedł tu z ciężkim sercem, które na ten widok zabolalo go jeszcze mocniej. Łatwiej byłoby zachować

bezpieczny dystans do ludzi, których Aubrey kochał. Jeśli obawy Abberline'a były słuszne, spotkanie z nimi pogarszało tylko sprawę. Zwykle zazdrościł mężczyznom takim jak Aubs, którzy wracali do domu do żon i rodzin, ale nie w takich przypadkach. Nie, kiedy widziało się, co człowiek zostawiał po sobie.

– Obawiam się, że nie mogę zostać, pani Shaw – powiedział, zmuszając się do przygaszenia tego gorącego powitania. – Byłem tylko ciekaw, czy nie wie pani, gdzie Aubrey może się podziewać.

Uśmiech spełznął jej z twarzy, natychmiast ustępując miejsca zatroskaniu. Dzieci, wyczuwając nagłe przygnębienie matki, chwyciły się jej spódnicy jeszcze mocniej, otwierając oczy jak przestraszone spodki.

– Nie, nie odkąd wyszedł dziś rano – powiedziała.

– Do Lord's Cricket Ground?

Zagryzła wargę.

– Naprawdę nie wiem.

– Wiem, że poszedł na stadion, pani Shaw, ale mecz już się skończył i byłem ciekaw, czy wrócił do domu.

– Może wstąpił na kufelek do Green Man?

– No jasne – powiedział. – Właśnie tak. W takim razie pozwolę sobie pożegnać panią, wszystkiego dobrego i byłbym bardzo zobowiązany, gdyby dała pani znać Aubreyowi, że go szukam.

I Abberline zrobił to, co zapowiedział. Pożegnał się. Na wszelki wypadek wrócił do Green Man, gdzie Sam pokręcił głową, mówiąc, że nie, nie było go, po czym Abberline na wszelki wypadek poszedł na komisariat, gdzie sierżant dyżurny zaprzeczył ruchem głowy z podejrzliwą miną, tak jakby wiedział, że Aubrey miga się od pracy. I w końcu Abberline poszedł na plac budowy, gdzie stanął przy ogrodzeniu i spojrzął na wykop. Praca trwała: jak co wieczór ogniska i pochodnie płonęły na polu błota. Abberline patrzył, jak z dalszego odcinka linii nadjeżdża pociąg i praca na drewnianych żurawiach stała się jeszcze bardziej gorączkowa – robotnicy zaczęli wyładowywać

ziemię.

Ale Abberline tego nie widział. Jego wzrok był skupiony na biurze. Patrzył, jak otwierają się drzwi i wychodzi hinduski chłopak z teczką.

„Dobrze”, pomyślał Abberline; ten widok dodał mu otuchy. Z jakiegoś powodu wątpił, by coś mogło się stać Aubreyowi, jeśli ten chłopak był w okolicy.

„On naprawdę jest po stronie aniołów. To dobry człowiek. Lepszy niż pan i ja”.

Obraz, który Abberline zobaczył po chwili, był jeszcze bardziej pocieszający. Z biura wychodziła „kompania karna”, cała trójka, swobodnie, jak gdyby nigdy nic. A jeśli byli tutaj, to znaczy, że nie byli gdzie indziej i nie robili krzywdy Aubreyowi. Abberline zastanawiał się, czy ich szlak nie był aby podobny do tego, który sam pokonał. Może poszli do Green Man i odesłano ich na stadion, gdzie tłumy zniechęciły ich do poszukiwań.

„Tak”, pomyślał, odwracając się i zostawiając plac budowy za sobą. „Tak właśnie było”. Przy odrobinie szczęścia Aubrey mógł być teraz bezpieczny na łonie uśmiechniętej rodziny...

Właścicielka jego pokoju mieszkała na parterze i pojawiła się, kiedy tylko przekroczył próg domu.

– Pracowity dzień, panie posterunkowy? – zapytała.

– Można tak powiedzieć, proszę pani – powiedział Abberline, zdejmując kask.

– Aż tak, że zapomniał mi pan powiedzieć, że czeka na przesyłkę?

Spojrzał na nią gwałtownie.

– Przesyłkę?

– Trzech dżentelmenów przyniosło duży dywan, a przynajmniej tak powiedzieli. Dywan musiał być ciężki jak cholera, bo trzeba było wszystkich trzech, żeby go tam wnieść...

Abberline wbiegał już po schodach.

Te łotry zostawiły ciało w pozycji siedzącej na jednym z krzeseł Abberline'a, tak jakby czekało na jego powrót. Zostawili je tu jako ostrzeżenie.

Pobili go na śmierć. Ledwo można go było rozpoznać spod obrzękniętego sinego mięsa, napęczniałych siniaków, zamkniętych oczu i krwi sączącej się z ran zrobionych kastetem.

– Ech, Aubrey – powiedział Abberline.

Może nie byli przyjaciółmi, ale... Chwileczkę, tak, *byli* przyjaciółmi, bo przyjaciele wspierają się nawzajem. Do przyjaciela można się zwrócić o radę. Przyjaciel pomaga ci spojrzeć na sprawy inaczej. I Aubrey robił dla niego to wszystko, a nawet więcej.

Zanim zdążył się zorientować, trzęsły mu się ramiona i łzy spadały na klepki jego podłogi.

– Ech, Aubrey – powtórzył przez mokre wargi, chcąc wyciągnąć rękę i objąć tego człowieka, jego przyjaciela, ale jednocześnie czując wstręt do tego, co mu zrobili, jak rozbili mu twarz na podobieństwo tłuczonego kotleta.

Zamiast tego spróbował sobie wyobrazić Aubreya takiego, jaki był kiedyś, opowiadającego mu w barze Green Man dowcipy z rewii. Opłakującego śmierć dziewczynki z dzielnicy nędzy. Aubrey miał w sobie za dużo współczucia, to był jego problem. Miał zbyt wielkie serce na ten świat.

I zastanawiał się, jak wyglądały jego ostatnie chwile. Z pewnością domagali się od niego informacji. O Hindusie wiedzieli już od ochroniarza, więc co mógł im powiedzieć Aubrey? Może o człowieku w płaszczu. Jak gdyby miało to teraz jakiegokolwiek znaczenie. Dzień wcześniej Abberline powiedział sobie, że to zabijanie musi się skończyć, a jednak cała ta sprawa pochłonęła jeszcze jedno życie, bardzo cenne.

Może Aubrey miał rację. Może nie było odpowiedzi. Może raz na jakiś czas trzeba było się z tym pogodzić.

Ale na razie po prostu stał przy swoim przyjacielu, Aubreyu Shaw, trząsł się, a łzy płynęły mu już niepohamowanym strumieniem.

– Przykro mi, stary – powtarzał w kółko. – Jest mi tak cholernie przykro.

I wtedy oczy Aubreya się otwały.

Minęło kilka miesięcy. W maju kanclerz skarbu Gladstone po odbyciu pierwszej podróży podziemną kolejką przyznał, że był zachwycony. Wspólnie z różnymi dygnitarzami, wśród których byli John Fowler, Charles Pearson i Cavanagh, pokonał całą trasę, pełne cztery mile, od stacji Bishop's Road w Paddington przez tunele i nieukończone przystanki – Edgware Road, Baker Street, Portland Road, Gower Street, King's Cross – aż wreszcie dotarł do Farringdon Road w City. Podróż trwała jakieś osiemnaście minut.

Aprobata Gladstone'a była dla Kolei Metropolitalnej bardzo ważna, szczególnie iż premier Palmerston zazwyczaj kręcił nosem na ten projekt, oświadczając, że w jego wieku chciałby spędzać jak najwięcej czasu nad ziemią, więc raczej podziękuje. Ale pochwała Gladstone'a poprawiła wizerunek projektu, na który opinia publiczna reagowała w najlepszym razie lekką podejrzliwością i obojętnością, a w najgorszym – otwartą niechęcią i wrogością. Jednak reputacja kolejki zepsuła się, gdy miesiąc później pękł kanał rzeki Fleet. Ceglane rury, którymi płynęła „cuchnąca czarna rzeka” Londynu, były osłabione i w końcu pękły, woda i nieczystości zalały tunel na wysokość dziesięciu stóp, opóźniając ukończenie budowy o wiele miesięcy.

Pewnego wczesnego poranka pod koniec lipca kareta typu Clarence należąca do pana Cavanagha z Kolei Metropolitalnej wyjechała z placu budowy, by zawieźć swojego właściciela do St Katherine Docks.

Po przyjeździe powóz zaczekał, aż statek wysadzi oczekiwanych pasażerów. Byli to trzej Hindusi w brązowych garniturach. Dwaj z nich, po doprowadzeniu trzeciego do karety, pożegnali się ukłonem i wrócili na statek.

Nowo przybyły zajął miejsce naprzeciw Cavanagha, który rozpiął marynarkę, ale poza tym w żaden sposób nie pokazał, że doskwiera mu

lipcowy upał.

– Witaj, Ajay – powiedział Cavanagh.

Ajay spojrzał na niego beznamiętnie.

– Obiecano mi pieniądze. Mieszkanie. Nowe życie w Londynie.

– A nam obiecano, że podzielisz się z nami całą swoją wiedzą na temat Jayadeepa Mira – powiedział Cavanagh, a potem pociągnął za sznurek sygnalizacyjny i oparł się wygodnie, podczas gdy Hardy szarpnął lejce i powóz ruszył w drogę powrotną na plac budowy. – Zobaczmy, czy obaj zdołamy dotrzymać warunków umowy, dobrze?

Chwilę później powóz zatrzymał się przed wejściem na plac budowy i Ajayowi polecono wyjrzeć przez okno. Jak to było umówione, Marchant przyprowadził niczego niepodejrzewającego Bharata Singha na umówione miejsce po drugiej stronie ogrodzenia, dość blisko, by Ajay go obejrzał.

– To ten człowiek – powiedział Cavanagh.

– A jak każe na siebie mówić? – zapytał Ajay.

– Występuje pod nazwiskiem Bharat Singh.

– W takim razie musi to być dla niego duża degradacja – powiedział Ajay, który opuścił roletę i z powrotem oparł się na swoim siedzeniu – bo ten człowiek do Jayadeep Mir.

– Doskonale – powiedział Cavanagh. – Może opowiesz mi teraz wszystko, co o nim wiesz?

Była taka sztuczka, której używali gangsterzy chcący zdobyć informacje. Nazwali ją „dwa ptaszki”. Gangsterzy zabierali dwóch pechowców na dach, zrzucali jednego z nich i zmuszali drugiego, żeby na to patrzył.

Dwa ptaszki. Jeden fruwa, drugi śpiewa.

Ajay był za drzwiami, w chwili gdy Kulpreet ginęła honorową śmiercią. Wiedział, co go czeka: najbardziej bolesny manicure świata lub śmierć.

I wtedy złożył im ofertę. Mogli go torturować i w takim wypadku życzył im powodzenia, bo zrobi wszystko, by im się oprzeć, a jeśli im się uda, dowiedzą się tego, czego chcą, ale niczego więcej, a do tego nigdy nie będą

mieli pewności, czy to prawda.

Albo... jeśli spełnią jego warunki, powie im wszystko, co chcą wiedzieć, i *znacznie* więcej.

Tak więc templariusze rozgłosili, że Ajay zginął w zaułku, i asasyn – teraz były asasyn, zdrajca – dostał zgodę na rejs do Londynu.

A tam, za płotem budowy, dotrzymał swojej części umowy i powiedział dyrektorowi Cavanaghowi wszystko, czego ten potrzebował. Powiedział mu, że człowiek, którego znano jako Bharata Singha, w rzeczywistości nazywał się Jayadeep Mir. Powiedział mu, że Jayadeep został uwięziony, bo zawiodły go nerwy, i ten aspekt historii szczególnie zainteresował Cavanagha, a potem Ajay powiedział mu, że Jayadeep został oddany pod opiekę Ethana Frye'a, by wykonać jakąś misję. Nic więcej nie wiedział.

– Misję? – zamyślił się Cavanagh, patrząc z zainteresowaniem na Ducha i widząc go nowymi oczami. – Czyżby to była *infiltracja*?

Cavanagh pomyślał teraz o informacjach przekazanych mu przez „kompanię karną”. Hardy numer jeden i dwa oraz Smith wrócili po przesłuchaniu posterunkowego Aubreya Shawa z wieścią, że za zabicie Roberta Waugha odpowiadał człowiek w długim płaszczu, i teraz, gdy połączył to z najnowszym kawałkiem układanki, wszystko znalazło się na swoim miejscu.

Cóż za ironia losu. Ich najnowszy nabytek, który zdobył sobie jego względy, zabijając zdrajcę, zrobił to, planując własną zradę – i nie był nawet właściwym zabójcą.

Ogólnie rzecz biorąc, pomyślał Cavanagh, rezultat był wspaniały. Dawno już zdecydował, że po tym, jak zabije Crawforda Starricka i zabierze mu stanowisko Wielkiego Mistrza, kiedy zdobędzie artefakt i stanie się najpotężniejszym człowiekiem nie tylko w Londynie, ale w całym znanym świecie Zakonu Templariuszy, jego pierwszym ruchem będzie zmiżdżenie resztek oporu asasynów w mieście.

Teraz jednak pojawiała się szansa, by zrobić obie te rzeczy jednocześnie,

sposobność, by osiągnąć rangę Wielkiego Mistrza, zdobywając kolejne nacięcie na kolbie i artefakt potwierdzający, że nadaje się do tej roli. Za jednym zamachem zapewni sobie przewodnictwo nad Zakonem oraz szacunek jego członków. O tak, to było bardzo dogodne.

– Teraz twoja część transakcji – powiedział Ajay.

– Tak, moja część transakcji. – Drzwi karety się otworzyły i stanął w nich Hardy. – Obiecałem ci bogactwo i mieszkanie w Londynie i będziesz to miał, ale pod jednym warunkiem.

Mający się na baczności i gotowy na podstęp, planujący już ucieczkę Ajay powiedział:

– Tak, a co to takiego?

– Będziesz dalej przekazywał nam wszystko, co wiesz o Bractwie.

Ajay uspokoił się. Przynajmniej tak długo zachowają go przy życiu. Mnóstwo czasu, żeby uciec.

– Umowa stoi – stwierdził.

Minęło kilka miesięcy, w ciągu których Aubrey przebywał w mieszkaniu Abberline'a i Freddie doglądał go, by wrócił do zdrowia. Aubrey miał teraz mniej zębów i mówił inaczej, jakby język nie mieścił mu się w ustach, były też inne urazy, ale żył. I można było o tym powiedzieć wiele dobrego. Był też dobrym towarzyszem i Abberline wkrótce to odkrył.

Któregoś wieczora, jakieś dwa tygodnie po pobiciu, Abberline przyniósł Aubreyowi trochę bulionu, stawiając go na stoliku przy łóżku i myśląc, że ten śpi, chciał już wyjść, kiedy spojrzał na twarz przyjaciela i zobaczył, że jest mokra od łez.

Chrząknął i spojrzał na swoje bose stopy.

– Hmm, wszystko w porządku, stary druhu? Nachodzą cię złe wspomnienia i cały ten chłam, tak? Myślisz o tym, co się stało?

Aubrey skrzywił się z bólu i pokiwał głową twierdząco, a potem powiedział przez połamane zęby:

– Powiedziałem im wszystko, Freddie. Nie było tego dużo, ale śpiewałem jak ptaszek.

Abberline wzruszył ramionami.

– I niech im będzie. Oby znaczyło to dla nich więcej niż dla nas obu.

– Ale ja im powiedziałem. Powiedziałem im wszystko. – Aubrey zatrząsnął się od szloch, jego posiniaczoną twarz wykrzywiły wstydlive wspomnienia.

– Hej – powiedział Abberline, przysiadając na brzegu materaca. Wziął Aubreya za rękę. – To nie ma znaczenia, stary. Tak czy inaczej, nie miałeś wyboru. No i coś mi mówi, że nasz przyjaciel w płaszczu potrafi o siebie zadbać.

Siedział tak przez jakiś czas, w ciszy, wdzięczny za ukojenie, które dawali sobie nawzajem. A potem Abberline pomógł Aubreyowi wypić bulion, aż

w końcu opuścił swojego przyjaciela, mówiąc mu, że ten potrzebuje odpoczynku.

Tymczasem Aubreya uznano za zaginionego. „Zaginął, przypuszczalnie znudził się pracą w policji i osiadł w Green Man na dobre”, głosiła plotka, ale Abberline wiedział, co ma o tym myśleć. Wiedział, że atak miał mu dać do myślenia, i swoim zachowaniem pokazywał, że przyjął ostrzeżenie. Nie odwiedzał już placu budowy. Zupełnie przypadkowo sierżant przydzielił mu inny rewir, taki, w którym nie miał szans nawet zbliżyć się do robót kolejowych. „Na wypadek, gdyby cię podkusiło”, powiedział, gdy powierzał mu nowe zadanie.

„Siedzisz w tym po same uszy, co?”, pomyślał wtedy Abberline, patrząc ze skrytą wściekłością na sierżanta po drugiej stronie biurka. Ale patrolował swój rewir i po skończonej zmianie wracał do domu, ściągał mundur, sprawdzał, czy u Aubreya wszystko w porządku, a potem ignorował ostrzeżenia i wracał na plac budowy. Każdej nocy, skryty w ciemności. Czuwał samotnie, nie wiedząc nad czym, ale jednak czuwał.

Aubrey był już teraz na chodzie, choć jego ruchy były ograniczone, i po powrocie siadali we dwóch przed kominkiem i ucinali sobie pogawędkę. Abberline opowiadał o śledztwie. Był nim pochłonięty. Aubrey rzadko mówił o czymś innym niż własna rodzina, a konkretniej: o tym, kiedy ją znów zobaczy.

– Nie, Aubs, przykro mi – powiedział mu Abberline. – Te typki sądzą, że zatłukły cię na śmierć, i jeśli odnajdziesz się żywy, będą chcieli dokończyć robotę. Zostajesz tutaj jako zaginiony i prawdopodobnie martwy, aż to wszystko się skończy.

– Ale kiedy to się skończy, Freddie? – spytał Aubrey. Poruszył się z bólem w fotelu. Choć jego twarz nie nosiła śladów tego, przez co przeszedł, poza siatką blizn od kastetu na policzku, jego wnętrzności zebrały mocne cięgi i czuł w biodrze ból, który nie zamierzał ustępować. Trudno mu było chodzić, czasem trudno mu nawet było siedzieć nieruchomo i za każdym

razem, gdy krzywił twarz z bólu, wracał myślami do ciemnego pomieszczenia i nieustających ciosów pięści uderzających w miękkie ciało, ciało, które należało do niego. Aubrey nigdy już nie będzie patrolował ulic, ale za sprawą niedbalstwa „kompanii karnej” i dzięki opiece Abberline’a pozostał przy życiu i nigdy nie zapomniał, ile przyjacielowi zawdzięcza. Z drugiej strony co to za życie, jeśli spędza się je z dala od bliskich?

– Jak sądzisz, to wszystko, cokolwiek to jest, się skończy? – zapytał.

Abberline wyciągnął ręce w stronę ognia i posłał przyjacielowi smutny uśmiech.

– Prawda jest taka, że nie wiem, Aubs. Naprawdę nie wiem. Ale zapamiętaj moje słowa, chociaż nie mogę powiedzieć, że panuję nad sytuacją, to jestem blisko. Będę wiedział, kiedy przyjdzie czas, i obiecuję ci, że twoja rozłąka z rodziną nie potrwa nawet o sekundę dłużej, niż to konieczne.

Uznali, że będzie bezpieczniej, jeśli jego żona i dzieci nie będą wiedzieć, że żyje, ale dla całej czwórki oznaczało to życie w czystcu. Któregoś dnia Abberline i Aubrey pojechali policyjną karetką do Stepney i usiedli na ulicy, żeby Aubrey mógł popatrzeć na swoją rodzinę przez okna. Po dwóch godzinach nie potrafił już tego znieść i odjechali.

Abberline przychodził do nich z pieniędzmi i prezentami. Przyniósł im mundur Aubreya. W oczach pani Shaw nie było już światła. Mówiła, że te wizyty były dla niej bolesne. Za każdym razem gdy widziała stojącego na progu Abberline’a, obawiała się najgorszego.

– Bo wiem, że gdyby żył, to byłby teraz z panem. A kiedy widzę pana samego, to myślę, że tak nie jest.

– Może wciąż żyje. Cały czas jest nadzieja.

– Tak pan sądzi? Nie jestem pewna, czy mogę się zgodzić, ale wie pan, co jest najgorsze?

– Że nie ma pani ciała, które można by było pochować. Wiem, pani Shaw, i jest mi bardzo przykro – powiedział Abberline, a potem odszedł, ciesząc się, że może zrzucić z siebie ciężar żałoby po człowieku, który nie tylko żył, ale

cieszył się względną wygodą i ciepłem jego mieszkania. Dokuczało mu poczucie winy, że musi kłamać.

Robił to w imię wyższych celów. Bezpieczeństwo ich wszystkich zależało od tego, by Cavanagh i spółka myśleli, że ten wątek został zamknięty. Ale jednak. Poczucie winy wciąż mu ciążyło.

– Masz zostać przyjęty do Zakonu Templariuszy – powiedział Cavanagh.

On, Marchant i dwaj członkowie „kompanii karnej” – Hardy’ego nie było – oderwali Ducha od obowiązków i wzięli go na stronę, do narożnika placu budowy, organizując zaimprovizowane spotkanie robocze.

– Dziękuję, sir – powiedział Duch. Nisko się uklonił, nienawidząc w tej chwili samego siebie. Kiedy jego wzrok znów spoczął na Cavanaghu, zobaczył w jego oczach coś nieodgadnionego, jakby cień drwiny.

– Ale najpierw mam dla ciebie zadanie.

– Tak jest – odpowiedział Duch. Zachował obojętny wyraz twarzy, ale myśli szalały mu w głowie i czując, jak przyspiesza mu puls, pomyślał: „To jest to”.

Nakazując swoim ludziom, by zostali na miejscu, Cavanagh wziął Ducha pod ramię i poprowadził go z dala od grupy, w stronę płotu. Duch dostrzegł nieopodal karetę Cavanagha. Koniem zajmował się Hardy, który spojrzał na nich przelotnie, a potem wrócił do szcztokowania szkapie grzywy.

Z dala od hałasu Cavanagh nie musiał już podnosić głosu.

– Informacja, którą ci teraz wyjawię, jest znana tylko członkom Zakonu Templariuszy. Masz dopiero zostać przyjęty, więc zgodnie z prawem nie powinienem ci tego zdradzać, ale dowiodłeś, że możesz być przydatny w realizacji mojego przedsięwzięcia, a w twoim zadaniu liczy się moment jego wykonania. Innymi słowy, musi się to stać, zanim Rada zbierze się, by zdecydować o twoim przyjęciu. Jestem człowiekiem kierującym się instynktem i wolę działać intuicyjnie. Wierzę w ciebie, Bharat. Widzę w tobie wiele ze mnie samego.

Duch pozwolił sobie na uczucie triumfu. Wszystko, co zrobił, miesiące życia w tunelu, życia w ciele Bharata Singha, wszystko to wiodło do tej

chwili.

Cavanagh mówił dalej:

– Budowa, na której pracujesz, jak być może się już domyśliłeś po moim zaangażowaniu, wiąże się z czymś więcej, niż to widać na pierwszy rzut oka. Linia kolejowa zostanie oczywiście ukończona i rzecz jasna będzie sukcesem, ale możesz mi wierzyć, jest też ukryty motyw kryjący się za jej powstaniem.

Duch skinął głową.

– Londyński Zakon Templariuszy poszukuje artefaktu, który jak sądzimy, zakopano gdzieś na trasie kolei. Określenie jego dokładnego położenia okazało się trudnym zadaniem. Powiedzmy tylko, że moim zdaniem wysokie stanowisko Lucy Thorne w Zakonie nie jest całkiem zasłużone. Przynajmniej sądząc z jej dokonań w tej sprawie.

– Lucy Thorne, sir?

Cavanagh rzucił mu szybkie spojrzenie i Duch musiał stłumić nerwowe przełknięcie śliny. Czy dyrektor próbował złapać go z opuszczoną gardą?

– Wszystko w swoim czasie – powiedział Cavanagh. – Musisz jeszcze poczekać na przyjemność obcowania z radą najwyższą. Na razie wystarczy, żebyś wiedział, że Lucy Thorne jest wysokiej rangi templariuszką, której zadaniem jest zlokalizowanie artefaktu.

– Ten... artefakt, sir, do czego on służy?

– Widzisz, to jest ten problem ze starymi pergaminami. Są tak potwornie zagadkowe. Obawiam się, że szczegóły pozostawiono wyobraźni czytelnika; tekst mówi po prostu, że ten, kto go zdobędzie, posiadzie wielką moc. I być może nie będzie dla ciebie zaskoczeniem, że to ja chcę go zdobyć. Wkrótce okaże się, kto znajdzie się u mojego boku, kiedy ten dzień nadejdzie.

– Mam nadzieję, że to będę ja, sir – powiedział Duch.

Zerknął za płot, gdzie stała kareta. Hardy wkładał szczotkę z powrotem do schowka, ale na oczach Ducha wyjął z niego coś innego, co wsunął do kieszeni.

– Cóż, tak jak powiedziałem, to się wkrótce okaże – odparł Cavanagh.

Dwaj mężczyźni przeszli jeszcze kilka jardów. Duch nie spuszczał Hardy'ego z oka.

Zbir, po sprawdzeniu sprzączek upręży, ruszył od powozu w stronę bramy, odpychając ramieniem dziewczynę sprzedającą zapałki i budząc kopniakiem robotnika kolejowego, który siedział oparty o słup bramy z czapką opuszczoną na oczy.

– Co się okaże, sir?

– Okaże się, jak dobrze wykonasz swoje zadanie.

Hardy brnął przez błoto jakieś pięćdziesiąt jardów dalej.

– A jakie to zadanie, sir?

– Masz zabić Charlesa Pearsona.

*

W ostatnim czasie uznali, że ich spotkania byłyby zbyt ryzykowane; szczególnie Duch nie chciał niczego pozostawiać przypadkowi. Ale teraz było inaczej. Teraz wydarzenia mocno przyśpieszyły i potrzebował rady Ethana, dlatego po komunikacji przez zmianę ułożenia nagrobków na cmentarzu Marylebone dwaj asasyni spotkali się przy Leinster Gardens.

– Po co? – zapytał Ethan. – Po co zabijać Pearsona?

– Zakon się tego domaga, tak twierdzi pan Cavanagh.

– Za duży z niego filantrop na ich gust, co? Chryste, nie dadzą mu nawet zobaczyć otwarcia jego ukochanej kolejki.

– Cavanagh opracował wszystko szczegółowo, mistrzu. Teraz, kiedy wznowiono prace po naprawieniu kanału rzeki Fleet, chce pokazać panu Pearsonowi, że odcinek między King's Cross a Farringdon Street jest całkowicie przejezdny. Do tego chce się pochwalić nowym zamkniętym wagonem i planuje przejażdżkę do Farringdon Street i z powrotem. Ale na końcu podróży, kiedy państwo Pearsonowie wrócą do wagonu, mam zabić pana Pearsona.

– Ale nie panią Pearson?

– Nie.

Zapadła długa cisza, a potem odezwał się Duch.

– Co o tym myślisz?

Ethan wziął głęboki wdech.

– Cóż, nie jest to pułapka, przynajmniej nie w takim sensie, że chcieliby cię zabić; w tym celu mogą cię po prostu wezwać do biura. To próba.

Duch miał spocone dłonie. Przełknął ślinę i wrócił myślami do ciepłego pokoju w Amritsarze, znów czując smak strachu, widząc klingę noża w krzyczących ustach Daniego, krew i stal błyszczące w świetle księżyca.

Musiał zebrać całą siłę, by wypowiedzieć te słowa, i czuł ból, słysząc własny głos, ale jednak to zrobił.

– Jeśli to próba, to z pewnością jej nie przejdę.

W odpowiedzi Ethan zamknął oczy ze smutkiem.

– Jesteśmy *tak blisko*, Jayadeep.

Niemal szeptał.

Duch skinął głową. On też chciał zobaczyć artefakt. Od lat marzył, by być świadkiem tego niezziemskiego pokazu światła. Ale z drugiej strony...

– Ten artefakt może być niczym więcej jak tylko błyskotką. Nawet templariusze nie wiedzą nic o jego prawdziwym potencjale.

– Pergaminy są tajemnicze. O to w nich chodzi. Przez wieki były przekazywane z pokolenia na pokolenie, chyba nasi przodkowie musieli się uważać za bardziej lotnych niż my.

– Tak. Mniej więcej to właśnie powiedział.

– To bardzo trafne z jego strony. Może zwrócił też uwagę, że niezależnie, czy artefakt jest błyskotką, czy nie, jego prawdziwa moc jest mniej ważna od przypisywanej mu wartości. Tak, to prawda, to, co leży pod ziemią, może być starożytnym świecidełkiem nienadającym się do niczego oprócz hipnotyzowania starszych pań i łatwowiernych dzieci. Ale asasyni i templariusze walczyli o artefakty przez stulecia i wszyscy słyszeliśmy opowieści o ich wielkiej mocy: diament Koh-i-Noor, niezemska siła

wyzwalana przez Jabłko Al Mualima... Czy jest możliwe, że te opowieści z czasem obrosły w przesadę? W końcu żaden z tych artefaktów nie był dość potężny, by przesądzić o wyniku wojny. A pergaminy są równie bombastyczne, co zawile.

– Moi rodzice...

– Twoi rodzice to dobry przykład, huścali cię na kolanie i napełniali ci głowę historiami o ich niesamowitej mocy. – Spojrzał na Ducha, który zadziwiony nie odwzajemnił spojrzenia, i sucho się zaśmiał. – Evie jest taka sama. Fascynuje ją idea artefaktów, tak jak ciebie fascynuje ten cholerny głupi diament.

Duch zacisnął zęby, powstrzymując gniew, i nic nie powiedział.

– To ta fascynacja, rozumiesz? *Sama idea*. To stąd bierze się magiczna moc artefaktu. Asasyni czy templariusze, wszyscy zajmujemy się wciskaniem idei masom i myślimy, że to właśnie nasze idee uratują świat, ale mamy coś wspólnego: wiedzę, że te artefakty zawierają tajemnice Pierwszej Cywilizacji. Rozejrzyj się... – Wskazał na fałszywy dom, w którym siedzieli, tunel, którym wkrótce zaczną jeździć podziemne pociągi, *podziemne pociągi*. – Mamy energię parową. Wkrótce będziemy mieli elektryczność. Świat idzie do przodu w niewyobraźnym, nieprawdopodobnym tempie. Niebawem nadejdzie dwudziesty wiek, a dwudziesty wiek to przyszłość, Jayadeep. Technologia wykorzystywana do budowy mostów, tuneli i linii kolejowych, ta sama technologia zostanie zaprzężona do konstrukcji śmiercionośnej broni. To jest przyszłość. I jeśli nie chcesz patrzeć, jak ludzkość zostaje zniewolona przez tyranię, musimy wygrać tę przyszłość dla naszych dzieci i wszystkich późniejszych pokoleń, które będą kiedyś siedzieć z książką i czytać o naszych wyczynach, i dziękować nam, że nie chcieliśmy im zgotować despotycznych rządów. Innymi słowy, Jayadeep, za wszelką cenę musimy zwyciężyć. A to znaczy, że zabijesz Pearsona, a misja będzie kontynuowana, aż odzyskamy artefakt.

To było mocne przemówienie. Duch poczekał, aż w pełni do niego dotrze.

Potem powiedział:

– Nie.

Ethan ze złością poderwał się na nogi.

– A niech cię, człowieku! – ryknął zbyt głośno jak na spokojną noc. Potem ugryzł się w język, odwrócił od otworu wylotowego dla pary i wściekle spojrzał niewidzącym wzrokiem na fałszywy ceglany front budynku.

– Nie umiem zabić niewinnego człowieka z zimną krwią – obstawał przy swoim Duch. – Przecież musisz to wiedzieć po tym wszystkim, co się wydarzyło. Czy pożądasz artefaktu tak mocno, że stałeś się ślepy na prawdę, tak jak było z moim ojcem?

Ethan obrócił się i wymierzył w niego palec.

– Nie tylko on był ślepy, mój drogi chłopcze. Z tego, co pamiętam, sam myślałeś, że jesteś gotowy.

– Teraz wiem o sobie więcej, Wiem, że prosisz mnie o coś, czego po prostu nie potrafię.

Jego głos się załamał i Ethan złagodniał, widząc chłopaka w takiej rozpacz: chłopaka wychowywanego do zabijania, ale niezdolnego, by to robić. Po raz kolejny pomyślał, jaki to smutny świat i jaka ohydna jest jego kondycja, że opłakujemy niezdolność do zadawania śmierci.

– Powiedz Cavanaghowi, że zamierzasz użyć dmuchawki. Możesz mu powiedzieć, że nauczyłeś się jej używać w Bombaju.

– Ale mistrzu, nie potrafię zabić niewinnego człowieka.

– Nie będziesz musiał.

Był wieczór i Evie Frye, wstrzymując oddech, przykucnęła pod drzwiami gabinetu jej ojca, w którym siedział z George'em Westhouse'em. Mężczyźni rozmawiali tak cicho, że z trudem słyszała ich przez drzwi. Odsunęła włosy za ucho, wysilając się, by coś usłyszeć.

– A więc jutro, Ethan – mówił George.

– Tak, jutro.

– I jeśli wszystko pójdzie dobrze, artefakt...

– Podobno są blisko.

– Cóż, logika nakazuje, że muszą być blisko. W końcu tunel już powstał.

– Wciąż trzeba budować dziesiątki tuneli serwisowych, przenieść rury kanalizacyjne i gazowe. Będzie jeszcze dużo kopania. Poza tym kto powiedział, że pęknięty kanał w dolinie Fleet to nie ich sprawka?

– Racja...

Dokładnie wtedy zabrzmiało pukanie do głównych drzwi, co zaskoczyło Evie, która szybko wstała, nieco zdezorientowana, zanim wzięła się w garść i wygładziła ubranie, by w końcu otworzyć. Nie mieli służących. Ethan nie pozwoliłby na to, uważając, że sama idea trzymania służących była sprzeczna z zasadami ich Credo. I stało się tak, że to właśnie Evie Frye otworzyła drzwi wejściowe.

Na schodkach stał młody Hindus w brązowym garniturze. Pomyślała, że jest przystojny, a jednak miał w sobie coś, co zabijało urodę, dziki i zaszczuty wzrok, którym na nią patrzył, stojąc na szarych schodkach. Patrzył niewidzącymi oczami. Mimo to wręczając list, wypowiedział jej imię.

– Evie Frye.

Wzięła złożoną kartkę papieru. Było na niej napisane: „Do wiadomości Ethana Frye'a”.

– Powiedz mu, że był tu Ajay – powiedział mężczyzna na schodach, odwracając się już, żeby odejść. – Powiedz mu, że Ajay powiedział, że mu przykro i że zobaczą się w następnym życiu.

Roztrzęsiona Evie ucieszyła się, że mogła już zamknąć drzwi za tym dziwnym, udręczonym człowiekiem, a potem pobiegła do gabinetu ojca.

Sekundę później cały dom pogrążył się w chaosie.

– *Jacob* – zawołał Ethan, wypadając z gabinetu z wyprostowanym przedramieniem, przypinając jednocześnie ukryte ostrze. – Bierz broń, idziesz ze mną. Evie, ty też. Chodź, George, nie ma czasu do stracenia.

Poruszony do głębi Ethan otworzył list, ale wiadomość napisano kodem, którego nie mieli czasu rozszyfrować. Ale Ajay, człowiek, który tajemniczo przeproszał... Chyba nie mógł to być ten sam Ajay, który stał na straży w Ciemności? Bo jeśli był w Londynie, to Ethan powinien być zostać poinformowany... Ale z drugiej strony kto inny mógłby to być?

Cała czwórka wypadła na ulicę. Ethan wciąż przypinał ostrze, wkładał do kabury rewolwer i jednocześnie narzucał płaszcz na oczach dwójki dzieci zelektryzowanych widokiem ojca w działaniu.

– W którą stronę poszedł, kochanie? – powiedział Ethan do Evie.

Wskazała ręką.

– W stronę Broadwayu.

– No, to mamy szczęście. Na Broadwayu są prace kanalizacyjne; będzie musiał skręcić w Oakley Lane. Evie, Jacob, George, idźcie za nim. Przy odrobinie szczęścia weźmie George’a za mnie i nie będzie podejrzewał, że go wyprzedziłem. Idźcie. *Idźcie*.

Dwoje młodych asasynów i George ruszyli w kierunku Broadwayu. Ethan podbiegł do muru należącego do sąsiada z naprzeciwka i jednym skokiem, szybko przebierając nogami, tak jakby kopał mur w powietrzu, był na szczycie i zniknął po drugiej stronie.

Rozciągał się przed nim ogród i Ethan, rozglądając się dookoła, przez krótką chwilę poczuł ukłucie zazdrości. Zawsze się zastanawiał, jakiej

wielkości jest ogród jego sąsiada, i oto miał odpowiedź. Większy. Dwa razy większy od jego własnego.

Trzymając się w cieniu, pokonał całą jego długość, a potem na drugim końcu, tam gdzie nawet ogrodnicy bali się zapuszczać, wyciągnął swoje ukryte ostrze, żeby utorować sobie drogę przez zarośla. Z tyłu był obrośnięty liśćmi mur, ale wspiał się na niego z łatwością, by potem zeskoczyć w zaułek po drugiej stronie.

Dookoła panowała cisza. Słysząc było tylko wszechobecny szmer płynącej wody. Wyteżył słuch, wychwytyjąc dźwięki z dalszych części miasta, aż wreszcie to usłyszał, odległy, rytmiczny odgłos biegnących stóp po swojej prawej stronie.

Doskonale. Ethan pomknął cicho aż do końca uliczki i przyczaił się w ciemności, znów nasłuchując. Tupot stóp był teraz bliżej. Dobrze. Ajay widział pościg i starał się go uniknąć. Cała jego uwaga będzie więc skupiona na tym, co za nim.

Rynna, wystająca cegła, parapet okienny – i Ethan był już na dachu przyległego budynku, widoczny na tle księżycowej nocy, ale wiedział, że to mało prawdopodobne, by ścigany spojrzął w górę. Był prawie dokładnie nad biegnącym i pomknął naprzód, do krawędzi budynku, a potem przeskoczył na wysmołowany dach sąsiedniej kamienicy.

Kładąc się na brzuchu, spojrzął w dół, na ulicę pod sobą, i obserwował, jak postać w brązowym garniturze wbiegła w uliczkę i spojrzała jednocześnie za siebie.

Płaszcz Ethana zatrzepotał, gdy ten zawisł na krawędzi dachu, a potem puścił się i zeskoczył na bruk, po czym usiadł na jakiejś skrzyni i oparł podbródek na dłoni w oczekiwaniu na przybycie Ajaya.

Ajay niczego nie zauważył aż do chwili, gdy było za późno, a wtedy wszystko potoczyło się błyskawicznie. Choć nie był już asasynem, wciąż myślał jak jeden z nich, natychmiast więc ocenił sytuację i wyciągnął w biegu kukri, odnotowując, gdzie i w jakiej pozie siedział Ethan Frye – rozluźniony, z ręką podpierającą głowę. I widząc przeciwnika, który był zbyt swobodny i narażony na atak od swojej słabszej strony, od tej właśnie flanki uderzył – szybko, i gdyby jego ocena była właściwa, byłoby to zabójcze uderzenie.

Lecz oczywiście jego szacunki nie były właściwe. Opierały się na wrażeniach, które Ethan sam mu podsunął. I kiedy kukri Ajaya błysnęło mu przed oczami, ręka starszego mężczyzny wyskoczyła spod brody, w tym samym momencie wysunęło się ostrze i zadzwoniła stal, nóż Ajaya został zablokowany w powietrzu, a potem zabrzmiał krzyk bólu, bo Ethan zakończył swój ruch skierowanym w dół cięciem, które pozbawiło Ajaya połowy dłoni i posłało ją wraz z jego bronią na bruk.

Ajay, mimo bólu i zaskoczenia, zadziałał instynktownie, pochylił się, obrócił i kopnął swój nóż z dala od Ethana, nurkując, by uniknąć kolejnego ataku.

Ethan wstał i zrobił kilka kroków, wciąż nie mogąc się pozbierać po wstrząsającym odkryciu – „Ajay, to jest Ajay, skąd on tu się wziął, do diabła?” – podczas gdy tamten sięgnął po broń i przyciskając poranioną i krwawiącą rękę do piersi, użył zdrowej, by podnieść nóż z bruku.

– Tej walki już nie wygrasz – zawołał Ethan.

Pozostała trójka już się pojawiła. Ajay usłyszał ją i odwrócił się, wiedział już, że jego jedyna droga ucieczki była zablokowana, i znów obrócił się w stronę Ethana, z pewnością rozumiał, że wszystko stracone.

– Dlaczego przyszedłeś do mojego domu? Dlaczego mnie zaatakowałeś? – Ethan zrobił dwa kroki naprzód, grożąc mu. – Nie chcę cię mocniej ranić, ale zrobię to, jeśli będę musiał.

Ajay znów spojrzął za siebie i z powrotem na Ethana, a potem wyprostował się z ramionami do tyłu i przez ostatni żałosny szloch, który wyrwał się gdzieś z jego cierpiącego wnętrza, powiedział:

– Przepraszam. Przepraszam cię, przepraszam Kulpreet, przepraszam za wszystko, co uczyniłem.

A potem ostrzem noża podciął własne gardło.

Później, kiedy dzieci poszły już do łóżek ze świeżym wspomnieniem dławiącego się, rzeźącego człowieka, malującego bruk szkarłatem własnej krwi, George i Ethan wrócili do gabinetu. Obaj byli wstrząśnięci tym, co się stało, i nurtowały ich pytania, na które nie znali odpowiedzi, więc wypili dwie szklaneczki najlepszej szkockiej whisky z regionu Highlands, zanim którykolwiek z nich coś powiedział.

(Co, zakradłszy się z górnego piętra, miała podsłuchać Evie...)

– A więc mamy nowy obrót wypadków – powiedział George.

– Można tak powiedzieć.

– Niebawem.

Ethan wpatrywał się w pustkę. Myślał o tym, że przede wszystkim powinien wysłać wiadomość o zdradzie do Amritsar. Powiedzieć im, że może im brakować jednego asasyna – i co z Kulpreet?

– Szukając weselszych stron, przygotowuje to bliźniaki na ich chrzest bojowy – powiedział.

George zaśmiał się sucho, jego przyjaciel znów na niego spojrzał.

– Ten list... – Wyjął papier. – Odszyfrujemy go?

Chwilę później siedzieli przy biurku z dokumentem i otwartymi książkami kodowymi asasynów. I niebawem tłumaczenie było gotowe. Wiadomość od Ajaya brzmiała: „Akcja zagrożona, koniecznie przerwać. Przyjaciel”.

– „Przyjaciel”, który leży gdzieś tam, nieopodal Oakley Lane. – George odłożył list. Wkrótce ciało zostanie odkryte. Dwaj asasyni spodziewali się, że w każdej chwili mogą usłyszeć policyjną kołatkę.

– Ten człowiek umarł ze wstydu – powiedział Ethan.

Za drzwiami Evie siedziała w kucki, słuchając, myśląc o Ajayu, który umarł ze wstydu. Wiedziała ze swoich lektur, że w annałach asasynów

opisano innego człowieka, Ahmada Sofiana, który odebrał sobie życie w ten sam sposób i z podobnych powodów.

– Ze wstydu. Istotnie. Na to wygląda – mówił George. – Zdradził Credo. Ale jak dużo powiedział nieprzyjacielowi? Co on w ogóle takiego wie? Zawsze bardzo skąpo udzielałeś mi informacji; nie wyobrażam sobie, co mógł im powiedzieć.

– Ujmijmy to w ten sposób, George, gdyby połączyć ciebie i Ajaya, razem znalibyście większość faktów. Ale osobno? Niemożliwe.

– Mimo to musisz natychmiast poinformować twojego Ducha.

Ethan w zadumie zagryzał od środka policzek.

– Nie jestem pewien. Znam Ducha. Będzie nadmiernie ostrożny i przerwie misję.

– Ależ to właśnie nakazuje ta wiadomość. – George pochylił się do przodu z wyrazem niedowierzania na twarzy. – Nie jestem całkiem pewien, czy wierzę w to, co słyszę, Ethan. Jeśli zawiadomisz Ducha i ten postanowi kontynuować operację, w najlepszym razie wykaże przesadny i niebezpieczny optymizm, a w najgorszym skłonności samobójcze. Przerwywając operację, robi to, co należy; jest to sposób postępowania, jaki sami byśmy zalecili, gdybyśmy myśleli głową, a nie własnymi pragnieniami. Tak czy inaczej, musimy mu powiedzieć, żeby mógł sam zdecydować.

Ethan pokręcił głową. Podjął już decyzję.

– Ufam Duchowi. Ufam, że będzie potrafił o siebie zadbać. Ufam, że dokona słusznych wyborów. A przede wszystkim ufam, że zdobędzie artefakt.

– W takim razie musisz również ufać, że podejmie właściwą decyzję.

– Nie, George. Przykro mi, nie mogę tego zrobić.

Z oddali dobiegł znajomy klekot policyjnego sygnału.

I tak nadszedł ten dzień. Dzień wielkich emocji. Kolej Metropolitalna wykupiła ogłoszenie w popołudniówkach, by poinformować, że dziś wieczorem zostanie otwarty nowy rozdział kolei: Charles Pearson ma przejechać ponownie otwartym odcinkiem pomiędzy King's Cross a Farringdon Street. A do tego pokona tę trasę w zamkniętym wagonie. *Zamkniętym wagonie*. Gladstone jechał w otwartym. Nowy, zamknięty wagon miał być ostatnim krzykiem mody i luksusu w dziedzinie podziemnego transportu. W ogłoszeniach można było przeczytać, że obecni będą londyńscy dygnitarze, również szeroka publiczność była zaproszona do wzięcia udziału w tym doniosłym wydarzeniu – jeśli tylko pozostanie po właściwej stronie ogrodzenia.

A publiczność przyjdzie. Mimo że wykopy zamieniły życie najbiedniejszych mieszkańców w piekło pełne hałasu i błota, sprawiły, że zamknięto zarówno drogi, jak i lokale usługowe, mimo że tysiące i tak trapiionych już nędzą londyńczyków doprowadziły do bezdomności, nie dotykając jednocześnie w żaden widoczny sposób zamożnych, i mimo że budowa miała już roczne opóźnienie, a jej koszt szacowano obecnie na 1,3 miliona funtów szterlingów.

Publiczność przyjdzie.

Zatrudniono zespół cieśli, by zbudował schody prowadzące w dół do szybu King's Cross. Dwa miesiące wcześniej Gladstone wyruszył na inauguracyjną przejażdżkę z Bishop's Road, ale podziemna stacja na King's Cross nie była jeszcze zbudowana. Miała powstać w przyszłym roku jako rozbudowa dworca przy magistrali kolejowej. Planowano przeszklony czterospadowy dach pomiędzy ścianami szczytowymi. Obecne wykopy, pełniące funkcję prowizorycznych platform roboczych, miały zostać przerobione na właściwe

perony ze schodami, kasami biletowymi, kioskami wbudowanymi w ściany i kładkami na obu krańcach.

Ale teraz była tu tylko brzydka dziura w ziemi i żeby dogodzić grubym rybom z kolei i ich żonom, zbudowano schody, wykopy zaś wyłożono deskami, by jak najbardziej upodobnić je do porządnego peronu, a zamiast pochodni, których używali robotnicy, wzdłuż górnej krawędzi wykopu, a także w samym szybie miały być rozwieszane lampy.

Wszystko to złożyło się na uroczysty nastrój. Kiedy w południe dzwon uderzył trzy razy, był to sygnał końca zmiany, ale nowe brygady nie czekały, by podjąć pracę. Robotnicy dostali wolne. Mogli oczywiście zostać i patrzeć, jeśli tylko pozostawali po właściwej stronie ogrodzenia, ale mogli też spędzić swój wolny czas, sącząc piwo w szynkach, takich jak Pickled Hen, Curious Orange czy Rising Sun, lub w domach, z rodzinami; wybór należał do nich. Tak czy owak, po raz pierwszy od trzech lat północno-zachodni Londyn miał być wolny od szczęku narzędzi, ciągłego terkotu silników parowych, kołyszących się na tle nieba skórzanych kubłów. Wolny od nieustannego zgrzytu wyciągarki.

Co nie znaczy, że na budowie nie było robotników kolejowych.

– Chcemy, żeby te szychy zobaczyły porządných robotników, nie tę cholerną hołotę – powiedział Marchant.

Ściągnięto więc oddział „malowanych” pracowników. Na pierwszy rzut oka owa grupa trzydziestu, czterdziestu robotników kolejowych pasowała do swoich ról, kłębili się beładnie w uświęconym tradycją robotniczym stylu, ale przy bliższym oglądzie można było zauważyć, że wyglądali inteligentniej i poważniej od prawdziwych robociarzy. Co więcej, kiedy stali w oczekiwaniu na przybycie dygnitarzy, nie było słyhać żartów ani śmiechów, nie było obijania się ani podkradania sobie nawzajem czapek czy improwizowanych partyjek krykieta. Duch wiedział, że ci potężnie wyglądający robotnicy byli kimś więcej niż tylko dekoracją. To byli ludzie templariuszy.

Patrząc, jak dzień przechodzi w noc, wiedział jeszcze jedno. Nie tylko nie potrafi odebrać życia niewinnemu człowiekowi, ale też nie może pozwolić, by odebrał mu je ktoś inny.

Abberline wiedział o pokazowym przejeździe, ale wcześniej wpadł do domu, by zobaczyć się z Aubreyem.

– Myślisz, że dasz radę pójść? – zapytał.

– Nie, Freddie, ale ty tam zajrzyj, jeśli masz ochotę. Pozdrów ode mnie starą paczkę. Idziesz w mundurze, prawda?

Abberline spojrzał na siebie.

– Jak sądzę, nasi przyjaciele będą mieli na głowie co innego niż rozglądanie się za mną. A jako policjantowi będzie mi łatwiej przecisnąć się przez tłum. Wciąż są ludzie, którzy szanują prawo. Aha, i jeszcze jedno.

Abberline wyjął z szuflady sekretarzyka małą marynarską lunetę, którą rozłożył i złożył z przyjemnym kliknięciem.

– Chyba może mi się to przydać – powiedział i z tymi słowami wyszedł w ciepły wrześnieowy wieczór.

Mówiąc szczerze, robił to z lekkim poczuciem winy, że zostawia Aubreya samego; w końcu nie tak dawno to on, Abberline, ciągle desperował, a Aubrey starał się z całych sił, by go z tego wyciągnąć. I jak mu się Abberline odwdzięczał? No właśnie. Nijak. Szedł pogapić się na jakieś szychy jeżdżące pociągiem, podczas gdy powinien był śledzić kombinacje Cavanagha. Zgadywał, że najprawdopodobniej planuje oszustwo. Jakąś defraudację. Ta niewiedza była problemem – do tego dochodził brak pomysłu, jak zapewnić Aubreyowi bezpieczny powrót do rodziny.

Pogrążony w myślach, szedł zatłoczoną ulicą, powietrze zdawało się pękać od wzmożonego ruchu konnych powozów. Przejechał omnibus pełen mężczyzn tłoczących się na górnym piętrze. Abberline pomyślał, że ich cylindry wyglądają jak kominy. Prawdziwe kominy, fabryczne, zatruwały w oddali powietrze East Endu wstęgami gęstego czarnego dymu.

Zgodnie z przewidywaniami tłum przy King's Cross był gęsty i Abberline cieszył się, że ma swój policyjny uniform, kiedy przepychał się łokciami do płotu otaczającego ogrodzenie. „Hipokryta”, pomyślał. „Nie przeszkadza ci wykorzystywanie twojego statusu, kiedy to dla ciebie wygodne”. Wokół niego tłoczyli się prości ludzie, których przyciągają takie wydarzenia: rodziny z dziećmi noszonymi na barana, gapie, mężczyźni w garniturach i kobiety w czepkach – panowała powszechna atmosfera wyczekiwania. Abberline przepchnął się do pierwszego szeregu i stał, trzymając się rękami sztchet, czuł się jak więzień przyglądający się zza krat placowi budowy. Cóż za zmiany. Tam, gdzie był szyb, zobaczył drewnianą konstrukcję z prowadzącymi w dół schodami. Cały plac budowy został posprzątan. Fury i wózki stały w równym szeregu na drugim końcu terenu i nie było nigdzie hałd ziemi czekających na swoją kolej, by je wywieźć. Tylko puste błotniste pole, rząd zapalonych pochodni zapewniających światło, a dalej sam wykop, gdzie zawieszono lampy, tak że wyglądał niemal ładnie, jak wesołe miasteczko.

Co do tunelu, to był w większości zakryty. To, co przez tyle czasu było wielkim rowem, teraz stało się autentycznym tunelem kolejowym. To znaczy wszystko poza jednym krótkim odcinkiem przy nowo zbudowanych stopniach, który wciąż czekał na ukończenie. Poza tym szczególnie Abberline miał przed sobą prawdziwą podziemną linię kolejową.

Oto oni, ludzie, którzy pomogli ją stworzyć: różne szychy z Kolei Metropolitalnej, których nie rozpoznał, oraz kilka znajomych twarzy: Cavanagh, Marchant, dwaj członkowie „kompanii karnej”, Hardy i Hardy Drugi (a to ciekawe, gdzie jest trzeci, uroczy pan Smith?). „Trzeba to przyznać tym morderczym szumowinom”, pomyślał. „Cokolwiek to było za oszustwo czy jakiegokolwiek przestępstwo popełniane w imię tej podziemnej kolejki, udało im się. Zbudowali to diabelstwo”.

Był z nimi hinduski chłopak, Bharat Singh. Abberline wymierzył lunetę w tę przystojną, nieodgadnioną twarz. „Dziś jest w niej coś intrygującego”,

pomyślał policjant. Jego oczy zdawały się bardziej nerwowe, rozbiegane. Abberline, wciąż z lunetą przy oku, patrzył, jak po skończonej prezentacji grupa ruszyła przez błoto w kierunku nowych schodków przy grzecznych oklaskach stojących obok kolejarzy.

Grupa dotarła do schodów, ale zanim zeszła na dół, należało jeszcze powitać brygadzystów. Państwo Pearsonowie wystąpili naprzód. Były kolejne uściski dłoni, gdy Bharat Singh przedstawiał ich brygadzystom.

Kiedy ta część się skończyła, Cavanagh podziękował brygadzystom, którzy odeszli, ściskając czapki w rękach. Bharat chciał odejść w ślad za nimi, ale wtedy Abberline zobaczył, jak Cavanagh wyciąga rękę, chwyta Bharata za ramię i popycha go w stronę schodów.

A potem zniknęli. Oficjele stali, sprawdzając zegarki, czekając na swoją kolej, a szereg robotników kolejowych pozostał tam, gdzie wcześniej – jak straż honorowa, a może po prostu straż – i zapadła dziwna cisza. Aż wreszcie z tunelu dobiegł gwizd silnika parowego i wielkie kłęby dymu wydobyły się z otwartego odcinka torów, gdy maszynista podsycił ogień w palenisku.

Pociąg miał zaraz odjechać.

Dalej przy płocie była zagroda, w której stały powozy wszystkich dostojników. Czekali przy nich stangreci, gawędząc, paląc fajki lub oporządzając swoje konie.

Nie było w tej scenie nic niezwykłego, ale mimo to spojrzenie Abberline'a zatrzymało się na niej i luneta nie chciała się od niej oderwać. Z jakiegoś powodu był pewien, że zobaczył tam coś nietypowego, jakby wszedł do znajomego pokoju, w którym ktoś przesunął jeden z mebli.

Wtedy to do niego dotarło. Jak, u licha, mógł tego wcześniej nie zauważyć? Przy ogrodzeniu, bezczelnie, na widoku, ze wzrokiem skupionym na tym, co działo się w tunelu, stał mężczyzna w białym płaszczu.

Duch widział przyszłość. Była to przyszłość, w której zostaje przyjęty w poczet templariuszy, a im bardziej mu ufali, tym bardziej zbliżał się do wąskiego grona przywódców i tym cenniejszy był dla asasynów.

To oznaczało, że nie pozwolą mu odejść. Nawet kiedy ta operacja się zakończy, zmuszą go, by został, i będzie musiał to zrobić, bo niewinne życie Charlesa Pearsona było jego biletem do czyścica.

Nie był na to gotowy, więc postanowił, że kiedy Cavanagh go odesła, pójdzie do zagrody dla powozów, tak jak to było umówione, i przekaze Ethanowi swoją decyzję. Że odchodzi.

Rozbroi Ethana, jeśli to będzie konieczne. Zrani go, jeśli będzie musiał. Ale skończy to tu i teraz.

Tyle że Cavanagh go nie odesłał. Zamiast tego dyrektor zaprowadził go na schody.

– Wiesz co, zmieniłem zdanie, naprawdę myślę, że powinienes to zobaczyć.
– I zszedł razem z resztą grupy.

Rzucił swojemu szefowi zdziwione spojrzenie. „Powinienem teraz zająć pozycję”. Ale Cavanagh zaprzeczył, szybko kręcąc głową: „Nie martw się”. Dlaczego? Myśli szalały mu w głowie. Czy będzie czas później? Czy Cavanagh grał w jakąś grę? Czy to wszystko było częścią próby jego charakteru?

Czy chodziło o coś innego?

Przy prowizorycznym peronie stał parowóz i dwa wagony. Grupa podeszła do pierwszego z nich i Cavanagh wprowadził ją do środka.

– Jak państwo widzicie, nasz najnowszy wagon jest bardzo obszerny – powiedział, zapraszając Pearsonów do środka teatralnym gestem. – Przedziały i poręcze w pierwszej klasie uniemożliwiają przepelnienie,

podczas gdy obite skórzaną tapicerką siedzenia sprawia, że nawet pasażerowie drugiej klasy zawsze będą się cieszyć najwyższym komfortem.

– Nie ma okien – powiedziała pani Pearson z nutką paniki w głosie.

– O tak – powiedział Cavanagh. – Ale podziemny pociąg nie potrzebuje okien, pani Pearson. Poza tym pasażerowie pierwszej klasy będą korzystać z oświetlenia gazowego. Gaz będzie przewożony w długich kauczukowych torbach w skrzyniach na dachach wagonów i kiedy ruszymy, zobaczy pani, że oświetlenie gazowe z łatwością zapewnia dość światła, by czytać przy nim poranną gazetę.

Zajęli miejsca, Pearsonowie i Cavanagh na samym przedzie, a reszta bardziej z tyłu, przy drzwiach prowadzących do drugiego wagonu.

Podeksytowany Pearson wybijał na deskach podłogi rytm czubkiem swojej laski. W otwartych drzwiach pojawił się maszynista, uniósł kciuk w rękawicze na znak, że wszystko w porządku, wyszczerzył zęby w uśmiechu w stronę dygnitarzy, a potem zamknął drzwi i wrócił do parowozu. Lampy gazowe zamigotały, ale zapewniły jasność, tak jak mówił Cavanagh.

Z brzękiem i łoskotem pociąg ruszył.

Duch poczuł na sobie spojrzenie Marchanta. Smith i Hardy Drugi też się w niego wpatrywali. Wszyscy mieli wzrok głodnych ludzi patrzących na kolację. Zaczęła go gryźć nieobecność Hardy'ego, jak dotąd niewyjaśniona. Po drugiej stronie wagonu Pearsonowie i Cavanagh prowadzili uprzejmą konwersację, ale Duch nie słuchał. Zastanawiał się, jakie draństwo kryło się za spojrzeniami jego towarzyszy.

Pociąg zatrzymał się przy Farringdon Street i wyrzucił wielką chmurę dymu. Chwilę później maszynista otworzył drzwi do wagonu i zajrzał do środka, żeby sprawdzić, co u jego pasażerów, oraz pławić się w blasku komplementów ze strony chwalących jego gładką jazdę Pearsonów. Gdy po krótkiej chwili rozpoczęli podróż powrotną do King's Cross, Pearson sięgnął po swój kieszonkowy zegarek, by sprawdzić, jak długo jadą.

– Mój zegarek – powiedział, grzebiąc po kieszeniach, ale nigdzie go nie znalazł.

Pociąg pobrząkiwał.

– Co się dzieje, kochanie? – spytała pani Pearson.

Cavanagh pochylił się naprzód z fałszywą troską. Duch poczuł nowy napływ lęku, mając nadzieję, że radny Londynu po prostu zawieruszył gdzieś zegarek, ale wiedząc, że chodzi tu o coś więcej, wiedząc, że wiązało się to jakoś z nim samym.

Wszystkie oczy w wagonie były teraz skierowane na Pearsona, pasażerowie patrzyli, jak klepie się po brzuchu.

– Nie, nie. Mój zegarek i łańcuszek zdecydowanie zniknęły.

– Kiedy miałeś go w ręku po raz ostatni, kochanie? – Konkurując z dźwiękiem silnika, głos pani Pearson zdawał się trząść razem z pociągiem.

– Nie pamiętam.

Hardy Drugi zawołał z drugiego końca wagonu.

– Miał go pan na peronie, sir. – Wyszczrzył zęby do Ducha i ciągnął dalej:

– Jeśli mogę coś dodać, sir, to widziałem, jak go pan wyciągał i sprawdzał godzinę.

– Och, ulżyło mi, w takim razie musi gdzieś tu być... – Pearson oparł łaskę o podłogę i podniósł się chwiejnie, walcząc z ruchem pociągu.

– Charles, usiądź – upomniała go pani Pearson. – Panie Cavanagh, czy byłby pan tak uprzejmy i poprosił swoich ludzi, żeby poszukali zegarka...

– Oczywiście, proszę pani.

Podczas gdy Marchant z dwójką zbirów udawali, że szukają, myśli wirowały Duchowi w głowie, rozpaczliwie starając się znaleźć jakieś rozwiązanie. Ukradkowo sprawdził kieszenie marynarki, na wypadek gdyby podłożono mu tam zegarek, a potem podniósł wzrok na dwóch osiłków, przyłapując ich na skierowanych do niego drwiących uśmieszkach.

Nie, nie podłożyli mu zegarka. Jeszcze nie.

– Nie, nigdzie go nie ma – powiedział Marchant, opierając się ręką o ścianę

wagonu.

Duch siedział bez ruchu, jakby oglądał całą tę scenę przez szybę. Cavanagh trzymał się scenariusza, odgrywając fałszywą troskę o zaginiony zegarek biednego Pearsona.

– W takim razie muszę was poprosić o wywrócenie kieszeni – powiedział.
– Nie, jeszcze lepiej... wywróćcie sobie nawzajem kieszenie.

Zrobili, jak im kazano. Odegrali tę farsę. Duch był teraz prawie sztywny z napięcia. Wiedział, dokąd to wszystko zmierza, ale nie umiał nic z tym zrobić.

Poczuł, jak ktoś szarpie jego surdut.

– Ojej, sir – powiedział Smith, czy może Hardy Drugi, ale nie miało to znaczenia, bo pułapka się zatrzasnęła. – Chyba znalazłem zegarek pana Pearsona. Miał go w kieszeni młody Bharat.

Smith zaniósł zegarek Pearsonowi, który go rozpoznał, i spoglądając z żalem na Ducha, włożył go z powrotem do kieszeni spodni.

Tymczasem Cavanagh wstał, wyglądając jak uosobienie wściekłości, człowiek, którego zaufanie zostało zdradzone w najgorszym możliwym momencie.

– Czy to prawda? – wpatrywał się gniewnie w Ducha. – Ukradłeś ten zegarek?

Duch nie powiedział nic, patrzył tylko na niego w milczeniu.

Cavanagh odwrócił się do swoich gości.

– Panie Pearson, pani Pearson, proszę przyjąć moje najszczerze przeprosiny. To wydarzenie bez precedensu. Bharat zostanie aresztowany. Pani Pearson, czy jeden z moich ludzi może towarzyszyć pani do sąsiedniego wagonu, z dala od tego młodego złodzieja? Obawiam się, że może się stać niebezpieczny.

– Tak, moja droga – powiedział Pearson z troską wrytą na twarzy. – Powinnaś pójść.

Marchant podszedł chybotliwie do pani Pearson, uśmiechając się do niej

przymilnie i podając jej ramię, by wyprowadzić ją z miejsca, w którym zaraz zacznie się robić niebezpiecznie. Wyszła, potulna jak owieczka; przechodząc obok Ducha, rzuciła mu przestraszone, nierozumiejące spojrzenie.

Zostali sami.

I kiedy pociąg zatrzymywał się na King's Cross, Cavanagh wyciągnął nóż z perłową rękojeścią i zatopił go w piersi Pearsona.

Cavanagh otworzył drzwi wagonu, zawołał maszynistę, pogratulował mu gładkiej jazdy i powiedział, że niebawem wysiądą.

A potem zamknął drzwi i znów odwrócił się do Pearsona, który leżał, kopiając słabo nogami, podczas gdy życie bezpowrotnie z niego uchodziło.

Cavanagh wbił nóż dokładnie w serce i kiedy wyciągnął klingę, Pearson nie wydał nawet dźwięku; jego żona siedziała w sąsiednim wagonie, nieświadoma tego, że dyrektor Kolei Metropolitalnej właśnie zadźgał jej męża na śmierć.

Spodziewając się, że Duch może chcieć coś zrobić, dwa zbiry złapały go, przyciskając do siedzenia. Cavanagh uśmiechnął się.

– O Boże – powiedział. – Ten młody hinduski bandyta właśnie zabił Charlesa Pearsona. – Wytarł nóż do czysta o ciało Pearsona i schował go do pochwy, potem spojrzał na Ducha. – Nigdy byś tego nie zrobił, nieprawdaż?

Duch popatrzył na niego, nic nie mówiąc, starając się niczego nie zdradzić, choć wyczuwał, że i tak było już na to za późno.

– „Dmuchawka”, to było dobre – powiedział Cavanagh. – Podobało mi się to. Mówiąc, że chcesz użyć dmuchawki, dałeś mi wszystko, co chciałem wiedzieć. Również panu Hardy’emu powiedziało to wszystko, co chciał wiedzieć, bo poszedł z oddziałem ludzi, by zatrzymać, a może zabić, co niespecjalnie by mnie zmartwiło, twojego przyjaciela, a mojego wroga, Ethana Frye’a.

Lokomotywa wypuściła parę i pociąg jakby się rozluźnił. Duch pomyślał o Ethanie. Ethan, urodzony wojownik, specjalista od walki w najróżniejszych sytuacjach. Ale też Ethan nieostrożny, popełniający błędy.

– Jest już trupem, Jayadeep, tak jak i ty. Och, jesteś zaskoczony, prawda? Że wiem, jak masz na imię. Wiem, jak masz na imię, wiem, jaką masz

słabość, wiem, że twój opiekun miał tu być, by wykonać zadanie, do którego brak ci było hartu ducha. Obawiam się, że wszystko się wydało. Grałeś dobrze, ale przegrałeś. Pan Pearson nie żyje, asasyni są skończeni, a ja mam artefakt.

Duch po raz kolejny nie umiał ukryć zaskoczenia.

– O tak, mam artefakt. – Cavanagh uśmiechnął się, ciesząc się chwilą. – Czy też raczej – sięgnął po laskę Pearsona – mam go teraz.

Podniósł laskę do góry i Duch zauważył, że jej gałka była kulą w kolorze brązu i o średnicy trzech cali.

– O – powiedział Cavanagh i jego oczy zapłonęły, wargi cofnęły się, odsłaniając zęby, dziwacznie i brzydko wyglądała ta miłość od pierwszego wejrzenia. – *To jest ten artefakt.* Robotnicy znaleźli go kilka tygodni temu i dali panu Pearsonowi na znak szacunku. A panu Pearsonowi tak się spodobał, że zrobił sobie z niego gałkę od laski. Ale pan Pearson przechadza się teraz z aniołami. I laska nie będzie mu potrzebna.

Stojąc na miejscu dla powozów, Ethan Frye obserwował, jak dygnitarze schodzą po schodach, i zastanawiał się, dlaczego wzięli ze sobą Ducha, i starał się odpędzić niepokojące przeczucie, że coś mogło pójść nie tak.

Potem zobaczył, jak pociąg bucha dymem i odjeżdża z King's Cross, i czekał, aż dojedzie do Farringdon Street i z powrotem, stojąc cierpliwie i czekając na pojawienie się państwa Pearsonów, mając nadzieję, że wszystko jednak odbędzie się zgodnie z planem. „Przepraszam, panie Pearson”, pomyślał i sięgnął po skrytą pod płaszczem dmuchawkę.

Ethan był obserwowany zza powozów. Obserwował go człowiek, który wyciągnął lśniący w świetle księżycy nóż i uśmiechnął się, pokazując złoty ząb.

Zbliżywszy się, Abberline zobaczył, że w kierunku skupiska powozów idzie nie tylko on. Z tłumu wyłoniła się grupa robotników, która również ruszyła w tę stronę. Zatrzymał się i podniósł lunetę, przechylając się przez płot, by wycelować ją w mężczyznę w płaszczu. Ten stał tam gdzie wcześniej,

nieświadomy nadciągającego niebezpieczeństwa, wciąż świetnie widoczny, choć zarazem w jakiś dziwny sposób ukryty. Abberline zauważył, że mężczyzna trzyma u boku coś, co wygląda jak... Dobry Boże, czy to dmuchawka?

Teraz przesunął lunetę, by zajrzeć w gąszcz powozów. Robotnicy wciąż się zbliżali, ale był tam też...

Abberline wstrzymał oddech. A niech go, jeśli to nie był jego stary znajomy Hardy. Zbir był do niego odwrócony plecami, ale nie dało się go z nikim pomylić. Abberline patrzył, jak Hardy, dostrzegając jednego z robotników, puszcza do niego oko.

Pułapka zaraz się zatrzaśnie.

Abberline ruszył szybciej w stronę zagrody. Nie dbał już o ludzi w płaszczach ani o to, czy walczyli w imieniu dobra czy zła. Dbał tylko o to, by przekazać Hardy'emu pozdrowienia od Aubreya, i z pałką w dłoni przepchnął się przez tłum, a potem pokonał płot zagrody. Lawirował między zaparkowanymi powozami. Po raz kolejny ucieszył się, że ma policyjny uniform, gdy jeden z nadchodzących robotników kolejowych zauważył, że się zbliża, żywo obrócił się na pięcie, udając, że zainteresowało go coś za nim. Był teraz o kilka stóp od Hardy'ego, a zbir, odwrócony do niego plecami, wciąż obserwował mężczyznę w płaszczu. To, co miał z nim wspólnego, to fakt, że obaj uważali się za myśliwych, a nie zwierzyń, i to dlatego Abberline zdołał zająć Hardy'ego od tyłu niezauważony.

– Przepraszam pana, ale czy mogę spytać, jaki interes ma pan w zagrodzie dla powozów?

– Interes? – powiedział Hardy, odwracając się. – To nie twój zakichany interes, ot...

Nigdy nie wymówił słowa „co”.

Jak się miało okazać, miał już nigdy nie wymówić słowa „co”, bo Abberline machnął pałką tak mocno, jak tylko potrafił, i był to brutalny atak niegodny funkcjonariusza policji, tyle że Abberline przestał myśleć jak funkcjonariusz policji. Myślał o całych tygodniach bólu. Myślał o bliznach

po uderzeniach kastetem. Myślał o człowieku zostawionym na pewną śmierć. I machnął pałką z całą swoją mocą, a chwilę później Hardy miał usta pełne własnej krwi i zębów i leciał na spotkanie ziemi u swoich stóp.

Abberline zobaczył po swojej prawej stronie potężnego robotnika, który z twarzą wykrzywioną grymasem szedł w jego kierunku z pałką w ręku. Zbliżyli się też inni robotnicy, ale między powozami mignął Abberline'owi człowiek w płaszczu, który był już teraz świadomy, że za jego plecami coś się dzieje. W tym samym momencie Abberline poczuł pałkę robotnika kolejowego na własnej skroni i padł na ziemię oszołomiony z oczami pełnymi łez i głową pękającą z bólu, ledwie o kilka stóp od miejsca, gdzie Hardy właśnie podnosił się na kolana z podbródkiem wiszącym pod dziwnym kątem i oczami rozpalonymi wściekłością – i z nożem, który wychynął z ciemności i zbliżał się szybko do Abberline'a.

Abberline odturlał się, ale został przygwożdżony przez stopy robotnika, i spojrzał w górę na stojącego nad nim mężczyznę z nożem.

– *Jest mój* – powiedział Hardy.

Chociaż z powodu urazu brzmiało to bardziej jak „jefmój”, robotnik zrozumiał jednak, o co mu chodzi, i wstrzymał rękę, gdy tymczasem Hardy z dolną połową twarzy zalaną krwią podszedł chwiejnym krokiem do Abberline'a, zamierzając zadać cios nożem.

– *Stać* – powiedział człowiek w płaszczu.

I Hardy zatrzymał się gwałtownie w połowie ruchu, czując na szyi mechanizm ukrytego ostrza asasyna.

– *Odwołaj swojego człowieka* – powiedział Ethan.

Usłyszeli tupot nadbiegających posiłków.

Hardy odezwał się i przez złamaną szczękę i wybite zęby wydostało się coś w rodzaju „izfofabła”, ale Ethan Frye wiedział, co tamten ma na myśli, i wysunął ostrze, które przebiło Hardy'emu gardło, wychodząc z drugiej strony pod brodą, błyszcząc od krwi. Jednocześnie Ethan wyciągnął drugą ręką rewolwer. Huk wystrzału rozdarł ciszę nocy i przygniatający

Abberline'a robotnik poleciał na ziemię. Ethan obrócił się. Jego rewolwer odezwał się jeszcze kilkukrotnie i kolejne ciała padały między powozami. Po pierwszym strzale tłum ogarnęła panika i ludzkie krzyki spłoszyły konie. Przerażeni stangreci rzucili się na ziemię.

Ethanowi skończyły się naboje, ale atak się załamał, więc przyskoczył do miejsca, gdzie leżał Abberline.

– Nazywam się Ethan Frye – powiedział, podając policjantowi rękę, by pomóc mu się podnieść. – I wygląda na to, że jestem panu winien przysługę. Nie zapomnę panu tego, posterunkowy Abberline. Bractwo spłaca swoje długi. A teraz proszę mi wybaczyć, ale mam pilniejsze sprawy do załatwienia.

Z tymi słowami przesadził ogrodzenie i ruszył przez błoto w kierunku szybu. Mężczyźni w garniturach rozproszyli się na widok tej dziwacznej postaci pędzącej po deskach w ich kierunku. Co ważniejsze, zauważyła go też brygada robotników u wylotu tunelu, ale jako że pomiędzy nim a schodami było ich tylko czterech, nie spieszyło go to specjalnie, więc wyciągnął tylko z zanadrza dmuchawkę. Wciąż w biegu wyszarpnął z pasa dwie strzały, włożył je między zęby, podniósł dmuchawkę do pierwszej z nich, załadował i wystrzelił.

Najbliższy mężczyzna upadł z zatrutą strzałką w szyi. Przez szacunek do Pearsona Ethan przyrządził drogą truciznę, która zabijała bezboleśnie i szybko. Oprócz ukłucia w szyi niczego by nie poczuł. Ethan pomyślał, że gdyby wiedział, że będzie używał ich przeciw templariuszom, maczałyby je w czymś tanim.

Wypluł drugą strzałkę. Kolejny człowiek padł na ziemię. Trzeci wyjął z zanadrza kurtki kordelas i podszedł bliżej, przeklinając Ethana. Miał usta lśniące od śliny i był powolny; Ethan nie czuł szczególnej dumy, blokując jego pierwszy cios, przewidując łatwy atak od dołu, a potem podchodząc blisko i wbijając w niego ostrze. Obrócił się szybko, by uniknąć krwawego kaszlu umierającego, i jednocześnie starł się z ostatnim przeciwnikiem. Ten

był lepszy, szybszy, trudniejszy do pokonania. Tak jak poprzedni miał kordelas i tak jak poprzedni zaczął od cięcia, które Ethan sparował, zadając jeszcze dwa ciosy, zanim ostatecznie trafił.

Inni robotnicy byli coraz bliżej, ale Ethan dotarł do konstrukcji pierwszy, nie dbając o właściwe schody i zbiegając po drewnianych wspornikach, aż jego buty dotknęły desek prowizorycznego peronu, gdzie widniał unieruchomiony pociąg. Na pierwszy rzut oka nie było w nim nic dziwnego.

Wtedy poczuł, jak rusza się ziemia. Dudnienie. Ruch był wyraźny. Wystarczająco silny, by zachwiać się na nogach. Belki z dachu nieukończonego tunelu zaczęły lecieć na ziemię.

Wewnątrz wagonu Duch patrzył, jak Cavanagh wygina i łamie laskę, ściągając kulę z trzonu, który odrzucił na bok. Uśmiechnięty, triumfujący dyrektor uniósł artefakt, by mu się przyjrzeć. Chciwy wzrok przesunął się z kuli na Ducha; dwa zbiry wytrzeszczyły oczy i nawet Duch poczuł drżenie czegoś nieokreślonego w powietrzu, tak jakby artefakt znalazł swoich wyznawców i ukazywał im się w pełnej krasie. Pomyślał o pokazach świąteł, nieskończonej wiedzy i pojmowaniu, a potem ujrzał śmierć i zniszczenie, i wielkie eksplozje na polach bitew, i zastanawiał się, co pomógł rozpętać. Jego zadaniem było zdobyć artefakt. A przynajmniej nie pozwolić, by wpadł w ręce wroga. Poniósł klęskę.

– Czujecie to? – mówił Cavanagh.

Kula zdawała się jaśnieć w jego dłoni i jeśli nie była to zbiorowa halucynacja, czuli to wszyscy.

Artefakt buczał.

Nagle drzwi do drugiego wagonu rozwarły się na oścież i znów pojawił się Marchant, który trzasnął drzwiami, odcinając ich od pani Pearson, niczego nieświadomej pani Pearson, która niewątpliwie zastanawiała się, kiedy będą wysiadać.

– Ethan Frye tu idzie – powiedział zdyszany Marchant.

Fale energii, którą zdawała się emanować kula, natychmiast przybrały na sile.

– Co? – zapytał Cavanagh.

– Pani Pearson chciała, żeby ją wypuścić, więc otworzyłem drzwi i zobaczyłem Ethana Frye’a na szczycie schodów.

– Widział cię?

– Był plecami. Był odwrócony plecami do...

Drzwi do wagonu się otworzyły. Jednocześnie szybki jak błyskawica Cavanagh obrócił się i rzucił nożem, a od drzwi dobiegł ich krótki krzyk.

„Ethan”, pomyślał Duch. Ale to ciało maszynisty wpadło do wagonu.

Wszyscy to poczuli. Ziemia zdawała się ruszać. Dało się słyszeć wyraźne dudnienie i Cavanagh spojrzął na trzymany przez siebie przedmiot, skupiając na nim straszliwe, pijane władzą spojrzenie. I czy Duchowi się tylko wydawało, czy artefakt zaczął świecić jaśniej – niemal chełpliwie. „Patrzcie na mnie. Patrzcie, co potrafię”.

I wtedy świat się zawalił.

Osunięcie gruntu dotknęło skarp wykopu. I chociaż tunel wytrzymał, prowizoryczny dach zerwał się i spadł z łoskotem, rozbijając się o znajdujący się pod nim wagon. Dach pociągu popękał i ugiął się, obsypując pasażerów gradem odłamków, co dało Duchowi tak potrzebną szansę. Wyrwał się zbirom.

– Ethan! – zawołał i wypadł przez drzwi do sąsiedniego wagonu, gdzie siedziała przerażona pani Pearson, wrzeszcząc i trzymając ręce nad głową; na widok Ducha wrzasnęła jeszcze głośniej.

Szarpnął za klamkę i otworzył drzwi na zewnątrz, wyskoczył na peron i niemal wpadł na Ethana Frye’a.

– Zabić go – zawołał Cavanagh głosem, który zabrzmiał, jakby dobiegał z samej otchłani piekieł. – Zabić ich obu.

Dwaj członkowie „kompanii karnej” wypadli przez drzwi wagonu, blokując im drogę naprzód, podczas gdy nadbiegający robotnicy kolejowi zamknęli ich od tyłu. Hardy Drugi sięgnął do kieszeni surduta i w jego dłoni znalazł się rewolwer, który wymierzył w Ducha.

Duch starł się z nim bez wahania. Żałował, że nie ma noża, ale zadowolili się stwardniałą krawędzią swojej bosej stopy, zrobił niemal pełny obrót w wyskoku, wybijając Hardy’emu Drugiemu rewolwer jednym kopnięciem, a potem odrzucając jego głowę do tyłu uderzeniem drugiej stopy w podbródek.

Rewolwer poszybował i obaj walczący padli na deski, ale Duch zareagował wcześniej, tym razem kopiąc mężczyznę od dołu w podbródek, i usłyszał chrzęst oznaczający, że zbir był albo martwy, albo znokautowany. Duch specjalnie się tym nie przejął.

Tymczasem Ethan miał przyjemność spędzić czas w towarzystwie Smitha.

Drugi zbir wyciągnął szkocki dirk o długim ostrzu i ruszył naprzód, tnąc na chybił trafił, bez najmniejszych szans, by pokonać asasyna. Jak można się było spodziewać, Ethan sprytnie odszedł w bok i poczuł krzepiące łaskotanie mechanizmu na przedramieniu, gdy ostrze się wysunęło, a potem wbiło w szyję przeciwnika.

Nagle poczuli, jakby trzęsienie ziemi przybrało na sile, a jednocześnie Cavanagh wyszedł z wagonu na peron. Jego nóż wciąż tkwił w ciele maszynisty, ale teraz nie był mu potrzebny. Teraz miał artefakt. Ten świecił i zdawało się, że pulsuje w rytmie wstrząsów.

Dwadzieścia stóp od niego Ethan i Duch wymienili pełne niepokoju spojrzenia, podczas gdy Cavanagh trzymał artefakt przed sobą, jakby składał go w ofierze bogom... Rozległ się głośny jęk pękającego drewna, a potem dach zaczął się coraz bardziej zapadać. Gdzieś daleko, na górze, słychać było krzyki widzów, przerażonych trzęsieniem ziemi. Twarz trzymającego świecący artefakt rozdarł szalony uśmiech, jego oczy się zmieniły. Cavanagh przez całe życie zabijający w sobie człowieczeństwo na rzecz ambicji i zepsucia, teraz jego resztki uśmiercił ostatecznie.

Nie zauważył, że przysuwa się do niego Marchant.

Nie widział, że Marchant wyciągnął nóż z perłową rękojeścią z ciała maszynisty.

– Crawford Starrick przesyła pozdrowienia – zawołał kancelista, przekrzykując łoskot walącego się wokół szybu, a potem wbił nóż pod pachę Cavanagha.

Oczy dyrektora rozszerzyły się od bólu, szoku i niezrozumienia tego niespodziewanego obrotu wydarzeń. Rytmiczne pulsowanie artefaktu od razu ustało, a Cavanagh padł na kolana i przód jego garnituru pociemniał od krwi. Przeniósł wzrok z Marchanta na dwóch asasynów, potem padł twarzą naprzód. I być może w tej ostatniej chwili wróciło coś z jego prawdziwego ja, dość, by pomyśleć o całym złu, które wyrządził, i gdy opuszczał ten świat, dławiąc się, gdy tonęły mu płuca, aż wreszcie utopił się we własnej krwi,

Duch miał nadzieję, że bezimienny sipaj czekał na niego w piekle.

Na peronie za nimi zaroilo się od robotników i Marchant chwycił artefakt – a Ethan Frye rzucił się naprzód, by mu go odebrać, lecz wszystko to wydarzyło się o ułamek sekundy, zanim od spadającego kawałka drewna eksplodował zbiornik z gazem na dachu pociągu i nowiutki zamknięty wagon Kolei Metropolitarniej stanął w płomieniach.

Ethan i Duch ukryli się w tunelu. Za nimi było pandemonium ognia, łoskotu, a po chwili, kiedy następstwa wybuchu przygasły, usłyszeli, jak Marchant krzyczy do robotników:

– Łapać ich! Dorwać ich!

Zerwali się na nogi i skierowali na zachód, z powrotem w stronę Paddington.

– Muszę ci coś powiedzieć – powiedział Ethan w biegu.

Pędzili pomiędzy szynami kolejowymi w całkowitej ciemności, a wyostrzone zmysły prowadziły ich wzdłuż tunelu na tyle szybko, na ile starczało im odwagi, aż wreszcie znaleźli się pod upustem pary przy Leinster Gardens, gdzie podciągając się na rękach, wydostali się na górę w bezpieczne miejsce. Jak można się było spodziewać, grupa robotników przebiegła pod nimi. Nawet nie spojrzeli w górę.

Przez chwilę panowało milczenie; obaj uciekinierzy bezskutecznie próbowali zrozumieć, co się właśnie wydarzyło.

– Co musisz mi powiedzieć? – zapytał Duch, łapiąc oddech i bojąc się tego, co usłyszy.

Ethan westchnął.

– To wszystko moja wina – powiedział. – Dostałem ostrzeżenie.

– Jak to „ostrzeżenie”?

Ethan opowiedział Duchowi o Ajayu i patrzył, jak twarz chłopaka wykrzywia smutek.

– Jak mogłeś? – powiedział wreszcie Duch.

Ethan był zdruzgotany.

– Myślałem, że tak będzie najlepiej.

– Źle myślałeś.

Znów zapadła cisza, przerwana przez Ethana, który powiedział łagodnie:

– Czy tylko ja popełniłem błąd? Jak udało im się ciebie zidentyfikować, Jayadeep?

Duch posłał mu wściekłe spojrzenie.

– Wszystko, co zrobiłem, brało się z chęci pomocy ludziom. Czy to nie jest właściwa droga? Czy to nie jest droga asasynów?

– Jest. Ale jeśli usprawiedliwiasz się z tego powodu, to mnie również należy się usprawiedliwienie, bo to, co zrobiłem, zrobiłem dla dobra *wszystkich* ludzi.

– Byłeś opętany przez artefakt tak samo jak on.

– Jeśli to prawda, to byłem też opętany pragnieniem, by nie wpadł w złe ręce, i teraz, gdy zobaczyłem jego działanie, wiem, że miałem rację.

Duch spodziewał się pokazu świateł i artefaktu będącego pięknym talizmanem. Zamiast tego był świadkiem czegoś zupełnie innego.

– Cóż, teraz jest w złych rękach – powiedział.

– Nie na długo.

Z dołu dobiegło wołanie.

– Chodźcie, chłopaki. Mamy iść do tunelu.

– Niedługo będzie można ruszać – powiedział Ethan, z frustracji bębniąc rękami o ziemię. – Ale artefakt pewnie jest już w połowie drogi do Starricka.

Duch nie słuchał. Niech Ethan szaleje na punkcie artefaktu. Ducha już to nie obchodziło. Myślał o rozkazie, który właśnie słyszeli. „Tunel”. Templariusze wiedzieli o Maggie – wiedzieli, że przez nią prowadziła droga do niego, a przez niego do Ethana, i może samo zdobycie artefaktu im nie wystarczało. Chcieli też zmiażdżyć asasynów.

– Muszę iść do Maggie.

– Muszę zdobyć artefakt – powiedział Ethan. – Dyktuje mi to sumienie, podobnie jak twoje mówi ci, że musisz iść do tunelu.

– Więc powinieneś ruszać po swój cenny artefakt – powiedział Duch i wstał.

Między Leinster Gardens a tunelem pod Tamizą było jakieś sześć mil, a do tego ludzie templariuszy mieli przewagę i jechali powozem; Duch był jednak szybki i zdeterminowany i dobrze znał trasę, dzięki czemu dotarł na miejsce w godzinę.

Mimo to był spóźniony. Powozy stały już wokół ośmiokątnego marmurowego holu wejściowego do tunelu. Postacie kłębiły się dookoła, niektóre z zapalonymi pochodniami i latarniami. Zobaczył biegających ludzi, usłyszał krzyki i dźwięki uderzeń pałką i odpowiadające im wrzaski. Mieszkańcy tunelu byli przyzwyczajeni do tego, że ktoś dokonywał na ich schronienie inwazji, ale nie z taką brutalnością, nie z taką zaciętością i w jasno określonym celu.

Jaki to był cel?

Porwać Maggie.

Ale on nie zamierzał im na to pozwolić. Tym razem nie zawiedzie.

Dookoła panował chaos, ale przez tłum ludzi Duch zobaczył Hardy'ego Drugiego. Ostatni pozostały przy życiu członek „kompanii karnej” stał przy powozie z rewolwerem w jednej ręce, drugą trzymał się za zranioną twarz, wykrzykując rozkazy.

– Dawać tu tę kobietę, dawać tu starą.

Nie było śladu Marchanta i Duch pomyślał, że Ethan pewnie miał rację: artefakt był w drodze do Crawforda Starricka. „Powodzenia, Ethan. Dokonałeś wyboru”.

Duch przebiegł obok bijących się na zewnątrz ludzi i wpadł do ośmiokątnego holu. Przy stróżówce walki były najbardziej zajadłe. Zobaczył siwe włosy Maggie w kłębowisku ciał, z których jedne należały do mieszkańców tunelu, a inne do zbirów. Krzyczała i głośno klęła, podczas gdy najemnicy templariuszy próbowali przeciągnąć ją przez bramkę. Ludzie z tunelu starali się ją uratować, ale nie byli uzbrojeni. Pałki i noże templariuszy wznosiły się i opadały, a okrzyki sprzeciwu zamieniały się we wrzaski bólu odbijające się echem od ścian i okien. Duchowi wydało się, że gdzieś w tej wielkiej masie ludzi widzi detektywa Hazlewooda, ale potem

jego twarz zniknęła. Sekundę później zdał sobie sprawę, że ponaglące okrzyki Hardy'ego Drugiego ustały, a potem usłyszał za sobą głos mówiący:

– Ty mały draniu...

Hardy Drugi był praworęczny. Rewolwer Webley trzymał właśnie w tej ręce.

Duch wziął to pod uwagę, jednocześnie schylił się i obrócił, wchodząc pod tę rękę Hardy'ego, która trzymała broń, i z zadowoleniem usłyszał, jak pocisk przecina powietrze dobre sześć cali od jego głowy. Ktoś wrzasnął. Jeden ze zbirów templariuszy padł. „O jednego mniej”, pomyślał Duch, łamiąc Hardy'emu rękę, sięgając po wiszący u jego pasa dirk, a potem wbijając mu go w pierś.

Hardy Drugi zbliżył się do niego i ich twarze znalazły się ledwie o kilka cali od siebie, gdy Duch zobaczył, jak światło życia gaśnie w oczach tamtego – i ogarnęło go coś, co w połowie było mdłościami, a w połowie rozpaczą, wielka pustka wewnętrzna, gdy odebrał mu życie.

Zobaczyła go Maggie.

– Bharat! – wrzasnęła z epicentrum bijatyki przy bramce i zbiry odwróciły się plecami do zamieszania, zobaczyły Ducha stojącego nad ich szefem, który osuwał się bez życia na mozaikową posadzkę, i ruszyli do ataku.

Duch przerzucił nóż z jednej ręki do drugiej, dezorientując osiłka, który szedł przodem. Odważny człowiek. Głupi człowiek. Zginął w kilka sekund i teraz Duch miał dwa noże, dirk i kordelas, i użył ich obu, by rozpruć gardło drugiego napastnika, potem obrócił się, dźgając na odlew kordelasem i otwierając jamę brzuszną trzeciego. Był specjalistą od szermierki, wprawionym w zadawaniu śmierci. Nie czerpał z tego przyjemności. Po prostu był w tym dobry.

Tymczasem Maggie została odbita przez mieszkańców tunelu i zabrana z powrotem do azylu, jaki dawały schody. Najemnicy templariuszy zdawali się już rozumieć, że gra skończona; może ujrawszy, jak trzech ich towarzysze polegali tak szybko z ręki bosego Hindusa, uznali, że dyskretna ewakuacja

będzie lepsza od męstwa; a może śmierć Hardy’ego Drugiego odebrała im resztki bojowego ducha, bo podniosły się okrzyki:

– Pora wracać, chłopaki, pora wracać.

Walki ustały, a zbiry opuściły budynek i skierowały się do swoich powozów. W ciągu kilku chwil wejście do tunelu opustoszało i atak się zakończył.

Duch stał, łapiąc powietrze. Wypuścił dirk i kordelas, które spadły na posadzkę z głośnym brzękiem, a ten rozszedł się echem po całej sali, a potem ruszył w stronę bramki, przeszedł górą i skierował się na dół, do swojego legowiska.

Rotunda była pełna ludzi, którzy wiwatowali na jego cześć, kiedy schodził.

– Maggie? – zapytał znajomą kobietę, która wskazała tunel.

– Zabrali ją w bezpieczne miejsce – powiedziała, a potem skradła mu całusa i poklepała po plecach.

Mieszkańcy tunelu wciąż wiwatowali, gdy szedł przez rotundę i wkraczał do właściwego tunelu, zostawiając ścisk, szok i podniecenie bitwą za sobą.

Podjął już decyzję, że przestanie być członkiem Bractwa; nie odezwie się też więcej do Ethana Frye’a. Niech asasyni i templariusze biją się między sobą. On zostanie tutaj, ze swoimi ludźmi. Tu było jego miejsce.

Przyszło mu coś do głowy. „Zabrali ją w bezpieczne miejsce”.

Kto zabrał ją w bezpieczne miejsce?

Przypomniał sobie, że widział wśród walczących twarz prywatnego detektywa. Zaczął biec.

– Maggie! – krzyknął, pędząc przez tunel do ich wspólnego legowiska, gdzie doglądała ognia, rozlewała zupę i przyjmowała należne jej jako tunelowej matce dowody miłości.

Leżała na ziemi. Ten, kto ją zabił, pchnął ją wiele razy, rozrywając jej koszulę na strzępy. Jej siwe włosy czarownicy były upstrzone krwią. Jej oczy, tak często rozpalone od furii, radości i pasji, były matowe i martwe.

Przypięli jej do piersi karteczkę. „Uznajemy dług za spłacony”.

Duch opadł na kolana i przytulił Maggie. Położył jej głowę na swoich kolanach i mieszkańcy tunelu usłyszeli, jak wykrzykuje swój żal i rozpacz.

CZEŚĆ III. Bunt metropolii

Czując ziąb, wilgoć i przyływ melancholii, asasyn George Westhouse dygotał, stojąc przy jednym z torów bocznic w Croydon. Czy całun zmęczenia zawisł nad całą Anglią? Czy wisiał tylko nad nim? „Zanosi się na burzę”, pomyślał. „Dosłownie i w przenośni”.

Był luty 1868 roku, pięć lat po nieszczęsnych wypadkach na Kolei Metropolitalnej. On sam, Ethan Frye i Duch wycofali się po nich w niesławie: Duch do swojej kryjówki w tunelu pod Tamizą, zamknął się w więzieniu żalu i poczucia winy. Ethan zajął się wychowaniem następnego pokolenia ruchu asasynów, które nie będzie obciążone rozczarowaniem i klęską, które zatrwały generację ich rodziców. Nowe pokolenie, ambitne i entuzjastyczne, z nowym sposobem działania. Sam George zaszył się w Croydon, gotując się na najgorsze.

„Jaka szkoda”, pomyślał George, „że Ethan nigdy nie ujrzy go w akcji”.

Ethan miał zaledwie czterdzieści trzy lata, kiedy umarł kilka tygodni temu; długo wcześniej chorował na zapalenie opłucnej. Przez wiele godzin spędzonych przy łóżku Ethana George patrzył, jak jego stary przyjaciel usycha niczym owoc na gałęzi.

– Znajdź artefakt, George – nalegał Ethan. – Wyślij po niego Evie i Jacoba. Przyszłość Londynu leży teraz w ich rękach. Bliźnięta, ty i Henry, zostaliście tylko wy.

– Cicho, Ethan – powiedział George i oparł się na krzesło, by ukryć szczypiące go w oczy łzy. – Będiesz tu, by nas poprowadzić. Jesteś niezłomny, Ethan. Niezniszczalny jak jeden z tych piekielnych pociągów, które dzień i noc przetaczają się przez Croydon.

– Mam nadzieję, George. Naprawdę mam taką nadzieję.

– Poza tym Rada nie zatwierdziła żadnych operacji w tym rejonie.

Uważają, że jesteśmy zbyt słabi.

– Wiem lepiej od każdej Rady, kiedy będziemy gotowi, i teraz jesteśmy. Henry zapewni wsparcie, Jacob i Evie będą działać.

– Cóż, w takim razie lepiej się pośpiesz i wyzdrowiej, wtedy sam poinformujesz Radę, nieprawdaż? – George łątał go łagodnie.

– Tak zrobię, George, tak zrobię...

Ale Ethan zaczął kasłać tak mocno, że muslinowa szmatka, którą przyłożył do ust, pokryła się plamkami krwi.

– Byliśmy tak blisko, George – powiedział innym razem. Był teraz jeszcze słabszy, słabł z każdym dniem. – Artefakt był o kilka kroków ode mnie, odległość była taka jak między tobą a mną. Prawie go miałem.

– Zrobiłeś, co mogłeś.

– Widać za mało mogłem, bo operacja zakończyła się fiaskiem, George. Przeprowadziłem nieudaną operację.

– Pojawiły się okoliczności, na które nie miałeś wpływu.

– Zawiodłem Ducha.

– On też popełnił błędy. Nie mam pojęcia, czy to przyznał; nie potrafię też stwierdzić, czy jego błędy wpłynęły na fiasko operacji. Ale faktem jest, że się nie udało. Teraz musimy się skupić na przeorganizowaniu.

Ethan obrócił głowę, by spojrzeć na Georga, i ten z trudem powstrzymał się przed wzdrygnięciem. Prawda, osiągnięcia Ethana jako asasyna nigdy nie dorównają wyczynom Altaïra, Ezia czy Edwarda Kenwaya, ale mimo wszystko był chlubą Bractwa i był człowiekiem, który nawet pogrążony w melancholii emanował chęcią życia. Sprawiał wrażenie kogoś wewnątrznie skonfliktowanego, kto miota się raz w jedną, raz w drugą stronę, ale nigdy nie spoczywa na laurach, zawsze idzie naprzód.

Jednak teraz skóra, która kiedyś jaśniała życiem, była blada i ściągnięta, oczy, w których płonęła pasja, zapadły się i zmatowiały. Ethan nie miał już w sobie chęci życia; szedł długą drogą w stronę śmierci.

Najpierw zapadł na grypę; potem, kiedy zdawało się, że choroba minęła,

pojawiły się bóle w piersi i nieustający suchy kaszel. Kiedy zaczął kasłać krwią, lekarz, którego wezwano, zdiagnozował zapalenie opłucnej. „Benjamin Franklin umarł na zapalenie opłucnej”, powiedział lekarz flegmatycznie. „William Wordsworth też”.

Mimo to lekarz zapewnił rodzinę, że to tylko infekcja i jeśli pacjent będzie leżał w łóżku, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że choroba ustąpi. Mnóstwo pacjentów wyszło z zapalenia opłucnej.

Tylko nie Benjamin Franklin czy William Wordsworth, to wszystko.

I jak się okazało, nie asasyn Ethan Frye. Każdego dnia choroba zdawała się odciskać swoje piętno jeszcze mocniej i strasznie było słuchać jego kaszlu, chrzęszczącego grzechotu wydobywającego się z głębi płuc, które nie funkcjonowały już, jak powinny. Było go słychać w całym domu. Ethan przeniósł się do pokoju na poddaszu,

– Nie chcę być ciężarem dla bliźniaków, kiedy jestem chory – mówił.

Ale jego kaszel niósł się schodami na dół, gdzie brat i siostra dzielili się swoim zatroskaniem, zagryzając usta, spuszczać wzrok i wymieniając spojrzenia, czerpiąc siły od siebie nawzajem. W pewnym sensie straszną historię postępującej choroby ojca można było opisać poprzez reakcje jego dzieci: wywracanie oczu, kiedy zaczął chorować, tak jakby przerysowywał swoje dolegliwości, żeby musiały go obsługiwać, potem zmartwione spojrzenia, kiedy stało się przerażająco pewne, że nie wyjdzie z tego w ciągu najbliższych dni, a nawet tygodni. Później nastąpił czas, kiedy wzdrygali się, słysząc odgłos jego kaszlu, a ich oczy napęśniały się łzami; w ostatnim okresie wyglądali, jakby chcieli, żeby to wszystko się już skończyło, żeby cierpienia ich ojca mogły się skończyć.

Ograniczył ich wędrówki do swojej sypialni. Chcieli być u jego boku dzień i noc, tak jak i on kiedyś siedział przy swojej ukochanej żonie Cecily. Może właśnie tamto doświadczenie przekonało go, że łoże boleści ukochanej osoby nie jest miejscem, przy którym należy spędzać cały swój czas.

Niekiedy jednak, gdy czuł się nieco lepiej, wzywał ich do swojego pokoju,

mówił, żeby zmazali z twarzy te zmartwione miny (bo nie był jeszcze martwy, do cholery), a potem wydawał im instrukcje, jak mieli stać się nową awangardą oporu przeciwko templariuszom. Powiadomił ich, że napisał do Rady i poprosił o zgodę, by posłać bliźnięta do akcji, gdy tylko nadejdzie czas.

Ethan wiedział, że ma mało czasu. Wiedział, że niedługo opuści ten świat. Był jak szachista ustawiający swoje figury na pozycjach, gotowy do ostatecznego ataku, którym już nie pokieruje. Ale chciał, żeby wszystko było na swoim miejscu.

Może to był jego sposób na odkupienie.

Doprowadzał go do furii fakt, że Rada odmówiła mu udzielenia swojego błogosławieństwa; w istocie Rada wstrzymała się z jakąkolwiek decyzją o działaniach w Londynie do czasu, aż potwierdzą się informacje, że sytuacja do tego dojrzała. Pat.

Któregoś wieczora odwiedził go George. Jak zwykle rozmawiali przez jakiś czas, a potem przyjemne ciepło poddasza ukołysało George'a do snu. Obudził się przestraszony, jakby szósty zmysł szturchnął go, by wrócił do świadomości, i zobaczył, że Ethan leży na boku z rękami na piersi, zamkniętymi oczami i otwartymi ustami, z których na przepoconą pościel ciekła cienka strużka krwi.

Z niewyobrażalnie ciężkim sercem George podszedł do ciała, układając je na łóżku, podciągając Ethanowi kołdrę pod brodę i ocierając chusteczką usta z krwi.

– Przepraszam, Ethan – powiedział. – Przepraszam, że zasnąłem, kiedy powinienem być na posterunku i pomóc ci przejść na tamten świat.

Zakradł się po cichu na dół. Znalazł bliźnięta w kuchni. Evie i Jacob zaczęli nosić swoje stroje asasynów, tak jakby potwierdzając, że to oni przejmą teraz pałeczkę, i oboje mieli je na sobie tamtej nocy, siedząc z kapturem na głowach przy pustym stole kuchennym z migoczącą pomiędzy nimi świeczką, w tym pozbawionym słów smutnym dialogu, w którym byli

pogrążeni od wielu tygodni.

Trzymali się za ręce, jak zauważył, i spoglądali na siebie nawzajem spod kapturów, i być może już wiedzieli, być może poczuli tę samą energię, która zbudziła George'a ze snu. Bo przenieśli na niego wzrok, kiedy stanął w drzwiach kuchni, i w ich oczach była ta straszna wiedza, że ich ojciec nie żyje.

Nie wypowiedziano ani słowa. George po prostu posiedział z nimi, a potem, o świcie, wrócił do domu, by zająć się powiadomieniem Rady, że jeden z braci odszedł.

Do domu wysłano kondolencje, ale zgodnie z tradycją asasynów pogrzeb był cichym, niewyróżniającym się wydarzeniem, na którym pojawili się jedynie George, Evie i Jacob – tylko trzech żałobników i ksiądz, który odprowadził Ethana do grobu. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz.

Przez jakiś czas egzystowali w stanie zawieszenia. Dopóki do George'a nie dotarła wiadomość, że artefakt z metra był blisko. Nie miał czasu, by prosić Radę o zatwierdzenie operacji jego zdobycia; prawdopodobnie i tak zażądałoby więcej informacji. A on wiedział dokładnie, jakie było życzenie Ethana. Jego przyjaciel przekazał mu je przed śmiercią.

Evie i Jacob byli gotowi. Wejdą do akcji.

George spotkał się z bliźniętami po raz pierwszy od pogrzebu ich ojca. Miało to miejsce na bocznicy w Croydon, należącej do firmy Ferris Ironworks, w mrocznym świetle buchających dymem parowozów, pobrzękujących wagonów i jęczących żałośnie hamulców.

Jak zawsze uderzyła go ich uroda: Jacob miał charyzmę ojca, te same oczy, które zdawały się migotać z mieszanką figlarności i zdecydowania; za to Evie była lustrzanym odbiciem matki. Była może nawet piękniejsza. Miała władczy podbródek, upstrzone piegami policzki, piękne, przenikliwe oczy i pełne usta, które zdecydowanie zbyt rzadko rozchylały się w szerokim uśmiechu.

Jacob miał na głowie cylinder. Kaptur Evie spoczywał na jej ramionach. Ich stroje były swobodne, ale w odpowiednich miejscach dopasowane: długie płaszcze spięte paskiem, do tego dyskretnie opancerzone kamizelki oraz buty z cichymi podeszwami i subtelnie wzmocnionymi stałą czubkami. Na rękach mieli rękawice z ukrytym ostrzem, w którego używaniu byli świetni (według Ethana, Evie mogła być nawet bardziej biegła od Ethana), palce obejmowały im stalowe ochraniacze, które służyły jednocześnie za kastet.

W powietrzu czuć było nadciągającą burzę; George patrzył, jak idą wzdłuż bocznicy do miejsca, w którym ukrył się za jednym z wagonów. Dzięki ich urodzie i strojom trudno byłoby sobie wyobrazić dwie bardziej rzucające się w oczy postacie. Ale ojciec, który sam był mistrzem kamuflażu, dobrze ich wyszkolił, całą swoją wiedzę przekazując potomstwu.

W sposobie ich powitania było coś z Ethana. George zawiadomił ich wcześniej listownie o zadaniu, ostrzegając jednocześnie, co za sobą pociąga. Przed śmiercią Ethan powiedział bliźniakom bardzo mało o Fragmentach Edenu, który był celem jego nieudanej misji w 1862 roku. W końcu nie był to

szczególnie chwalebny epizod w historii Bractwa. Wiedzieli, że to przedmiot o wyjątkowej mocy, którego nie należy lekceważyć. Poza tym niewiele dało się powiedzieć przed rozpoczęciem misji.

To miał być ich chrzest bojowy.

Przykucnęli. Jacob, w cylindrze wciśniętym na głowę pod swoim zwykłym zawadiackim kątem, był bardziej zuchwały, bardziej nieokrzesany, niecierpliwy, a kiedy mówił, to warkotliwym językiem ulicy. Evie była bardziej wnikliwa i ocytana. Pozorna łagodność kryła stalowe wnętrze.

– Stąd rusza transport żelaza – powiedział George, wskazując fabrykę. – Templariuszem, który tym zarządza, jest Rupert Ferris, nasz pierwszy cel. Numerem dwa jest Sir David Brewster, który trzyma łapę na naszym świecełku. Poradzicie sobie?

Brat i siostra byli młodzi, pełni zapału i nieustraszeni, a być może, pomyślał George, odwracając się, by zobaczyć, że oboje wspięli się już na szczyt wagonu, okażą się też sprytni.

– Panie i panowie – powiedział z uśmiechem. – Oto niepokonane rodzeństwo Frye. Do zobaczenia co wieczór w Covent Garden.

Evie rzuciła mu spojrzenie typu: „Nie martw się”.

– George, naprawdę przestudiowałam plan laboratorium i znam każdą trasę.

– A ja wszystko, czego potrzebuję, mam tutaj – powiedział Jacob, wysuwając ostrze.

Odwrócił się, słysząc gwizd pociągu.

– Jacob... – powiedział George.

– Przekażę twoje pozdrowienia Ferrisowi – odparł tamten. Razem z Evie patrzyli, jak pociąg toczy się po bocznicy w ich kierunku. Przykucnęli na dachu własnego wagonu, gotowi, by wyskoczyć.

– Evie... – powiedział George ostrzegawczo.

– Pogawędzimy później, George, nadjeżdża nasz pociąg – powiedziała Evie, a potem oboje skoczyli, lądując bezszelestnie i z gracją drapieźnych kotów na dachu przejeżdżającego pociągu. Pomachali George’owi i misja się

rozpoczęła.

– Niech Credo was prowadzi, wędrowcy – zawołał do nich George, ale nie sądził, żeby mogli to usłyszeć. Zamiast tego patrzył na nich z dziwną mieszaniną emocji: zazdrością o ich młodość, wdzięk i zmysł równowagi oraz obawą, że Ethan jednak się mylił, że te bliźniaki nie były jeszcze gotowe do walki. Nie do operacji o takiej skali.

Ale przede wszystkim miał nadzieję – nadzieję, że tych dwoje niezwykłych młodych asasynów zdoła odwrócić bieg wydarzeń.

– Biedaczysko, jeszcze bardziej przestraszony niż zwykle. Czas nie obszedł się z nim łaskawie – powiedziała Evie do Jacoba, przekrzykując ryk parowozu.

George wołał do nich: „Niech Credo was prowadzi, wędrowcy”, ale jego słowa niemal w całości zginęły w hałasie.

– Evie Frye – zbeształ ją Jacob – skąd ty to bierzesz?

– Stąd, skąd i ty, Jacob – odparła i ich oczy spotkały się w tej wymownej wymianie spojrzeń, którą upamiętnili i uczcili swoich rodziców. Wiedzieli, że mają teraz tylko siebie.

– Baw się dobrze – powiedział Jacob.

Zbliżali się do huty żelaza, jadąc po torze, który wił się między ciemnymi budynkami fabrycznymi i wielkimi kominami wyrzucającymi dławiący dym.

Jacob jednym dobrze wyćwiczonym ruchem ściągnął z głowy cylinder, złożył go i ukrył gdzieś w fałdach płaszcza, a następnie założył kaptur. Evie zrobiła to samo. Byli gotowi.

– Nie daj się zabić – powiedziała swojemu bratu, a potem patrzyła z mimowolnie ściśniętym gardłem, jak ten kuca z rękami po bokach na dachu pociągu i rozczapierza palce.

Kiedy pociąg zrównał się z hutą i nieprzyjazne ciemne cegły gwałtownie się do nich zbliżyły, a wagon i cały pociąg przechylił się na szynach, Jacob skoczył – kolejny doskonale wykonany skok – i znalazł się na parapecie na pierwszym piętrze huty. Sekundę później był już w środku.

Patrzyła, jak się oddala. Nie będzie miała o nim wieści, aż usłyszy huk eksplozji po tym, jak ucieknie z huty zbryzgany krwią Ruperta Ferrisa. Na razie jednak przyklękała na jedno kolano, dłonie w rękawiczkach opierając na dachu wagonu; pęd powietrza szarpał jej kaptur, podczas gdy pociąg

przejeżdżał przez obrzeża Croydon do stacji załadunkowej położonej nieco dalej. Według planów przesłanych im przez George'a, było tam laboratorium, w którym trzymano artefakt; jeśli informacje George'a były prawdziwe, pracował nad nim Sir David Brewster. Co wiedziała o artefakcie? Były oczywiście informacje pochodzące ze starożytnych zwojów, ale zwoje cechowała pewna niejednoznaczność. Jej ojciec jednak faktycznie widział go w akcji. Mówił, że artefakt świecił, i zdawało się, że żywił się wewnętrzną energią człowieka, który go trzymał, przetwarzając coś mrocznego i pierwotnego w prawdziwą niszczycielską siłę.

– Nie rób takiej miny, Evie – dodał wtedy z odrobiną złości. – To nie jest coś, co należy podziwiać albo czego należy pragnąć. Trzeba to traktować z największą ostrożnością jak broń, która nie może pozostać w rękach wroga.

– Tak, ojczy – powiedziała posłusznie. Ale jeśli miała być szczerą, pociąg do tego przedmiotu przeważał u niej nad poczuciem zagrożenia. Tak, należało się go bać, czuć wobec niego respekt. Ale mimo wszystko...

Port, do którego zmierzał pociąg, stał się jeszcze lepiej widoczny na horyzoncie, więc odwróciła się i przeszła bokiem wzdłuż dachu pociągu, aż dotarła do luku. Jej palce podważyły i podniosły klapę wjazdu i chwilę później Evie wskoczyła do wnętrza wagonu. Ściągnęła kaptur, zdmuchnęła kosmyk włosów z twarzy i rozejrzała się dookoła.

Stała między skrzyniami, wszystkie były oznaczone napisem STARRICK INDUSTRIES.

Crawford Starrick. Sam dźwięk jego nazwiska wprowadzał jej ojca w bolesną zadumę. Był Wielkim Mistrzem Templariuszy, człowiekiem, którego Jacob i ona przyrzekli obalić. Nieważne, co mówił George. Nieważne, czy zatwierdzi to Rada – bliźniaki uznały, że najlepiej wykonają testament ojca, usuwając Crawforda Starricka z jego stanowiska; zdobycie artefaktu, likwidacja jego przybocznych, pokrzyżowanie planów biznesowych – wszystko to były kroki na drodze prowadzącej do śmierci i hańby Crawforda Starricka.

Właśnie wtedy drzwi wagonu się otworzyły i Evie skryła się za skrzyniami. Wszedł jakiś mężczyzna: był tylko sylwetką w ciemności, stojącą niepewnie w otwartych drzwiach. „Przysadzisty”, pomyślała, i jej wrażenie zostało potwierdzone, gdy rozbłysła hubka i mężczyzna podniósł zapaloną latarnię, by rozejrzeć się w ciemności.

– Gdzie to jest? – zapytał przez ramię, zwracając się do niewidocznych towarzyszy. – Gdzie jest dostawa Brewstera?

To było nazwisko, które rozpoznała. Brewster. Przykucnęła w cieniu i czekała. Ten człowiek będzie jej pierwszym. Pierwsze prawdziwe zabójstwo. Obróciła nadgarstek, czując na przedramieniu dodający otuchy ciężar mechanizmu w rękawicy, płynny i cichy ruch poszczególnych segmentów. Powiedziała sobie w duchu, że była do tego szkolona. Jednocześnie przypomniała sobie to, co zawsze mówił jej ojciec – że nie ma takiego szkolenia, które przygotuje cię do odebrania człowiekowi życia. „Odebrania mu wszystkiego, czym kiedykolwiek był i kiedykolwiek będzie, by pozostawić jego rodzinę w żałobie, wywołać falę smutku i goryczy oraz prawdopodobnie zemsty i oskarżeń, co może wracać echem przez stulecia”.

Jej ojciec wiedział, że można było być gotowym i *gotowym*.

I Evie była gotowa, ale czy była naprawdę *gotowa*?

Musiła być. Nie miała wyboru.

Mężczyzna wyzywał towarzysza od tchórzy. Schowana za skrzynią Evie poprawiła kaptur, pozwalając, by materiał ułożył jej się na głowie, czerpiąc siłę i pociechę z symboliki tego gestu, a potem wysunęła ostrze.

Była teraz gotowa i cicho gwizdnęła.

– Kto tam? – zapytał facet, podnosząc latarnię nieco wyżej i robiąc dwa kroki w głąb wagonu. Zrównał się z Evie i ta wstrzymała oddech, czekając na odpowiedni moment. Jej oczy podążyły od końca ostrza do punktu tuż za uchem strażnika, w które zaraz się wbije, przesywając czaszkę aż do mózgu. Błyskawiczna, bezbolesna śmierć...

Ale jednak śmierć. Opierała już ciężar ciała na śródstopiu, obcasy jej butów

podniosły się z desek wagonu, utrzymywała równowagę z jedną ręką na podłodze i drugą z ostrzem przygotowanym do ciosu. Jest jej wrogiem, powtarzała sobie w duchu. Człowiekiem stojącym u boku tych, którzy ich prześladowali, dążyli do despotyzmu, nie podzielali ich wartości.

I być może ten człowiek nie zasłużył, by zginąć. Ale zginie w służbie sprawie, która była ważniejsza od ich obojga.

I z tą myślą wyskoczyła w górę ze swojej kryjówki i ostrze trafiło w cel, a ofiara wydała niemal niesłyszalny dźwięk, ostatnie chrypięcie, a potem Evie pomogła jej cicho opaść na brudną podłogę wagonu. Trzymała tego obcego człowieka, gdy umierał. „Byłeś moim pierwszym”, pomyślała i w ciszy oddała mu cześć, zamykając oczy trupowi.

„To nigdy nie jest nic osobistego”, powtarzał jej ojciec.

Ale potem dodawał: „*Prawie nigdy*”.

Położyła ciało zabitego na ziemi i zostawiła. To nic osobistego.

„Dobra”, pomyślała, gdy pociąg zatrzymywał się przy laboratorium, „potrzebuję czegoś, co odwróci ich uwagę”. Gdyby tylko udało jej się odzepić wagony...

Na zewnątrz stał drugi zbir. Przysypiał i z łatwością sobie z nim poradziła. Ojciec zawsze mawiał, że z czasem robi się łatwiej, i miał rację; jej drugi cel nie wzbudził w niej niemal żadnej refleksji. Nie kłopotowała się zamykaniem mu oczu i dobrymi myślami; zostawiła go tam, gdzie zginął, i ruszyła w stronę parowozu. W następnym wagonie musiała się kryć, by uniknąć dwóch plotkujących strażników.

– Jak Sir David dogaduje się z panną Thorne? – pytał jeden z nich.

– Wyskoczyła tu jak filip z konopi, co nie? – odpowiedział jego towarzysz.

– Stawiam pięć szylingów, że to, co się tu dzieje, nie odpowiada jej.

– W takim razie to nie najlepsze wieści dla Sir Davida.

Lucy Thorne. Eve oczywiście znała to nazwisko. A więc była z Brewsterem?

Przepuściła strażników, a potem przebiegła szybko przez ostatni wagon

w stronę sprzęgu między parowozem a resztą pociągu. Miała mało czasu; zaraz odkryją ciała ludzi, których zabiła, więc ciesząc się, że ma rękawiczki, rozstawiła szeroko nogi i sięgnęła po uchwyt sworznia. Smagana wiatrem, widząc, jak szyny przesuwają się pod jej stopami, stęknęła z wysiłku i wyszarpnęła go.

Mądrze przeszła na lokomotywę, patrząc, jak wagony zostają w tyle. Dookoła zabrzmiały okrzyki pracowników stacji dziwiących się, że wagony zostały oddzielone, i nadbiegających, by to sprawdzić. Tymczasem Evie wspięła się na dach parowozu, starając się rozejrzeć po okolicy, podczas gdy pociąg zatrzymywał się na stacji ze zgrzytem hamulców i żalonym jękiem metalu. Po jednej jej stronie połyskiwała ciemna woda zakola Tamizy, po drugiej był teren stoczni z jej żurawiami i bocznicami kolejowymi, niekończącymi się szeregami budynków biurowych i...

To rzeczywiście ciekawe.

Evie rozpląszczyła się tak, że stała się niemal niewidzialna, bo od razu zauważyła dwie postacie: Sir Davida Brewstera i Lucy Thorne. Przyglądali się zamieszaniu, które wybuchło dookoła nich, a potem odwrócili się i znów ruszyli w stronę powozu i stangreta stojących w pobliżu bramy wjazdowej.

Evie zeskoczył z parowozu, ciesząc się, że jej dywersja okazała się tak skuteczna, nie mówiąc o zadowoleniu z obecności dymu zwisającego nad terenem portu jak wieczny całun pogrzebowy. „Industrializacja ma swoje dobre strony”, pomyślała, idąc w ślad za Brewsterem i Thorne w cieniu ogrodzenia, i dobrze przyjrzała się zwierzynie, na którą polowała.

Lucy Thorne nosiła się na czarno. Czarny kapelusz, długie czarne rękawiczki i czarna krynolina oraz zapięta wysoko pod szyją suknia z turniurą. Była młoda, ale jej urodę psuł grymas niezadowolenia, który pasował do jej mrocznego stroju, i gdy tak szła, przecinając warstwy dymu, wiszącego nad słabo oświetlonym podwórzem jak hamaki nad pokładem statku, sama była jak cień. Jak uosobienie ciemności odpychającej światło.

Drobiący u jej boku Sir David Brewster był pewnie trzy razy starszy od

niej, miał nerwową twarz i długie bokobrody. Starszy od Lucy Thorne, wyglądał jednak na zdominowanego, przygniecionego przez jej mroczną aurę. Był to człowiek uznawany za wynalazcę kalejdoskopu i urządzenia znanego przez Evie jako stereoskop soczewkowy, cokolwiek to było. Nerwowy, przynajmniej w tej chwili, przytłoczony obecnością Lucy Thorne, z trudem dotrzymywał jej kroku i powiedział z rozwlekłym szkockim akcentem:

– Potrzebuję jeszcze dwóch tygodni pracy z urządzeniem.

Rozgniewana Lucy Thorne odparła:

– Pańskie wątpliwe działania zaczynają wzbudzać niepożądane zainteresowanie. Dostał pan aż nadto czasu, by uzyskać rezultaty, Sir Davidzie.

– Nie wiedziałem, że mam biegać z wywieszonym jęzorem jak cocker spaniel.

– Pozwolę sobie przypomnieć panu o pańskich zobowiązaniach wobec Zakonu.

Brewster prychnął z irytacją:

– Panno Thorne, traktuje mnie pani jak konia wyścigowego.

Kiedy doszli do powozu, stangret zdjął trójgraniasty kapelusz, ukłonił się nisko i otworzył drzwi Lucy Thorne, która pozdrowiła go władcym skinieniem głowy, siadając na swoim miejscu i poprawiając spódnicę, aż wreszcie wychyliła się przez otwarte drzwi, by odezwać się do Brewstera po raz ostatni.

– Sir Davidzie, wróć tu jutro. Jeśli do tego czasu nie rozwikła pan zagadki urządzenia, może pan zapomnieć o psach i koniach. Rzucę pana na pożarcie wilkom. Do widzenia.

I z tymi słowami specjalistka od okultyzmu Zakonu Templariuszy dała znak stangretowi, który zamknął drzwi, mrugnął impertynencko do Brewstera i zajął miejsce na koźle, by popędzić konie i wywieźć Lucy Thorne z zamętu stoczni.

Kiedy powóz odjechał, Evie patrzyła, jak osłupiały Brewster pochrząkuje, po czym jego uwagę przyciągnęła grupka mężczyzn nieopodal. Spojrzenie Evie podążyło w to samo miejsce, gdzie zobaczyła kilku strażników prowadzących przez podwórze krzykliwie ubranego mężczyznę, którego właśnie zatrzymali i który teraz głośno protestował.

– Wielmożni panowie, zaoferowano mi tylko wycieczkę po okolicy.

– Kto cię przysłał? – zapytał jeden z ludzi templariuszy.

Kolejny włączył się do rozmowy.

– To jeden ze szpiegów Greena.

Ale Brewster już do nich wołał:

– Weźcie tego człowieka na przesłuchanie. A potem chcę go mieć w laboratorium.

Evie wciąż go obserwowała. Potem przeniosła wzrok na niebo nad nimi. Było czarne od zbierających się chmur, a w powietrzu czuło się napięcie i elektryczność, burza była pewna. Widziała, że Brewster też tak pomyślał; obrócił się na pięcie i podszedł do czegoś, czego wcześniej nie zauważyła. Metalowy słup wbity w ziemię pośrodku podwórza. Może to coś w rodzaju piorunochronu? Rzuciwszy jeszcze jedno spojrzenie na zbierające się chmury, Brewster pobiegł żwawym truchtem i zniknął za drzwiami budynku, pozostawiając cały zgielek za sobą. Zaczęły spadać pierwsze krople deszczu; pracownicy wciąż próbowali na nowo doczepić wagony do parowozu, sprawdzając jednocześnie, dlaczego się odłączyły.

Sprawczyni zamieszania, Evie, tylko się uśmiechnęła, wślizgując się przez drzwi za Brewsterem i kiedy tylko to zrobiła, dało się słyszeć pierwsze uderzenie gromu, a niebo rozświetlił błysk oślepiającego białego światła.

Po wejściu do środka przylgnęła do ściany, trzymając się z dala od światła lamp i jednocześnie wysuwając ukryte ostrze. Jej oczy przesuwwały się po pomieszczeniu w taki sposób, jak była szkolona: badała przestrzeń kawałek po kawałku, identyfikując wrogów, oznaczając słabe miejsca, myśląc jak prawdziwy asasyn, którym była.

Jednak to, co tu zobaczyła, różniło się mocno od jej oczekiwań.

Spodziewała się laboratorium. Zgodnie z planami George'a Westhouse'a – tymi samymi, które studiowała w domu w Crawley – tu, gdzie teraz stała, *dokładnie w tym miejscu* powinno być laboratorium.

Nie było go jednak. Stała natomiast w parowozowni, jakimś jej przedsionku, i nie było tu śladu sprzętu laboratoryjnego. Nie było wrogów. Nie było słabych punktów do wykorzystania.

Nie było niczego.

Chociaż nie, co to? Zza drzwi naprzeciwko dobiegł krzyk i rzuciwszy szybkie spojrzenie na podwórze, gdzie mocno już padało, a robotnicy wciąż krzyczeli i wyklinali się nawzajem, Evie zamknęła drzwi wejściowe i podeszła do drugich drzwi, które były uchylone.

Stała tam przez chwilę, kontrolując oddech, i ostrożnie zajrzała do środka. Działo się tam dokładnie to, co nakazał Brewster: przesłuchanie. Ludzie templariuszy przywiązali schwytanego dandysa do krzesła i zaczęły się pytania.

Być może więzień spodziewał się, że stanie przed gentlemanem o wysokiej pozycji społecznej, który przeprosi go z całego serca za to, jak brutalnie został potraktowany przez strażników, po czym poczęstuje go w kantorku kieliszkiem brandy i cygarem, a następnie zwolni dyscyplinarnie paru ludzi. Niestety nic z tego. Został rzucony na krzesło i związany, a krępy śledczy zaczął zarzucać go pytaniami.

– Wielmożny panie – mówił – pytam tylko, czy gentleman nie może spacerować po torach.

– Jak włamałeś się do laboratorium? Wejście jest ukryte – warknął jeden z ludzi. Był odwrócony plecami do Evie, ale zauważyła, że zakłada czarne skórzane rękawiczki. Oczy więźnia podążyły od rękawiczek do twarzy

śledczego, ale jeśli szukał tam śladów litości lub współczucia, to się przeliczył.

– O czym mam opowiedzieć, wielmożny panie?

Ton jego głosu stał się przymilny, pobrzmiwały w nim wyraźnie złe przeczucia.

– Kto cię przysłał? – zażądał odpowiedzi śledczy.

Poruszył palcami w rękawiczkach. Evie usłyszała, jak inny, niewidoczny mężczyzna rechoce, nie mogąc się doczekać fascynującego widowiska.

– Ależ wielmożny panie, przysłałem się sam. Przyszedłem tu na własnych nogach.

Drugi zbir wszedł teraz w jej pole widzenia, obaj zasłonili więźnia przed wzrokiem Evie.

– Daj, przepuszczę mu palce przez wyzymaczkę...

– Jeszcze nie – pierwszy powstrzymał swojego kolegę. – Jeszcze nie. – Wrócił do więźnia. – Czy to Green?

– Ani Green, ani Black, ani Brown – zażartował mężczyzna na krześle.

– Henry Green – powiedział człowiek, którego Evie nie widziała.

– Aha, Henry Green... kto to taki?

Niewidoczny człowiek zaczął grozić.

– Twoje życie wisi na włosku... Przyznaj się albo zabierze się za ciebie mój poirytowany przyjaciel. Wrócisz do domu z niczym.

Evie usłyszała charakterystyczny dźwięk noża wyjmowanego z pochwy.

I oczywiście nie mogła pozwolić, by go użyto. Zaciśnęła palce w rękawicy, wysunęła ostrze, a potem weszła do pokoju, by stanąć z nimi do walki.

Było ich trzech. Ta misja stawała się powoli próbą jej umiejętności. Co tym razem? Kilku przeciwników naraz.

Zmierzyła ich wzrokiem, oceniła sytuację, a potem uderzyła, ruszając tanecznym krokiem w stronę szczerzącego zęby zbira po prawej, ale w ostatniej chwili niespodziewanie zrobiła unik i cięła ostrzem przez pierś męczyznę stojącego pośrodku. Przeturlała się na bok i podniosła się,

trzymając ostrze przed sobą, wbijając je w gors oprycha po prawej. Ostatni, który był najwolniejszy, ledwo zdążył wyciągnąć nóż, gdy Evie zgięła nogę w kolanie i wykonała wysokie kopnięcie stalowym noskiem swojego buta.

„Cholera”, pomyślała, patrząc, jak jej przeciwnik zatoczył się do tyłu. Płaszcz ograniczył zasięg jej kopniaka i zamiast znokautować, tylko wytrąciła go z równowagi. Przy tym pozostało mu wystarczająco dużo przytomności, by użyć broni, i kiedy Evie łapała równowagę, by się obronić, tamten ruszył naprzód, demonstrując nieco więcej przebiegłości i sprytu, niż przewidywała.

„Głupia. Głupia amatorka”. Evie obróciła głowę akurat w porę, by uniknąć stalowej klingi wymierzonej w jej twarz. Szybko oceniła sytuację i stuknęła lewą dłoń w prawe przedramię, by schować ostrze. Następnie obróciła się w stronę jego wyciągniętej ręki ruchem, który w połowie był krokiem tanecznym, a w połowie uściskiem, tyle że zabójczym, bo zakończyła go ciosem rękawicą w twarz, po czym wbiła mu ukryte ostrze w oczodół.

Krew, mózg i płyn z gałki ocznej spłynęły mu po policzku, gdy osunął się na podłogę. Oczyszczyła ostrze i schowała je, po czym odwróciła się do mężczyzny na krześle, który posłał jej speszzone, lecz jednocześnie rozbawione spojrzenie.

– Ach, najuprzejmiej dziękuję – powiedział. – Jeszcze chwila i zacząłbym cienko śpiewać, a tu coś takiego! Przyszłaś mi na ratunek.

– Gdzie ukryte jest laboratorium? – spytała go.

Mężczyźni, których przed chwilą pokonała, wciąż umierali. Tłem rozmowy był charkot, przedśmiertne rżenie i dźwięk butów skrobiących spazmatycznie o cegły w ostatnim słabym zrywie życia.

– Rozwiąż mnie, moja damo, i wtedy możemy przystąpić do negocjacji – targował się unieruchomiony więzień.

Evie stanęła okrakiem nad mężczyzną i zrobiła zamach pięścią. Na jego twarzy pojawiła się mieszanka strachu i niezdecydowania. Widział jej ostrze w akcji. Widział Evie w akcji. Nie miał ochoty na bliskie spotkanie ani z nim,

ani z nią. Był to człowiek, który już wiele razy dał się zwieść pięknej buzi i nie zamierzał na to pozwolić po raz kolejny.

– Śpieszy mi się – powiedziała, na wypadek gdyby jej intencje nie były jeszcze jasne. – Gadaj, ale już.

– Jest pod ziemią. – Przełknął ślinę, wskazując podbródkiem coś, co wyglądało na swego rodzaju tabliczkę w ścianie parowozowni. – Potrzebny jest klucz. Mój gwizdnął jeden ze strażników, bezczelny typ.

– Dziękuję – powiedziała i odsunęła się, kierując się do wyjścia.

– A teraz mnie rozwiąż.

Pokręciła głową.

– Dostałeś się tu. Wierzę, że potrafisz się wydostać.

Wołał do niej, gdy wychodziła.

– Nie martw się, moja damo, wciąż pamiętam kilka sztuczek z mojej cyrkowej przeszłości.

„A więc powodzenia”, pomyślała, wychodząc przez inne drzwi w poszukiwaniu strażnika, który miał klucz.

Bogu niech będą dzięki za kłapiących dziobami najemników templariuszy. Skryła się w cieniu korytarza, podsłuchując, jak dwaj z nich rozmawiają o tym właśnie kluczu, którego szukała.

– Co ty robisz? Schowaj ten klucz głęboko w kieszeni, inaczej panna Thorne zrobi sobie z twoich flaków podwiązki.

– Więc zapuścimy żurawia na dół. Chcę zobaczyć ten artefakt.

„Ja też”, pomyślała Evie Frye, po czym zapisała na swoje konto kolejne ofiary i zdobyła klucz.

Wróciła do parowozowni, decydując, że uwolni jeńca, jeśli klucz zadziała, ale spóźniła się – nie było go, krzesło leżało przewrócone, a sznur walał się po podłodze. Naprężyła się czujnie na wypadek, gdyby planował się na nią rzucić, ale nie, zniknął. Wobec tego skupiła uwagę na tabliczce i wreszcie udało jej się dostać do tajnej części budynku.

Ściany w środku były ciemne i mokre. Przytłumiły odgłosy burzy, a jednak

zdawało się, że tutaj żywiły były najbardziej rozszalałe.

Jak to możliwe? Przypomniała sobie piorunochron i pomyślała, że energia była przesyłana tu, na dół. Może była to energia potrzebna w podziemnym laboratorium?

I wtedy się na nie natknęła. I wiedziała, że miała rację – że stoi w samym epicentrum skupionej energii burzy.

I że artefakt jest blisko.

Kamienne płyty rozciągały się od drzwi, w których stała, tworząc posadzkę dużego sklepionego podziemnego pomieszczenia. Różne instrumenty naukowe leżały na stołach pomiędzy cewkami Tesli i ustawionymi pionowo piorunochronami – wszystko to pulsowało stale kumulującą się energią.

Czy nie zbyt wielką? Pod sufitem laboratorium wisiały wiązki przewodów i pomosty. Błyskawice zdawały się więc między nimi, iskrząc się i błyskając, oświetlając pomieszczenie nagłym oślepiającym światłem fosforescencyjnej bieli.

Na drugim krańcu laboratorium było coś, co wyglądało jak wielka probówka, a w środku umieszczono artefakt. Nieopodal stał Sir David Brewster z asystentem; obaj przyglądali się uważnie przedmiotowi znajdującemu się po drugiej stronie hartowanego szkła, kulistemu złotemu Jabłku. Nawet z tak dużej odległości Evie była porażona tym widokiem. Tyle lat badań nad Fragmentami Edenu i oto był przed nią jeden z nich.

Evie stała blisko drzwi i mimo że oświetlały ją rozbłyski błyskawic, mężczyźni byli zbyt zaabsorbowani swoją pracą, by ją zauważyć. Podkraśla się bliżej, wciąż zahipnotyzowana widokiem Jabłka, ale teraz mogła podsłuchać słowa Brewstera i jego asystenta.

– Na Jowisza, w niebieskim świetle staje się całkowicie przezroczysty! – wykrzyknął uczoney.

Brewster w niczym nie przypominał człowieka, którego widziała wcześniej: słabego i małego w mrocznym cieniu Lucy Thorne. Teraz był panem swoich włości, znów panował nad sytuacją i czuł się wystarczająco pewnie, by rzucić pod jej adresem kilka kpiarskich uwag.

– Ależ ta kobieta ma tupet – zawołał, przekrzykując brzęczenie piorunochronów, syk cewek Tesli, rytmiczne sapanie automatycznych

miechów. – Mówię ci, powinienem wywieźć ten cholerny artefakt do Edynburga.

– Jeśli mogę coś wtrącić, byłby to wyjątkowo zły pomysł – zaproponował jego towarzysz.

– Dlaczego? To Jabłko należy do Boga, nie do nich. Wystawiłbym je na widok publiczny. Darwin zostałby ośmieszony. Uciekłby ze wstydem na te cholerne Galapagos, siedzieć na gałęzi ze swoimi ukochanymi ziębami.

– Panna Thorne dostałaby na talerzu pana głowę, a pan Starrick resztę – odparł jego kolega.

– Wiesz co, Reynolds? Może warto zaryzykować! – wykrzyknął Brewster.

– Sir Davidzie, chyba nie mówi pan poważnie.

– To tylko żarcik, Reynolds. Gdy już rozwiążemy tajemnicę artefaktu, templariusze będą mieli Londyn w garści. Asasyni upadną i Darwin będzie niczym więcej jak tylko brodatym wspomnieniem.

Podkraśla się bliżej, wychodząc teraz na otwartą przestrzeń, gdzie mężczyźni mogli ją z łatwością zauważyć, i widziała, jak Jabłko świeci własnym światłem. Coraz jaśniej. Rozpalał je wzmagający się deszcz iskier.

Nadszedł czas, by trafiło w jej rękę.

Wysunęła ostrze i zaatakowała; asystent osunął się na ziemię, pozostawiając ślady krwi na stali, zanim Brewster w ogóle zauważył jej obecność. Jego wzrok padł na martwego towarzysza, potem znów na Evie Frye, wstrząśnięty uczoney starał się ogarnąć umysłem jej nagłe, niewytłumaczalne przybycie.

A potem Evie skoczyła i zabiła go.

– Czas spocząć, Sir Davidzie Brewsterze – powiedziała, pozwalając mu opaść na ziemię.

– Ale mam jeszcze tyle do odkrycia.

Jego powieki zamigotały. Oddychał nierówno.

– Nie bój się – powiedziała mu.

– Nie boję się. Bóg mnie ochroni.

– Będę kontynuowała twoje eksperymenty – powiedziała, widząc wyraźnie swoją dalszą drogę. Będzie dalej zdobywała wiedzę, jak to się zaczęło w bibliotece jej ojca w Crawley. Jej misją będzie zlokalizowanie wszystkich artefaktów, okiełznanie ich mocy i wykorzystanie jej dla dobra ludzkości. W imię szczęścia, nie cierpienia.

– Nie powstrzymasz Starricka – powiedział Brewster z głową na jej kolanach. – Panna Thorne znalazła już kolejny Fragment Edenu, potężniejszy od tego.

– Ten też wam odbiorę – powiedziała Evie i przez całe dotychczasowe życie nie była niczego bardziej pewna.

– Walczymy, by zdobyć coś, czego nie możemy zabrać ze sobą – powiedział Brewster. – To leży w naszej naturze.

I umarł. Evie wyjęła chusteczkę i zgodnie z rytuałem przekazanym jej przez ojca – który według jego słów był hołdem dla ceremonii pióra praktykowanej przez samego Altaïra – dotknęła nią rany Brewstera, nasączając materiał jego krwią. Złożyła chusteczkę i schowała ją w zanadrzu.

W tej samej chwili wszystko zaczęło się toczyć błyskawicznie. Trzech strażników wbiegło pośpiesznie do laboratorium. Odkryli trupy, wiedzieli, że do obiektu wdarł się intruz, i łaknęli krwi.

Evie stanęła i wysunęła ostrze, szykując się do walki, gdy nagle moc elektryczności gwałtownie wzrosła i artefakt jakby napęczniał od nowego przypływu energii – a potem eksplodował.

Evie znajdowała się wprost pod szklanym zbiornikiem, ale chronił ją cokół, na którym stał. Strażnicy nie mieli jednak tyle szczęścia. Zostali naszpikowani odłamkami i wyglądało to tak, jakby zniknęli we mgle z krwi i szczątków pomieszczenia, gdy z góry zleciały na nich belki, pomosty i wiązki przewodów. Evie zerwała się na równe nogi i pomknęła w stronę drzwi, na ułamek sekundy zanim zaczęła się reakcja łańcuchowa, piorunochrony stanęły w płomieniach i cała maszyna wybuchła z głośnym *bum*.

A na zewnątrz cieszyła się, że może dołączyć do tych, którzy biegli sprintem jak najdalej od budynków rozrywanych na strzępy przez serię eksplozji.

– Co to był za wybuch?

Spotkała się z Jacobem na tej samej bocznicy, tak jak było umówione. Jego wygląd wskazywał, że od ich rozstania dużo się wydarzyło. Oboje przeszli swój chrzest krwi.

– Fragment Edenu wybuchł i pogrzebał laboratorium – wyjaśniła Evie, kończąc swoją opowieść.

Jacob wyduł usta.

– Ten jakże wysławiany kawałek metalu? Jestem wstrząśnięty.

Przewróciła oczami. Wszystkie te noce, kiedy mu czytała. Kiedy przekazywała mu wiedzę. To wszystko naprawdę było na nic.

– To, że nigdy nie cenileś tych fragmentów, nie znaczy...

Stara kłótnia miała już zacząć się na nowo, gdy pojawił się George Westhouse.

– Wszystko poszło zgodnie z planem? – spytał starszy asasyn ironicznie.

– Były pewne... komplikacje – odpowiedziała Evie z zawstydzoną miną.

– Laboratorium wybuchło – powiedział Jacob, wskazując brwiami na siostrę. „Jeśli chcesz kogoś winić, oto ona”.

– Wykoleiłeś pociąg – przypomniał mu George Westhouse.

– Ach tak? – powiedziała Evie.

Jacob wzruszył ramionami.

– Cóż, pociąg się wykoleił, a ja akurat w nim byłem. Zlikwidowałem swój cel.

A zatem Rupert Ferris z Ferris Ironworks, organizacji, która nie tylko była w rękach templariuszy, ale też wykorzystywała do pracy dzieci, był martwy.

– Brewster też nie żyje – powiedziała Evie.

– Zatem koniec końców misja się udała, i to pomimo waszych wysiłków –

powiedział George.

– Co z Londynem? – zapytał Jacob.

Evie spojrzała na brata. Wydarzenia tego wieczora były dla niej objawieniem, wskazówką co do ich dalszej drogi. Czy tak samo było z Jacobem?

– A co ma być? – spytał George ostrożnie.

– Tracimy tu czas – powiedział Jacob, wskazując ręką tory dookoła i całe przedmieścia. Londyn był tak blisko, a jednocześnie poza zasięgiem.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że Londyn od stu lat jest bastionem templariuszy. Są wciąż o wiele za silni. Cierpliwości.

„Ethan sądził inaczej”, przypomniał sobie George, widząc, że poglądy przyjaciela mają się dobrze i żyją w jego dzieciach.

– Ale templariusze znaleźli nowy Fragment Edenu – powiedziała Evie.

George wzruszył ramionami.

– Sir David nie żyje, nie wiedzą, jak go używać. Rada wskaże nam drogę. To dobry pomysł, któremu wasz ojciec by przyklasnął. Do zobaczenia w Crawley.

Brat i siostra patrzyli, jak George odchodzi, ze smutkiem i w pewnym sensie z urazą. Ogień, który płonął w nich tak jasno, został całkowicie zgaszony przez George'a i jego słowa o Radzie. Rzecz jasna oboje wiedzieli, że ich ojciec z pewnością nie zgodziłby się z koncepcjami starszych asasynów. I oboje wiedzieli, że nie mają zamiaru usłuchać ani George'a Westhouse'a, ani przekłętej Rady.

Stukoczący pociąg powoli przejechał obok nich i zagwizdał.

– Co nas powstrzymuje? – powiedział Jacob, wskazując głową w jego kierunku. – Londyn czeka na wyzwolenie. Zapomnij o Crawley.

– Ojciec życzyłby sobie, żebyśmy posłuchali...

– Och, *ojciec*. Możesz kontynuować jego dziedzictwo w Londynie.

– Wyzwalając przyszłe pokolenia z niewoli miasta rządzonego przez templariuszy. Wiesz, Jacobie Frye, może i masz rację.

– A więc?

– Chodźmy.

Z tymi słowami pobiegli i wskoczyli do pociągu jadącego do Londynu.

Tam postanowili, że spotkają się z Henrym Greenem, człowiekiem, o którym nic dotąd nie wiedzieli. „Asasyn czuwający nad Londynem”, tylko tyle im powiedziano.

Nie znali jego prawdziwej historii.

Po wydarzeniach na Kolei Metropolitalnej Duch pozostawał w tunelu pod Tamizą przez ponad rok.

Nadal dodawał swoją obecnością otuchy innym mieszkańcom tunelu, chociaż w gruncie rzeczy był tylko symbolem. Większość tego czasu spędził, siedząc lub leżąc w swojej niszy, opłakując Maggie i pozostałe niewinne ofiary nieudanej operacji mającej na celu zdobycie Fragmentu Edenu. Przeklinał wielowiekowe uganianie się za błyskotkami, gardził asasynami i templariuszami i ich obsesją na punkcie tych świecidełek.

Ethan przyszedł do niego do tunelu, ale Duch oddalił swojego dawnego mentora. Nie miał ochoty widzieć się z Ethanem Frye'em.

Przyszedł też George i tłumaczył, że Bractwo potrzebuje w mieście swojego człowieka.

– Można powiedzieć, że to kolejna tajna operacja, Jayadeep. Coś, co lepiej pasuje do twoich zdolności.

Słyszając to, Duch zaśmiał się cicho. Czy Ethan Frye nie powiedział mu dokładnie tego samego lata temu w Amritsarze? *Coś, co lepiej pasuje do jego zdolności*. Widać, jak to się skończyło.

– Miałbyś tylko za zadanie stworzyć przykrywkę, fałszywą tożsamość, i to wszystko – powiedział wtedy George. – Nie wchodzi w grę żadne szpiegostwo, przenikanie. Wręcz przeciwnie. Chcemy, żeby twoja przykrywka była wystarczająco wiarygodna, by uniknąć wykrycia, ale na tyle luźna, abyś mógł zacząć budować sieć szpiegów i informatorów. Masz być odbiornikiem, Jayadeep, zbieraczem informacji, niczym więcej. Masz coś takiego w sobie. – George wskazał na tunel. – Ludzie ci ufają. Ludzie w ciebie wierzą.

Duch podniósł głowę spomiędzy ramion, które skrzyżował na kolanach.

– Nie nadaję się na przywódcę, panie Westhouse.

George przykucnął, krzywiąc się, gdy jego stare kości jęknęły żałośnie, ale chciał usiąść koło Jayadeepa, nieświadomy, że jest to echo tego, co Ethan zrobił w Ciemności.

– Nie będziesz przywódcą, nie w tradycyjnym rozumieniu – powiedział George. – Chcemy, żebyś inspirował ludzi, bo wiemy już, że to potrafisz. Bractwo cię potrzebuje, Jayadeep. Potrzebowaliśmy cię wcześniej i potrzebujemy teraz.

– Wcześniej was zawiodłem.

George wydał z siebie krótkie prychnięcie zniecierpliwienia.

– Przestań uzalać się nad sobą, człowieku. Nie jesteś bardziej winny niż Ethan, ja sam czy Rada, która zdaje się być pochłonięta umożliwianiem, by nieprzyjaciel bez przeszkód umacniał swoją pozycję. Proszę, zrób dla mnie chociaż tyle. Przemyślisz to?

Duch pokręcił głową.

– Jestem potrzebny w tym tunelu bardziej niż w jakiegokolwiek wojnie.

– Ten tunel niedługo przestanie istnieć – powiedział mu George. – W każdym razie w obecnym kształcie. Kupiła go East London Railway Company. Rozejrzyj się dookoła, nikogo tu nie ma. Nie ma tu już zwiedzających, nie ma handlarzy, którzy by ich obsługiwali, i tylko najwięksi desperaci przychodzą tu spać. Jesteś tu tylko ty i kilku pijaków odsypiających, nim wrócą do domu do żony i będą ją okłamywać, że zostali obrabowani z wypłaty. Masz rację, kiedyś cię potrzebowali. Ale już nie. Jeśli chcesz służyć zwykłym ludziom, poświęć się naszemu Credo.

Duch zwlekał z decyzją. Dalej pogrążony był w marazmie, aż po kolejnych kilku miesiącach ktoś go ponownie odwiedził.

I to było dziwne, bo Duch spędził tyle nocy w tym właśnie tunelu, śniąc o nich i o domu, że kiedy zjawili się przed nim rodzice, uznał, że to też był sen, że śnił na jawie, przywidziało mu się, że stoją przed nim Arbaaz i Pyara.

Minęło jakieś pięć lat i emanowali taką samą światłością, jak ich

zapamiętał, a obskurna ciemność tunelu zdawała się od nich odsuwać, gdy tak stali przed nim ubrani w jedwabne stroje indyjskiego Bractwa, a łańcuszek ciągnący się od kolczyka *phul* w nosie jego matki aż do jej ucha połyskiwał w łagodnym pomarańczowym świetle latarni. Nic dziwnego, że z początku pomyślał, że śni. Wyglądali eterycznie, jak z innego świata. Ucieleśnione wspomnienie.

Duch wyczuł, że z tyłu, w ciemności, stoją inne postaci, i rozpoznał George'a i Ethana. A więc to nie był sen – zerwał się na nogi i oparł rękami o mokrą ścianę tunelu, by utrzymać równowagę. Podniósł się tak gwałtownie, że poczuł zawroty głowy, był słaby po długich miesiącach spędzonych w nędznym tunelu, do tego emocje spłynęły na niego, gdy znów zobaczył matkę i ojca, wszystko to sprawiło, że chwiał się niepewnie, kolana się pod nim ugiwały, aż ojciec podszedł, by go podtrzymać. Dołączył do niego Ethan i czworo asasynów wyprowadziło Jayadeepa z tunelu. Z mroku.

Rodzice zajmowali tymczasowo apartamenty przy Berkeley Square. Duch spał w łóżku po raz pierwszy od bardzo dawna; dobrze jadł i cieszył się matczynymi pocałunkami, z których każdy był jak błogosławieństwo.

Tymczasem atmosfera pomiędzy Duchem a jego ojcem była zatruta. Czy Arbaaz był jednym z tych, którzy aresztowali Jayadeepa i wtrącili go do Ciemności? Co zrobił – lub czego nie zrobił – Arbaaz w sprawie wyroku śmierci wydanego na jego syna?

Tych pytań nigdy nie zadano. Nie padły też odpowiedzi. Pozostały wątpliwości i podejrzenia. Tak więc Duch w naturalny sposób ciążył ku matce, która stała się pośrednikiem między starszym asasynem a krnąbrnym młodzieńcem. To ona powiedziała mu, że nie wróci do Amritsar. Nie teraz. Może nigdy. Jego obecność w mieście budziłaby zbyt wiele pytań, zresztą będzie najlepiej służył Bractwu, jeśli pozostanie w Londynie.

Duch wyczuwał w tych decyzjach podszepty Ethana Frye'a i George'a Westhouse'a, ale wiedział, że jego matka zgadzała się z nimi, że sama ich obecność w Londynie była ryzykowna, ale powrót Jayadeepa do domu nieporównanie bardziej.

Zastanawiał się oczywiście, czy nie odejść. Ale wciąż był asasynem, a nie da się tak łatwo odrzucić swoich przekonań. Duch widział przerażającą moc artefaktu i wiedział, że należy go odzyskać. Fakt, że poprzednio poniósł porażkę, nic nie zmieniał.

Któregoś dnia, w czasie tego cudownego miesiąca przy Berkeley Square, jego matka zaprosiła Ducha na spacer, tylko we dwoje. Przechadzali się ulicami pełnymi londyńczyków, którzy gapili się na jego matkę, jakby nie tylko była z innego kraju, ale i należała do całkiem innego gatunku. Jej szata była jedwabna, ale pozbawiona ozdób i pozostawała w ostrym kontraście do

turniur, fiszbinowych gorsetów, nieporęcznych kapeluszy i wymyślnych parasolek miejscowych kobiet. A mimo to żadna z nich nie dorównywała urodzie matki. Nigdy nie był z niej bardziej dumny niż w tej chwili.

– Jak sądzę, zdajesz sobie sprawę, za jakimi dalszymi działaniami opowiadają się pan Westhouse i pan Frye? – zapytał, gdy szli ulicą.

Ręce Pyary zwisały swobodnie po bokach, ramiona miała proste, unosiła dumnie podbródek i przyjmowała wszystkie spojrzenia z niewzruszoną godnością.

– Matko, oni chcą, żebym był kimś, kim nie jestem.

– Chcą, żebyś był kimś, kim absolutnie *jestes* – powiedziała z naciskiem. – Kimś przydatnym dla Bractwa.

Zapomniał na chwilę o swojej dumie i zwiesił głowę, oddając się wspomnieniom.

– Nie, nigdy kimś takim nie byłem i boję się, że nigdy nie będę.

– Cicho! – zbesztła go. – Co za stek bzdur. Czy wychowaliśmy cię po to, żebyś teraz przyjmował klęskę z otwartymi ramionami? Czy patrząc w twoje oczy, nie widzę niczego poza kapitulacją? Obawiam się, że wyczerpiesz moją cierpliwość, jeśli dalej będziesz się tak użalał nad sobą.

– Użalał nad sobą? Naprawdę? Uważasz, że się nad sobą użalam?

Przechyliła głowę z uśmiechem.

– Tak, kochanie, może troszkę. Odrobinę.

Zastanowił się nad tym. Potem powiedział cierpko:

– Rozumiem.

Szli dalej, zbaczając nieco z utartego szlaku, w stronę mniej przyjaznych dzielnic miasta.

– Uraziłam twoje uczucia – powiedziała.

– Nikt nie lubi myśleć o sobie jak o nadąsanym dziecku – przyznał.

– Nigdy nim nie byłeś, a ja sama, po tym jak przyjechałam tu, by cię zobaczyć, stwierdziłam, że moje dziecko wyrosło na mężczyznę.

Prychnął szyderczo.

– Też mi mężczyzna. Niezdolny do przejścia chrztu bojowego.

– A ty znowu...

– Przepraszam, matko.

Krętymi bocznymi uliczkami doszli do Whitechapel, aż w końcu znaleźli się przed wejściem do jakiegoś sklepu, gdzie jego matka przystanęła, obróciła się i ujęła twarz syna w dłonie.

– Jesteś teraz sporo wyższy ode mnie.

– Tak, matko.

– Widzisz? Jesteś już mężczyzną. Mężczyzną gotowym odrzucić tak dziecinne fanaberie, jak wyrzuty wobec samego siebie, poczucie winy, wstyd czy jakie tam jeszcze emocje zatruwają ci głowę, i zaakceptować następny etap swojego przeznaczenia.

– Czy takie jest twoje życzenie?

Opuściła ręce i obróciła się ze śmiechem.

– Co za pytanie, Jayadeepie. Drogi, kochany Jayadeepie, który wyrosłeś w moim ciele, którego urodziłam i wykarmiłam. Jaka matka marzy o tym, żeby jej syn wyrósł na zabójcę?

– Asasyna, matko. Wielkiego asasyna, nie zabójcę.

– Jayadeepie, możesz być wielkim asasynem, nie będąc zabójcą. Tego ci teraz życzę. To dlatego tu jesteśmy. Bo przyjąłeś teraz swoje nowe życie. Oto ono.

Wskazywała na sklep, przed którym stali. Jego wzrok podążył w tamtą stronę, padł na przykurzone bibeloty, starocie i świecidełka.

– Sklep z osobliwościami?

– Akurat dla takiego dociekliwego umysłu jak twój – odpowiedziała.

– Mam być sklepikarzem – powiedział apatycznie.

– Może wejdziemy do środka?

Wyciągnęła spod szaty klucz i chwilę później weszli do zagraconego, ale ujmującego pomieszczenia sklepu. Wnętrze wydawało się ciągnąć daleko w głąb widmowych i tajemniczych otchłani i kiedy zamknęli drzwi, odcięli

się od dźwięków ulicy. Kurz wirował w promieniach światła przesączającego się przez brudne okna przysłonięte stertami świecełek. Półki uginały się od najrozmaitszych towarów, które były tylko niewyraźnymi mrocznymi kształtami. Od razu mu się tu spodobało.

Ale mimo wszystko – sklep.

– To chyba Napoleon powiedział, że Anglia jest krajem sklepikarzy. – Matka uśmiechnęła się do syna. Widziała, że jest zaintrygowany i że zbyt mu się podoba to miejsce, by z góry je odrzucić. – Więc jakże stosownie będzie zostać jednym z nich.

Przeszli wąskim korytarzem między regałami jęczącymi pod ciężarem wszelkich możliwych ozdóbek. Na jednej półce upchnięto zakurzone książki, inna wyglądała, jakby groziło jej, że po prostu zawali się pod ciężarem stosów porcelany, które na niej ułożono. Zobaczył zasuszone kwiaty pod szkłem i stwierdził, że wciąż potrafi je nazwać dzięki matczynym naukom w Amritsarze. Zauważyła, że na nie patrzy, i wymienili spojrzenia, a on zaczął się zastanawiać, jak starannie wybrano i umieszczono tu wszystkie te przedmioty. W końcu matka wyraźnie była tu wcześniej. Gdy tak szli przez wąskie przejście, pokazywała mu inne rzeczy, które jak sądziła, mogą go zainteresować: tackę z częściami mechanizmu zegarowego, które od razu wzbudziły jego wzruszenie, przypominając mu inne, niemal zapomniane godziny z dzieciństwa, kiedy ślęczał nad zepsutymi zegarami i nakręcanymi zabawkami. Kawałek dalej sekretarzyk uginał się pod ciężarem mnóstwa szklanych kul, jakby sklep odwiedziła szajka spłukanych do cna wrózek, i przypomniał sobie, że tym też fascynował się, kiedy był mały.

Zabrała go na zaplecze sklepu, gdzie zaciągnęła grubą, sięgającą od podłogi do sufitu zasłonę, prowadząc go do położonej dalej pracowni, wręczając mu leżący tam zielnik.

– Proszę. To rodzaj brytyjskiej rozrywki.

Otworzył go i zobaczył, że jest pusty.

– Żebyś sam go wypełnił – powiedziała.

– Matko, pamiętam, jak zbierałem kwiaty z tobą, w domu.

– Wiesz, wszystkie mają symboliczne znaczenie.

– Często mi to mówiłaś.

Zachichotała, a potem, kiedy odłożyła zeszyt, powiodła ręką dookoła.

– Co o tym myślisz? – zapytała.

Spojrzał na nią, myśląc, że zaraz serce mu pęknie z miłości.

– Podoba mi się – powiedział.

Na biurku w pracowni były złożone ubrania i rulon, który mu wręczyła.

– Oto akt własności. Teraz należy do ciebie.

– Henry Green – przeczytał głośno, kiedy rozwinął dokument. – Tak mam się teraz nazywać?

– Zawsze podobało ci się imię Henry, przy tym masz na głowie zielony kapelusz – powiedziała Pyara. – A poza tym to angielskie sklepikarskie nazwisko dla angielskiego sklepikarza. Witaj w swoim nowym życiu, Henry. Stąd będziesz mógł nadzorować walkę asasynów o odzyskanie miasta i kontrolować siatkę informatorów. Kto wie? Może uda ci nawet czasem sprzedać jakiś bibelot, skoro już tu jesteś. A teraz... – Sięgnęła do stosiku z ubraniami. – Oto strój, z którego wreszcie będziesz mógł być dumny.

Odwróciła się skromnie, kiedy się przebierał, a potem znów spojrzała w jego stronę, by go podziwiać. Stał tam, olśniewający w powłóczystej jedwabnej szacie wyszywanej złotem, ze skórzanym paskiem przechodzącym przez pierś, w miękkich pantoflach.

– Nie będzie już chodzenia boso, Jayadeepie, czy raczej Henry – powiedziała jego matka. – A teraz ostatnia rzecz, by dopełnić obrazu...

Sięgnęła do pudełka, które też leżało na stole. Henry widział już takie pudełka, dobrze wiedział, co się w nich mieści, i wziął je z mieszaniną wdzięczności i niepokoju. Było to oczywiście jego stare ostrze. Przypiął je do przegubu, ciesząc się, że po tych wszystkich latach znów czuje jego dotyk.

Nie był już Duchem. Był Henrym Greenem.

Wróćmy jednak do bliźniaków.

– Dwoje asasynów – powiedział Henry na dachu z widokiem na miasto. – Tego samego wzrostu. Kobieta i mężczyzna. Po dwadzieścia lat i te szelmowskie uśmiechy. Musicie być rodzeństwem Frye.

Od razu ich ocenił: tak, ich uśmiechy były bardzo „ethanowskie”. Co do reszty, wydawali się dość różni. Jacob – arogancki, niecierpliwy, nieco nieokrzesany; Henry z początku miał wobec niego ambiwalentne uczucia. Za to Evie...

– A ty to...? – zapytała.

Jego szata załopotiała na wietrze, gdy krótko się uklonił.

– Henry Green, do usług, panienko. – Zrobił pauzę. – Z żalem przyjąłem wieść o śmierci waszego ojca.

– Dziękuję – powiedziała i jej oczy spowił smutek.

Gdy znów na niego popatrzyła, zanurzył się w jej spojrzeniu na chwilę, niechętnie wracając na powierzchnię.

– Co możesz nam powiedzieć o Crawfordzie Starricku? – spytał w końcu Jacob.

Henry z pewnym oporem zwrócił uwagę na drugiego bliźniaka, lekko zirytowany, że czar chwili przysł.

– Jak mniemam, Rada domaga się wiadomości – powiedział, gdy w końcu się opamiętał.

– Londyn musi zostać oswobodzony. By zapewnić lepszą przyszłość wszystkim mieszkańcom – powiedziała Evie z entuzjazmem, który rozświetlił twarz i zatańczył w jej oczach, sprawiając, że stała się jeszcze piękniejsza, jeśli to w ogóle było możliwe.

– Dzięki Bogu, Rada poszła po rozum do głowy i przysłała was na pomoc.

– Tak, dzięki Bogu – powiedział Jacob tonem, który Henry rozpoznał. Był to ton charakterystyczny dla młodych klientów, którzy uważali go za ciemnego hinduskiego sklepikarza.

Mimo to kontynuował.

– Obawiam się, że nie mam dobrych wieści. Dziś Starrick znajduje się na czele najbardziej rozwiniętej organizacji templariuszy, jaka kiedykolwiek powstała w świecie Zachodu. Jego macki oplotły cały Londyn. Wszystkie klasy społeczne, każdą dzielnicę, wszystkie gałęzie przemysłu, gangi...

Jacob zaczął się pysznić.

– Zawsze uważałem, że byłbym doskonałym szefem gangu. Surowym, ale sprawiedliwym. Ścisłe zasady ubioru. Połączyłbym pod jednym dowództwem pozbawionych praw outsiderów. To jest pomysł, Evie. Możemy przeciągnąć ich na naszą stronę.

Evie posłała mu dobrze wyćwiczone, pełne wyrzutu spojrzenie.

– Czyżby? Tak jak tych szulerów w tawernie Oakbrook? Przeciągnąłeś ich prosto do rzeki.

– To co innego. Ograli mnie w wista. – Spojrzał w dal. – Widzę to. Nazwiemy się Skoczkami.

– W szachy też nigdy nie byłeś dobry – powiedziała, rzucając Henry’emu przeproszające spojrzenie.

– Masz lepszy plan? – spytał Jacob.

Jej oczy spoczęły na Henrym, jej bratniej duszy.

– Znaleźć Fragment Edenu.

Jacob wydał tylko prychnięcie zniecierpliwienia.

– Cóż – chrząknął Henry. – Skoro już skończyliście...

Później Henry zabrał ich do swojego sklepu. Od czasu, kiedy pokazała mu go matka, minęło kilka lat, ale nic się tu nie zmieniło.

Interes był daleki od prosperity, ale to nie miało znaczenia; sprzedaż bibelotów nie była jego głównym celem, a jego druga działalność polegająca na zbieraniu informacji o artefaktach, śledzeniu działań templariuszy za pośrednictwem coraz większej siatki informatorów – ten interes kwitł. George Westhouse miał rację, Henry wykorzystał te same wrodzone talenty, które zjednały mu mieszkańców tunelu, by zdobyć względy biednych, wywłaszczonych mieszkańców Whitechapel. Zyskał ich poparcie niemal niezauważalnie: kogoś ochronił, dał nauzkę paru lichwiarzom, nauczył moresu jakiegoś sutenera, przypomniał brutalnemu ojcowi o jego obowiązkach. Udało mu się to przy użyciu gróźb i insynuacji. Nie przeszkadzało mu, że jego umiejętności bojowe rdzewiały; nigdy nie był wojownikiem. Jego grupa różniła się od innych gangów włóczących się po ulicach East Endu – które chciał naśladować Jacob ze swoimi Skoczkami – opartych na hierarchii władzy i przemocy. Gang Henry’ego działał według bardziej łagodnych reguł. Jego przywódca zdobył szacunek swoich podwładnych i ich miłość.

– Przez lata nawiązałem w mieście szereg kontaktów – powiedział teraz tylko tyle.

– Wspaniale! – odparła Evie. – Będzie nam potrzebne mocne wsparcie...

– Mocne wsparcie? – prychnął Jacob. – Nie, musimy przejąć gangi Starricka i osłabić jego władzę.

– Nie dość wysoko mierzysz – powiedziała Evie z irytacją. – Starrick ma wpływy we wszystkich sferach społecznych. Musimy mu dorównać.

– Rozumiem, o czym mówisz, Evie. Potrzebujemy Skoczków.

Pokręciła głową, wypowiadając po wielokroć powtarzaną maksymę.

– Nie założysz żadnych Skoczków. Musimy znaleźć Fragment Edenu.

– Nie. Musimy odbić Londyn z łap Starricka. Powiedz mi tylko, jakie są moje cele...

– Nie.

– Co?

– Jeszcze na to za wcześnie.

– Nie przyszedłem tu kupować bibelotów.

– „Najpierw naucz się tańczyć, dopiero wtedy zostaniesz tancerzem” – powiedziała, cytując coś, co słyszeli wiele razy przez te wszystkie lata.

– Ach tak? A więc kontynuujesz dzieło ojca?

– Ktoś musi.

– Cóż, Freddie, miło cię widzieć.

Abberline usiadł w salonie państwa Shaw w Stepney i wspomniał czasy, kiedy był tu tak ciepło przyjmowany przez panią Shaw i dwójkę jej dzieci, a on żałował, że nie ma dla niej dobrych wiadomości.

Teraz było tak samo. Tyle że tym razem...

– Napijesz się herbaty, Freddie?

Nie czekając na odpowiedź, pani Shaw wyszła, pozostawiając dwóch mężczyzn samych.

– Cóż – powtórzył Aubrey. – Dobrze cię widzieć, Freddie. Sierżant Frederick Abberline, jak pragnę zdrowia. Freddie Świeżynka wreszcie dorósł, co? Zawsze wiedziałem, że ci się uda, stary. Z nas wszystkich to ty zawsze byłeś pewniakiem, że poradzisz sobie w policji.

Aubrey prowadził teraz sklep z mięsem w Stepney Green. Abberline szybko odkrył, że dobrze było mieć zaprzyjaźnionego rzeźnika. Szczególnie jeśli chodziło o nawiązywanie kontaktów, bo Aubrey miał rację: Abberline dobrze sobie radził w policji. Mężczyzna nazwiskiem Ethan Frey poznał go z Henrym Greenem, w którym Abberline rozpoznał hinduskiego chłopaka z wykopu. Przysiągł, że nikomu tego nie zdradzi, ale zachowanie tajemnicy nie było dla niego trudnością. W końcu Ethan Frye uratował mu życie. Henry i on walczyli kiedyś przeciwko Cavanaghowi i jego szajce. Dla Abberline'a oznaczało to, że grają zdecydowanie w tej samej drużynie.

A było to dziwne, bo Abberline nigdy nie dowiedział się całej prawdy o tym, co wydarzyło się na budowie Kolei Metropolitalnej. „Obiekt o wielkiej mocy”, o którym opowiedział mu Ethan – cóż, Abberline wyobrażał tu sobie jakiś rodzaj broni, coś, co wywołało eksplozję. W jakim celu? Nie miał pojęcia. Ale Cavanagh zginął, nie żyło też trzech jego

pomocników, a co się stało z sekretarzem? Cóż, okazało się, że pracował dla osób trzecich, i tutaj zaczęły się komplikacje; bo rzecz sprowadza się do, jak to ujął Ethan, walki odwiecznych wrogów: ludzi, którzy działają wśród nas, spiskują, by zdobyć władzę nad losami społeczeństw. I to już było dla Abberline'a za dużo. To wystarczyło, żeby przekonać go, by przestał zadawać pytania, ponieważ w jakimś sensie jego własne gorące przekonanie, że istnieją siły działające poza naszą kontrolą, które nami manipulują, zaczęło współgrać z jednym z przekonań, które gorąco wyznawał Aubrey: że czasem nie ma odpowiedzi.

Więc Frederick Abberline pogodził się z tym, że są rzeczy, których nie może zmienić, ale przyrzekł, że będzie walczył o rzeczy, które zmienić potrafi, i był wdzięczny za umiejętność odróżnienia jednych od drugich. Tymczasem Henry Green, jak się okazało, stworzył w Whitechapel siatkę lojalnych informatorów. Abberline dołączył do jego szajki, czasem odnosząc korzyści z zebranych informacji, w rewanżu wyjawiając im coś interesującego.

Innymi słowy, sytuację można było nazwać *obustronnie korzystną*. I po raz pierwszy od całego tego bałaganu na Kolei Metropolitalnej świeżo upieczony sierżant Abberline sądził, że robi postępy. Naprawia trochę ten świat.

Zresztą poznał nawet kobietę, Marthę, zakochał się i ożenił... Ale niestety jego szczęśliwa passa się skończyła.

– Freddie, czy stało się coś złego? – spytał Aubrey. Uśmiech spelzł mu z ust na widok żalostnej miny przyjaciela. – To tylko wizyta towarzyska, prawda? Nie masz mi nic więcej do powiedzenia? Chodzi o ciebie i Marthę? Nie rozstajecie się, prawda?

Freddie wcisnął dłonie między kolana. Stał się mistrzem kamuflażu. Jego infiltracja Whitechapel zależała czasem od tego, czy umiał poruszać się po ulicy nierozpoznany, niezauważony, niewidzialny. Przy niektórych okazjach było to dla gangu Henry'ego nieocenione. Chciałby mieć takie przebranie teraz, żeby nie czuć się tak odsłoniętym.

– Nie, Aubs, i nie jestem ci w stanie powiedzieć, jak bardzo chciałbym, żeby to było tylko rozstanie, bo wtedy moja najdroższa Martha by teraz żyła.

– Och, Freddie – powiedziała pani Shaw od progu. Szybko położyła tacę z serwisem do herbaty na stole, a potem podeszła do Abberline’a, uklękła i wzięła go za rękę. – Tak nam przykro, prawda, Aubrey?

Aubrey stał ze zbolaną miną.

– O Boże, przecież pobraliście się dopiero kilka miesięcy temu.

Abberline przeczyścił gardło.

– Umarła na gruźlicę.

– To wielka szkoda, Freddie. Ja i Aubrey zawsze uważaliśmy, że doskonała z was para.

– Bo tak było, pani Shaw, tak było.

Siedzieli tak przez jakiś czas, a potem, nie bardzo wiedząc, co robić, pani Shaw naląła herbaty i cała trójka posiedziała jeszcze chwilę bez słów. Państwo Shaw milcząco wspierali Fredericka Abberline’a w jego cierpieniu.

– Co teraz, Freddie? – zapytał Aubrey.

Abberline postawił filiżankę i spodek na stole. Tylko z fusów herbacianych można było wróżyć, jaka czekała go przyszłość.

– Czas pokaże, Aubrey – powiedział. – Czas pokaże.

Mijały tygodnie. Rodzeństwo odcisnęło swoje piętno na Londynie. Pomimo protestów Evie Jacob założył swój gang Skoczków, czyniąc z niego liczącą się w mieście siłę. W jednej z akcji uwolnili grupę urwisów, Jacob zabił herszta gangu Rexforda Kaylocka, i zdobyli zaufanie Fredericka Abberline'a, który obiecał przymknąć oko na ich działania.

I podczas gdy uwaga Jacoba była skupiona na budowaniu pozycji swojego gangu, Evie pochłonęło badanie Fragmentu Edenu.

– Och, kolejny ekscytujący wieczór w domu dla Evie Frye – powiedział, przyłapując ją z listami, mapami i innymi dokumentami. Chyba nie zauważył, że w tym samym czasie zakładała swoją rękawicę z ostrzem.

– Tak naprawdę właśnie wychodzę – powiedziała z więcej niż nutką dumy w głosie. – Znalazłam Fragment Edenu.

Jak zwykle nie zrobiło to wrażenia na Jacobie, który przewrócił oczami.

– Co potrafi ten nowy? Uzdrawiać chorych? Odbijać pociski? Kontrolować ludzi?

– To niebezpieczne przedmioty, Jacob. Szczególnie w rękach templariuszy.

– Mówisz całkiem jak ojciec.

– Żeby tylko jak ojciec.

Zwróciła uwagę brata na wizerunek Lucy Thorne, który leżał na stole. Evie zauważyła, że ostatnio coraz częściej na niego patrzy, wspominając przerażającą kobietę, którą widziała w stoczni.

– Lucy Thorne spodziewa się dziś dostawy. To specjalistka od okultyzmu na usługach Starricka. Jestem prawie pewna, że odbiera Fragment Edenu, o którym wspominał Sir David Brewster.

Jacob wyczuł, że będzie się dużo działo.

– Wygląda to na dobrą zabawę. Mogę się przyłączyć?

- Obiecujesz, że będziesz trzymał się planu?
- Przyrzekam.

Niedługo później byli już w dzielnicy doków, gdzie położyli się płasko na dachu magazynu z widokiem na główny dok i patrzyli, jak pod nimi rozładowywane są skrzynie.

„Oto ona”, pomyślała z podnieceniem Evie. Lucy Thorne. Specjalistka od okultyzmu jak zwykle była ubrana na czarno. Evie zastanawiała się, czy bardzo przeżyła utratę Fragmentu Edenu Brewstera.

Wiatr przywiał do nich słowa Lucy Thorne, która wydawała polecenia jednemu z mężczyzn.

– Zawartość tej skrzyni jest warta więcej niż życie twoje i całej twojej rodziny – rzuciła, wskazując kościstym palcem jedno z pudeł. – Rozumiesz?

Mężczyzna rozumiał. Podwoił strażę, a potem znów odwrócił się do Lucy Thorne.

– Panno Thorne, jest jeszcze sprawa jakichś papierów dla pana Starricka. Zaprowadzę panią...

Niechętnie poszła za nim. Evie i Jacob ocenili sytuację ze swojego punktu obserwacyjnego.

– O cokolwiek jej chodzi, to jest w tej skrzyni – powiedziała Evie.

Rozejrzeli się po dokach, dostrzegając, że na dachach znajdowali się wyborowi strzelcy templariuszy. Tymczasem skrzynia, która była teraz dla nich równie cenna jak dla Lucy Thorne, została załadowana razem z innymi na zaprzężony w konie wóz. Obok stał strażnik, trzymając lejce. Dwaj inni rozmawiali ponuro o przerażającej Lucy Thorne i spekulowali, co też może się kryć w bezcennej skrzyni.

Jacob zdjął cylinder i naciągnął kaptur, to był jego rytuał przed akcją, a potem puścił oko do Evie i ruszył, by zająć się strażnikami na dachach.

Patrzyła na niego, zanim sama się poderwała do działania, podkrađła się cicho do krawędzi dachu, a potem zsunęła się na dół i kucnęła przy dużej cysternie na wodę pod ciekącą rurą. Zerkając na ludzi pilnujących wozu,

obserwowała, jak radzi sobie na górze Jacob. Oto on, podchodzi właśnie do niczego niepodważającego wartownika. Jego ostrze podniosło się i opadło. Tamten umarł cicho, zabójstwo było doskonałe i Evie pogratulowała mu bezgłośnie przez zęby.

Pochwała zamarła jej na ustach. Drugi strzelec widział śmierć towarzysza i uniósł strzelbę do ramienia.

Gdy Jacob rzucił się przez dach w stronę strzelca, poruszając się tak szybko, że strażnik nie zdążył wycelować i nacisnąć spustu, Evie sama wypadła zza cysterny. Zaszła od tyłu dwóch mężczyzn. Obracając się, kopnęła w szyję pierwszego z nich.

„Sprytnie, Evie”. Tym razem pamiętała, by rozpiąć płaszcz, i pechowy wartownik uderzył twarzą w wóz, druzgocąc sobie z chrzęstem nos i usta, pozostawiając ślady krwi na skrzyniach i osuwając się na ziemię.

Evie obróciła się już w lewo, biorąc zamach ręką w rękawicy i uderzając drugiego strażnika w skroń. Ten człowiek miał przed sobą jakieś pół sekundy życia i spędził je oszołomiony i wytrącony z równowagi, zanim Evie odwiodła łokieć do tyłu, wysunęła ostrze i wbiła je w jego skroń. Do tego czasu trzeci wartownik zdążył uciec, a strzelec na dachu leżał martwy. Ale było za późno. Ogłoszono alarm i kiedy tylko wdrapała się na wóz i użyła swojego ostrza, by podważyć i otworzyć wieko skrzyni, Jacob zeskoczył z dachu magazynu naprzeciwko i przebiegł sprintem przez podwórze do wozu.

– Chyba najlepiej będzie, jeśli uciekniemy – powiedział.

I nigdy nikt nie wypowiedział prawdziwszych słów. Doki pogrzyły się w chaosie. Drzwi magazynów otwierały się na oścież, wybiegali z nich mężczyźni w melonikach, niczym warczące psy w tweedowych garniturach, wszyscy mieli rewolwery lub noże. Odkąd działania Evie i Jacoba w mieście zwróciły uwagę templariuszy, Zakon zatrudnił najbardziej wyrachowanych, bezlitosnych i krwiożerczych najemników, jakich udało im się znaleźć.

Ludzie wysypali się z sali spotkań, ponaglani przez wrzeszczącą Lucy

Thorne. Uniosła spódnicę i z poczuciem wielkiego, słusznego gniewu wybiegła i od razu zauważyła, że jej cenny ładunek się ulatniał. Na policzkach wystąpiły jej rumieńce emocji, a jej głos przeszedł w pisk.

– Za nimi! Za nimi!

Evie spojrzała przez chwilę na tę twarz. Pełen furii wzrok Thorne długo z nią pozostał. I rozpoczął się pościg.

Z Jacobem na koźle ich powóz wypadł z doków i popędził przez przylegające do nich wysypisko śmieci. Evie trzymała się dachu pojazdu. Jej kaptur wydał się, gdy konie ruszyły z kopyta. Chciała krzyknąć do Jacoba, by jechał wolniej, ale z doków wyłonił się drugi powóz, wypełniony ludźmi templariuszy.

Była też na nim Lucy Thorne, podobna do kruka ze skrzydłami z krynoliny. Choć nie straciła panowania nad sobą, z pewnością zostało ono zachwiane, gdy dowiedziała się, że wypuściła skrzynię z rąk, i teraz wskazywała ją palcem i wrzeszczała coś, co ginęło w pędzie powietrza, ale znaczenie jej słów było zupełnie jasne: złapać rodzeństwo.

Powozy opuściły teren doków i śmietniska z pełną prędkością i pojechały w lewo do Ratcliffe Highway. Wysokie budynki, sklepy i kamienice czynszowe o płaskich fasadach ciągnęły się po obu stronach ulicy, okna patrzyły beznamiętnie w dół na drogę pełną wozów i robotników portowych. Ratcliffe Highway, ulica ciesząca się złą sławą ze względu na wszechobecną na niej przemoc, właśnie była jej świadkiem.

Hurgot dwóch powozów pędzących po bruku był niemal ogłuszający. Evie bała się, że koła zaraz odpadną. Tymczasem rozpaczliwie starała się zrozumieć, co właściwie zobaczyła w skrzyni – plik dokumentów i książkę z wygrawerowanym herbem asasynów – a także utrzymać się na wozie i nie spaść. Zabrzmiał wystrzał i usłyszała świst pocisku, który przeleciał jej obok policzka, a ona sama odruchowo spojrzała na Jacoba, by sprawdzić, czy u niego wszystko w porządku.

I tak, wszystko u niego było w porządku. Jego kaptur łopotał na wietrze,

rozpościerał szeroko ręce, w których trzymał wodze, z rzadka rzucając przez ramię wyzwiska w stronę pościgu i poganiając konie.

Przechodnie rozbiegali się przed nim, handlarze rzucali się na swoje stragany, by nie powypadały z nich produkty, woźnice powstrzymywali konie i potrząsali pięściami ze złością, a jednak powozy pędziły dalej.

Kolejny wystrzał. Evie drgnęła. Zobaczyła, jak kula kruszy kawałek cegły ze ściany, mimo że minęli ją z pełną prędkością. Teraz, poprzez łoskot kół powozów, krzyki przerażonych przechodniów i rzenie spłoszonych koni, usłyszała coraz bardziej nerwowe ponaglenia Lucy Thorne. Obróciła głowę i spojrzenia obu kobiet spotkały się po raz kolejny. Lucy Thorne zdawała się kipieć z nienawiści do młodej asasynek. Cokolwiek było w tej skrzyni, było dla niej ważne, było ważne dla templariuszy – a więc było też ważne dla Evie.

Jeśli zdoła to zatrzymać.

A to wcale nie było pewne. Jacob jechał tak szybko, jak tylko potrafił, ale ich prześladowcy odrabiali straty, aż zrównali się z nimi. Evie zobaczyła mężczyzn wychylających się z powozu, wyciągających pistolety, a potem przypomniała sobie, że dzięki Henry'emu Greenowi też taki teraz ma.

Przytrzymując się jedną ręką skrzyni, wyciągnęła colta spod płaszcza, wzięła na muszkę najbliższego mężczyznę, który właśnie celował ze swojej broni, i wystrzeliła.

Evie nie posługiwała się bronią palną tak dobrze jak nożem, ale była niezłym strzelcem i jej kula zrobiłaby dziurę w czole tamtego, gdyby nie to, że jego wóz nagle podskoczył, gdy koła wpadły na wybój. Mężczyzna złapał się ręką za ramię i krzyknął, upuszczając własny pistolet i niemal wypadając z powozu na bruk.

Tymczasem powóz templariuszy niebezpiecznie się przechylił i woźnica desperacko walczył, by się nie wywrócił. Nawet Lucy Thorne przestała wrzeszczeć i uczepliła się pojazdu ze wszystkich sił, dawno już bez kapelusza, z włosami rozwianymi na wietrze.

Drugi wóz spróbował ich staranować. Zabrzmiały kolejne strzały. Następnie Evie zobaczyła, że paru zbirów próbuje przeskoczyć z jednego powozu na drugi, słuchając coraz bardziej przypominających pogróżki rozkazów Lucy Thorne, która wyobrażała już sobie, jak para asasynów ucieka z jej dokumentami.

– Patrz. – Jacob wskazał przed siebie.

W oddali, na linii do Blackwall, toczył się pociąg.

Widząc to, Jacob wpadł na pewien pomysł. Mogli wykonać ostry skręt w Rosemary Lane, a potem, jeśli tylko wybiorą odpowiedni moment, będą w doskonałym położeniu, by przeskoczyć z powozu do pociągu. Oznaczałoby to, że muszą zostawić za sobą skrzynię, ale bliźnięta ze swoim telepatycznym porozumieniem, podjęły decyzję bez słów.

Dotarli do skrzyżowania Ratcliffe Highway z Rosemary Lane i Jacob szarpnął cugłami w prawo, wstał z kozła, starając się jednocześnie kontrolować konie i gotować się do skoku.

Jechali teraz równo z pociągiem. Evie nie miała wyboru i skoczyła. Z okrzykiem złości chwyciła notatnik z wygrawerowanym herbem asasynów – tylko to udało jej się wziąć ze sobą – wcisnęła go za poję płaszcz, a potem, kiedy jej brat skoczył z wozu w otwarte drzwi wagonu towarowego, poszła za jego przykładem.

Oboje wylądowali ciężko na deskach podłogi: Jacob rozentuzjzmowany, zaczerwieniony od emocji; Evie wręcz przeciwnie. Całym jej łupem tego wieczora był notatnik z oślimi uszami. A dla niej to było za mało.

Evie i Jacob nie przestawali działać w Londynie, wzmocnili pozycję asasynów, taką siłą Bractwo nie cieszyło się od stu lat. Zaopatrywali w leki chorych z Whitechapel – podobnie jak Henry, zdobywali ludzkie serca i umysły.

Templariusze oczywiście nie byli zadowoleni z tej sytuacji. Ich Wielki Mistrz Crawford Starrick dostawał meldunki o aktywności asasynów, które odbierał przy mahoniowym biurku w swoim gabinecie.

– Jacob Frye zamierza zagrozić całemu Londynowi, wydając go w ręce motłochu – powiedział mu jego przyboczny James Brudenell.

– A może wcale nie ma żadnych konkretnych zamiarów – wtrącił Philip Twopenny, gdy Starrick wrzucił mu kostkę cukru do herbaty. – Może cieszy go po prostu igranie z naszym życiem.

Starrick podniósł filiżankę z herbatą, by poczuć jej aromat. Jego podkrecone do góry wąsy poruszyły się.

– Panowie – powiedział – tę herbatę przywieziono mi z Indii na statku, potem z portu do fabryk, gdzie została zapakowana i przewieziona wozem pod moje drzwi, następnie podzielona na paczuszki w spiżarni i przyniesiona tu na górę. Wszystko to zrobili mężczyźni i kobiety, którzy są wdzięczni mnie, Crawfordowi Starrickowi, za swoją pracę, swój czas, całe swoje życie. Będą pracować w moich fabrykach i tak samo będzie z ich dziećmi. A wy przychodzicie do mnie i mówicie o jakimś Jacobie Frye’u? Tym nic nieznaczącym pryszczu, który nazywa siebie asasynem? To brak szacunku do tego miasta, które pracowało dzień i noc, byśmy mogli się tego napić. Tego cudu. Tej herbaty.

Do pokoju weszła Lucy Thorne. Zajęła miejsce u boku swojego mistrza. Nie wyglądała już tak przerażająco jak na dachu powozu, znów miała na

głowie kapelusz, wrócił też jej spokój.

– Zbliżam się do końca moich badań – powiedziała. – Nasz ukochany Londyn już niedługo będzie musiał znosić tego uciążliwego głupca.

– Słyszałem też o jego siostrze. Co z panną Frye? – zapytał Starrick.

Lucy Thorne zacisnęła usta.

– Panna Frye już niedługo zostanie wypatroszona.

Nieświadomi, jakie siły sprzysięgły się przeciwko nim, Evie i Henry kontynuowali pracę w jego sklepie, ich kryjówce.

– Wprawdzie nie znalazłaś Fragmentu Edenu – powiedział, starając się ją pocieszyć – ale te materiały są bezcenne.

Spojrzała na niego z wdzięcznością i patrzyli sobie w oczy, aż w końcu Evie wydała niezręczne, ciche kasznięcie i odwróciła wzrok. Wrócili do przeglądania notatnika zabranego ze skrzyni, aż Henry coś znalazł.

– Patrz. Tu jest napisane, że londyńscy asasyni znaleźli jakiś całun.

Całun. Evie podeszła bliżej, by czytać Henry’emu przez ramię. Bliżej, niż to było potrzebne. Oboje o tym wiedzieli. Nie odsunęli się od siebie, po ich ciałach przebiegały jakby małe wyładowania elektryczne.

– Całun Edenu leczy jakoby nawet najpoważniejsze rany – przeczytała Evie. – Gdyby asasyni znaleźli coś takiego, ojciec z pewnością by o tym wiedział.

„Nie, był opętany przez artefakt z Linii Metropolitalnej”, pomyślał Henry. Tamto Jabłko było dla niego jabłkiem z rajskiego ogrodu.

– Musieliśmy coś przegapić – powiedział.

Jak na zawołanie Evie zauważyła, że dokumenty włożone między kartki notatnika układają się w mapę. Przystudiowała ją, po czym wzięła ją i zamierzała wyjść.

– A ty nie idziesz? – zapytała Henry’ego.

Spojrzał na nią z zakłopotaniem.

– Praca w terenie nie jest moją specjalnością.

– Znaleźliśmy trop prowadzący do przedmiotu stworzonego przez starszą cywilizację, nie chcesz nim podążyć?

Oczywiście chciał. Chciał też zostać z Evie.

– Kiedy tak to ujmujesz, nie potrafisz odmówić.

Podążając za wskazówkami mapy, podekscytowani nowym odkryciem i zachwyceni swoim towarzystwem, dotarli do jednej z zamożniejszych części miasta, gdzie ulice były mniej zatłoczone, a domy bardziej okazałe. Henry’emu przyszło coś do głowy. Czy to możliwe, że zmierzali w stronę Queen Square?

– Myślę, że ta mapa może prowadzić do rezydencji Kenwaya.

– Kenwaya? Tego pirata?

– Mistrza asasynów i pirata, owszem.

– To zaskakujące, że jeszcze nie przeszukałeś tego domu. W końcu Kenway był asasynem.

– Syn Edwarda, Haytham, dołączył do templariuszy. Dom należy teraz do nich.

– Templariusze posiadają dom skrywający skarby asasynów i nigdy ich nie znaleźli?

Henry uśmiechnął się przelotnie.

– Widocznie ukrywamy je lepiej od nich.

Weszli na plac, o którym nawet Henry wiedział, że przez te wszystkie lata musiał się zmienić. Kiedyś nazywał się Queen Anne’s Square i z obu stron otaczały go wille, między innymi ta należąca do Kenwayów. I chociaż pomnik pozostał tam, gdzie był, i piwiarnia na rogu, czynna od niepamiętnych czasów Queen’s Larder, wciąż była otwarta, w pałacach mieściły się teraz szpitale i różne instytucje dobroczynne, a także księgarnie i drukarnie.

Mniej budynków wykorzystywano teraz do mieszkania, ale rezydencja Kenwayów była wśród nich. Tu tutaj rezydował Edward Kenway po powrocie z morskich podróży. Jego syn, Haytham, został przyjęty do templariuszy, była to długa i okropna historia, w której ojciec stanął do walki przeciwko synowi.

Jennifer Scott, córka Edwarda i przyrodnia siostra Haythama, mieszkała

tutaj przez wiele lat, jednakowo przeklinając asasyna i templariusza, ale wciąż czerpiąc korzyści ze swojego pokrewieństwa z jednym i drugim, z których nie najmniejszą był okazały dom pod adresem, który później przemianowano na Queen Square.

Jennifer osiadła tam, od czasu do czasu wychodząc z inicjatywą, aby asasyni i templariusze poszukali porozumienia, aż wreszcie umarła ze starości, wtedy to londyńscy templariusze – i asasyni pewnie też – odetchnęli z ulgą.

Evie i Henry weszli właśnie na plac, mijając Rzymskokatolickie Towarzystwo Starszych i Biednych i Towarzystwo Świętego Wincentego à Paulo, gdy Evie nagle się zatrzymała, pociągając Henry'ego w stronę skąpej osłony, jaką dawały żelazne barierki otaczające plac.

– Patrz – powiedziała, szepcząc mu do ucha.

Przed rezydencją Kenwayów stał powóz. Właśnie wyłaniała się z niego charakterystyczna sylwetka Lucy Thorne.

– Będę w gabinecie. Nie chcę, żeby mi przeszkadzano, chyba że będziecie mieli wieści o skradzionym notatniku.

Usłyszeli jej słowa wypowiedziane do towarzysza.

I sekundę później dwoje templariuszy było w środku, a Evie i Henry wymienili zaniepokojone spojrzenia. Wejście do środka stanowiło wyzwanie. Trzymanie się z dala od Lucy Thorne również.

Ale zbyt daleko zaszli, by nie spróbować.

Ponad nimi były otwarte okna. Dla asasynów żaden problem. Szybko wspięli się po ścianie, a potem wskoczyli do pomieszczenia, które okazało się pokojem muzycznym z wielkim fortepianem, na który z portretu wiszącego na ścianie patrzył Edward Kenway stojący z młodym Haythamem. Inne obrazy wskazywały na żeglarską przeszłość właściciela posiadłości.

Henry zbliżył usta do kaptura Evie i dziewczyna odsłoniła palcem ucho.

– Czego szukamy? – szepnął.

Jej oczy błędziły po pomieszczeniu.

– Nie jestem do końca pewna.

Rozpoczęli poszukiwania, odkrywając, że w pokoju były schowane zapisy nutowe.

– Czego nie widzą templariusze? – spytał Henry niemal samego siebie.

– Czegoś, co tylko my widzimy.

– Edward Kenway był piratem. Gdzie pirat ukryłby swój skarb?

– Mój ukryłabym w bibliotece – powiedziała Evie i Henry zachichotał.

– Mój *byłby* biblioteką – powiedział i znów spojrzeli na siebie. Bratnie dusze.

– Piękny fortepian.

– Umiesz grać?

– Nie. Chociaż żałuję. Uwielbiam brzmienie fortepianu. A ty?

– Trochę. Wystarczająco, żeby uchodzić za dystyngowaną młodą damę, jeśli będę tego potrzebować.

– Chętnie posłuchałbym, jak grasz, jeśli nadarzy się okazja – powiedział i zauważył, że na jej policzki wystąpił rumieniec.

Podszedł do fortepianu.

– Niektóre klawisze są wyżej od innych – powiedział i przestudiował całą

klawiaturę, starając się znaleźć jakiś wzór lub powód, dla którego niektóre klawisze były prawie niezauważalnie wyższe od pozostałych.

Nacisnął jeden z nich – *ting* – co sprawiło, że Evie podskoczyła, rozejrzała się dookoła, chcąc już go zbesztać za to, że robi hałas, gdy nagle fortepian zaczął grać sam z siebie. Zanim wpadli w panikę, że ktoś ich usłyszy, otworzył się fragment podłogi i ukazały się stopnie schodzące w dół do jakiejś ukrytej piwnicy.

A zatem to był skarbiec Kenwaya.

– Niezbyt subtelne, nieprawdaż? – powiedział Henry.

Evie przewróciła oczami.

– Kenway wyraźnie miał dryg do teatralnych gestów.

Zeszli na dół i znaleźli się w skarbcu Kenwaya. Zaparło im dech w piersi, gdy dotarło do nich, jakie przedmioty, zbierane przez całe życie, były tu przechowywane.

– To niewiarygodne. To chyba „Kawka” – powiedział Henry, którego wzrok zatrzymał się na modelu legendarnego pirackiego brygu. – Pomyśleć tylko, że od stu lat nikt tego nie widział.

Ale Evie podeszła do wysokiego stołu pośrodku piwnicy, gdzie jej uwagę przyciągnął jakiś dokument i grawerowany krążek. Przejrzała dokument.

– Historia londyńskich asasynów... Kryjówki... Skarbce... Ukryty klucz. To jest to – dodała z ekscytacją.

Henry podszedł do niej i znów cieszyli się z niespodziewanej bliskości, gdy nagle przyjemny moment przerwał głos Lucy Thorne dochodzący z pokoju muzycznego nad nimi.

– Mówiliście, że słyszeliście muzykę – warknęła pod adresem strażników. A potem dodała: – Tego wejścia tu wcześniej nie było.

Evie i Henry spojrzeli po sobie. *O nie*. Henry znalazł dźwignię zamykającą włącz i pociągnął ją, wzbudzając konsternację osób na górze.

– Pomóż mi je zablokować – zawołała Lucy Thorne, która poczuła, że otwarte drzwi są kluczowe dla sukcesu w jej badaniach.

Drzwi na dole się zamknęły i Evie z Henrym zostali sami, zastanawiając się, co dalej.

Wyjście. Musi jakieś być. Razem opukali wszystkie ściany palcami, aż w końcu, z cichym okrzykiem triumfu, Henry znalazł fragment ściany, który odsuwał się, odsłaniając kręte kamienne schody prowadzące w dół, głębiej, niż sięgało światło najmocniejszej latarni. Chwilę później szli już korytarzem biegnącym pod wielkim domem, szczęśliwi, że udało im się wyrwać z rąk Lucy Thorne, lecz było to szczęście z domieszką rozczarowania.

– Cały skarbiec wypełniony historią asasynów i znów trzeba było ją porzucić – żaliła się Evie.

– Po prostu będziemy musieli odbić ten schowek albo znaleźć inny, jeszcze bogatszy – powiedział Henry.

– *My?* – spytała kpiąco. – Myślałam, że wolisz trzymać się z dala od pracy w terenie.

– Ja... Myślałem raczej o tobie i twoim bracie. Ja zajmę się planowaniem.

– Jacob gdzieś się włóczy – powiedziała. – Mamy więc wakat, na wypadek gdybyś postanowił poszerzyć zakres działania.

– Zastanowię się – odparł.

– Zrób tak – powiedziała delikatnie uszczypliwym tonem. – A teraz wyjdźmy wreszcie na powierzchnię.

– A zatem wskazówki, które znaleźliście w domu Kenwaya, prowadzą tutaj...

Jacob nieco lekceważąco machnął ręką w stronę wielkiej kolumny wyrastającej z ziemi za ich plecami. Stali na wzgórzu wznoszącym się nad monumentem, ale i tak w porównaniu z nim wydawali się maleńcy. Pomnik upamiętniający wielki pożar Londynu wzniesiono niedaleko tego właśnie miejsca przy Pudding Lane, gdzie ów pożar wybuchł drugiego września 1666 roku, i robił wrażenie stosowne do tego epokowego wydarzenia.

Przez kilka chwil brat i siostra po prostu wpatrywali się w niego, wędrując wzrokiem od rzeźbionego cokołu u dołu w górę żłobkowanej kolumny aż do szczytu, na którym zainstalowano klatkę, by zapobiec samobójstwom. Jako najwyższa kolumna na świecie przyćmiewała okoliczne budynki i w pogodny dzień widać ją było z drugiej strony miasta. Z bliska zapierała dech w piersi.

Evie żałowała, że nie ma tu Henry'ego. Potem zbeształa samą siebie za taką nielojalność. W końcu Jacob był jej bratem, jej bratem bliźniakiem, z którym porozumiewała się w sposób niemal nadnaturalny.

Co najpierw ratowałyby z pożaru?

Po pierwsze swoje ostrze, po drugie brata. I gdyby miała dobry dzień, gdyby Jacob był dla niej tego dnia szczególnie miłym towarzyszem, to cóż, może nawet ocaliłaby brata jako pierwszego.

Jednak ten dzień do takich nie należał. Jacob nie był miły. Zamiast tego postanowił ją przedrzeźniać i wyśmiewać przy każdej okazji, a docinki celowały przede wszystkim w rodzące się między nią a Henrym Greenem uczucie.

Henry'ego tu oczywiście nie było i nie mógł się bronić. Był w sklepie i analizował materiały, Jacob więc wykorzystał jego nieobecność.

– O tak, panie Green – mówił Jacob, przedrzeźniając swoją siostrę. – To fascynujący pomysł. Och, panie Greene, proszę, niech pan tu podejdzie i zerknie na tę książkę, i stanie tak blisko mnie, och, panie Green.

Zagotowała się ze złości.

– Ja nie... – A potem wzięła się w garść. – Cóż, być może nie masz nic lepszego do roboty, ale *ja* jestem zajęta ratowaniem asasynów.

– Czyżby? Co takiego zwykł mawiać ojciec?

– „Nie pozwól, żeby osobiste uczucia naraziły misję”. – Evie przewróciła oczami.

– Otóż to – odparł jej brat. – Tak czy owak, ja idę. Jeśli znajdę jakąś następną igłę w stogu siana, dam znać.

Żeby okazać szyderstwo, zsunął kaptur, wyciągnął z zanadru cylinder, rozłożył, a potem poturlał go wzdłuż ramienia, tak by wskoczył mu na głowę.

I odszedł.

Patrzyła na oddalającego się Jacoba, ciesząc się, że widzi jego plecy, prawie w równym stopniu jak żałując tej napiętej atmosfery między nimi, a potem skierowała się w stronę pomnika. W podstawie kolumny było małe, znajomo wyglądające wgłębienie. Jak można się było spodziewać, dysk, który gwizdnęła z rezydencji Kenwaya, pasował do niego doskonale. W odpowiedzi kamień pękł i przez powstały otwór Evie weszła po krętych schodach do wnętrza pomnika. Nie były to normalne schody – to nie po nich wchodzili turyści, samobójcy i znany kronikarz James Boswell, który podobno miał atak paniki w połowie drogi na górę, po czym wziął się w garść, ukończył wspinaczkę, a następnie ogłosił, że widok ze szczytu był odrażający. Nie, te schody były przeznaczone wyłącznie dla osoby, która miała dysk.

I rzeczywiście, kiedy weszła na szczyt, dwieście stóp nad ziemią, powitały ją dwie rzeczy. Po pierwsze widok – stanęła tam targana wiatrem i wydała cichy okrzyk na widok panoramy najeżonej kominami i wieżami kościelnymi, miasta przemysłu i wiary. Po drugie znalazła drugą płytkę, tym

razem większą i z otworem w środku. Porównała oba dyski w dłoniach, a potem, wiedzioną impulsem, postanowiła wcisnąć jeden do drugiego.

Pasował. Idealnie. Wciąż smagana wiatrem, popatrzyła na niego w osłupieniu, widząc, jak tworzy się na nim obrazek. Jeśli stała teraz na szczycie najbardziej charakterystycznego obiektu w Londynie, dysk wskazywał drugi, słynniejszy, również stworzony przez Sir Christophera Wrena: katedrę Świętego Pawła.

Krótko potem dotarła na miejsce, żałując, że nie zgarnęła po drodze Jacoba lub jeszcze lepiej Henry'ego, ale wiedziała, że obaj mogą być w tej chwili w dowolnym miejscu miasta. Wspięła się na dach ogromnej katedry. Nie stanowiło to problemu dla kobiety z jej umiejętnościami.

Tam, przy posągu Świętego Pawła, włożyła oba kawałki dysku we wgłębienie w cokole. Potem – wyczuła to czy rzeczywiście usłyszała – gdzieś głęboko pod nią otworzyły się drzwi i chwilę potem szła już na dół, i przekraczała próg skrytki w kaplicy.

Było to duże pomieszczenie, na środku stał stół. Jedną ze ścian zdobił symbol asasynów. A więc był to ich skarbiec. Po przeciwnej stronie komnaty znajdowało się witrażowe okno, a we wnęce wisiało coś, co Evie z początku wzięła za piękny naszyjnik. Podeszła bliżej i przyjrzała się dokładnie łańcuszkowi ze zdobionych ogniw i maleńkich misternych kulek wielkości pereł, ale grawerowanych dziwnymi kanciastymi hieroglifami, oraz wisiorzowi, który zważyła w dłoni. W nim też było coś niesłychanie wyszukanego, tak jakby stworzył go złotnik, który nie pochodził z tego świata lub tej ery. Przeszył ją dreszcz. Wiedziała, że według wszelkiego prawdopodobieństwa miała w ręku przedmiot należący do Pierwszej Cywilizacji.

Był to jakiś rodzaj klucza. Widniała na nim łacińska inskrypcja, że „lekarstwo jest gorsze od choroby”. Podniosła naszyjnik i obróciła go kilka razy w rękach. To nie było coś, co potrafiła rozpoznać na podstawie jakiegokolwiek lektury. Nic z tego nie rozumiała. Może kiedy będzie mieć

przed sobą odpowiednią literaturę...

Zawiesiła go sobie na szyi – i właśnie wtedy drzwi się otworzyły, i pojawiła się w nich Lucy Thorne.

– Dzień dobry, panno Frye, ja to wezmę – powiedziała templariuszka. Była cała w czerni, jej rysy zastygły w drapieżnym grymasie, podeszła do Evie. Była sama, całkowicie pewna swojej przewagi.

Evie pozwoliła, by klucz opadł jej na piersi. Naciągnęła kaptur, a potem opuściła ręce wzdłuż ciała, rozluźniona, ale gotowa.

– Chcesz, by Całun umocnił waszą władzę – powiedziała. – Ale co jeśli nie zdołacie go kontrolować?

Lucy zasznurowała wargi.

– A po co on *tobie*? Tylko po to, żeby nie pozwolić, by mieli go templariusze? Tak, to bardzo w stylu asasynów, mieć w rękach moc wiecznego życia, ale nazbyt się bać, by z niej skorzystać.

Lucy zatrzymała się o kilka stóp od Evie, tuż poza zasięgiem ciosu. Dwie kobiety szacowały wzajemnie swoje siły. Evie nie zauważyła żadnej widocznej broni, ale kto wie, co kryło się w obszernych fałdach pogrzebowego stroju templariuszki.

– Wieczne życie – powiedziała, z każdym mięśniem przygotowanym do skoku. – Myślisz, że to właśnie zapewnia Całun?

– To, co myślę, to już nie twoja sprawa – odparła Lucy i oczy zdradziły jej zamiar na ułamek sekundy przed tym, nim zaatakowała. Jednym zaskakująco szybkim ruchem dobyła z buta nóż i wyskoczyła, prostując się i wyciągając rękę, i był to ruch, który prawie zaskoczył Evie.

Prawie – to było właściwe słowo. Młoda asasynka odskoczyła, jednocześnie wysuwając ostrze, i z przyjemnością zobaczyła, jak wyraz twarzy jej przeciwniczki błyskawicznie się zmienia. Jeśli Lucy Thorne myślała, że łatwo jej pójdzie, to popełniła fatalny błąd, bo templariuszka z nożem w bucie nie mogła się równać z Evie Frye. Jej atak może nawet śmiały, ale był oparty wyłącznie na zaskoczeniu, bez którego Lucy nie

zostawało nic poza pragnieniem zwycięstwa i instynktem przetrwania. A to było za mało, żeby pokonać Evie.

Ich klingi się spotkały. Brzęk stali poniósł się echem wśród kamiennych ścian. Lucy obnażyła zęby i spróbowała jeszcze raz, ale Evie z łatwością odparła jej atak, obserwując przeciwniczkę, czekając na właściwy moment, gotowa do zadania śmiertelnego pchnięcia.

Ale Lucy Thorne jeszcze nie przegrała. Kiedy Evie zbliżyła się do niej, wyciągnęła rękę. W jej dłoni pojawiła się jakaś kula i przez krótką szaloną chwilę Evie myślała, że Lucy Thorne atakuje ją Fragmentem Edenu, zanim dotarło do niej, co to jest: świeca dymna.

Oślepiąca i zdezorientowana, Evie zatoczyła się do tyłu, podnosząc ostrze do pozycji obronnej i odzyskując równowagę, gotowa na przyjęcie ataku, który oczywiście nastąpił. Lucy Thorne nie umiała walczyć tak dobrze jak Evie, ale nie brakowało jej determinacji i odwagi. „O Boże”, pomyślała Evie, „to się nazywa odwaga”. Lucy przyskoczyła do niej przez dym, tnąc sztyletem, bardziej z nadzieją niż pewnością, że się uda, lecz dzięki ograniczonej widoczności i zaciekłości jej ataku niemal jej się udało.

Niemal – to było właściwe słowo.

Wśród kłębow dymu Evie sprytnie obróciła się w bok, wypychając do przodu pierś i unosząc ramiona, po czym opuściła swoje ostrze, zbijając nóż Lucy Thorne. Sekundę później zamachnęła się i wyrzuciła prawą rękę do przodu, zadając cios pięścią (niegodny damy, ale bardzo w stylu Evie Frye), który mocno i bardzo nieprzyjemnie trafił w szczękę Lucy Thorne, sprawiając, że ta zamrugnęła oczami i zagrzechotała zębami, i odrzucając ją do tyłu. Evie schowała ostrze, potem zrobiła krok naprzód i ponownie uderzyła ręką w rękawicy.

To był dobry cios. Przyniósł jej zwycięstwo. Ale może Evie miała za dużo z ojca i brata. Może była zbyt pewna siebie. Bo to uderzenie było zbyt silne i Lucy Thorne, zamiast paść na ziemię, wypuściła nóż i szaleńczo machając rękami, poleciała do tyłu w stronę witrażowego okna za plecami.

Evie widziała, na co się zanosi, i zrozumiała swój błąd. Ale było za późno. Rzuciła się naprzód i straciła równowagę. Jej rozcapierzone palce zdołały sięgnąć Lucy Thorne i przez ułamek sekundy kobiety szukały się po omacku, starając się odwrócić to, co nieuniknione.

Ale nie mogły. Szkło roztrzaskało się wokół Lucy Thorne i miała już wypaść na pewną śmierć, gdy rozpaczliwym ruchem ręki chwyciła klucz na piersiach Evie. Tylko to ratowało ją przed upadkiem, a Evie krzyknęła z bólu, gdy łańcuszek wbił się jej w ciało.

– Idziesz ze mną? – Lucy Thorne uśmiechnęła się szyderczo i po raz kolejny Evie musiała to przyznać swojej przeciwniczce. Nie brakowało jej męstwa.

Ale...

– Mam inne plany – powiedziała Evie, jej ostrze się wysunęło i przecięła łańcuszek, uwalniając Lucy Thorne.

Templariuszka spadła z krzykiem, wciąż trzymając klucz, a Evie poleciała do tyłu na posadzkę komnaty. Podniosła się, kaszląc i łapiąc oddech, powlokła się do roztrzaskanego okna, by spojrzeć w dół.

Lucy Thorne zniknęła.

– A niech to – powiedziała Evie.

Evie siedziała pogrążona w rozmyślaniach. To prawda, ucieszyła się z postępów brata. Przede wszystkim rozprawił się z bankierem nazwiskiem Twopenny, zakłócając finansowe operacje templariuszy. Inne drobniejsze działania okazały się równie skuteczne.

Jej własne poczynania były mniej udane. Z jednej strony mogła spędzać więcej czasu z Henrym Greenem i nawet drwiny Jacoba nie przeszkodziły jej czerpać z tego przyjemności. Ona i Henry coraz bardziej się do siebie zbliżali.

Ale z drugiej ich badania nie przynosiły konkretów. Zdawało się, że im bardziej zakopywali się w stosach książek, im dłużej ślęczeli nad dokumentami, które Evie wykrađa ze skrzyni, tym mniej wiedzieli.

Rozważała słowa Lucy. O tym, że Całun dawał wieczne życie. Wiedzieli już, że Całun Edenu miał rzekomo „leczyć nawet najpoważniejsze rany”, ale wieczne życie?

Do tego Lucy Thorne miała teraz klucz Evie.

– Jaki pożytek z klucza, jeśli się nie wie, do jakiego zamka pasuje? – spytała któregoś popołudnia, gdy ona i Henry zmarnowali bezowocnie kolejny dzień w towarzystwie świeczki i tajemniczych tekstów.

– Przypuszczam, że Lucy Thorne jest w równie kłopotliwym położeniu – powiedział sucho Henry, nie podnosząc nawet głowy znad dziennika, który właśnie czytał.

To był słuszny argument. Evie przyznała to z westchnieniem i ciężkim sercem i wróciła do pracy. Ale wtedy – jak tylko jej oczy spoczęły znów na dokumentach – zobaczyła to. Tuż przed nią był...

– Henry – powiedziała szybko.

Położyła mu rękę na ramieniu i podobnie jak on czuła wywołane tą

bliskością mrowienie, a potem równie szybko ją zabrała, chrząkając, by ukryć nagłe zażenowanie.

– Tutaj. To on.

Henry popatrzył na obrazek, który wskazywała palcem. *A więc to był on.* Zelektryzowany sięgnął po jedną z piętrzących się książek, błyskawicznie łącząc fakty.

– To część kolekcji będącej w posiadaniu królowej – powiedział Henry, przerzucając kartki. Znalazł to, czego szukał, i spojrzał na nią oczami lśniącymi z przejęcia. – Przechowują ją w Tower of London.

Kilka godzin później, gdy miasto skryło się pod osłoną ciemności i mgły, Evie Frye przykucnęła między blankami muru wznoszącego się nad wewnętrznym dziedzińcem Tower. Po jej lewej stronie widniały ciemne okna Wieży Lanthorn, wypalanej przez ogień w wielkim pożarze 1774 roku i wciąż pilnie potrzebującej naprawy. Z tego powodu pozostała niezamieszkanym, źle oświetlonym i w zasadzie niestrzeżonym zakątkiem twierdzy. Doskonałe miejsce, by Evie mogła ocenić sytuację.

Przykucnęła na murze, skąd miała widok na główny zespół zamku, do którego należała Biała Wieża, tak zwany stołp, górująca ponad otaczającymi ją mniejszymi budowlami. Na dziedzińcu widać było znane wszystkim postaci strażników – Yeomanów, zwanych potocznie beefeaterami, którzy pilnowali Tower w dzień i w nocy.

Wśród nich miał być człowiek, którego Henry uważał za sojusznika. Odnalezienie go będzie jej kolejnym zadaniem.

Siedząc tam w kucki i obserwując, nie zapomniała o rozciąganiu mięśni. Czekala już od czterech godzin i dało jej to możliwość dokładnego przestudiowania ruchów strażników. Uderzyło ją, że dzielili się na dwie osobne grupy. Coś się szykowało. I sądziła, że wie, co to jest.

Wtedy jej uwagę przyciągnęło przybycie Lucy Thorne.

Evie jeszcze głębiej schowała się w cieniu, gdy jej Nemezis wysiadła z powozu i przeszła przez dziedziniec do schodów prowadzących do wielkiego stołpu. Omiotła spojrzeniem mury otaczające wewnętrzne podwórze i Evie wstrzymała oddech, gdy wzrok templariuszki zbliżył się do jej kryjówki. Potem Lucy Thorne weszła po schodach do twierdzy.

Evie postanowiła poczekać jeszcze trochę na właściwy moment. Na dole odbywała się właśnie ceremonia przekazania kluczy, ale asasynekka patrzyła na

coś innego. Z dala od ceremonii dwaj strażnicy odciągali jakiegoś policjanta. Tamten protestował, nie przebierając w słowach, ale jego wyzwiska trafiały w próżnię.

Chociaż nie do końca. Na dole był też inny Yeoman. Evie zauważyła, że patrzy niespokojnie na posterunkowego odprowadzanego siłą w stronę koszar Waterloo na zachodnim krańcu całego zamku.

To spojrzenie. To był on. To był jej człowiek.

Pobudzona do działania, zeszła ze swojego punktu obserwacyjnego na podwórze nieopodal miejsca, gdzie stał strażnik, który wyraźnie wciąż nie mógł się zdecydować. Pozostając w cieniu, przyciągnęła jego uwagę cichym gwizdem, przedstawiła się jako przyjaciółka Henry'ego i zobaczyła, że na jego twarzy pojawił się wyraz wdzięczności i zaufania.

– Dzięki niebiosom, jesteś tu – powiedział i przedstawił jej swoją historię.

Okazało się, że macki templariuszy sięgały do samego dowództwa strażników w Tower. Wielu befeaterów było przebierańcami nasłanymi przez Zakon. Inni byli wciąż wierni Koronie, ale krążyły wśród nich plotki i rzucono podejrzenia, morale podupadło.

– Ta kobieta, Thorne, poszła do kaplicy Świętego Jana. – Wskazał kciukiem w stronę stołu, gdzie widać było apsydę kaplicy. – Mogę ci pomóc dostać się do środka.

Skinęła głową. „Do roboty”.

– Żeby mój plan zadziałał, będziesz musiała udawać, że jesteś moim jeńcem.

Z tymi słowami chwycił ją za ramię i pomaszerował przez podwórze w stronę koszar Waterloo, wprowadzając ją przez próg i dalej do głównego holu wejściowego.

Od razu dało się zauważyć, jak głęboka była infiltracja templariuszy. Szydzili z niej, gdy była prowadzona przez koszary.

– Dobrze wreszcie widzieć jakiegoś asasyna w kajdanach – wołali strażnicy.

Kpili z niej.

– Templariusze rządzą Londynem, asasyńko. Nie zapominaj o tym.

Jej sojusznik zaprowadził ją do przejścia wiodącego do bloku więziennego i zamknął drzwi, zostawiając wszystkich ludzi za sobą.

Natknęli się na dwóch wartowników pilnujących drzwi na drugim końcu korytarza. Tak jak inni, ci również prowokowali ją, ale Evie Frye zaraz zmusiła ich, by połknęli swoje słowa. Udając, że wyrywa się swojemu konwojentowi, skoczyła naprzód w pozycji szermierczej i w tym samym momencie wysunęła ostrze, wbijając je w ciało zaskoczonego strażnika. Drugi też nie miał żadnych szans. Wciąż pozostając nisko na nogach, Evie wyrzuciła rękę z ostrzem naprzód, dźgając go krótko w udo, a potem korzystając z tego, że zgiął się z bólu, wykonała pchnięcie w górę, trafiając go między obojczykiem a szyją. Zarzęził i opadł na kamienną posadzkę. Martwy.

Jej sprzymierzeniec patrzył, a potem pochwalił gestem skuteczność i dał znak, że zorganizuje opór. Niedługo później usłyszała z zewnątrz odgłosy bitwy.

Evie stoczyła walkę przy akompaniamencie udreńczonych krzyków zza zamkniętych drzwi celi. Posterunkowy już od jakiegoś czasu dawał znać o swojej obecności i wyczuwając, że coś się dzieje, zawołał:

– Czy ktoś tam jest? – Jego głos stłumiły grube drewniane drzwi.

Podeszła do nich, oparła się palcami i zbliżyła usta.

– Tak, przyjaciółka.

– Och, to dobrze. Przyjaciółko, czy mogłabyś mnie wydostać?

Evie sprawnie posługiwała się wytrychem. Jej ojciec kładł na to nacisk podczas nauki i teraz w krótkim czasie poradziła sobie z zamkiem, po czym znalazła się twarzą w twarz z zaczerwienionym, podenerwowanym posterunkowym.

– Dziękuję – powiedział do niej. – To zdrada, ot co. I profanacja kaplicy. Panna Thorne powiedziała mi, że powinienem być wdzięczny, że nie zabili

mnie na miejscu. Co za tupet!

– Szuka przedmiotu o wielkiej mocy – powiedziała Evie. – Nie można pozwolić, by go zdobyła.

Twarz posterunkowego się wydłużyła.

– Czy to aby nie klejnoty królewskie?

Evie pokręciła głową.

– Coś znacznie ważniejszego.

Znajomy Henry’ego zadbał o to, by koszary stały się bezpieczne. Świadczyły o tym leżące wokół zakrwawione ciała. Zachodnie skrzydło należało do nich. Na zewnątrz posterunkowy przemawiał do swoich ludzi.

– W porządku, panowie – powiedział. – Mamy przeciwko sobie wroga, którego nigdy się nie spodziewaliśmy, zdrajców w naszym własnym gronie.

– Następnie naszkicował plan akcji i podał sygnał, na który mieli uderzyć na sługusów templariuszy.

Ludzie rozeszli się, a potem, na sygnał dany przez Evie, rozpoczęli atak. Na wąskich pasach ziemi zewnętrznego i wewnętrznego podwórza, a także na dziedzińcu przed stołpem ludzie posterunkowego uderzyli znienacka na najemników templariuszy. Doszło do starcia, ale Evie widziała, że bitwa będzie krótka i z łatwością wygrana. Nie musiała nawet wysuwać ostrza, przedostając się do wejścia do Białej Wieży.

Szybko i zwinnie wbiegła po schodach, potem zakołatała do drzwi, modląc się, by ci, którzy byli w środku, wciąż nie wiedzieli o tumulcie, który wybuchł na dziedzińcu.

Czekała w napięciu, gotowa posłać na tamten świat każdego, kto miałby pecha otworzyć. Ale odpowiedź nie nadeszła. Przygotowała się psychicznie, sprawdziła wielką klamkę u drzwi wejściowych i odkryła, że były otwarte. Wtedy wślizgnęła się do środka.

A niech to.

Od razu poczuła na szyi ostrze piki i zdała sobie sprawę, że wpadła w pułapkę. Jednocześnie ostra jak brzytwa klinga szabli Wilkinson Sword

dotknęła jej ramienia tuż ponad rękawicą, nie pozwalając się ruszyć. Poczowała, jak ciepła kropelka krwi spływa jej za kołnierz, ale ten ból był niczym w porównaniu z rozgoryczeniem, że tak łatwo dała się schwytać.

– Wygląda na to, że złapaliśmy asasynekę – powiedział szyderczo jeden z trzech mężczyzn – tyle że tym razem naprawdę. Nie wyśліzniesz się. Nie uwolnisz policjanta, żeby zebrał swoich ludzi. Zabieramy cię do panny Lucy Thorne. Zobaczmy, co będzie chciała z tobą zrobić.

„Będzie chciała mnie zabić”, pomyślała Evie. Ale jednak mówi się, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, i tak właśnie było tym razem. Lucy była tymczasem w kaplicy i szukała Całunu. „Oczywiście”, pomyślała Evie. „Zabierzcie mnie do Lucy Thorne. Tylko dajcie mi się do niej zbliżyć”.

Porzuciła wszelkie myśli o ucieczce. Zamiast tego rozluźniła się, pozwalając, by ostrze piki pozostało tam, gdzie było, podobnie jak bagnet. Ostatnie, czego by chciała, to skierować ich uwagę na rękawicę z ukrytym ostrzem.

Zrobili dokładnie to, czego od nich chciała. Zabrali ją do kaplicy.

Zapukali, weszli i natknęli się na Lucy Thorne, która była zaskoczona ich wejściem i wyglądała na bardzo zdenerwowaną. Najwyraźniej nie udało jej się odnaleźć Całunu Edenu. Z rumieńcami na policzkach odwróciła się do Evie, stojącej w drzwiach ciemnej kaplicy i otoczonej przez strażników.

– Witaj, panno Frye – syknęła. – Może powiesz mi, gdzie jest Całun?

Evie milczała. Nie miała nic do powiedzenia.

– Jak wolisz – powiedziała Lucy. – Znajdę go bez twojej pomocy. A potem cię nim uduszę. – Chodziła po pomieszczeniu, dotykając boazerii, przytykając ucho do drewna, by usłyszeć charakterystyczny pusty dźwięk, oznaczający, że za ścianą jest skrytka.

Tymczasem Evie szykowała się do walki, oszacowała siły wroga. W kaplicy było czterech przeciwników, ale Lucy Thorne walczyła już raz z Evie i przegrała. Liczyła na Yeomanów, którzy byli już rozluźnieni. Myśleli, że po przekazaniu Evie w ręce Lucy Thorne ich zadanie było

skończone.

Evie lekko opuściła ramię, unikając bezpośredniego zagrożenia, jakim była szabla, a potem jednocześnie uklękła na jedno kolano, wysunęła swoje ostrze i zatopiła je w pachwinie człowieka, który stał najbliżej.

Wyglądało to brzydko, a skutkiem była duża ilość krwi i krzyku, a jak zawsze ją uczono, jeśli atak ma być skuteczny, dużo krwi i hałasu jest równe pomocne jak zaskoczenie.

Strażnik upadł z wrzaskiem, jego towarzysze zaczęli krzyczeć. Ale pika nie dotykała już jej szyi i Evie, z ręką w rękawiczce na kamiennej posadzce, obracała się właśnie, by zaatakować drugiego mężczyznę. Wyglądało, jakby uderzyła go pięścią w brzuch, tyle że przy użyciu ostrza i metalowej rękawicy, i cios odrzucił go na drugi koniec pomieszczenia, gdzie upadł, trzymając się za ranę w brzuchu. Wykrwawi się w kilka sekund.

Przy trzecim przeciwniku nie miała tyle szczęścia. Nie był w stanie dźgnąć jej grotem piki, ale zamiast tego użył drzewca, waląc ją w skroń. Zatoczyła się, wiedząc, co oznaczał brak bólu – późniejsze męczarnie – i cięła dziko ukrytym ostrzem.

Chwyciła go za ubranie i otworzyła mu krwawą ranę, ale to było zdecydowanie za mało, by go powalić. Strażnik rzucił się w bok, zręczniejsz, niż na to wyglądał, i znów spróbował uderzyć ją drzewcem piki, ponownie celując w skroń.

Jednak tym razem chybił – a Evie nie. Jej cios był celny i wbiła mu ostrze w serce, tak że umarł, zanim upadł na podłogę. Pozostali dwaj mężczyźni krzyczeli i wili się w przedśmiertnych drgawkach, ale Evie rzuciła się już na Lucy Thorne z obnażonym ostrzem. Odtrąciła wyciągnięty z buta nóż i rozkoszowała się zaskoczeniem i strachem malującym się w oczach przeciwniczki, wiedząc, że walka jest już wygrana, i pozwalając sobie na mroczną satysfakcję, gdy jej ostrze trafiło w cel.

Lucy Thorne w końcu umierała. Evie przyjrzała się jej, zaskoczona własnym brakiem współczucia.

– Szukałaś uzdrawiającej relikwii tylko po ty, by umocnić swoją władzę – powiedziała po prostu.

– Nie moją, naszą. Jesteś taka krótkowzroczna. Ukryłabyś tę moc, by nigdy jej nie użyć, podczas gdy my użylibyśmy jej dla dobra ludzkości. Mam nadzieję, że nigdy nie znajdziesz Całunu. Nie masz pojęcia, co on naprawdę potrafi.

Zaciekawiona Evie nachyliła się nad nią.

– Powiedz mi zatem.

Jakby w ostatniej chwili Lucy Thorne się rozmyśliła.

– Nie – powiedziała i umarła z uśmiechem na ustach.

Evie sięgnęła do kieszeni po chustkę i starannie umaczała ją we krwi Lucy Thorne, a potem złożyła ją i schowała z powrotem. Następnie zabrała jej klucz i rozejrzała się po kaplicy Świętego Jana. Strażnicy leżeli w kałużach własnej krwi; martwa Lucy Thorne wyglądała niemal pogodnie. Evie pozdrowiła ich w milczeniu, a potem poszła korytarzami twierdzy, aż dotarła do wyjścia. Stanęła tam u szczytu schodów i wyjrzała na dziedziniec, na którym posterunkowy i zaprzyjaźniony z Henrym Greenem Yeoman gromadzili ludzi po zwycięskiej bitwie.

„Całunu tu nie ma”, pomyślała. Ale Tower of London została zwrócona Koronie, a to oznaczało, że Evie Frye dobrze się spisała.

Wracając do kryjówki, przypomniała sobie ostatnie słowa Lucy. To prawda, Evie myślała o Całunie jako o przedmiocie posiadającym moc uzdrawiania. Być może była to naiwność, jeśli wziąć pod uwagę zainteresowanie nim templariuszy. Ale wtedy dowiedziała się, że Całun zapewniał wieczne życie – a teraz to. Czy to możliwe, by Lucy Thorne wiedziała o czymś, co dla Evie było tajemnicą? Rozmyślając o tym, przypomniała sobie coś, o czym dawno temu przeczytała. A potem, od razu kiedy miała taką możliwość, Evie chwyciła za pióro i napisała do George’a Westhouse’a.

Crawford Starrick nie pamiętał, kiedy ostatnio delektował się swoją ukochaną herbatą. W jego zazwyczaj uporządkowane życie wkradło się ostatnio sporo chaosu. Było po nim widać napięcie.

Nie tylko Lucy Thorne została spowolniona w swoich wysiłkach zmierzających do odnalezienia Całunu, do czego walnie przyczyniła się Evie Frye, ale i drugi z rodzeństwa – Starrick źle się czuł na samą myśl o jego imieniu – *Jacob*, sprawiał im poważne kłopoty. Agenci templariuszy padali pod ciosami jego ostrza; plany, których realizacja zajęła Zakonowi całe lata, były teraz udaremniane. Starrick zaczął się obawiać pukania do drzwi swojego gabinetu, bo za każdym razem, gdy przychodził jeden z jego ludzi, dostawał coraz to nowe złe wiadomości. Następny członek Zakonu nie żyje. Kolejna intryga została udaremniona.

Uniósł teraz głowę i spojrzał na nerwowego skrybę, który siedział po drugiej stronie jego zabałaganionego biurka, cierpliwie czekając na to, co podyktuje. Starrick wziął głęboki oddech, który zabrzmiał niczym westchnienie, i powiedział:

– Zanotuj to, a potem zapieczętuj i czekaj na dalsze rozkazy.

Zamknął oczy, układając myśli, i zaczął dyktować:

– Panno Thorne, dostarczyła mi pani środków, by zabezpieczyć przyszłość Londynu. Miasto jest pani wdzięczne. Zakon jest pani wdzięczny. Ja jestem pani wdzięczny. Ale Całun może nosić tylko jeden człowiek. Dlatego też niniejszym rozwiązuję naszą spółkę. Obiecuję wspomagać panią pieniężnie na starość, ale to wszystko, co mogę dla pani zrobić. Niech prowadzi panią Ojciec Zrozumienia.

Jest. Zrobione. Starrick siedział, słuchając skrobania pióra skryby, wiernie zapisującego jego słowa. „Tak”, pomyślał, „Całun może nosić tylko jeden

człowiek”, i poczuł się spokojny, niemal senny, wiedząc, że jego przeznaczeniem było stać się „tym człowiekiem”.

Pukanie do drzwi wyrwało go z zadumy i natychmiast poczuł, jak zaciskają mu się szczęki, rzeczywistość dopadła go ze swoją porcją kolejnych złych wiadomości, dalszego spustoszenia dokonywanego przez szajkę młodych Frye’ów.

Przynajmniej pod tym względem nie był rozczarowany.

– Co jest? – rzucił ostro.

Wszedł zdenerwowany asystent. Jedną ręką majstrował przy szyi, luzując sobie kołnierzyk.

– Sir, panna Thorne... – powiedział niepewnym głosem.

– Co z nią?

– Przykro mi, sir. Nie żyje.

Jego podwładni nauczyli się jednej rzeczy – albo byli do tego zmuszeni – że nigdy nie było wiadomo, co robi Starrick. Dwaj pracownicy wstrzymali oddech, gdy jego barki podniosły się i ciężko opadły. Uniósł ręce do twarzy, trawiąc otrzymaną wiadomość.

Nagle spojrzał przez palce.

– Gdzie jest klucz? – zapytał.

Asystent chrząknął.

– Przy jej ciele nie znaleziono klucza, sir.

Palce Starricka znów zasłoniły mu twarz, a ich właściciel dumał nad tym nowym, niepożądanym rozwojem wypadków. Następnie jego uwaga przeniosła się na leżącą na jego biurku misę, którą zaczął obracać w rękach. Twarz mu poczerwieniała. Jego ludzie wiedzieli, co nadchodzi. Jeden z jego napadów. I rzeczywiście pokój wypełnił wściekły wrzask, jego włosy, zwykle starannie wypomadowane, były w nieładzie, a misę uniósł wysoko w swoich dłoniach, by zaraz roztrzaskać ją o blat biurka, gdy nagle...

Wrzask ucichł. Z przesadną troską Starrick umieścił naczynie na biurku.

– Całun będzie mój – powiedział, bardziej do siebie niż do swoich ludzi. –

Nawet jeśli będę musiał w tym celu przywołać samego diabła.

– Powiedz mi, proszę, dokąd idziemy – powiedziała Evie, gdy Henry i ona przeszli przez żelazną bramę i ruszyli w stronę ławek stojących po drugiej stronie pełnego zieleni placu.

W gruncie rzeczy podobał jej się ten spacer. Czas spędzany z Henrym był dla niej błogą odskocznią od zabijania, które stało się w jej życiu rutyną. Ojciec zawsze ostrzegał ją, by starała się pozostać na śmierć nieodporna. „Maszyna do zabijania to maszyna, a my, asasyni, nie jesteśmy maszynami”, powiedział, prosząc ją, by obiecała nigdy nie tracić empatii. Nigdy nie zapominać o swoim człowieczeństwie.

Wtedy zastanawiała się, jak coś takiego w ogóle może się dzieć. W końcu została wychowana, by szanować życie. Jak, u licha, odbieranie go miałoby nie być dla niej poruszające? Ale oczywiście stało się to, co nieuniknione, i odkryła, że jednym ze sposobów na radzenie sobie z tym było odcięcie się od nich, zablokowanie dostępu do tych części mózgu, które chciały o tym myśleć. I zauważyła, że ten proces jest dla niej coraz łatwiejszy, więc czasem martwiła się, że niedługo zatraci w tym mechanizmie obronnym swoje prawdziwe ja.

Henry był sposobem, by się z tego wszystkiego wycofać. Uczucia, jakie do niego żywiła, pomagały jej się skoncentrować, a jego niechęć do sięgania po broń przypominała jej, że istnieje inna droga. Opowiedział jej o swoim życiu przed tym, nim się poznali. Wiedziała, że był kiedyś tam, gdzie ona teraz, i że z tego wyszedł. Jego dusza była poobijana, ale cała. Był przykładem, jak można to osiągnąć.

Mimo to rozpoczął się kolejny etap ich misji odbicia Londynu i wszystkie uczucia wobec Henry’ego musiały poczekać. Priorytetem była teraz odbudowa pozycji Bractwa.

Byli już blisko. Bardzo blisko. Po wydarzeniach w Tower rodzeństwo raz za razem uderzało w samo serce organizacji templariuszy. Zaatakowali ich najbardziej wrażliwe miejsce. Portfel. Po zabiciu Twopenny'ego Jacob zlikwidował siatkę fałszerzy, przyczyniając się do przywrócenia porządku w mieście. Jacob położył też kres działalności Brudenella, który pracował dla Zakonu, starając się blokować akty legislacyjne, które były dla niego niekorzystne.

Każda udana operacja sprawiała, że pozycja asasynów w oczach mieszkańców East Endu, i nie tylko, znacząco rosła. Templariusze zdobyli władzę w Londynie, przenikając do średnich szczebli, asasyni odzyskiwali miasto, idąc od samego dołu. Urwisy, których pełno było na ulicach, widziały w asasynach swoich obrońców i pomagały chętnie ze wszystkich sił; ich rodzice byli bardziej ostrożni i wystraszeni, ale dawali milczącą zgodę. Często zdarzało się, że Henry wracał do sklepu i znajdował na progu podarunki pozostawione na znak dobrej woli.

Wszystkie te rzeczy były oczywiście pomocne. Ale w głowie Evie (choć nie Jacoba) zajmowały poślednie miejsce za Całunem. Teraz, gdy mieli klucz, musieli jeszcze odpowiedzieć na pytanie, gdzie krył się artefakt. Wiedzieli, gdzie go nie było – w Tower of London. Ale gdzie mógł być?

Tak więc znów zapytała Henry'ego:

– Dokąd idziemy?

– Znalazłem w materiałach Lucy Thorne list od księcia małżonka – powiedział. – Datowany na 1847 rok.

Od księcia małżonka. Księcia Alberta, po którym królowa Wiktorja wciąż nosiła żałobę.

– 1847? – spytała.

– Był to rok, w którym książę rozpoczął remont w pałacu Buckingham – wyjaśnił.

– Myślisz, że zbudował skarbiec, by ukryć Całun? – spytała Evie z podnieceniem.

Henry skinął głową i uśmiechnął się, zadowolony, że może pławić się w jej aprobacie.

– A ponieważ żaden plan pałacu nie ma pokoju oznaczonego jako „sekretny skarbiec”...

Byli już blisko ławek, a na jednej z nich siedział niezwykle oryginalnie wyglądający człowiek. Ten indyjski gentleman miał dobrze odżywioną okrągłą twarz, co sprawiało, że wyglądał chłopięco. Mimo to był to ktoś z klasą. Za sprawą sposobu bycia. Nosił jedwabny strój. Drogi jedwabny strój.

Złożył kartkę, którą trzymał, odłożył ją i wstał, by ich powitać.

– Wasza wysokość – powiedział Henry z krótkim ukłonem.

Ukłonem, w którym, jeśli Evie się nie myliła, była widoczna zazdrość.

– Wasza wysokość pozwoli, że przedstawię pannę Evie Frye. Panno Frye, maharadża Duleep Singh.

Evie i Singh przywitali się, a potem twarz Singha zrobiła się poważna i obrócił się do Henry’ego.

– Przyjacielu, plany, o które prosiłeś, zostały usunięte.

– Usunięte? Przez kogo?

– Przez Crawforda Starricka. Lub kogoś, kogo on zatrudnił.

Singh zobaczył, jak Evie i Henry’emu wydłużają się miny.

– Tak myślałem, że rozpoznacie to nazwisko. Wiem, gdzie są teraz, ale trzymają je pod silną strażą.

Evie wyprostowała się.

– To nie będzie problemem.

Singh zmierzył ją wzrokiem.

– Tak właśnie myślałem.

Krótką chwilę później Evie i Henry, po odbyciu wyścigu (wygrała Evie), siedzieli w kucki na dachu, z którego obserwowali budynek forteczny, będący bastionem templariuszy.

W środku były dokumenty, których poszukiwali, a które wykradł Crawford

Starrick, najwyraźniej dochodząc do tych samych wniosków co oni.

Jednakże *on* nie miał klucza. Oni zaś tak. I teraz chcieli też dokumentów.

Problemem numer jeden byli strażnicy. Henry policzył wartowników w oknach budynku, który był małą fortecą, i tak też był strzeżony. Zobaczył ludzi stojących w oknach przy bramie, pilnujących otaczającego budynek terenu.

– Potrzebujemy jakiegoś pomysłu – powiedziała po prostu Evie.

– Mogę odciągnąć uwagę strażników, a ty znajdziesz wtedy jakieś wejście do środka – powiedział jej Henry, a ta spojrzała na niego.

– Naprawdę? – zapytała z mieszaniną troski i zaskoczenia, nie będąc pewną, czy był na to gotowy, a poza tym czy jej się wydawało? Czy się zacerwienił?

– Dla ciebie, Evie – powiedział – oczywiście, że tak.

– Cóż – odparła – kiedy będę w środku, znajdę kogoś, kto wie, gdzie są przechowywane papiery.

– I spotkamy się później – powiedział, a potem odwrócił się, by odejść.

– Uważaj na siebie – powiedziała łagodnie w stronę jego pleców.

Odciągnął ich uwagę dokładnie tak, jak tego potrzebowała. Słyszając hałas, strażnicy po lewej stronie zaczęli się nim interesować i Evie wykorzystała okazję, by wspiać się po ścianie i wejść do środka przez okno na pierwszym piętrze. Było to biuro administracji, w którym, jeśli nie była w całkowitym błędzie, powinny być trzymane plany.

Była w całkowitym błędzie albo też plany były gdzie indziej. Pobieźnie przeszukała gabinet, do którego się dostała, ale nic tu nie było. „Tak”, pomyślała, „a teraz czas na plan B. Znaleźć kogoś i go wypytać”.

Podeszła do drzwi i słuchała uważnie odgłosów z korytarza. Zadowolona, zaczekała chwilę, a potem, gdy samotny strażnik ją minął, otworzyła gwałtownie drzwi, uderzyła go kantem dłoni w gardło, prawym ramieniem ścisnęła szyję i wciągnęła do biura, po czym zamknęła drzwi.

Padł na ziemię, krztusząc się z bólu po uderzeniu i nie mogąc uwierzyć

w to, jak wygląda napastniczka. Sekundę później Evie stała nad nim okrakiem, a on gapił się na nią przerażonymi oczami, bełkocząc:

– Panienko, przysięgam, nie wiem, dokąd go wzięli.

Jedną ręką trzymała go za kołnierz, pięść w rękawicy miała odwiedzioną do tyłu, grożąc mu kolejnym, jeszcze boleśniejszym ciosem, ale Evie nagle się zatrzymała. „Dokąd go wzięli?”

– Wzięli kogo? – warknęła.

– Człowieka ubranego tak jak ty. Strażnicy go odciągnęli... – powiedział.

A niech to. „Henry”.

Wzięła się w garść.

– Plany, które wykradliście. Gdzie one są?

Pokręcił głową gorączkowo.

– Nic o tym nie wiem.

Uwierzyła mu i po szybkim prostym pięścią w rękawicy zostawiła nieprzytomnego. Teraz musiała dokonać wyboru. Kontynuować poszukiwanie planów? Czy ratować Henry’ego?

Tyle że żadnego wyboru nie było.

Na ulicy Evie miała dużo szczęścia, bo od razu wpadła na jednego z urwisów informatorów Henry'ego.

– Mają go, panienko – powiedział jej. – Zabrali pana Henry'ego. Nie mogliśmy ich powstrzymać. Wywieźli go czerwonym powozem. Ale nie odjadą daleko. Jedno z kół wygląda, jakby zaraz miało odpaść. Widzi pani ślady. Ten jest wykrzywiony.

Podziękowała mu i swojej szczęśliwej gwiazdce, że asasyni mogą liczyć na pomoc zwykłych ludzi. Niech templariusze spróbują jechać ulicami Londynu z dala od oczu i uszu mieszkańców. Niech no tylko spróbują.

Podążyła śladem powozu, lawirując szybko przez zatłoczone ulice, zwykła szybko poruszająca się postać w tłumie, aż wreszcie zbliżyła się do Covent Garden, gdzie znalazła porzucony pojazd.

Puściła się biegiem w stronę placyku, mając nadzieję, że zobaczy gdzieś Henry'ego i jego porywaczy, ale nigdzie nie było nawet śladu.

Jakiś handlarz nieopodal patrzył na nią z zachwytem, więc pośpieszyła w jego stronę – pora użyć swoich kobiecych sztuczek.

– Widział pan jakichś ludzi wysiadających z tego powozu? – zapytała z najbardziej uroczym uśmiechem, na jaki było ją stać.

Tamten uśmiechnął się głupawo.

– Tak, wyciągnęli z niego kogoś. Był pijany jak bela. Zanieśli go na cmentarz obok kościoła. Może potrzebował spokojnego miejsca, żeby odespać?

Obok niego stał stragan z olejkami.

– Tak – zawołał przekupień, ściągając przed Evie czapkę. – Widziałem, jak wyciągają kogoś ze środka po tym, jak koło im odpadło. Powiedzieli, że uderzył się w głowę. Nie jestem pewien, dlaczego chcieli go wziąć do

kościół, ale tam właśnie poszli.

Obaj wskazywali na drugą stronę placu, w kierunku znanych portyków, filarów i kolumn katedry Świętego Pawła. Mimo że ze wszystkich stron otaczały ją wysokie budynki, i tak górowała nad placem. Każdego innego dnia byłby to imponujący widok. Teraz jednak Evie patrzyła na nią i widziała mauzoleum. Widziała grozę.

Podziękowała swoim admiratorom, przeszła na drugą stronę placu i na cmentarz na tyłach kościoła, spoglądając na równie imponujący portyk jak ten od frontu, lawirując między nagrobkami z początku szybko, ale potem ostrożniej, bo niedaleko usłyszała głosy.

Była już na tyłach cmentarza, gdzie rozpleliły się gęste chaszczki, i wpadła tam na coś, co można było opisać tylko jako obozowisko templariuszy. Pośrodku znajdował się Henry, przywiązany do krzesła, wokół niego zaś najemnicy. Była wstrząśnięta na myśl, że mogli go zabić. Głowa opadła mu na pierś. Po chwili doszła jednak do wniosku, że sposób, w jaki rozmawiali, nie sugerował, że może nie żyć.

– Po co go tu przywiozłeś? – pytał jeden z mężczyzn.

– Ten człowiek to asasyn – odparł jego kompan. – Nie chcieliśmy, żeby uciekł, zanim będziesz miał szansę go przesłuchać, co nie?

Pierwszy zbir z jakiegoś powodu był zaniepokojony i nerwowy.

– Bezpieczniej było go trzymać tam, gdzie wcześniej. Mówiłem ci, żebyś tu nie przychodził.

– Nic się już na to nie poradzi. A teraz obudź go.

Kiedy drugi strażnik próbował ocucić Henry'ego, Evie wkroczyła do akcji, wypadając z ciemności z wysuniętym ostrzem. Szybko poradziła sobie z przeciwnikami. Nie miała ochoty przedłużać walki w imię ich godności czy własnej dumy. Po prostu ją skończyła, szybko i bezlitośnie.

Jakże się różniła od nieopierzonej asasynki, która rozpoczynała tę misję.

Dopiero gdy padli u jej stóp, podbiegła do Henry'ego, pośpiesznie go rozwiązując.

– Zrobili ci krzywdę? – zapytała.

Pokręcił głową przecząco.

– Nic mi nie jest. Słuchaj, posłali kogoś, żeby przeniósł plany pałacu. Masz je?

Teraz z kolei ona zaprzeczyła.

– Moje uwięzienie zniweczyło twoje plany – powiedział, kiedy uciekali. –
Przepraszam.

Niepocieszeni, wrócili do bazy.

Crawford Starrick szykował się na bankiet. Bardzo ważny bankiet. Wiązał z nim wielkie plany.

Służący uwijał się wokół niego, poprawiając smoking i kamizelkę, strzepując pyłki z ramion, podciągając fular.

Tymczasem Starrick podziwiał się w lustrze i słuchał dźwięku własnego głosu, przemawiając:

– Ład zrodził chaos. Morze podnosi się, zalewa bary i gasi latarnie uliczne. Nasze miasto umrze. Twopenny zawiódł, Lucy zawiodła, Brudenell, Elliotson, Pearl. Wszyscy odeszli w noc. Teraz wszystko w moich rękach. Asasyni zwrócili przeciw nam gniew natury. Ludzie stali się potworami i przypierają nas do muru, szczerząc kły. Nasza cywilizacja musi przetrwać tę rzeź.

Służący skończył pracę. Crawford Starrick odwrócił się do wyjścia.

– By zapobiec powrotowi mrocznych wieków – powiedział – zaczę wszystko od nowa. Londyn musi się odrodzić.

Evie i Jacob znów się kłócili. Henry patrzył na nich z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony nie chciał patrzeć, jak bliźniaki skaczą sobie do gardeł, jednak z drugiej czuł, że zakochuje się w Evie Frye, i chciał mieć ją całą dla siebie. Tak, to egoistyczne. Ale tak właśnie było. Trudno temu zaprzeczyć. Chciał mieć Evie Frye dla siebie i jeśli darła koty ze swoim bratem, to cóż, w takim razie ten dzień mógł nadejść szybciej.

Tymczasem kłótnia dalej się toczyła.

– Starrick wkracza do akcji – mówiła Evie. – Fragment Edenu jest gdzieś w pałacu Buckingham.

– Niech go sobie weźmie – odparł Jacob.

Był pełen arogancji, zauważył Henry. W pewnym sensie miał do tego prawo; odnosił w walce wiele sukcesów. Jego ostatnim triumfem było zabójstwo Maxwella Rotha. Henry pamiętał dokumenty pełne nazwisk templariuszy, które dał mu Ethan. Dzięki Jacobowi większość z nich, jeśli nie wszyscy, została zlikwidowana lub unieszkodliwiona. Nie lada wyczyn.

A jednak Evie, która była tak zafiksowana na odnalezieniu Całunu, nie potrafiła przejść obojętnie obok spustoszenia, którego dokonał.

– Widziałam twoje dzieła w całym mieście – mówiła teraz do brata. – „Kto nie ma spokoju, ten się wolniej posuwa”.

– Nie cytuj mi tu ojca – zaatakował ją.

– To z Platona – poprawiła go z miażdżącą pogardą. – Szalenie mi przykro, że nie ma tam niczego, co mógłbyś zniszczyć. Ojciec miał rację. Nigdy nie pochwalał twoich metod.

– Evie, ojciec nie żyje...

To była pora na interwencję Henry’ego.

– Dostyc! Właśnie otrzymałem informację od moich szpiegów. Dziś

wieczorem na balu w pałacu Starrick zamierza wykraść Całun Edenu, a potem wyeliminować głowy Kościoła i państwa.

To zmieniało postać rzeczy.

Evie i Jacob spojrzeli po sobie i wiedzieli, że dzięki temu, co dla Starricka było ostatnim rzutem kośćmi, ostatnią, desperacką próbą odzyskania wszystkiego, co dotąd odebrały mu bliźnięta, bezwiednie zespolił jej obsesję na punkcie Całunu i jego chęć przejęcia kontroli bardziej tradycyjnymi metodami w jedno działanie.

W ich spojrzeniach była właśnie ta wiedza. Zabarwiona wzajemną niechęcią. Ale jednak.

– Ostatni raz, w imię starych czasów? – powiedział, podnosząc jedną brew.

Evie na moment wspomniała ich bliskość i poczuła smutek, że to już przeszłość. Kto mógł przewidzieć, że spełnienie życzeń ojca doprowadzi do tego, że drogi jego dzieci się rozejdą?

– A potem koniec z nami – oznajmiła mu z ciężkim sercem.

– Z przyjemnością – powiedział. – Jaki jest plan?

Plan wymagał wykorzystania znajomości, którą nawiązali z premierem Benjaminem Disraelim i jego żoną Mary Anne, by ukraść zaproszenia na bankiet – ni mniej, ni więcej, tylko przeznaczone dla wybitnego polityka i jego małżonki, państwa Gladstone'ów.

Evie zabrała się za umówienie kolejnego spotkania z Singhem, podczas gdy Jacob miał za zadanie zdobyć zaproszenia – do czego doskonale się nadawał. Jacob zdołał gwizdnąć zaproszenia Catherine Gladstone, po czym ukradł też Gladstone'om powóz. Na zaproszeniach było napisane, że „broń należy zostawić przed drzwiami”, i uznali, że jest to problem, który najlepiej pozostawić do rozwiązania Frederickowi Abberline'owi. Ten obiecał przemyścić do pałacu to, czego potrzebowali. Jacob musiał w tym celu ukraść uniform. Tymczasem Evie spotkała się z Duleepem Singhiem, od którego dowiedziała się, że plany zostały dołączone do osobistych papierów królowej trzymanyh w Białym Gabinetecie.

Teraz wiedziała, gdzie znaleźć dokumenty. A dzięki Jacobowi mieli powóz.
Mieli sposób, by przemycić broń do pałacu. Mieli zaproszenia.
Zaczynały się łowy.

Zanim wyruszyli, Evie przestudiowała posiadany przez nich plan pałacu: wschodni fronton, gdzie było wejście; zachodnie skrzydło, gdzie na tarasie balowym niedługo zaczną się tańce; wreszcie wewnątrz, pięć pięter i ponad siedemset pokoi.

Ale był tylko jeden, który ją interesował. Biały Gabinet – i to tam miała się udać, kiedy tylko będzie mogła. Wejść do Białego Gabinetu, wykraść plany, odnaleźć skarbiec i Całun.

Siedzieli z Jacobem w karecie Gladstone'ów, ściskając w dłoniach zaproszenia, i dołączyli do sznura powozów jadących w stronę pałacu położonego na zachodnim krańcu ulicy The Mall. Czy to tylko Evie wyobrażnia, czy wyczuła, że w powietrzu panuje atmosfera ekscytacji? W końcu od śmierci księcia małżonka Alberta królowa nie pojawiała się publicznie, co sprawiło, że stała się obiektem kpin. Mówiono jednak, że dziś wieczorem ma przybyć na własny bal.

Kiedy dotarli do głównego wejścia, Evie od razu zauważyła, że pojawienie się królowej nie będzie raczej głównym tematem rozmów tego wieczora. Ich pojazd minął pana i panią Gladstone kłócących się z gwardzistami noszącymi na głowach charakterystyczne bermyce i dzierżącymi karabiny z bagnetami. Z rozwścieczonymi do granic możliwości państwem Gladstone'ami nie było żartów, ale z drugiej strony to samo można było powiedzieć o Gwardii Królowej i obie strony zdawały się tkwić w impasie. Evie zsunęła się trochę niżej w powozie, kiedy przejeżdżali obok, na szczęście niezauważeni przez Gladstone'ów, wciąż zajętych na zmianę grożeniem i błaganiem królewskich gwardzistów.

Gdy byli już poza ich polem widzenia, powóz zaturkotał po kocich łbach między kolumnami bramy wjazdowej i wtoczył się na frontowy dziedziniec

pałacu. Na czele kolejki nienagannie odziani lokaje pokrzykiwali gniewnie na stangretów albo otwierali drzwi powozów, tak by dystyngowani goście mogli wysiąść i przejść do głównego holu. Tam wchodzili na piętro paradnymi schodami i szli do sali balowej bądź na taras. Bankiet trwał już w najlepsze.

Tymczasem czekając w powozie na swoją kolej, Evie i Jacob wymienili spojrzenia. Jakby przyznając się do zdenerwowania. „Powodzenia”. „Uważaj na siebie”. W tym spojrzeniu było wszystko.

– Pójdę odszukać Fragment Edenu – powiedziała do brata.

Ten zacisnął usta.

– Jak chcesz. Ja idę spotkać się z Freddiem.

I wtedy drzwi ich powozu się otworzyły, i spojrzeli na kłaniających się lokajów o pustym wzroku, a potem na schody prowadzące do otwartych drzwi pałacu, też obstawione lokajami, po których do środka zmierzał nieprzerwany potok gości w nieskazitelnych strojach.

Cóż, przynajmniej ubrali się odpowiednio do roli. Jacob założył z tej okazji wytworny frak, Evie wybrała atłas z koronkową lamówką, stanik, atłasowe pantofelki, spódnicę i drucianą turniurę. Czuła się skrępowana. Jak indyk na Boże Narodzenie. Ale wtapiała się w tłum, to na pewno; oprócz jednej rzeczy: podczas gdy większość kobiet nosiła naszyjniki inkrustowane brylantami, Evie zawiesiła sobie na łańcuszku klucz do skarbcza. Wiele przeszła, by zdobyć ten klucz. Nie zamierzała spuszczać go teraz z oka.

Kiedy tylko wysiedli z powozu, usłyszeli w oddali okrzyk.

– To mój powóz! – zabrzmiał płaczący i oburzony krzyk przyszłego premiera Gladstone’a, krzyk, który szczęśliwie pozostał niezauważony.

Teraz się rozdzielili. Jacob wyśliznął się, by spotkać się z Abberline’em i zdobyć broń, a potem zapobiec intrydze Starricka, który zamierzał wymordować najwyższe kręgi, Evie zaś miała do odszukania Biały Gabinet. Podobnie jak inni goście, ruszyła na schody paradne, umyślnie dołączając do tłumy i starając się nie wyróżniać, porwana przez strumień jedwabów, garniturów, uprzejmych konwersacji i szeptanych do ucha plotek.

Uśmiechała się, kiwała głową, gdy ktoś się do niej odzywał, perfekcyjnie grając rolę młodej debiutantki.

Odłączając się od rzeki gości, by skręcić w korytarz po lewej stronie, usłyszała za sobą życzliwy głos mówiący:

– Moja droga, sala balowa jest w tę stronę.

Udała, że go nie słyszy, oddalając się od ludzi, skradając się po luksusowym dywanie z Axminster w swoich aksamitnych pantofelkach coraz dalej w głąb pałacu.

Poruszała się cicho jak widmo, wyęzając wszystkie zmysły, by wyczuć strażników, zanim ci ją zobaczą. I w istocie wychwyciła dźwięk zbliżających się kroków i szmer głosów, schowała się więc w gabinecie. Był skąpo umeblowany, słabe światło wpuszczały tylko szczeliny w zamkniętych okiennicach. Evie została przy niedomkniętych drzwiach, by przepuścić strażników. Kiedy mijali drzwi, zerknęła przez szparę i dobrze im się przyjrzała. Nosili mundury Gwardii Królowej, ale było w nich coś dziwnego. Wyglądali na mniej karnych, mniej inteligentnych.

Oszuści.

Oczywiście. Starrick opanował gwardię, umieszczając własnych ludzi w pałacu i wokół niego. Jak inaczej miałoby dokonać czegoś, co w zasadzie miało być masakrą?

Przełknęła ślinę, mając nadzieję, że dokładnie w tym momencie Jacob dowiadywał się tego samego od Abberline'a.

Wyszła z gabinetu i znów po dywanie z Axminster pośpiesznie ruszyła korytarzem. Znalazła drogę do Białego Gabinetu i wśliznęła się do środka. Zaczęła szukać planów, jednym uchem słuchając wszystkiego, co działo się na zewnątrz.

Znalazła. Rozpostarła je na biurku i zagryzła usta, podekscytowana znaleziskiem. W odróżnieniu od planów pałacu, które studiowała wcześniej, te zawierały *wszystko*. Uwzględnione było każde pomieszczenie, oznaczono każdy korytarz i przejście. To były osobiste plany Księcia Małżonka.

I...

Wstrzymała oddech.

Był tam skarbiec.

Żałowała, że Henry nie może tego zobaczyć. Delektowała się myślą o jego reakcji. Pomyślała, że w gruncie rzeczy, delektowała się myślą, że spędzi z Henrym Greenem więcej czasu, kiedy to się skończy.

Ale to będzie później. Teraz mogła mieć tylko nadzieję, że Jacob neutralizował właśnie zagrożenie ze strony ludzi Starricka, tak by mogła się skupić na przedostaniu się do skarbcza na dole. Miała już iść, ale zauważyła swoje odbicie w podłużnym lustrze na jednej ze ścian gabinetu, poprawiła i wygładziła suknię, a potem ze schematem pomieszczeń ukrytym za dekoltem wysliznęła się z gabinetu i ruszyła korytarzem. Zatrzymała się jeszcze raz po drodze, by uniknąć wartowników, a potem szybko wróciła do tłumu gości, znów anonimowa i niewidzialna. A teraz do skarbcza...

I właśnie wtedy zabrzmiał głos, który zatrzymał ją w pół kroku.

– Tu pani jest.

A niech to. Mary Anne Disraeli, ich przyjaciółka i sojuszniczka, niestety nie była osobą, którą można było łatwo spławić.

– Jest ktoś, kogo po prostu *musisz* poznać! – zawołała pani Disraeli i nie przyjmując żadnych sprzeciwów, chwyciła Evie pod ramię i poprowadziła ją pomiędzy gośćmi, dookoła sali balowej i na zewnętrzny taras.

Stała tam kobieta, którą Evie Frye rozpoznała. W istocie była tak bardzo rozpoznawalna, że młoda asasynekka przez moment zwyczajnie nie wierzyła własnym oczom.

– Wasza Królewska Mość – powiedziała Mary Anne Disraeli, dyskretnie ściskając Evie za ramię, przypominając jej, by dygnęła – chciałabym przedstawić pannę Evie Frye.

Jej Królewska Wysokość, w ciemnym stroju, który miała w zwyczaju nosić, i z odpowiadającym mu wyrazem twarzy, spojrzała na Evie z mieszaniną znużenia i niesmaku, a potem całkiem niespodziewanie

zapytała:

– To ty jesteś odpowiedzialna za niefortunną przygodę pana Gladstone’a? Evie zbladła. To koniec. Zostali zdemaskowani.

– W... Wasza Królewska Mość, przepraszam... – wyjąkała.

Ale... królowa się uśmiechała. Najwidoczniej „niefortunna przygoda” Gladstone’a bardzo ją rozbawiła.

– Tort jest wyjątkowo dobry – powiedziała do Evie. – Życzę udanego balu.

Z tymi słowami odwróciła się i odeszła z lokajem drepcącym u jej boku. Oszołomiona Evie po prostu stała i gapiła się, zbyt późno zdając sobie sprawę, że nagle stała się ośrodkiem zainteresowania. Nie kryła się, była na widoku.

Chciała szybko ruszyć, ale było już za późno, bo czyjaś ręka chwyciła ją za ramię i nie był to przyjazny, uspokajający uścisk Mary Anne Disraeli, która tymczasem odeszła w poszukiwaniu towarzystwa. Nie, to był twardy jak u dozorczy więziennego uścisk Crawforda Starricka.

– Czy mogę panią prosić o taniec... panno Frye? – zapytał.

Było to złamanie etykiety, które wywołało stłumione okrzyki ludzi wokół, ale Crawford Starrick zdawał się tym nie przejmować i zaprowadził Evie na środek tarasu – orkiestra akurat zaczęła grać mazura.

– Panie Starrick – powiedziała Evie, towarzysząc mu w tańcu z nadzieją, że brzmi, jakby panowała nad sytuacją bardziej, niż rzeczywiście myślała. – Zabawił się pan, ale gra skończona.

Ale Starrick nie słuchał. Tańcząc z przymkniętymi oczami, wydawał się pochłonięty muzyką. Evie skorzystała z okazji, by przyjrzeć się jego twarzy. Z satysfakcją odnotowała zmęczenie i niepokój widoczne w ciemnych kręgach i zmarszczkach wokół oczu. Działania asasynów naprawdę dały się we znaki Wielkiemu Mistrzowi Templariuszy. Każdy inny przywódca mógłby myśleć o kapitulacji, ale nie Crawford Starrick.

Zastanawiała się nad jego stanem umysłu. Zastanawiała się, czy człowiek tak owładnięty pragnieniem zwycięstwa był zdolny przyznać się do porażki.

– Raz, dwa, trzy – mówił.

Zdała sobie sprawę, że wskazuje gestami na dachy ponad zatłoczonym tarasem. Podążyła wzrokiem za jego oczami. Tak. Byli tam. Mieli mundury Gwardii Królowej, ale byli to strzelcy wyborowi templariuszy, około pół tuzina. Patrzyła, jak kierują karabiny na dół, w stronę dziedzińca, czekając na sygnał. Zaraz zacznie się masakra.

– Czas to cudowna rzecz, panno Frye – mówił Starrick. – Leczy wszystkie rany. Możemy popełniać błędy w tańcu, ale kiedy ten mazur się skończy, zaczniemy od nowa. Kłopot w tym, że wszyscy zapominają. Potykają się na tych samych błędach setki razy.

Evie oderwała wzrok od ludzi na dachu, w każdej chwili spodziewając się rozpoczęcia strzelaniny. Na co on czekał?

I wtedy jej powiedział.

– Ten taniec wkrótce się skończy. Niedługo wszyscy zapomną o ludziach z tego tarasu, o tym, jak niemal doprowadziliście Londyn do ruiny. Panno Frye, kiedy muzyka przestanie grać, pani czas się skończy, a mój rozpocznie się na nowo.

A zatem to był sygnał, na który czekali jego ludzie.

Orkiestra wciąż grała.

Kiedy mazur się skończył...

Spojrzenie Evie znów powędrowało w górę i serce zabiło jej mocniej, gdy zobaczyła znajomą postać Jacoba, który teraz był już w swoim stroju asasyna, krył się, ale widziała, jak podszedł do jednego ze strzelców i podciął mu gardło.

Znała swojego brata. Wiedziała, że jeśli była choć jedna rzecz, w której mogła na nim polegać, było nią właśnie wykonanie tego zadania.

I wykonał je. Zanim taniec się skończył, dachy opustoszały i Starrick nagle ocknął się ze swojego rozmarzenia. Jego wściekłe, wkrótce oszalałe spojrzenie powędrowało w stronę dachu, zobaczył, że nikogo tam nie ma, a potem spojrzał na uśmiechniętą twarz partnerki w tańcu, która powiedziała:

– Mam przeczucie, że ktoś zaraz zagra w odbijanego...

Obnażył zęby.

– W takim razie z żalem będę musiał z pani zrezygnować.

Był szybki. Jego dłoń sięgnęła do jej szyi i zerwała z niej klucz, zanim mogła go powstrzymać. Potem odwrócił się i odszedł pośpiesznie, pozostawiając Evie, która z trudem łapała powietrze, trzymając się ręką za gardło. Wokół niej zabrzmiały okrzyki oburzenia.

– Widzieliście to? Widzieliście, co on zrobił?

Szybko ruszyła śladem Starricka, ale zgubiła go w tłoku. Za jej plecami wybuchło zamieszanie, ale Evie pochyliła głowę i dotarła do krańca tarasu, ciesząc się z widoku Jacoba, który wykorzystał nagły tumult, by się tu zjawić.

Wyciągnęła papiery z dekoltu i wcisnęła je w rękę Jacoba.

– Masz – powiedziała szybko, bez tchu. – To położenie skarbcza. Idź.

Spojrzał na schematy ze zmarszczonymi brwiami.

– Tak po prostu? Bez planu?

– Nie ma czasu na plany. Dołączę do ciebie, jak tylko pozbędę się tego. – Wskazała zniechęconą suknię, wzięła od Jacoba swoją rękawicę z ukrytym ostrzem i zgarnęła tornister ze strojem asasynek, a następnie wyruszyła na poszukiwanie odpowiedniego miejsca, by dokonać przemiany.

Jacob pobiegł. Zaznaczony na schemacie skarbiec był położony w pobliżu piwnic z winem i przypuszczalnie powstał w tym samym czasie co one, zanim został wykreślony z planów i okrył się tajemnicą. Prowadzące do niego drzwi były ukryte, wyglądały jak jeden z wielu elementów bogato zdobionej boazerii w tej części pałacu. Ale gdy Jacob dotarł na miejsce, zobaczył, że są otwarte, niewątpliwie za sprawą Crawforda Starricka, który użył skradzionego Evie klucza.

Bał był teraz daleko za nim. Prawdopodobnie goście wciąż trzymali kurczowo swoje perły po tym, co wydarzyło się między Starrickiem a Evie. Ta część pałacu była opuszczona i cicha.

Chociaż nie do końca. Idąc wąskim tunelem w kierunku skarbcza, Jacob usłyszał przed sobą głuchy huk eksplozji. Starrick odplombował skarbiec.

Jacob napiął mięśnie. Usłyszał, jak trzeszczą mu stawy palców. Mniej hałasu narobiło jego ostrze, gdy poruszył przedramieniem, tak by je wysunąć.

Poruszając się teraz jeszcze ostrożniej, podszedł do wysadzonych drzwi skarbcza. Wstąpił do środka i znalazł się w pomieszczeniu o średniowiecznej architekturze. A więc było starsze od piwnic na wino, których historia sięgała przebudowy pałacu w latach sześćdziesiątych osiemnastego wieku. W istocie wyglądało to dla Jacoba tak, jakby to obecny pałac został wybudowany wokół skarbcza.

Stłumił mimowolny uśmiech. Evie na pewno sama chciałaby dokonać tego odkrycia.

Na środku skarbcza stał Wielki Mistrz Templariuszy, który dopiero co otworzył znaną tam skrzynię. Był to typ pojemnika, jakiego Jacob nigdy wcześniej nie widział. Ciemnoszary, futurystyczny prostopadłocian pokryty

dziwnymi kanciastymi nacięciami, inskrypcjami i uchwytami. I przez krótką chwilę mógł tylko na niego patrzeć, zahipnotyzowany jak Starrick. Jedno spojrzenie na skrzynię wystarczyło, by przekonać go, że jest w niej coś niepojętego, z innego świata. Może Evie miała rację, przywiązując wielkie znaczenie do artefaktów.

Crawford Starrick nadal miał na sobie frak, ale narzucił na niego połyskujący kawałek materiału, który zdawał się emanować taką samą tłumioną energią jak skrzynia. Na oczach Jacoba wzory zdawały się powstawać i nikać na złotym materiale, który świecił różnobarwnym światłem. W skrzyni znajdował się szereg przedmiotów wyglądających na ozdobne błyskotki. Albo one też emanowały rozpierającą je mocą, albo odbierały ją z głębi pojemnika. Jacob był wciąż zahipnotyzowany, zaczynając głęboko wierzyć, czując zew artefaktów, aż wreszcie potrząsnął głową z wysiłkiem, z powrotem przyszył do twarzy uśmiech i wyszedł na spotkanie Wielkiego Mistrza.

– Nie jesteśmy trochę za starzy, żeby wierzyć w czary? – zapytał.

Starrick spojrzał na niego z zagadkowym wyrazem twarzy, który Evie mogłaby rozpoznać z ich wspólnego tańca. Tylko teraz był w takim uniesieniu, że wyglądał prawie jak święty.

– Dobrze już, dobrze – powiedział z uśmiechem. – Pozwól staremu człowiekowi na małą słabostkę.

– Na nic ci nie pozwolę – powiedział Jacob i wystąpił naprzód.

Starrick nie wykonał żadnego ruchu, by się obronić, uśmiechał się tylko z pobłażaniem. Uśmiechem prawdziwego mędrca.

– Młodzi myślą, że mogą odcisnąć swój ślad na tym świecie, świecie stworzonym tylko po to, by ich wykorzystywać.

Jacob pokręcił głową i wyprostował się, wyglądał wreszcie jak prawdziwy szef gangu.

– Nie myślę, że mogę odcisnąć swój ślad, starcze, ja to wiem.

Twarz Starricka stała się surowa. Znow był tu i teraz i czerpał pradawną

moc ze swojego znaleziska.
I wtedy Jacob zaatakował.

Henry podjął decyzję. Porzuci to życie. Porzuci asasynów, dla których stał się ciężarem, i porzuci Evie, dla której stał się kulą u nogi. Przez całe życie uciekał przed prawdą, że nie nadawał się na asasyna. Uwięziony na terenie katedry Świętego Pawła w Covent Garden, Henry wreszcie to zrozumiał.

Zatopiony we wspomnieniach, zamknął sklep i zgasił światła od frontu, wycofując się za kotarę do swojej pracowni. Zegary tykały i Henry zastanawiał się, co teraz robiła Evie. Z pewnością ona i Jacob przybywali właśnie na bal królowej. Kiedy tu wrócą, to będzie koniec. Niezależnie, czy wszystko skończy się zwycięstwem, czy porażką, w tej bitwie będą walczyć aż do finału: asasyni znów zdobędą dominację, kończąc rządy templariuszy, lub też będą musieli się wycofać, przegrupować siły i wszystko zaplanować od nowa.

A Henry? Usiadł przy stole pośrodku, obłożony dokumentami i inskrypcjami, mapami i planami, nad którymi ślęczał tu z Evie, i ukrył twarz w dłoniach, wspominając swoje życie: dzieciństwo i lata, kiedy był Duchem. Życie pełne złudzeń, niespełnionych marzeń i klęsk.

W poprzednim życiu myślał o porzuceniu Bractwa. „Nie da się odwrócić od swoich przekonań”, pomyślał wtedy.

Tak, postanowił teraz.

Da się.

Wziął czystą kartkę papieru, sięgnął po pióro i kałamarz.

„Droga Evie”, napisał.

I wtedy przeszkodził mu jakiś dźwięk dobiegający sprzed sklepu. Znowu. Pukanie.

Henry wstał, sięgnął po ostrze i zaczął je przypinać, wychodząc zza kotary, bezszelestnie stąpając bosymi stopami po deskach podłogi. Potrząsnął

rękawem, kryjąc ostrze i przyjrzał się szybie w drzwiach, w której zauważył postać, kształt, który od razu rozpoznał.

– Wejdz – powiedział, otwierając drzwi i wyglądając na zewnątrz, w dół i w górę zatłoczonej ulicy Whitechapel, a potem cofnął się do środka, by umożliwić wejście swojemu gościowi. Porzucając ciepły wieczór dla mrocznej, opresyjnej atmosfery sklepu Henry’ego, przez próg przeszedł George Westhouse.

– Jesteś uzbrojony – powiedział na powitanie. Wyćwiczone oczy.

– Przyparliśmy templariuszy do muru – odparł Henry. – A wiesz, co robi przyparty do muru szczur?

– Atakuje sklepikarzy?

Henry spróbował zmusić się do uśmiechu, ale uśmiechy nigdy nie przychodziły mu łatwo i jak można było się spodziewać, mięśnie twarzy go nie usłuchały. Zamiast tego zamknął zasuwę, odwrócił się i poprowadził George’a między chwiejnymi regałami aż do swojej pracowni. Odłożył na bok rozpoczęty przez siebie list i wskazał George’owi krzesło; ostatnią osobą, która na nim siedziała, była Evie Frye.

George miał ze sobą małą skórzaną torbę na ramię, którą siadając, umieścił na blacie biurka.

– Może zechciałbyś wprowadzić mnie w sytuację w mieście? – zapytał.

Henry opowiedział mu o tym, jak z pomocą jego sieci informatorów Jacob stworzył gangi na East Endzie, a potem przeprowadził serię skutecznych operacji przeciwko templariuszom, poważnie osłabiając ich pozycję; jak on i Evie odkryli prawdopodobne miejsce ukrycia ostatniego Fragmentu Edenu; że Evie i Jacob w tej właśnie chwili byli na balu królowej, a Evie szukała skarbcza, w którym był przechowywany Całun...

Słyszając wzmiankę o artefakcie, George uniósł brwi.

„Tak”, pomyślał Henry, „jeszcze więcej przeklętych artefaktów. Więcej śmierci w imię błyskotek”.

– I miałeś oczywiście współniczkę w postaci Evie Frye?

– Mieliśmy różne powody, by szukać Fragmentu Edenu – zgodził się Henry. – Ona chciała doświadczyć jego siły. Chciała zobaczyć moc Pierwszej Cywilizacji. Ja już to widziałem. Chciałem się upewnić, że ta potęga nigdy nie trafi w ręce templariuszy.

– „Mieliśmy”, powiadasz...

– Słucham?

– Powiedziałaś, że *mieliście* odmienne powody, by szukać Fragmentu Edenu. Dlaczego uważasz, że pasuje tu czas przeszły?

– Mam absolutne zaufanie do bliźniaków. Nawet jeśli Evie nie uda się zdobyć Całunu, jestem pewien, że Jacob unieszkodliwi Crawforda Starricka. Tak czy inaczej, ten Fragment Edenu będzie przez jakiś czas bezpieczny.

– I to wszystko, tak? – George wskazał na biurko, gdzie leżał list zatytułowany „Droga Evie”. – Nic poza tym.

Henry spojrzał na niego.

– Tak – powiedział. – Nic poza tym.

George pokiwał mądrze głową.

– Cóż, no to dobrze. To bardzo dobrze. Bo wiesz, tak jak mówił ci Ethan i tak jak mówiła ci twoja matka, asasyni potrzebują analitycznych umysłów równie bardzo jak wojowników.

Henry unikał wzroku George’a.

– Prawdziwy asasyn powinien być jednym i drugim.

– Nie, nie. – George pokręcił głową. – To, co opisujesz, to nie człowiek, to automat. Nasza organizacja, *każda* organizacja, potrzebuje sumienia, Henry. To ważna funkcja. Być może czasem za późno to zauważamy, ale tak jest, to żywotna funkcja. Cokolwiek zrobisz, chciałbym, żebyś o tym pamiętał.

Henry skinął głową.

– Dobrze, skoro to już jasne, może przejdę do kolejnej sprawy...

George otworzył torbę, wyjął z niej książkę w skórzanej oprawie i przesunął ją po blacie biurka w stronę Henry’ego.

– Evie skontaktowała się ze mną w tej sprawie. To książka, o której

pamięta jak przez mgłę, że widziała ją w bibliotece ojca i że być może są w niej informacje o artefakcie, którego szukacie.

Henry spojrzał na niego, marszcząc brwi, i George wzruszył ramionami.

– No dobrze, wiedziałem o Całunie. Chciałem tylko usłyszeć o tym z pierwszej ręki. No, z *jednej* z pierwszych.

Zaciekawiony Henry przysunął książkę bliżej, otworzył okładkę i od razu poczuł łaskotanie starej, znanej ekscytacji. W środku były papiery wyglądające jak seria świadectw spisywanych przez wieki – szczegóły stoczonych bitew, dokonanych zabójstw, zdobywanych i traconych skarbów – i wszystko to dotyczyło najwcześniejszych lat angielskiego Bractwa.

Czyżby Evie natrafiła na jakąś informację o Całunie? Coś, co nie miało dla niej wtedy sensu, ale teraz powróciło?

George patrzył z uśmiechem na twarz Henry’ego.

– Muszę przyznać, że trochę się tego naszukałem – powiedział. – Oby się przydało. – Zebrał się do wyjścia. – Na pewno będziesz chciał ją przeczytać od razu, więc zostawię cię w spokoju. Dobrze się spisałeś, Henry. Twój rodzice będą z ciebie dumni. Ethan byłby dumny.

Kiedy Henry zamknął za George’em drzwi, znów zabrał się do książki. Wiedzieli, że Całun podobno miał zapewniać wieczne życie, i stąd przekonanie Evie, że artefakt ma właściwości uzdrawiające.

Jednak potem utwierdziła się w przekonaniu, że przedmiot posiadał też jakąś większą, być może mroczną moc. Jej ciekawość przywołała wspomnienie; wspomnienie przywiodło ją do tej książki.

Henry przekartkował ją teraz w pośpiechu, przewidując, co może w niej znaleźć, aż dotarł do szczególnego wpisu, mówiącego – tak – o pewnym Całunie. Napisano go w najbardziej zawoalowany sposób, lecz mimo to tekst potwierdzał, że artefakt rzeczywiście daje wieczne życie temu, kto go nosi.

Jednak autor relacji wspominał o czymś jeszcze. O odwrotnym działaniu artefaktu. Wadą – lub może, dla niektórych, zaletą – noszenia Całunu był fakt, że wysysał energię każdego, kto go dotknął.

Opis kończył się słowami, że nic więcej o Całunie nie wiadomo i że to, co tu przedstawiono, to być może tylko plotki lub domysły. Jednak to wystarczyło, by Henry pomyślał o Evie – Evie idącej do skarbcza i nieznającej prawdziwej mocy Całunu.

W końcu Evie znów założyła swój zwykły strój. Rzuciła tę okropną suknię w kąt, dopasowała zatrzaski swojej rękawicy z ukrytym ostrzem, jednocześnie wkładając ręce w rękawy swojego płaszcza. Ponownie spojrzała na swoje odbicie w oknie małej poczekalni, w której postanowiła się szybko przebrać, ale tym razem była zadowolona z rezultatu.

„Zapomnijmy o tej wyszukanej toalecie”. To było jej prawdziwe ja. Była córką swego ojca.

A teraz do skarbcza. Postawiła za sobą rwytes balu i popędziła w kierunku, gdzie wiedziała, że go znajdzie, i tak samo jak Jacob znalazła na miejscu otwarte drzwi. Pośpiesznie zeszła na dół, wbiegła do tunelu i szykowała się do walki, podchodząc do otwartych drzwi skarbcza.

Ze środka dobiegały dźwięki szamotaniny i głos cierpiącego Jacoba. Biegając do portalu wejściowego, wysunęła ostrze i kiedy wpadła do środka, zobaczyła, jak Starrick z Całunem przytrzymuje Jacoba jedną ręką.

Przez sekundę stała i gapiła się na tę scenę. To było niemożliwe. Człowiek w wieku Starricka i z jego budową, który zdołał powstrzymać Jacoba. Ale tak było. Czerpiąc moc z Całunu, Starrick jednocześnie jakby wysysał siły z Jacoba.

– Nie chciałeś słuchać.

Usłyszała jego słowa, podczas gdy jej spojrzenie powędrowało do bogato zdobionej skrzyni. Tkwiło w niej coś, co wyglądało jak klejnoty, które zaczęły się unosić z własnej woli i świeciły teraz złowrogo w gęstym mroku skarbcza. Sztuczne owady zaczęły wirować, tworząc jakby barierę ochronną wokół Wielkiego Mistrza i jego bezsilnej ofiary.

Miała się zaraz przekonać o ich sile, bo po kilku krokach obróciła się, słysząc za plecami jakiś hałas. Strażnik wbiegł do podziemnego

pomieszczenia i zdyszany głosem próbował coś powiedzieć Starrickowi.

– Sir, tam jest...

Ale nie dokończył swoich słów. Wyglądało na to, że nagły ruch przy drzwiach pobudził „osy”, i z jednej z nich wystrzeliła błyskawica, trafiając strażnika w twarz i odrzucając go do tyłu martwego, jeszcze zanim upadł na ziemię.

Widząc jego czarną, spaloną twarz, zdała sobie sprawę, że to ruch, gwałtowny ruch je uruchomił. Pozostawała więc w bezruchu, ze wzrokiem utkwionym na zabójczych, wiszących w powietrzu insektach, ale równocześnie kontrolując środek pomieszczenia, gdzie Starrick trzymał na uwięzi jej brata, wysysając z niego energię życiową.

Sytuacja stała się rozpaczliwa; Jacob jeszcze się trzymał, ale z trudem.

– Londyn wkrótce pokona wasz chaos! – ryczał Starrick. Jego oczy były szeroko otwarte i dzikie, na jego wargach pokazały się kropelki śliny. – To miasto było bezpieczną przystanią. Światłem dla całej ludzkości. Wy wolelibyście zniszczyć całą drabinę społeczną. Jaką macie alternatywę? Dom obłąkanych?

„Wolność”, pomyślała Evie, ale milczała. Zamiast tego skierowała swoje wysiłki w stronę brata, czując jego ból, jakby był jej własnym.

– Jacob, wytrzymaj – zawołała i usłyszała, że jej głos łamie się z poczucia bezradności i bezsilności.

Jej brat wybałuszył oczy, żyły na jego szyi pulsowały tak mocno, że obawiała się, że naprawdę pękną.

– Evie – zdołał wydusić – zostań tam.

– Nie wiesz, jak używać artefaktu – zawołała do Starricka Evie. – Całun nigdy nie był przeznaczony dla ciebie.

Ale Starrick nie słuchał. Ścisnął szyję Jacoba z większą siłą, czując, jak przepływa przez niego narastająca moc. Wykrzywił twarz w grymasie, rozpoczynając ostatnią, śmiertelną fazę uścisku.

Jednocześnie, jakby wyczuwając, że wydarzenia zbliżają się do końca,

mechaniczne owady wycofały się, ich pulsujące światło gasło, gdy wlatywały z powrotem do skrzyni. Evie zaryzykowała i rzuciła się naprzód z bojowym okrzykiem. Jej ostrze podniosło się i opadło, ale Starrick korzystał z pomocy artefaktów i z łatwością uniknął ciosu. Udało jej się przynajmniej wytrącić go z równowagi i po chwili Jacob turlał się po kamiennej posadzce, ciężko dysząc i charcząc z rękami na szyi, uwolniony wreszcie z uścisku Crawforda Starricka.

Znalazłszy się nagle w połączonej aurze Całunu, skrzyni i latających artefaktów, Evie poczuła się zagubiona, gdy nagle schwycił ją Starrick, trzymając ją w takim samym uścisku co Jacoba.

– Kolejny Frye, którym się pożywię – zakrzyknął triumfalnie.

Wbił w Evie szalone spojrzenie.

Kiedy tańczyli, zastanawiała się nad stanem jego umysłu. Teraz nie miała wątpliwości. To, co zostało z Crawforda Starricka, kryło się bardzo głęboko. Był w jakimś innym miejscu.

– Podziwiam pani hart ducha – mówił, obsypując ją kropelkami śliny. – Niewiele możesz teraz osiągnąć. Jestem nieśmiertelny jak sam Jezus. Oto potęga Całunu.

– Jezusowi było w nim bardziej do twarzy – wydusiła.

Jeśli Starrick ją usłyszał, nie dał tego po sobie poznać i perorował dalej:

– Zacznę od nowa. I ten nowy Londyn będzie jeszcze wspanialszy. Najpierw zginiecie wy, potem królowa.

Mechaniczne insekty zaczęły gorączkowo orbitować wokół niej. Jakby reagowały na coraz silniejsze emocje Starricka. Albo – co bardziej prawdopodobne – były w jakiś sposób nierozzerwalnie związane z impulsami przebiegającymi przez Całun, który miał na sobie.

Tymczasem Jacob stanął na nogi, jednak insekty nie pozwoliły mu podejść bliżej. Teraz to on wołał do niej, by się nie poddawała i opierała mrocznemu, śmiertelnemu uściskowi Starricka. Wystrzeliwane z unoszących się automatów błyskawice trzymały go na dystans.

– Żadne plany ani potęgi mnie nie pokonają – grzmiał Starrick. – Historia jest po mojej stronie. Londyn zasługuje na władcę, który będzie wciąż czujny, który nie pozwoli miastu pograżyć się w chaosie.

– W chaosie, który sam zamierzasz wywołać – krzyknął Jacob i podbiegł, mając nadzieję uchylić się przed insektami i zadać cios Starrickowi.

Był zbyt wolny. Impuls energetyczny uderzył go i rzucił o ścianę.

Starrick wykorzystał to i z niewyobrażalnym przyrywem siły skoczył, sięgając ręką także do jego szyi.

Teraz Wielki Mistrz Templariuszy trzymał i Evie, i Jacoba. Potężna energia Całunu zdawała się płynąć przez materiał, do ramion i dłoni coraz mocniej zaciskających się na bliźniakach. Uniósł ich jak trofea. Ścisnął. Zwisali bezradni z odrzuconymi do tyłu ramionami i uniesionymi do góry podbródkami, ich szczęki zaciskały się w męczarniach tak mocno, że nie mogli nawet wrzeszczeć.

I Evie poczuła, jak wycieka z niej siła życiowa. Traciła dech, jej wzrok był zamglony, mięśnie przestawały reagować na słabe sygnały oporu wysyłane przez mózg; podobne do szponów dłonie Starricka ścisnęły jej gardło, czuła się, jakby ktoś do szyi przyłożył jej groty pik.

– WYNOCHA Z MOJEGO MIASTA – zawarczał.

I zdała sobie sprawę, że to będą ostatnie słowa, jakie usłyszy, bo jego uścisk się wzmacniał, a ona traciła świadomość. Myśli zawirowały w jej umierającym umyśle. Szkoda, że nie będzie już miała okazji powiedzieć Henry’emu, co do niego czuje, i popłynąć z nim do Amritsar. Że nigdy już nie pogodzi się z Jacobem. Nie powie bratu, że go kocha. Że jest jej przykro, że tak się to skończyło.

Z początku myślała, że to halucynacje. Bo przecież postać w drzwiach musiała być jej projekcją w chwili śmierci, pozbawionym ostrości wytworem złudnej nadziei? Postanowiła, że zabierze tę wizję z sobą. Zamiast wykrzywionego, spoconego, szalonego Starricka właśnie ten widok weźmie ze sobą na tamten świat.

Obraz Henry'ego.

Ujrzała, jak jego ręka podnosi się i opada. Błysk światła na srebrze. Coś przeleciało przez skarbiec w ich kierunku.

I wtedy Starrick wydał z siebie okrzyk bólu, i jego dłoń zwolniła uścisk na tyle, że mogła zobaczyć, jak z jego piersi sterczy rękojeść noża i krwawy kwiat rozkwita mu na koszuli.

Znajomy głos. Henry. Przyszedł. To naprawdę on stał w drzwiach, olśniewający w swojej szacie asasyna, wysuwając ukryte ostrze, podchodził do Starricka, który wciąż starał się trzymać rodzeństwo w uścisku.

„Owady”, pomyślała, ale nie mogła nic powiedzieć. „Henry, uważaj na owady”.

Zobaczyła, jak jeden z nich zdawał się trząść z wściekłości, po czym wystrzelił impuls energii, który zahaczył o ramię Henry'ego wystarczająco mocno, by asasyn padł nieprzytomny na kamienną posadzkę. W tym samym czasie bliźniaki uwolniły się i leżały teraz na ziemi, łapiąc oddech i jednocześnie przyjmując pozycje obronne, szykując ostrza.

Nie musieli się martwić. Starrick wyglądał na pokonanego. Może i automaty były mu jeszcze posłuszne, ale nie na długo.

– Słabiesz – zawołał Jacob triumfalnie. Uchylił się przed atakiem mechanicznego owada. – Tego nie powstrzymasz.

Miał rację. Krew rozlewała się po całym tułowi Starricka i Wielki Mistrz

był już śmiertelnie blady. Owady świeciły coraz słabiej, tory ich lotu były coraz mniej zdecydowane.

– Całun cię nie ochroni – zawołała Evie.

Starrick obnażył zakrwawione zęby.

– Mylisz się – powiedział. – Ludzie w tym mieście, moi ludzie dostarczą mi energii.

Moc, którą dawał mu Całun, zaczynała słabnąć.

– To miasto jest większe, niż ty kiedykolwiek będziesz – powiedziała mu Evie.

Zaatakowała razem z Jacobem i kiedy Starrick poleciał do tyłu, Całun zatrzepotał i zsunął się z niego na posadzkę skarbcza.

W tym samym momencie mechaniczne insekty utraciły, jak się zdawało, całą swoją energię, tak jakby one też wiedziały, że bitwa skończona, i wróciły do zdobionej skrzyni, pozostawionej przez Pierwszą Cywilizację, niczym widzowie w teatrze zasiadający, by obejrzyć przedstawienie ze swojej wygodnej łoży.

Starrick padł na kolana. Opuścił ramiona i zwiesił głowę, spoglądając na szkarłat na swojej koszuli.

Jacob pilnował Starricka, a Evie pobiegła do Henry'ego, padając na kolana i ślizgając się po kamieniach w jego stronę. Położyła jego głowę na kolanach i sprawdziła puls. Był silny. Żył. Jego powieki zaczęły drżeć.

– Henry – powiedziała, dając mu znać, że jest przy nim. Przez krótką chwilę tuliła jego głowę, pozwalając sobie na pocałunek. Obiecała sobie, że będzie ich jeszcze bardzo wiele. I że odbędą podróż do jego ojczystego Amritsar.

Ale najpierw...

Evie wyprostowała się, odwróciła i podeszła do Jacoba stojącego nad Starrikiem, Wielkim Mistrzem Templariuszy, który na ich oczach powoli wykrwawiał się na śmierć.

Bliźnięta spojrzały na siebie poważnie. Zabicie śmiertelnie ранnego

człowieka nie było szczególnie zaszczytne. Ale jeszcze mniej zaszczytnie byłoby pozwolić mu powoli wykrwawić się na śmierć na kamieniu posadzki.

Dobicie go, szybkie i humanitarne, było właściwą drogą. Drogą ich ojca. Drogą asasynów.

Podeszli bliżej.

– Razem – powiedziała Evie do Jacoba i zadali pchnięcie.

– Beze mnie Londyn czeka zagłada – wycharczał Crawford Starrick.

– Pochlebiasz sobie – odpowiedział mu Jacob.

– Stworzyłbym tu raj.

Evie pokręciła głową przecząco.

– Miasto należy do jego mieszkańców. Ty jesteś tylko jednym z wielu.

– Stoję na czele Zakonu – powiedział Starrick, wydając ostatnie tchnienie.

– Stojący na czele lepiej niech barykadują drzwi – rzekł Jacob. – Jesteśmy asasynami.

„Tak”, pomyślała Evie. Obrzuciła spojrzeniem masakrę, jaka się dokonała w skarbcu, i wiedziała, że przynajmniej przez jakiś czas nie będzie już zabijania. Chwilę później Evie i Jacob umoczyli chusteczki w krwi Starricka, po czym wraz z Henrym opuścili skarbiec, i znając prawdziwą potęgę Całunu, zostawili go tam, by pozostawał zapieczętowany pod opieką Korony. A jutro Londyn obudzi się jako nowe miasto i troje asasynów nadal będzie dawać mu nadzieję. Będą kolejne bitwy do wygrania, wiedziała to. Ale teraz...

„Jesteśmy asasynami”.

Epilog

Henry zauważył, że lekko drży. Ale mógł się tego spodziewać. W końcu nie codziennie...

Wziął się w garść i przeszedł do pokoju, w którym Evie ze zdumioną miną przyglądała się bukietowi, jaki jej przesłał, i pomyślał, że być może popełnia wielki błąd. A jeśli tak, to już chyba nigdy nie dojdzie do siebie.

Bo nie miał wątpliwości co do uczuć, jakie do niej żywił. Żadnych.

Zakochał się w niej w chwili, w której ją pierwszy raz zobaczył. Czas, który spędzili razem, sprawił, że to uczucie tylko się wzmogło i stało się tak silne, że było niemal jak mieszanka słodyczy i bólu, jak najdroższy ciężar – chciał widywać ją codziennie tylko po to, by z nią pobyc, oddychać tym samym powietrzem co ona; rzeczy, które ją interesowały, były dla niego równie absorbujące, a to, co ją śmieszyło, rozweselało i jego. Zwykły wspólny dzień pracy przynosił mu szczęście, którego nie czuł od czasów dzieciństwa. Jego dusza uwolniła się od ciężaru tych lat, gdy był Duchem; zmył z siebie całą tę krwawą łaźnię. Evie sprawiała, że znów czuł się kompletny i odrodzony. Miłość do niej wzbudzała w nim zachwyty, była jak rzadki motyl, intensywnie kolorowy.

A jednak podobnie jak motyl, mogła z łatwością wzbić się w powietrze i odlecieć.

To prawda, Henry *myślał*, że Evie czuje do niego to samo, ale ha! – jak powiedział Hamlet – tu się pojawia przeszkoda*; nie może być tego całkowicie pewien. Cały ten czas, który spędzili razem na lekturze tekstów o artefaktach, zbliżył ich, a jego uczucia: przyjaźń i zauroczenie, szybko rozkwitły w miłość, którą czuł teraz, tę cudowną wiosnę w sercu. Ale ona? Prawie dokładnie miesiąc wcześniej pocałowała go za to, że uratował jej życie. Czy zbyt poważnie traktował gest, który mógł być zwykłym

pośpiesznym podziękowaniem?

Któregoś dnia, niedługo po pamiętnych wydarzeniach w pałacu, spotkał ją w jej gabinecie. Siedziała z jedną nogą podkurczoną, pochylona do przodu, z rękami na blacie stołu, w pozie, którą dobrze znał, i był pewien, że gdy wszedł do pokoju, lekko się zaczerwieniła na jego widok.

(Ale kto wie, może wcale nie).

Położył przed nią na stole swój wciąż pusty zielnik i patrzył, jak jej oczy odrywają się od niego, by przeczytać napis na okładce.

– Zielnik? – zapytała. – Zbierasz dla kogoś kwiaty?

– Tylko dla siebie – odparł. – Podobno to typowo brytyjska rozrywka. Wiedziałaś, że wszystkie kwiaty mają symboliczne znaczenie?

– Słyszałam kiedyś coś takiego – powiedziała.

– Oczywiście, że tak. Niestety nie miałem czasu, by go wypełnić.

– Na pewno uda mi się znaleźć kilka próbek, jeśli przyjmiesz moją pomoc.

– Bardzo to doceniam. Dziękuję, panno Frye.

I tak w ciągu kilku tygodni stworzyli razem imponującą kolekcję, szukając sensu ich znajomości, tak samo jak odgadywali znaczenia zawarte w roślinach.

– Rezeda: twoje zalety przewyższają twój urok – powiedziała któregoś dnia, kiedy siedzieli nad pękającym już w szwach zielnikiem.

– Nie jestem do końca pewien, czy to ma być komplement. Czarnuszka damasceńska, zwana w Anglii „miłością we mgle”, ładna nazwa.

– Zwana też „diabłem w krzakach”.

Spojrzeli na siebie i roześmieli się.

– Narcyz, miłość do samego siebie – powiedziała, wskazując na kwiat. – Powinnam kupić bukiet Jacobowi.

– To niezbyt miłe, panno Frye – zaśmiał się Henry, ale był zadowolony, że rodzeństwo się pogodziło i że potrafiła patrzeć na Jacoba z większym dystansem.

– To wszystko bardzo zabawne, ale naprawdę powinnam wracać do pracy.

Jeśli będziesz mnie potrzebował...

– Wyślę ci bukiet.

– Irysów.

– „Wiadomość”. W istocie.

I tak zrobił. Skomponował uroczy bukiet z irysów, przebiśnięgów, kwiatów truskawki i czerwonych tulipanów, każdy z nich starannie wybrany, by powiedzieć coś, co trudno mu było wyrazić. Człowiek w lustrze kpił z jego niezdecydowania i niepewności. „Oczywiście, że ona czuje to samo. Pocałowała cię w skarbcu”. Człowiek, który się w nim przeglądał, nie był tego taki pewien.

– Wiadomość... – powiedziała, przesuwając palcami od przebiśnięgu do truskawki. – Nadzieja. Perfekcja?

Potem doszła do czerwonego tulipana. Jeszcze bardziej zakłopotana. Nie potrafiła odszyfrować znaczenia tego kwiatu.

A stojący w drzwiach Henry wziął głęboki wdech, chrząknął i powiedział:

– ...wyznanie miłości.

Odwróciła się, by na niego popatrzeć, i wstała z krzesła, podchodząc do niego, potykając się o jego słowa.

– Ja... Panno Frye, wiedz, że bardzo cię poważam... i cenię. I zastanawiałem się, czy uczyniłabyś mi ten honor i... Czy dałabyś mi swoją rękę... i wyszła za mnie.

Evie Frye wzięła Henry’ego za rękę i spojrzała na ukochaną twarz oczami zamglonymi od łez.

I tak, wiedział, że czuła to samo.

* Przełożył Stanisław Barańczak (przyp. tłum.).

Spis postaci

Frederick Abberline: funkcjonariusz policji, współpracownik asasynów i Henry'ego Greena

Ajay: indyjski asasyn, przeszedł na stronę templariuszy

Sir David Brewster: uczony, powiązany z templariuszami

James Thomas Brudenell: templariusz, przyboczny Starricka

Cavanagh: dyrektor Kolei Metropolitalnej

Benjamin Disraeli: polityk

Mary Anne Disraeli: żona Benjamina

Rupert Ferris: głowa Ferris Ironworks, powiązany z templariuszami

John Fowler: inżynier kolejowy

Ethan Frye: asasyn i mentor Jayadeepa Mira, ojciec Evie i Jacoba

Evie Frye: asasynka, bliźniacza siostra Jacoba

Jacob Frye: asasyn, bliźniaczy brat Evie, przywódca Skoczków

Catherine Gladstone: żona Williama

William Ewert Gladstone: kanclerz skarbu

Hardy: jeden ze zbirów Cavanagha

Hardy Drugi: jeden ze zbirów Cavanagha

Leonard Hazlewood: prywatny detektyw

Pyara Kaur: wnuczka Ranjita Singha, żona Arbaaza Mira, matka Jayadeepa

Kulpreet: indyjska asasynka

Pułkownik Walter Lavelle: templariusz

Maggie: przyjaciółka Ducha

Marchant: kierownik budowy Kolei Metropolitalnej

Arbaaz Mir: indyjski asasyn, ojciec Jayadeepa

Jayadeep Mir, znany również jako Duch, Bharat Singh i Henry Green: tajny agent asasynów

Charles Pearson: radny Londynu

Mary Pearson: żona Charlesa

Aubrey Shaw: funkcjonariusz policji

Duleep Singh: maharadża i informator asasynów

Smith: jeden ze zbirów Cavanagha

Crawford Starrick: Wielki Mistrz Templariuszy

Lucy Thorne: templariuszka, specjalistka od okultyzmu

Philip „Plutus” Twopenny: szef Banku Anglii, powiązany z templariuszami

Robert Waugh: pornograf powiązany z templariuszami

George Westhouse: asasyn